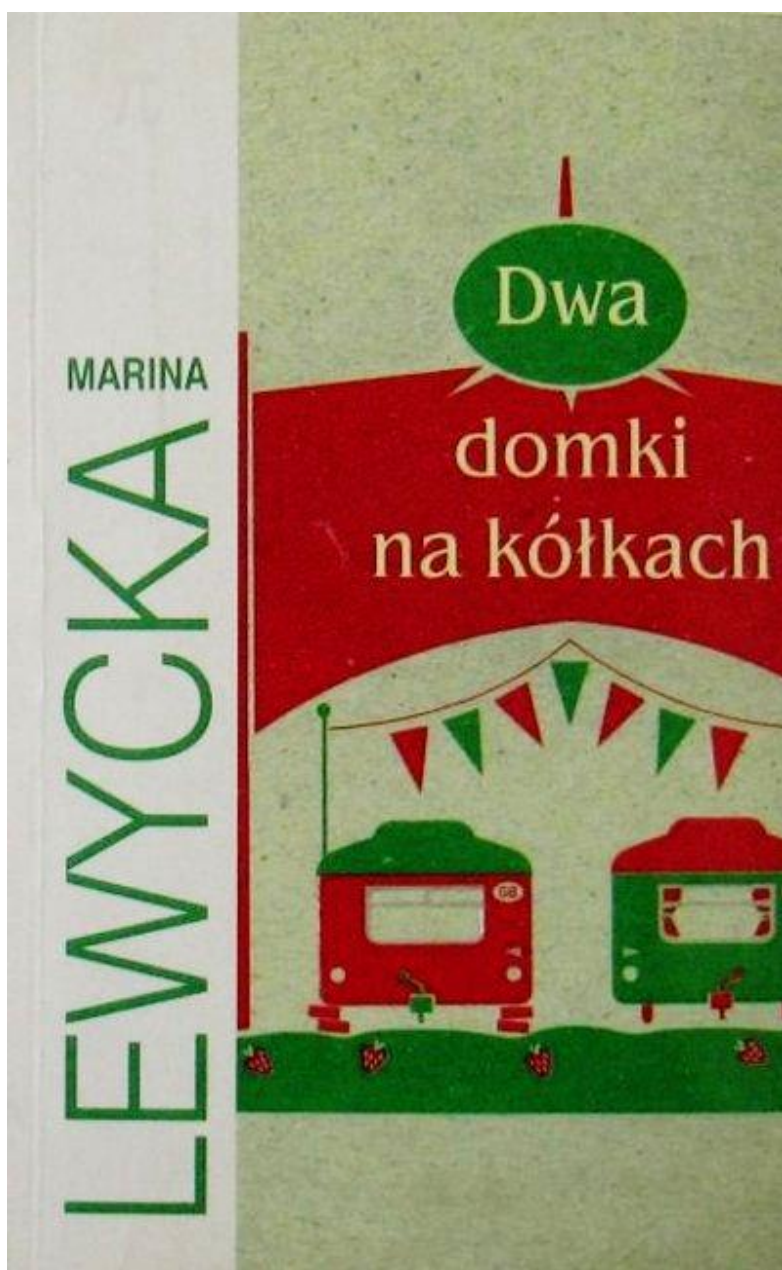




**Lewycka Marina**

**Dwa domki na kółkach**

Z angielskiego przełożyła ANNA JĘCZMYK



WARSZAWA 2007

*Tym, którzy zginęli przy zbieraniu małży  
w zatoce Moracambe w Anglii*

TLR

*Lecz przedtem proszą, by kompania cała*

*Już teraz do mnie urazy nie miała,*

*O krotchwili bowiem jeno myślę,*

*Kiedy z fantazji oną powieść kryślę.*

Geoffrey Chaucer, prolog do „Opowieści Damy z Bath”,

*Opowieści kanterberyjskie*<sup>\*1</sup>

TLR

---

<sup>1</sup> \*Przekład Helena Pręczkowska, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 1963.

## Dwa domki na kółkach

Jest takie pole — szerokie, nachylone ku południowi zbocze na długim zalesionym wzgórzu — leniwie opadające w stronę tajemniczej rzeki w dolinie. Przez cały dzień skąpane w słońcu, osłonięte żywopłotem z głogu i leszczyny przetykanej karyfolum, którego zapach przywodzi na myśl letni wieczór. Rankami wzgórza Downs owiewa lekka bryza, tak by musnąć powietrze świeżym słonym zapachem kanału La Manche. Rzeczywiście, powietrze jest tak rozkoszne, że siedząc tu, można by pomyśleć, że jest się w niebie. A na polu stoją dwie przyczepy kempingowe: damska i męska.

Ale gdyby to naprawdę był rajski ogród, myśli Jola, to powinna tu rosnąć jabłoń. Tymczasem jest to angielski ogród, pole zaś pełne jest dojrzewających truskawek. A zamiast węża mają Knedla.

Drobna zmysłowa Jola siedzi na schodku damskiej przyczepy, malując paznokcie na różowo, i obserwuje, jak land-rover Knedla przejeżdża przez bramę u stóp pola, a nowa zbieraczka truskawek gramoli się z siedzenia pasażera. Naprawdę ona, Jola, nigdy w życiu nie zdoła pojąć, dlaczego przysyłają ten dziewczęcy budyń za dwa złote, skoro wyraźnie potrzebny jest jeszcze jeden mężczyzna — najlepiej ktoś dojrzały, ale mający własne włosy i ładne nogi, o spokojnym usposobieniu — który nie tylko będzie szybciej zbierać, ale wniesie do ich małej społeczności miłą harmonię seksualną, bo przecież od razu widać, że ta mała miss będzie tu jak lis wpuszczony między kury i że wszyscy mężczyźni zaczną zabiegać o jej względy i nie będą zwracać uwagi na to, po co tu naprawdę są, mianowicie, by zbierać truskawki. Ta myśl jest tak irytująca, że Jola, malując środkowy paznokieć, całkiem traci koncentrację i w efekcie palec wygląda jak po

sknoconej amputacji.

A pozostaje jeszcze kwestia przestrzeni życiowej, rozmyśla Jola, obserwując nową dziewczynę, która idzie w górę przez pole i właśnie mija męską przyczepę. Choć kobiet jest więcej niż mężczyzn, przyczepa damska jest mniejsza: to zwyczajna mała przyczepa z czterema miejscami do spania, którą można wziąć na hol, jeśli się jedzie nad Bałtyk na wakacje. Jola jako kontroler jest osobą z pozycją i choć jest drobna, ma bujne kształty, więc naturalnie zajmuje pojedyncze posłanie. Marta, jej siostrzenica, ma drugie posłanie. Obie Chinki — Jola nie potrafi połapać się w ich imionach — dzielą rozkładane podwójne łóżko, które po rozłożeniu zajmuje całą podłogę. I to wszystko. Dla nikogo więcej nie ma miejsca.

Wszystkie cztery postarały się, aby ich przyczepa wyglądała jasno i przytulnie. Chinki przyczepiły na ścianach zdjęcia zwierzątek oraz zdjęcie Davida Beckhama. Marta obok niego przyczepiła wizerunek Czarnej Madonny z Krakowa. Jola, która lubi rzeczy ładnie pachnące, postawiła w szklance bukiet polnych kwiatów, dzikie róże, dzwonki i biało-złote kapryfolium, by osłodzić atmosferę.

Wyjątkowo uroczą cechą ich przyczepy są zmyślnie zaplanowane miejsca do przechowywania rzeczy: niewielkie szafki kuchenne, sprytne skrytki na wysokości oczu i szuflady ze wspaniałymi ozdobnymi uchwytami, w których można wszystko schować. Jola lubi porządek. Wszystkie cztery opanowały do perfekcji sztukę unikania siebie nawzajem, z typowo kobiecą delikatnością poruszają się po niewielkiej przestrzeni tak, by sobie nie przeszkadzać, zupełnie inaczej niż mężczyźni, istoty upośledzone, skłonne do niezdarnych zachowań i zajmowania dużo więcej miejsca niż to konieczne, chociaż, oczywiście, sami nic nie mogą na to poradzić — no i mają też pewne zalety, o których Jola później opowie.

Ta nowa dziewczyna od razu wskakuje do przyczepy i rzuca swoją torbę na sam środek podłogi. Mówi, że przyjechała z Kijowa, i rozgląda się wokół z uśmiechem na twarzy. Ma na imię Irina. Wygląda na zmęczoną i jest w lekkim nieładzie, a wokół niej unosi się tłusta woń frytek. Co ona sobie myśli, że niby gdzie schowa tę swoją torbę? Gdzie będzie spać? Z czego tak się cieszy? Jola bardzo chciałaby to wiedzieć.

\*\*\*

— Irino, dziecko moje, możesz jeszcze zmienić zdanie! Nie musisz jechać!

Mama łkała i co chwila ocierała chusteczką zaczerwienione oczy, urządzając zawstydzającą scenę na dworcu autobusowym w Kijowie.

— Mamo, proszę! Nie jestem dzieckiem!

Można się spodziewać, że w takiej chwili Mama będzie płakać. Ale kiedy na stacji pojawił się mój Tato, podstarzały urwis w wymiętej koszuli, z posiwiałymi włosami sterczącymi jak u starego jeżozwierzka, OK, przyznaję, wytrąciło mnie to z równowagi.

— Irino, moja maleńka, dbaj o siebie.

— *Szto Ti*, Tato? Naprawdę myślisz, że już nie wrócę?

— Tylko dbaj o siebie, maleńka. — Pociągnął nosem. Westchnął.

— Nie jestem maleńka, Tato. Mam dziewiętnaście lat. Uważasz, że nie potrafię dać sobie rady?

— Och, mój mały gołąbeczku. — Westchnął. Pociągnął nosem. A potem Mama zaczęła od nowa. Nic nie mogłam na to poradzić — ja też zaczęłam wzdychać, pociągać nosem i ocierać oczy, aż wreszcie kierowca powiedział, że czas już wsiadać. Mama wcisnęła mi w dłonie torbę z chlebem, salami oraz makowcem i ruszyliśmy. Z Kijowa do Kentu w czterdzieści dwie godziny.

OK, przyznaję, czterdzieści dwie godziny w autokarze to nic zabawnego. Kiedy dojechaliśmy do Lwowa, skończył się chleb i salami. W Polsce zauważyłam, że zaczynają mi puchnąć kostki. Gdy zatrzymaliśmy się gdzieś w Niemczech, żeby zatankować, pochłonęłam ostatnie okruszki makowca i popiłam je okropną wodą o metalicznym smaku z kranu z napisem: „nie do picia”. W Belgii dopadł mnie okres, ale zorientowałam się dopiero, gdy ciemna plama krwi przesiąkła przez dzinsy na siedzenie. We Francji zupełnie straciłam czucie w nogach. Na promie do Dover znalazłam łazienkę i umyłam się. Kiedy spojrzałam w zaparowane lustro nad umywalką, z trudem rozpoznałam mizerną buzię z podkrążonymi oczami, która na mnie spoglądała — czy to naprawdę byłam ja, ta niechlujna dziewczyna z włosami zlepionymi w strąki i workami pod oczami? Pospacerowałam trochę, żeby przywrócić krążenie w nogach, a o świcie, stojąc na pokładzie, patrzyłam, jak białe klify Anglii wyłaniają się w bladym wodnistym świetle, piękne, tajemnicze. Oto ziemia, o której marzyłam.

W Dover czekał już na mnie Wulk. Machał karteczką z moim imieniem i nazwiskiem — Irina Błażko. Typowe — źle zapisał nazwisko. Mama określiłaby go jako osobę o minimalnej kulturze. Miał na sobie okropną kurtkę ze sztucznej skóry, jak jakiś gangster z komiksu, co za koszmar! — skrzypiała przy każdym kroku. Brakowało mu tylko broni.

Na powitanie burknął:

— Hrr... U ciebie jest paszport? Papiery?

Miał głęboki, mulisty głos, z ust czuć mu było dymem papierosowym i zepsutymi zębami. Ten gangster powinien myć zęby. Pogrzebałam w torbie i zanim zdążyłam zaprotestować, wyrwał mi paszport oraz papiery sezonowego pracownika rolnego i schował w kieszeni na piersi swojej koszarnej kurtki.



— Trzymam dla ciebie. W Anglii dużo złych ludzi. Mogą ukraść.

Poklepał kieszeń i zrobił do mnie oko. Od razu wiedziałam, że nie ma sensu dyskutować z takim typem, więc zarzuciłam torbę na ramię i poszłam za nim na parking do wielkiego lśniącego czarnego samochodu, który wyglądał jak skrzyżowanie czołgu z zikiem: miał ciemne szyby i błyszczącą chromową kratownicę z przodu — typowa gangsterska maszyna. Takie bardzo prestiżowe auta są popularne wśród prymitywnych i niepożądanych w społeczeństwie typów. W gruncie rzeczy on sam wyglądał jak jego samochód: miał nadwagę, a jego sylwetka przypominała czołg, do tego połyskujący srebrny ząb z przodu, lśniąca czarna kurtka i rzadkie włosy zebrane w kucyk, który zwisał mu na karku jak jakaś rura wydechowa. Ha, ha.

Złapał mnie za łokieć, co było całkiem zbyteczne — głupi facet; czyżby myślał, że będę próbować mu uciec? — i popchnął mnie na tylne siedzenie, co również nie było potrzebne. Gangsterska maszyna śmierdziała w środku papierosami jeszcze bardziej niż Wulk. Siedziałam w milczeniu i nonszalancko wyglądałam przez okno, a on przypatrywał mi się nieprzyjemnie we wstecznym lusterku. Co on sobie myśli i czemu tak się na mnie gapi? Potem zapalił jednego z tych grubych, obrzydliwie śmierdzących papierosów (Mama nazywa je papierosami Nowych Rosjan) — co za smród! — i zaczął się zaciągać dymem. Zaciąga się. Smrodzi.

Nie zapamiętałam krajobrazów, które migają za ciemnymi szybami — byłam zbyt zmęczona — ale moje ciało rejestrowało każdy zakręt drogi oraz gwałtowne szarpnięcia i wstrząsy, kiedy Wulk hamował i brał zakręt. Temu gangsterowi przydałyby się lekcje jazdy.

W papierowej torebce na siedzeniu obok kierowcy miał trochę fiytek, co chwila jego lewa dłoń zanurzała się w torebce, wyciągał garść fiytek i ładował je sobie do ust. Chwyta. Ładuje. Chrupie. Chwyta. Ładuje. Chrupie.



Niezbyt elegancko. Ale fityki wspaniale pachniały. Smród papierosów, szarpanie, kiedy Wulk prowadził jedną ręką, a drugą wpychał sobie fityki w usta, szarpiący ból w dole brzucha z powodu okresu —wszystko to sprawiło, że miałam mdłości i równocześnie czułam głód. Zastanawiałam się, w jakim języku ten gangster naprawdę mówi? Po białorusku? Ukraińsku? Nie wyglądał na Ukraińca. Może jest ze Wschodu? Z Czeczenii? Z Gruzji? Jak wyglądają Gruzini? A może jest z Bałkanów? Zgadując, spytałam po rosyjsku.

— Przepraszam, panie Wulk, czy mogłabym dostać coś do jedzenia?

Podniósł wzrok. Nasze oczy spotkały się w lusterku wstecznym. Miał typowe gangsterskie oczy — trujące czarne jagody pod brwiami tak rozwichrzonymi jak przerośnięty żywopłot. Przypatrywał mi się w ten wstrętny sposób, jego spojrzenie prześlizgiwało się po mnie całej.

— Mały kwietek chce jeść — odpowiedział po angielsku, choć najwyraźniej zrozumiał moje pytanie. Zapewne przyjechał z jednego z tych państw należących do byłego Związku Sowieckiego, które niedawno uzyskały niepodległość i w których wszyscy znali rosyjski, ale nikt nie mówił w tym języku.

— Tak, panie Wulk. Gdyby mógł pan wyświadczyć mi przysługę, jeśli nie sprawi to panu kłopotu, byłabym bardzo wdzięczna za coś do jedzenia.

— Nie ma problemu, mały kwietku!

Sięgnął po jeszcze jedną garść frytek. Chwyta, ładuje, chrupie — po czym zgarnął resztki w zatłuszczonej torebce i podał mi je nad oparciem fotela. Kiedy wychyliłam się, żeby je od niego odebrać, zobaczyłam coś jeszcze, coś spoczywającego pod siedzeniem, na którym przedtem leżały fityki. Coś małego, czarnego i przerażającego. *Szto to! Czy to prawdziwa broń?*

Moje serce zaczęło mocno walić. Po co mu broń? *Mamusiu, Tatku,*

*pomóżcie mi!* OK, po prostu udawaj, że niczego nie zauważyłaś. Może nie jest naładowany. Może to tylko taka zapalniczka. Zaczęłam rozwijać zmiętą torebkę — przypominała wygodne, zatłuszczone gniazdko. Frytki były tłuste, miękkie i wciąż jeszcze ciepłe. Zostało ich tylko z sześć i trochę okruchów. Delektowałam się każdą z nich po kolei. Były lekko słone, skropione delikatnie octem, po prostu — mmm! — niesamowicie pyszne. Tłuszcz oblepił mi wargi i palce, więc nie miałam wyjścia, musiałam je oblizać, ale starałam się zrobić to dyskretnie.

— Dziękuję — powiedziałam uprzejmie, ponieważ bycie niegrzecznym jest pierwszym symptomem braku kultury.

— Nie ma problema. Nie ma problema. — Zamachał ręką, jakby chciał pokazać, jaki jest wspaniałomyślny. — Jedzenie w tranzyście. Wszystko będzie dodane w twoje koszty utrzymania.

Koszty utrzymania? Nie potrzebowałam już więcej nieprzyjemnych niespodzianek. Oglądałam jego plecy, skrzypiącą, rozciągniętą w szwach kurtkę, przerzedzony kucyk, grubą, żółtawą szyję, łupież na kołnierzu ze sztucznej skóry. Znów zbierało mi się na mdłości.

— Co to takiego te koszty?

— Koszty. Koszty. Jedzenie. Transport. Zakwaterowanie.

Puścił kierownicę i pomachał dłońmi.

— Życie na Zachodzie jest dużo za dużo kosztowne, mały kwietku. Ty myślisz, kto będzie płacić za takie luksusy?

Chociaż jego angielski był dość bulwersujący, te słowa wyskoczyły niczym przygotowane przemówienie.

— Myślisz, że to wszystko za darmo?

A więc Mama miała rację.

„Każdy by się zorientował, że tę agencję prowadzą kanciarze. Każdy, tylko nie ty, Irino”. (Widzicie, jak Mama potrafi mnie zdołować?). „A jeśli

im nakłamię, Irino, jeśli będziesz udawać studentkę rolnictwa, którą w żadnym razie nie jesteś, to kto ci pomoże, jeżeli coś pójdzie nie tak?”.

A potem ciągnęła dalej tym swoim histerycznym tonem

o wszystkich złych rzeczach, które przytrafiają się Ukrainkom na Zachodzie — wszystkie te plotki i historie opisywane przez gazety.

„Ale każdy wie, że takie rzeczy przytrafiają się jedynie głupim i niewykształconym dziewczynom, Mamo. Mnie nic takiego się nie przydarzy”.

— Powiedz mi proszę, jakie to wydatki, a postaram się je pokryć.

Mówiłam cywilizowanym, uprzejmym głosem. Błysnął ząb niczym chromowa kratownica.

— Mały kwietku, wydatki będą płacone najpierwsze, a potem ty będziesz płacona. Nie ma o czym gadać. Nie ma problemu.

— I oddasz mi mój paszport?

— Dokładnie. Pracujesz, dostajesz paszport. Nie pracujesz, nie ma paszport. Ktoś mógłby odwiedzić twoją mamę w Kijowie, powiedzieć: Irina źle pracuje, zrobić jej kłopoty.

— Słyszałam, że w Anglii...

— Anglia jest zmiana, mały kwietku. Teraz Anglia kraj możliwości. Anglia nie jest jak w twoim szkolnym podręczniku.

Pomyślałam o szarmanckim i czarującym Mr Brownie z *Lets Talk English* — gdyby tylko tu był!

— Doskonale opanował pan angielski. A może również rosyjski?

— Angielski. Rosyjski. Serbsko-chorwacki. Niemiecki. Wszystkie języki.

A więc uważa, że jest lingwistą; OK, trzeba podtrzymać rozmowę.

— Zatem, panie Wulk, nie pochodzi pan z tych okolic?

— Myśl sobie, co chcesz, mały kwietku. — Puścił oko do mojego od-

bicia w lusterku i uśmiechnął się lubieżnie, połyskując srebrnym zębem. Potem zaczął kręcić głową na boki, jakby chciał strząsnąć łupież.

— To lubisz? To pociągające kobiety?

Dobłą chwilę trwało, nim uświadomiłam sobie, że ma na myśli swój kucyk. To tak wyobrażał sobie flirt? W skali atrakcyjności dałabym mu zero. Jak na osobę o minimalnej kulturze najwyraźniej ma wygórowane oczekiwania. Jaka szkoda, że nie ma tu Mamy. Ona od razu by go ustawiła.

— Nie można mu się oprzeć, panie Wulk.

— Lubisz, co, mały kwietku? Chcesz dotknąć?

Kucyk podskakiwał. Wstrzymałam oddech.

— No, dalej. Hrr... Możesz dotknąć. No, dalej — powiedział z obrzydliwie lepkiem entuzjazmem.

Wyciągnęłam dłoń, była wciąż zatłuszczona i pachniała frytkami.

— No, dalej. Przyjemność dla ciebie.

Dotknęłam jego kuczka — przypominał szurzy ogonek. Wulk potrząsnął głową i kucyk poruszył się między moimi palcami zupełnie jak żywy szurzek.

— Słyszałem, że kobieta nie opierają się takim włosom, to przypomina jej o męskim narządzie.

O czym on, do licha, mówi?

— Narządzie?

Wykonał prostacki gest palcami.

— Nie bój się, mały kwietku. To ci przypomina twojego chłopaka. Co?

— Nie, panie Wulk, ponieważ ja nie mam chłopaka.

Od razu wiedziałam, że nie powinnam tego mówić, ale było już za późno. Te słowa same mi się wymknęły i nie mogłam ich już cofnąć.

— Nie chłopaka? Jak to, mały kwietku, nie chłopak? — Jego głos był jak tłuszcz z frytek. — Może w tym wypadku jest dobra okazja dla mnie? Hrr.

To był głupi błąd. Teraz cię ma. Jesteś osaczona.

— Możliwie my jakiś raz mieć dobrą okazję, eh? — westchnął, rozta-  
czając wokół woń dymu tytoniowego i zepsutych zębów. — Mały kwietku?

Przez przyciemnioną szybę widziałam przemykający las, przez który  
przejeżdżaliśmy, pełen pocętkowanych słońcem liści. Gdybym tylko mo-  
gła, wyskoczyłabym z samochodu, stoczyła się po porośniętej trawą skarpie  
i uciekła między drzewa. Ale jechaliśmy za szybko. Zamknęłam oczy i za-  
częłam udawać, że śpię.

Przez jakieś dwadzieścia minut jechaliśmy w ciszy. Wulk zapalił ko-  
lejnego papierosa. Obserwowałam go przez pół- przymknięte powieki, jak  
pochylony nad kierownicą wydycha dym. Zaciąga się. Smrodzi. Zaciąga  
się. Smrodzi. Ile jeszcze będziemy jechać? Potem usłyszałam chrzęst żwiru  
pod kołami i po ostatnim gwałtownym szarpnięciu gangsterska maszyna  
zatrzymała się. Otworzyłam oczy. Staliśmy przed ładnym wiejskim domem  
o stromym dachu, położonym na tyłach letniego ogrodu. Na trawniku stały  
stoły i krzesła, a cały teren lekko opadał w stronę płytkiej, lśniącej rzeki.  
Tak właśnie powinna wyglądać Anglia. Pomyślałam, że przynajmniej teraz  
spotkam normalnych ludzi. Będą do mnie mówić po angielsku. Poczęstują  
mnie herbatą.

Jednakże tak się nie stało. Zamiast tego z domu wyszedł jakiś tłusty,  
czerwony na twarzy mężczyzna, który pomógł mi wysiąść z samochodu  
Wulka, mamrocząc przy tym coś, czego nie mogłam zrozumieć, ale co z  
pewnością nie było zaproszeniem na herbatę. Zlustrował mnie wzrokiem w  
niemiły sposób, jakbym była koniem, którego właśnie kupił. A potem on i  
Wulk zaczęli coś między sobą szeptać, za szybko, żebym mogła zrozumieć,  
i wymienili się kopertami.

— Pa, pa, mały kwietku — powiedział Wulk z tym uśmiechem ocieka-

jącym frytkowym tłuszczem. — Znów się spotkamy. Może wtedy będzie możliwość.

— Może.

Wiedziałam, że nie powinnam tego mówić, ale bardzo już chciałam jak najszybciej stamtąd odjechać.

Farmer wcisnął moją torbę do land-rovera, a potem wepchnął mnie samą do środka, co boleśnie dało się moim plecocom we znaki i było całkiem niepotrzebne. Wystarczyłoby, gdyby powiedział, a sama wsiadłabym do auta.

— Zawiozę cię prosto na pole — oznajmił, gdy jechaliśmy wąskimi, krętymi drogami. — Możesz zacząć zbierać już dziś po południu.

Po jakichś pięciu kilometrach land-rover przejechał przez bramę, a ja poczułam nagłą ulgę, bo wreszcie stanęłam na twardym gruncie. Pierwszą rzeczą, która zwróciła moją uwagę, było światło — oślepiające słońce światło tańczące na słonecznym polu, dojrzewające truskawki, mała obła przyczepa usadowiona na szczycie wzgórza i prostokątna pudełkowata przyczepa w dole w samym rogu pola, a za nią las i długi zakrzywiony horyzont, i wtedy uśmiechnęłam się do siebie. A więc to jest Anglia.

\*\*\*

Męska przyczepa to statyczny model, sponiewierane stare pudełko z włókna szklanego — stoi u stóp wzgórza, przy bramie, obok nowego baraku, w którym truskawki pakowane są do skrzynek i ważone. W jednym kącie budynku znajduje się toaleta i pomieszczenie z prysznicem — chociaż prysznic nie działa, a toaleta jest na noc zamykana. Dlaczego jest zamykana? — zastanawia się Andrij. Dlaczego w nocy nie można korzystać z toalety?

Obudził się wczesnym rankiem z pełnym pęcherzem i bliżej nieokreślonym uczuciem niezadowolenia z siebie, ze swoich współlokatorów z

przyczepy i w ogóle z życia w przyczepie. Dlaczego na przykład męska przyczepa, chociaż jest większa, wydaje się bardziej ciasna od damskiej? Są w niej dwa pokoje — sypialnia i salon — ale Tomasz sam zajmuje podwójne łóżko w sypialni, a oni we trójkę śpią w salonie. Jak do tego doszło? Andrij ma jedną kanapę, a Witalij drugą. Emanuel zrobił sobie hamak ze starego prześcieradła i niebieskiego sznurka, który umiejętnie splótł i związał, a hamak rozwiesił w kącie salonu — śpi w nim teraz, ma głęboki oddech, zamknięte oczy, a na jego okrągłej, czekoladowej twarzy maluje się anielski uśmiech.

Andrij przypomina sobie zdumienie i przerażenie Emanuela, kiedy farmer zasugerował, że mógłby spać z Tomaszem w podwójnym łóżku.

— Proszę pana, mamy takie powiedzenie w języku cziczewa. Jedna dziurka od nosa jest za ciasna na dwa palce.

Potem wziął Andrija na bok i powiedział mu na ucho:

— W moim kraju homoseksualizacja jest zakazana.

— Jest OK — odszepnął Andrij. — Żaden homoseks, tylko okropny smród.

Tak, adidasy Tomasza to kolejna zniewaga — ich smród wypełnia całą przyczepę. Najgorzej jest nocami, kiedy Tomasz zdejmuje adidasy i wsuwa je pod łóżko. Duszące opary uporczywie się rozprzestrzeniają niczym złe sny, sączą się przez zasłony rozdzielające sypialnię od salonu i unoszą się pod sufitem niczym zły duch. Czasem w nocy Emanuel zeskakuje cicho ze swojego hamaka i wystawia adidasy na zewnątrz, na schody.

Kolejna sprawa — dlaczego na ścianach męskiej przyczepy nie ma żadnych obrazków? Witalij trzyma pod łóżkiem zdjęcie tej znanej angielskiej modelki Jordan i mówi, że zawiesi je, jak znajdzie coś, czym mógłby je przyczepić. Trzyma tam również tajny zapas jasnego pełnego piwa w



puszkach i lornetkę. Tomasz trzyma pod łóżkiem gitarę i majtki Joli, Emanuel natomiast torbę pełną pogniecionych papierów.

Ale najgorsze jest to, że z powodu wzgórza oraz przez usytuowanie damską przyczepę widać tylko z okna nad łóżkiem Tomasza. Czy on, Andrij, powinien poprosić Tomasza, żeby się ruszył i dał mu spojrzeć przez okno, aby mógł sprawdzić, czy ta dziewczyna wciąż tam jest? Nie. Zaczęliby mu tylko zadawać głupie pytania.

\*\*\*

W damskiej przyczepie wszystkie są na nogach już od świtu. Jola wiedziała z doświadczenia, że trzeba wstawać wcześniej, jeśli nie chcą, by Knedel pukał do drzwi i wpraszał się do środka, kiedy one się ubierają, i plątał im się pod nogami z tym spojrzeniem wygłodniałego psa — czy on naprawdę nie ma nic lepszego do roboty?

Irina i obie Chinki muszą wstać pierwsze i złożyć łóżko, żeby ktokolwiek mógł się w ogóle ruszyć. Nikt nie może korzystać z toalety ani łazienki, dopóki Knedel nie przyjedzie z kluczami, co jest dość irytujące — co on sobie myśli, że co one by tam robiły? Kradły nocą papier toaletowy z rolki? — ale w żywopłocie, kilka metrów dalej, jest wygodna dziura, chociaż Jola nigdy w życiu nie zdoła pojąć, dlaczego zawsze, kiedy któraś z nich wyskakuje za żywopłot, w oknie drugiej przyczepy widać wykrzywione twarze, czy oni nie mają nic lepszego do roboty?

Obok damskiej przyczepy jest kran z zimną wodą i miednica, a nawet prysznic zrobiony z wiadra z podziurawionym dnem, napełnianego z malowanej na czarno beczki po ropie, przymocowanej do drzewa. Wieczorami, jeśli dzień był bardzo słoneczny, woda ma przyjemnie wysoką temperaturę. Ten miło wyglądający chłopiec, Andrij, który, mimo że jest Ukra-

ńcem, wydaje się dość uprzejmy, ustawił parawan z brzo- zowych słup- ków, a wokół nich owinał plastikowe torby, nie zważając na protesty Wi- talijsa i Tomasza narzekających, że psuje im niewinną rozrywkę — do- prawdy ci dwaj są gorsi od przedszkolaków, przydałoby im się porządne lanie — i teraz nie widzą już prysznic, za to przez cały czas komentują części garderoby wiszące na damskim sznurze do suszenia. Ostatnio w ta- jemniczych okolicznościach znikły majtki Joli. Jola nigdy w życiu nie zdoła pojąć, jak to możliwe, że dorośli mężczyźni są tak niemądrzy. Choć w zasadzie jest w stanie to zrozumieć.

To Tomasz którejs nocy w zeszłym tygodniu w nagłym przypiływie wywołanej alkoholem frywolności ukradł majtki. Są białe, bawełniane, bardzo wycięte i mają ładną jasnofioletową kokardkę z przodu. Od tamtej pory Tomasz czyha na odpowiedni moment, by je dyskretnie oddać, tak aby nikt go na tym nie przyłapał — nie chciałby, żeby ktokolwiek myślał, że jest takim typem mężczyzny, który kradnie damską bieliznę ze sznurów do suszenia i trzyma ją potem pod łóżkiem.

— Widzę, że Jola znów uprała dziś bieliznę — mówi posepnie po polsku, patrząc przez lornetkę Witalijsa. — Zastanawiam się, co to oznacza.

Białe majtki prowokacyjnie dyndają w powietrzu. Kiedy Jola zwerbo- wała go do swojej drużyny zbieraczy truskawek, miał wrażenie, że coś między nimi zaiskrzyło, jakby zapraszała go na... cóż, coś więcej niż tylko na zbieranie truskawek.

— O co ci chodzi z tym *co to oznacza!* — zapytał Witalij po rosyjsku, naśladowując polski akcent Tomasza. — Zazwyczaj to, co robią kobiety, zu- pełnie nic nie oznacza.

Witalij nigdy wyraźnie nie określił swego pochodzenia, a Tomasz z kolei zbyt się nie dopytywał, uznając, że Witalij jest nielegalny albo jest

Cyganem. Wbrew sobie podziwiał łatwość, z jaką Witalij przechodził z rosyjskiego na polski czy ukraiński. Nawet jego angielski jest całkiem niezły. Ale co za pożytek z tylu języków, jeśli w duszy nie ma poezji?

— W poezji damskich desusów zawsze istnieje jakieś znaczenie. Niczym kwiaty, które opadają z drzew z nastaniem lata... Niczym rozplywające się chmury...

Tomasz przeczuwa, że nadchodzi piosenka.

— Dość — przerywa mu Witalij. — Anglicy powiedzieliby, że jesteś brudnym, starym dziadem.

— Nie jestem stary — protestuje Tomasz.

W istocie niedawno zaczął czterdziesty piąty rok życia. W dniu urodzin spojrzął w lustro i znalazł kolejne dwa siwe włosy na swojej głowie, które od razu wyrwał. Nic dziwnego, że jego długie włosy wyglądają na coraz rzadsze. Wkrótce będzie musiał pogodzić się z siwizną, obciąć włosy na krótko, odłożyć gitarę, wymienić marzenia na kompromisy i zacząć martwić się o emeryturę. Co się stało z jego życiem? Po prostu wymyka się, jak piasek w klepsydrze, jak góra zmyta do morza.

— Powiedz mi, Witaliju, jak do tego doszło, że jesteś tak cyniczny w tak młodym wieku?

Witalij wzrusza ramionami.

— Może nie zostałem stworzony do tego, by być nieudacznikiem jak ty.

— Może w dalszym ciągu nie jest dla ciebie za późno na naukę?

Jak może wytłumaczyć temu młodemu niecierpliwemu człowiekowi to, czego zrozumienie zajęło mu czterdzieści pięć lat — że ponoszenie strat jest istotną częścią człowieczeństwa? Że nawet jeśli zmierzamy do przodu długą samotną drogą, której celu nie znamy, zawsze coś za sobą zostawiamy. Przez cały ranek starał się ułożyć na ten temat piosenkę.

Tomasz odkłada lornetkę, sięga po gitarę i zaczyna brzdąkać, wystukując stopą rytm.

*Był sobie pewien gość, co nigdy nie miał dość:*

*Szukał bogactw, potęgi czy sławy?*

*Szukał sensu, prawdy czy...*

Dalej mu nie idzie. Czego jeszcze szuka ten nieszczęsny facet?

Witalij patrzy na niego z politowaniem.

—To przecież jasne, że szuka kogoś, z kim mógłby się pieprzyć.

Bierze lornetkę, nastawia ostrość i cicho gwizdże przez zęby.

—Hej, Murzyn! — woła po angielsku do Emanuela. — Chodź tu i zobacz. Patrz, zupełnie jak małe majteczki Jordan na tym moim plakacie. A może... — znów poprawia ostrość — może to jedna z tych siateczek, w które pakuje się salami.

Emanuel siedzi przy stole i obgryza długopis w poszukiwaniu natchnienia, ponieważ pisze list.

—Zostaw go, daj mu spokój — mówi Tomasz. — Emanuel nie jest taki jak ty... On jest — brzdąka w struny gitary, zastanawiając się nad właściwym określeniem. — W tym pudełku ze szklanego włókna szuka klejnotu.

— Jeszcze jeden nieudacznik — prycha Witalij.

Kochana Siostró

Dziękuję za pieniądze które wysłałaś albowiem za ich pomocą odbyłem teraz podróż z Zomba do Lilongwe i dalej poprzez Nairobi do Anglii. Mam nadzieję że te słowa dostaną Ciebie albowiem kiedy przybyłem pod adres który dałaś w Londynie inne nazwisko widniało na drzwiach i nikomu znane nie było twoje miejsce pobytu. A zatem znajdując się r w potrzebie

pieniędzy zszedłem na drogę zbierania truskawek i znalazłem się w przyczepie wraz z trzema mzungu tu w Kent. Ze wszelkich sił staram się poprawić mój angielski ale język angielski jest jak śliski wymykający się wąż i zawsze staram się pamiętać lekcje siostry Benedykty i jej srogą łaskę pasterską do łojenia skóry. Piszę zatem przy nadziei że *tam* przyjdiesz i znajdziesz te listy i *zrzućisz na nie* swoje korekty droga siostrze. Będę Ciebie informować regularnie o moich przygodach w tej opadniętej ulewnymi deszczami krainie.

Twój kochający brat Emanuel!

\* \* \*

Damska przyczepa jest już skapana w słońcu, ale promienie nie dotarły jeszcze do najniższej części pola, tam gdzie Andrij, stojąc przy kuchence w męskiej przyczepie, stara się zapalić gaz, by zaparzyć herbatę. Ordynarne przekomarzania się dochodzące z sypialni irytują go i nie chce, by pozostali dostrzegli niepokój, który odczuwa od wczoraj. Zapala kolejną zapałkę. Zapałka bucha jasnym płomieniem, który sparzył go w palec, nim zdążył zapalić gaz. Do czorta! Ta dziewczyna, ta nowa dziewczyna z Ukrainy — czy uśmiechnęła się w szczególny sposób, kiedy ich spojrzenia się spotkały?

Odtwarza tę scenę w myślach, zupełnie jak film. To działo się wczoraj o tej samej godzinie. Farmer Leapish przyjeżdża jak zwykle swoim land-roverem z jedzeniem na śniadanie, tacami pełnymi pustych łubianek na truskawki i kluczem do baraku. A potem z miejsca obok kierowcy wyłania się śliczna dziewczyna z długimi ciemnymi włosami, zaplecionymi w opadający na plecy warkocz, i brązowymi lśniąco-ciemnymi oczami. I ten uśmiech. Wchodzi na pole, rozgląda się dookoła. Andrij stoi przy bramie, a ona odwraca się w jego stronę i uśmiecha się. Ale czy to do niego tak się uśmie-

cha? To właśnie chciałby wiedzieć.

Przy obiedzie postarał się, żeby koło niej usiąść.

— Cześć. Jesteś z Ukrainy?

— Oczywiście.

— Ja też.

— Widzę.

— Jak masz na imię?

— Irina.

Czekał, aż zapyta — a ty? — ale nie zrobiła tego.

— Andrij.

Czekał, aż sama coś powie, ale tego też nie zrobiła.

— Z Kijowa? — ciągnął dalej.

— Oczywiście.

— A ja z Doniecka.

— Ach, Donieck. Zagłębie węglowe.

Czyżby usłyszał w jej głosie lekko protekcyjalny ton?

— Byłaś w Doniecku?

— Nigdy.

— A ja byłem w Kijowie.

— Ach tak?

— W grudniu. Podczas demonstracji.

— Przyjechałeś na demonstrację? — ewidentnie protekcyjalny ton.

— Przyjechałem, żeby demonstrować przeciw demonstrantom.

— No tak. Oczywiście.

— Może cię wtedy widziałem. Byłaś tam?

— Oczywiście. Na Majdanie Niepodległości.

— Na demonstracji?

— Oczywiście. To była nasza Pomarańczowa Rewolucja wolności.

— Ja byłem po drugiej stronie. Biało-niebieskich.

— Po stronie przegranych.

Znów się uśmiechnęła. Błysk białych zębów i tyle. Andrij usiłuje przypomnieć sobie jej twarz, ale nie potrafi dostrzec jej wyraźnie. Nie, było coś jeszcze prócz białych zębów: zmarszczony nosek i przymrużone oczy, lekko uniesione brwi i dwa ogromnie irytujące dołeczki w policzkach. Te dołeczki — nie może o nich zapomnieć. Czy to był tylko uśmiech, czy miało to jeszcze jakieś inne *znaczenie*?

A jeśli miało to jeszcze jakieś inne *znaczenie*, to czy to oznacza, że ja mam tu jakieś możliwości? Czy powinienem pociągnąć to dalej? A może raczej powinienem udawać obojętnego? Taka dziewczyna jest zbyt przyzwyczajona do facetów, którzy się za nią uganiają. Poczekaj, aż ona pierwsza pokaże swoją kartę. A co, jeśli jest nieśmiała — jeśli potrzebuje trochę pomocy przy tej pierwszej karcie? Czasem mężczyzna musi działać, by stworzyć jakąś okazję.

Jednakże, Andriju Palenko, czy to nie jest aby niestosowna pora i miejsce na angażowanie się w związek z kolejną Ukrainką? A jasnowłosa *Anglika Roza*, dla której przejechałeś taki szmat drogi? Co z tą piękną niebieskooką dziewczyną, która czeka na ciebie, choć sama jeszcze nawet o tym nie wie, wyposażona we wszystkie najwyższej jakości zalety: skóra jak *smetana*, zaróżowione koniuszki *angliskich* piersi, złote włosy pod pachami niczym kaczy puch i tak dalej. I bogaty tato, który z początku może nie być zbyt uszczęśliwiony z powodu wyboru jego córki, ponieważ wolałby widzieć ją z bogatym bankierem w meloniku, takim jaki nosi Mr Brown — każdy ojciec tego by chciał — ale kiedy pozna cię lepiej, jego serce zmięknie i zaprosi cię do swojego luksusowego domu z licznymi łazienkami. Na pewno znajdzie dla swojego ukraińskiego zięcia jakąś miłą posiadłość. Może nawet ładny samochód... Mercedes. Porsche. Ferrari. I tak dalej.



Tak, ta nowa Ukrainka ma pewne pozytywne cechy: ładny wygląd, ładny uśmiech, ładne dołeczki, ładną figurę, jest ładnie zaokrąglona, jest za co złapać, nie za chuda, jak te modne dziewczyny z miasta, które głodzą się, by upodobnić się do patyków w stylu zachodnim. Ale ona jest tylko kolejną Ukrainką— tam, skąd przyjechałeś, takich jest pełno. A poza tym jest trochę snobką. Myśli, że jest lepsza od ciebie, Andriju. Myśli, że jest bardzo kulturalną osobą o ponadprzeciętnej mentalności, a ty nie. (A jeśli nawet taki jesteś, to co z tego? Czy trzeba się tego wstydzić?). To widać po jej sposobie mówienia, wyraża się tak oględnie. I ten śmieszny warkocz, zupełnie jak ta wrona Julia Tymoszenko, atrapa tradycyjnej Ukrainki. Przewiązany pomarańczową wstążką. Myśli, że jest lepsza od ciebie, bo ona jest z Kijowa, a ty z Donbasu. Myśli, że jest lepsza, bo twój tato jest górnikiem — obecnie zresztą martwym górnikiem.

Biedny tato. To nie jest życie nawet dla psa, a co dopiero dla człowieka. Pod ziemią. W dole pod grzybami. W dole z legionami duchów, wszyscy stłoczeni w ciemnościach, śpiewający te swoje upiorne pieśni nieboszczyków. Nie, on, Andrij, już nigdy nie może tam wrócić, nawet jeśli to jedyny znany mu sposób na życie, na zarabianie na chleb. Będzie musiał znaleźć inny sposób. Czego spodziewałby się po nim jego ojciec? Spełnienie oczekiwań rodziców jest już i tak samo w sobie trudne. Ale na kilka dni, nim ojciec zginął, powiedział mu: Bądź mężczyzną. Co to miało znaczyć? Dlaczego nie ma cię tutaj, tato, żeby mi to wyjaśnić?

Kiedy zawaliły się stemple kopalni i strop runął do środka, Andrij znajdował się na jednym krańcu zawaliska, a jego ojciec na drugim. Usłyszał huk i zaczął biec w kierunku światła. Biegł i biegł. Wciąż jeszcze biegnie.

**JESTEM PSEM BIEGNĘ BIEGNĘ BIEGNĘ Z DALA OD  
KLATKI NIEDOBREGO CZŁOWIEKA SŁYSZĘ SZCZEKANIE  
PSÓW ZŁE PSY WARCZĄ ZŁE PSY SZCZEKA JAK BĘDĄ  
WALCZYĆ ZABIJĄ MNIE CHCĄ ZABIĆ CZUJĘ ZAPACH POTU  
PSÓW POTU CZŁOWIEKA CZŁOWIEK OTWIERA KLATKĘ  
CZŁOWIEK CIĄGNIE ZA OBROŻE CZŁOWIEK SIADA COŚ  
ZAPALA COŚ MÓWI PSY POSZCZEKUJĄ ZBYT SPRYTNY  
DUŻY ZŁY PIES WARCZY POKAZUJE ZĘBY WŁOSY NA JEGO  
GRZBIECIE JEŻĄ SIĘ ZABIJE JA NIE JESTEM PSEM DO  
WALKI JESTEM PSEM DO BIEGANIA SKACZĘ BIEGNĘ BIEG-  
NĘ PRZEZ DWA DNI NIE MIAŁEM ŻADNEGO MIĘSA GŁÓD  
BOLI W BRZUCHU SZALEJĘ Z GŁODU CZUJĘ GŁÓD CZUJĘ  
STRACH BIEGNĘ BIEGNĘ JESTEM PSEM**

**\*\*\***

Damska przyczepa była mała, ale taka przytulna. Od razu zakochałam się w tym miejscu. Postawiłam torbę i przedstawiłam się.

— Irina. Z Kijowa.

OK, nie wszystko poszło miło i przyjemnie. Jola, Polka, pełniąca tu funkcję kontrolera, która jest ordynarną i niezbyt wykształconą osobą, powiedziała kilka ostrych słów na temat Ukraińców, za które będzie jeszcze musiała przeprosić. OK, byłam nieco skonsternowana warunkami panującymi w przyczepie i być może nie byłam zbyt taktowna. Ale Chinki bardzo uprzejmie powiedziały mi wtedy, że mogę dzielić z nimi łóżko. Żałowałam, że zjadłam cały makowiec, bo drobny prezent w takiej sytuacji może wiele zdziałać, ale wciąż jeszcze miałam butelkę domowej wiśniówki na wypadek kryzysu, a to właśnie była taka sytuacja. Wkrótce stałyśmy się wielkimi przyjaciółkami.

Zjedliśmy obiad na świeżym powietrzu, siedząc razem na zboczu i popijając resztkę wódki, oglądaliśmy zachód słońca. Z przyjemnością odkryłam, że jest tu jeszcze jedna osoba z Ukrainy — miły, choć raczej prymitywny górnik z Doniecka. Przy obiedzie rozmawialiśmy po ukraińsku. Zresztą Polacy i Ukraińcy rozumieją siebie nawzajem, ale to nie to samo. Oczywiście przyjechałam do Anglii przede wszystkim po to, by przed podjęciem studiów na uniwersytecie poprawić swój angielski i dlatego mam nadzieję, że wkrótce poznam więcej Anglików.

W szkole angielski był moim ulubionym przedmiotem. Wyobrażałam sobie, że przechadzam się po rozległej panoramie wykwintnych konwersacji, niczym po malowanym pejzażu znaczonej intrygującymi homonimami i tajemniczymi formami trybu warunkowego: czy zabiegano by o twoje względy w lesie? Miss Tyldesley była moją ulubioną nauczycielką. Dzięki niej nawet gramatyka angielska wydawała się seksowna, a kiedy recytowała Byrona, przymykała oczy i oddychała głęboko przez nos, drżąc jakby w dziewiczej ekstazie, jakby czuła zapach feromonów unoszący się znad stronic książki. Miss Tyldesley, proszę nad sobą panować! Jak możecie sobie wyobrazić, nie mogłam doczekać się przyjazdu do Anglii. Myślałam, że dopiero teraz moje życie zacznie się naprawdę.

Po obiedzie wróciłam do przyczepy i rozpakowałam torbę. Na ścianie pod wiszącą szafką przyczepiłam zdjęcie Mamy i Taty, na którym oboje stoją przed kominkiem u nas w domu. Mama ma usta pomalowane różową szminką i koszmary różowy szal zawiązany w coś, co jej zdaniem jest szykowną kokardą; Tato ma na sobie swój absurdalny pomarańczowy krawat. OK, ubierają się okropnie, ale to nie ich wina, a ja i tak ich kocham. Tata otacza ramieniem Mamę i oboje uśmiechają się sztywno, jak ludzie, którzy naprawdę nic do siebie nie czują, tylko pozują do kamery. Przyglą-

dam się zdjęciu, odpływając powoli w sen, i do oczu napływa mi kilka żalonych łez. Mama i Tato czekający na mnie w domu — czy to może być powód do płaczu?

Kiedy się obudziłam następnego ranka, przyczepa była zalana słońcem i wszystko wyglądało inaczej. Ponure myśli i lęki, które towarzyszyły mi poprzedniego dnia, odpłynęły niczym duchy wraz z odejściem nocy. Kiedy wyszłam na zewnątrz, żeby się umyć, strumienie wody rozbryzgujące się na kamieniach złapały promyczki słońca i załamały je, tworząc setki olśniewających tęczy, które tańczyły między moimi zimnymi, zdrętwiałymi palcami. Gdzieś za mną w zagajniku śpiewał drozd.

Gdy pochyliłam się nad kranem, z mojego warkocza ześlizgnęła się pomarańczowa wstążka i zawirowała w wodzie. Na moment przypomniałam sobie pomarańczowe balony i transparenty na Majdanie, namioty, muzykę i moich rodziców, takich przejętych, trajkoczących jak nastolatki o wolności i innych tego typu sprawach. I poczułam przypływ smutku. A potem podniosłam mokrą wstążkę, otrzepałam ją i powiesiłam na sznurze. Kiedy spojrzałam w dół, na dolinę, moje serce znów się roztańczyło. Wzięłam głęboki oddech. To powietrze — takie słodkie, takie angielskie. Marzyłam, by oddychać tym powietrzem nabrzmiętym historią, a zarazem tak lekkim jak... no cóż, jak coś bardzo lekkiego. Jak to możliwe, że przeżyłam dziewiętnaście lat i nigdy dotąd nie oddychałam tym powietrzem? I wszyscy ci kulturalni, mężni, serdeczni ludzie, o których czytałam w dziełach Chaucera, Szekspira, Dickensa (OK, przyznaję, większość w tłumaczeniach). Byłam gotowa na spotkanie z nimi.

W istocie byłam szczególnie gotowa na spotkanie dżentelmena w meloniku, takiego jak Mr Brown z mojego podręcznika *Let's Talk English*,

który wyglądał niezwykle szykownie i romantycznie w swoim dopasowanym garniturze, ze złożonym parasolem, a zwłaszcza z tym intrygującym wybrzuszeniem w okolicy rozporoka, bardzo realistycznie domalowanym czarnym tuszem przez poprzedniego właściciela podręcznika.

Któż by nie chciał porozmawiać z nim po angielsku?! Lord Byron pomimo tego dziwnego turbana również wygląda romantycznie.

Anglicy są uważani za niezwykle romantycznych. Jest taka znana ludowa opowieść o mężczyźnie, który ryzykując śmierć, wchodzi przez okno do sypialni damy swego serca tylko po to, by przynieść jej pudełko czekoladek. Niestety, jedynym Anglikiem, którego jak dotąd spotkałam, jest farmer Leapish, lecz on, zdaje się, nie należy do tej kategorii. Mam nadzieję, że nie jest typowym przedstawicielem swej nacji.

Proszę, nie myślcie, że jestem jedną z tych okropnych Ukrainek, które przyjeżdżają do Anglii tylko po to, by zastawić sidła na męża. Nie jestem taka. Ale gdyby na mojej drodze pojawiła się miłość, to OK, moje serce jest otwarte i gotowe, by ją przyjąć.

\*\* \*

Czajnik zaczyna gwizdać. Andrij zalewa torebkę z herbatą wrzątkiem, wsypuje dwie łyżeczki cukru i ściskając w dłoniach gorący kubek, schodzi na dół, do bramy, gdzie czasem w wolnych chwilach stoi sobie, obserwując przejeżdżające samochody i wypatrując swojej *Angliskiej Rozy*. Wsparty na łokciach powoli popija herbatę, ciesząc gardło jej ciepłem, chłodna bryza owiewa wzgórze Downs, a ptaki świergoczą jak zwykle o poranku. Słońce stoi już nad wzgórzem i choć nie ma jeszcze ósmej, Andrij czuje jego ciepło. Ostre jak kryształ światło znaczy krajobraz mocnymi, rześkimi cieniami.

Andrij lubi tu przychodzić, lubi oglądać tę Anglię, która, choć znajduje się tuż za bramą, wydaje mu się tak irytująco nieosiągalna. Gdzie pani jest, Mrs Brown z *Let's Talk English*, z pani szczupłą talią i dopasowaną bluzką w groszki? Gdzie jesteś Vagvago Riskegipd ze swoją gumą do żucia i dziwkimi pocałunkami? Od kiedy dwa tygodnie temu przyjechał do Anglii, nie spotkał ani jednej *Angliskiej Rozy*. Widział je w przejeżdżających samochodach, więc wie, że istnieją. Czasem do nich macha, a nawet raz jedna z nich pomachała w odpowiedzi do niego. I owszem, była blondynką, owszem, prowadziła czerwony kabriolet marki Ferrari. W mgnieniu oka znikła mu z pola widzenia, nie zdążył nawet przeskoczyć przez bramę, by zobaczyć, jak tylny spojler znika za zakrętem drogi. Na pewno mieszka gdzieś w pobliżu, więc to tylko kwestia czasu, a znów ją zobaczy. OK, niech będzie, jego ostatnia dziewczyna Lidia Zakanowka odeszła z piłkarzem. Niech jej będzie. Tu w Anglii czekają na niego lepsze kobiety.

Dmucha na gorącą herbatę, by ją nieco ostudzić, i rozmyśla o swym ostatnim pobycie w Anglii. Jak dawno to było? Jakieś osiemnaście lat temu, więc musiał mieć wtedy siedem lat. Towarzyszył swojemu ojcu w braterskiej delegacji, odwiedzającej związek górników w mieście Sheffield, które jest miastem bliźniaczym jego rodzinnego miasta, Doniecka. Ucz się, chłopcze, powiedział jego ojciec. Ucz się pięknej międzynarodowej solidarności. Chociaż jemu samemu niewiele to pomogło, kiedy naprawdę był w potrzebie. Biedny tato.

Nie pamięta zbyt dobrze Sheffieldu, ale trzy rzeczy utkwiły mu wyraźnie w pamięci. Po pierwsze, pamięta bankiet i lepki różowy deser, którego zjadł tak dużo, że później był strasznie, brudnoróżowo chory na tylnym siedzeniu samochodu.

Po drugie, pamięta, że znany rządca miasta, prawdziwy wizjoner, który



powitał ich ciepło długą długą mową na temat solidarności i godności pracy (mowa wywarła na ojcu tak duże wrażenie, że powtarzał ją potem wiele, wiele razy) i który usiadł obok nich na bankiecie i bardzo miło częstował go kolejnymi porcjami tego podstępnego różowego deseru, i był właścicielem samochodu, w którym Andrij potem się pochorował — ten mężczyzna był niewidomy. Zdumiewająca ślepotą tego człowieka, przerażający, wszystko wyłączający mur wzniesiony za jego wizjonerskimi oczami — to zafascynowało Andrija. Zacisnął mocno powieki i usiłował sobie wyobrazić życie za takim murem ślepoty; chodził w kółko, potykając się o różne rzeczy, aż ojciec dał mu klapsa i przywołał go do porządku.

Kolejną rzeczą, którą pamięta, jest jego pierwszy pocałunek. Dziewczyna — musiała być córką jednego z delegatów — była od niego starsza i śmielsza, długonoga dziewczyna z jasnymi włosami i piegami na nosie. Pachniała mydłem i gumą do żucia. W auli w kółko gędzono o braterstwie, a oni szaleńczo uganiali się za sobą po rozbrzmiewających echem korytarzach przepastnego ratusza, ścigając się po schodach, w górę i w dół, wpadając na drzwi, piszcząc z podniecenia. W końcu rzuciła się na niego, powaliła go na kamienne schody, przyszpiliła do ziemi, napierając na niego swoim silnym ciałem. Oboje byli bez tchu, dyszeli i śmiali się. Nagle nurkowym lotem zaatakowała ustami i pocałowała go — wilgotnym, natarczywym pocałunkiem, z językiem napierającym na jego wargi. To był pocałunek ujarzmienia. Andrij był tak młody i tak zaskoczony, że jedyne, co mógł zrobić, to się poddać. Później dała mu skrawek papieru z nabazgranym jej imieniem i nazwiskiem, wszystkie „I” ozdobione małymi serduszkami. Vagvaga Riskegipd. Niesamowicie seksowne imię. I numer telefonu. Wciąż ma ten kawałek papieru wciśnięty na samo dno portfela niczym talizman. W szkole, kiedy inni chłopcy wybierali rosyjski albo niemiecki, on wybrał angielski.



Usiłuje przywołać na pamięć jej twarz. Jasne włosy. Piegi. Zapach gumy do żucia jest ciągle żywy w jego pamięci. Niesamowicie seksowny zapach. Czy ona też go pamięta? Jak wygląda? Miałaby teraz niewiele ponad trzydzieści lat. Co by zrobiła, gdyby nagle stanął w progu jej drzwi?

Mówi się, że Angielki są niesamowicie seksowne. Zdaniem Witalija, który zna się na tych sprawach, Angielki są zimne jak lód, ale jak już zaczną topnieć, to są niczym rzeka występująca z brzegów. Nie ma siły, by powstrzymać te kobiety: Vagvagi i panie Brown. Mężczyzna musi zachować zimną krew albo sam utonie w potokach ich namiętności. Ale doprowadzić je do tej temperatury topnienia — w tym cała sztuka, mówi Witalij. Angielki czują pociąg do czarujących mężczyzn czynu, którzy mają dość odwagi, by podejmować ryzykowne wyprawy, wchodzić przez okna do sypialni z pudełkiem czekoladek i tak dalej. Takie zachowanie sprawia, że zlodowaciałe serce Angielki topnieje. Czy truskawki będą OK jako substytut czekoladek? Andrij jest gotów na wszystkie akty tego dramatu. Jest gotów na wszystko. Czuje pulsowanie krwi w żyłach i chce żyć — żyć słodko, żyć intensywnie.

Bądź mężczyzną, powiedział jego ojciec. ,

\*\* \*

Jedną z najbardziej irytujących cech mojej Mamy jest jej sposób klasyfikowania ludzi wedle ich poziomu kultury. Tak jakby miała w głowie idealnie określoną hierarchię kultury.

— Bycie osobą kulturalną nic nie kosztuje, Irino — mawia — i całe szczęście, bo w przeciwnym razie na Ukrainie nauczyciele byłiby najmniej kulturalnymi ludźmi.

Najgorsze jest to, że chyba przejęłam od niej ten zwyczaj, choć wiem, że nie należy oceniać ludzi po pozorach, ale czasem nic nie da się na to pora-

dzić. Weźmy na przykład nas, zbieraczy truskawek.

Chinki, chociaż są Chinkami, bez wątpienia są osobami kulturalnymi. Jedna studiuje medycynę, a druga księgowość. Nie pamiętam, która jest która, lecz ta od medycyny jest bardziej kulturalna od księgowej. Chinka z Chin ma włosy obcięte jak chłopak i jest całkiem ładna, ale ma za chude nogi. Chinka z Malezji też jest ładna, ale zrobiła sobie trwałą, co na takich włosach wygląda idiotycznie. A może jest na odwrót. Są wobec mnie przyjacielskie, ale stale ze sobą rozmawiają i chichoczą, co jest irytujące, jeśli się nie wie, dlaczego tak chichoczą. Ich angielski jest okropny.

Następnie mamy Tomasza, Martę i Emanuela. Tomasz jest typem nudnego urzędnika, ale wziął w pracy urlop, bo jak mówi, może więcej zarobić na zbieraniu truskawek — idiotyczne, prawda? Twierdzi, że jest poetą, co oczywiście jest niezwykle kulturalne, choć nie ma na to zbyt wielu dowodów, chyba że weźmie się pod uwagę te smętne piosenki, które śpiewa, kiedy w pobliżu kręci się Jola. Poza tym Tomasz jest już dość wiekowy, ma ze czterdzieści lat, żalną małą bródkę, a włosy sięgają mu niemal do ramion jak hipisowi. Koszmar! Na dodatek wokół niego zawsze unosi się straszny zapach.

Marta jest wykształcona i nawet mówi trochę po francusku, ale to jej katolickie wychowanie niesie ze sobą mnóstwo zasad i tajemnic, a całkiem brak mu praktycznych treści — jest zupełnie jak Ukraińcy z zachodu. Zresztą Mama mówi, że katolicy są mniej kulturalni od prawosławnych. Marta jest miła i przyjacielska, ale ma duży nos. Pewnie dlatego w wieku trzydziestu lat jest niezamężna.

Emanuel jest kochany, ma niecałe osiemnaście lat i również jest katolikiem, chociaż robi wrażenie całkiem inteligentnego. Nosi okropną zieloną

kurtkę, nawet kiedy nie pada. Oczywiście jest czarny, ale wcale nie jest przez to mało kulturalny, bo jak każdej kulturalnej osobie wiadomo, czarni potrafią być równie kulturalni jak wszyscy inni. Emanuel, zbierając truskawki na polu, często śpiewa. Ma piękny głos, ale śpiewa wyłącznie pieśni religijne. Byłoby miło, gdyby **czasem zaśpiewał** coś bardziej zabawnego.

Witalij jest tajemniczy. Nigdy nie odpowiada wprost. Czasem znika, nikt nie wie gdzie. Niewątpliwie jest inteligentny, bo mówi dobrze po angielsku i zna kilka innych języków, ale jego sposób bycia jest dość grubiański i nosi złoty łańcuch ze srebrnym scyzorykiem, który dynda mu na szyi. Ma ciemne lśniące oczy, słodkie wywinięte rzęsy i czarne kręcone włosy. W gruncie rzeczy Witalij jest całkiem przystojny, w taki szpanerski pokreślony sposób. Dałabym mu siedem na dziesięć. Ale nie jest w moim typie. Może jest Cyganem.

Niemal na dnie hierarchii znajduje się Ciocia Jola (w zasadzie Jola jest ciocią jedynie dla Marty, ale wszyscy nazywamy ją Ciocią Jolą). Jest wulgarna, ma przerwę między przednimi zębami i wyraźnie farbowane włosy. (Moja Mama też farbuje włosy, ale nie jest to aż tak widoczne). Twierdzi, że kiedyś była nauczycielką w szkole dla pielęgniarek, co przecież wcale nie oznacza bycia nauczycielem w pełnym znaczeniu tego słowa, twierdzi również, że jest kontrolerem, i zadziera nosa, co jest całkowicie nieuzasadnione i skrajnie irytujące. Na każdy temat wygłasza własną opinię, której z reguły w ogóle nie warto słuchać.

Na samym dnie jest Andrij, syn górnika z Donbasu. Niestety, górnicy są z reguły prymitywni i choćby bardzo się starali, nie potrafią być kulturalni. Kiedy Andrij pracuje na polu, czuję zapach jego potu. Jeśli jest mu za gorąco, zdejmuje koszulę, a wtedy widać jego mięśnie. OK, może nawet te

jego mięśnie są dość napięte. Ale Andrij zdecydowanie nie jest w moim typie.

Jeśli chodzi o mnie, to mam dziewiętnaście lat, cała reszta to coś, co dopiero się stanie. Będę biegła w angielskim. Mam nadzieję. Romantycznie zakochana. Panie Brown, czy jest pan gotów? Będę światowej sławy pisarką — podobnie jak mój Tato. Zaczęłam już nawet myśleć o książce, którą napiszę, kiedy wrócę do domu. Ale trzeba mieć coś interesującego do opisanego, prawda? Coś bardziej interesującego niż grupka zbieraczy truskawek, mieszkających w dwu przyczepach.

\*\* \*

Oczy Joli zamieniają się w dwie wąskie szparki, kiedy obserwuje, jak Ukrainka przechadza się wśród rzędów truskawek, zupełnie jakby miała mnóstwo czasu, by napełnić te łubianki owocami. Na truskawkowym polu liczy się kryterium oceny. Kilka razy dziennie farmer przelicza tace z łubiankami, sprawdza je, umieszcza na paletach w baraku i zapisuje, kto ile zarobił. Z reguły kobiety zarabiają mniej. Mężczyźni zarabiają więcej. Kontroler zarabia oczywiście najwięcej.

Jola jest dostawcą siły roboczej, szefową ekipy i kontrolerem. Jako była nauczycielka ma autorytet i jest kobietą czynu. Jej zdaniem utrzymanie miłej, podszytej seksem harmonii w grupie zbieraczy jest kluczem do sukcesu i dlatego zachęca mężczyzn, by w słońcu zdejmowali koszule.

Nie życzy sobie żadnych biadoleń ani niemiłych komentarzy za swoimi plecami, zwłaszcza od tych Ukraińców, teraz jest ich już dwoje. Nie żeby miała coś przeciw Ukraińcom, ale jej zdaniem cywilizacja Ukrainy osiągnęła swój najwyższy poziom pod krótkotrwałym polskim panowaniem,

choć najwyraźniej efekt cywilizacyjny nie utrzymał się długo i był powierzchowny. Uczciwie mówiąc, ten Ukrainiec, Andrij, zachowuje się dość szarmancko i jest dość niezłym zbieraczem, a przy tym jest całkiem przyzwoity, ale oczywiście dla niej jest dużo za młody, a ona nie jest typem kobiety uwodzącej o połowę młodszych chłopców, chociaż zna takie w Zdroju, jeszcze kiedyś o nich opowie.

Tak, gdyby tylko miała więcej takich dobrych zbieraczy jak on. Nikt nie rozumie, na czym polega jej problem, bo jej płaca nie jest uzależniona wyłącznie od jej wysiłku, ale również od wyników tej nienadającej się do niczego ekipy, którą nadzoruje na polu. Mówi im — ale czy oni w ogóle słuchają — żeby zbierali truskawki jak należy. Niedojrzałe — farmer je odrzuci. Zbyt dojrzałe, to sklepy będą składać reklamacje. I trzeba się z owocami umiejętnie obchodzić. Pozwolić truskawkom łagodnie opaść do łubianki, a nie wrzucać ich byle jak. Stale to powtarza, a oni i tak dalej robią swoje. Naprawdę, jest już za stara na takie zabawy.

To jej drugie lato w charakterze kontrolera, siódme lato w Anglii i czterdzieste siódme lato jej życia. Jola zaczyna myśleć, że ma już chyba tego dość. Przez te siedem lat zebrała niemal pięćdziesiąt ton truskawek dla Knedla, a dochód z pracy plus to, co dostała ekstra za dodatkowe usługi o prywatnym charakterze, pozwoliły jej na kupno ładnego trzypokojowego domku na przedmieściach Zdroju wraz z półhektarowym ogrodem, opadającym w stronę rzeki Prosny, gdzie jej syn Mirek może ku swej wielkiej radości hasać do woli. W portmonetce ma zdjęcie Mirka siedzącego w ogrodzie na huśtawce zawieszanej na gałęzi wiśni w pełni rozkwitu. Ach, te małe roześmiane oczy! Kiedy się urodził, musiała dokonać trudnego wyboru — porzucić pracę albo oddać go do zakładu. Cóż, widziała te zakłady, bardzo dziękuję. A potem ktoś w szkole powiedział, że zatrudniają zbiera-

czy truskawek do Anglii, a jej siostra zaproponowała, że zaopiekuje się Mirkiem przez lato, więc skorzystała z okazji. Każda kobieta czynu, mając ograniczone możliwości wyboru, zrobiłaby tak samo.

Jesienią zainwestowała część swoich truskawkowych pieniędzy w dwie kozy i w tym roku po ogrodzie biega już dwójka białych kozłat, meczą, skaczą na siebie, skubią dalie i w ogóle robią wiele zamętu. Myślała o tych kozłętach ostatniej nocy, kiedy leżała na sianie, w tylnej części land- -rovera Knedla, wpatrując się w rozhuśtany dach, podczas gdy nachylony nad nią Knedel męczył się i sapał. Uśmiechnęła się wtedy do siebie i wydała kilka czarujących meczących pomruków, które Knedel wziął za okrzyki rozkoszy.

Zwykle Jola przywozi ekipę zbieraczy rekrutowanych przez nią na miejscu w Zdroju, bo tam, odkąd zamknięto zakłady kapelusznicze, zawsze znajdują się ludzie desperacko potrzebujący pieniędzy, ale tego roku nikt nie chciał przyjechać, bo teraz Polska jest częścią Unii Europejskiej, więc dlaczego mieliby pracować za takie marne grosze, skoro mogą zarobić więcej i na dodatek legalnie. Trzech znajomych Joli, którzy mieli przyjechać, zostawiło ją na lodzie w ostatniej chwili, więc przywiozła ze sobą do Anglii tylko Martę i Tomasza. Knedel musiał znaleźć dodatkową siłę roboczą, korzystając z dość podejrzanych agentów, i nawet napomknął Joli, że może nie odnowi jej kontraktu. Niech tylko spróbuje — zobaczymy, co na to powie jego żona.

Bycie kontrolerem nie jest wcale tak łatwe, jak się wydaje. Trzeba radzić sobie z różnymi typami osobowości. Na przykład taki Tomasz kręci się wokół niej, robiąc maślane oczy, cóż, samo w sobie nie jest to zadziwiające, bo generalnie Jola jest uważana za atrakcyjną kobietę, ale koniec końców przecież Tomasz przyjechał tu zbierać truskawki, a nie w celu wykonywa-



nia jakichś innych czynności bardziej zmysłowej natury, bo przecież w Polsce, Bogu dzięki, jest do tego mnóstwo okazji.

Albo weźmy Martę, jej siostrzenicę — otaczająca ją religijna aura każdego może odstręczyć od wszelkiej świętości.

„Dobrze się czujesz, ciociu?”, spytała, kiedy po raz pierwszy zobaczyła, jak Jola leży na ziemi z szeroko rozłożonymi zgrabnymi nogami i zamkniętymi oczami, oddycha głęboko.

„Pozwalam, by słońce weszło do mojego ciała i ogrzało mnie niczym dobry mąż. Połóż się koło mnie i spróbuj, Marto”.

„A dlaczego miałabym mieć słońce za męża? — spytała podejrzliwie Marta. — Pozwolę, by duch Pana ogrzał mnie od środka”.

Prawdopodobnie ta nadmierna pobożność nie jest jej winą. Mogła się tego nauczyć tylko od swojej matki, siostry Joli, która jest co prawda bardzo miła, jeśli chodzi o opiekę nad Mirkiem, ale za to potrafi być skrajnie irytująca. No bo przecież to, że ktoś chodzi do kościoła i prosi o przebaczenie swoich grzechów, to jedno, ale wtykanie nosa w nie swoje sprawy i wypominanie bliźnim ich grzechów to już całkiem inna rzecz.

A skoro już mowa o nosach, to, że Marta ma duży nos, też oczywiście nie jest jej winą, ale może właśnie dlatego jest tak mało krytyczna wobec mężczyzn, bo wygląda na to, że przyciągają ją najmniej odpowiedni faceci i na dodatek jawnogrzesznicy, tacy na przykład jak Witalij. Tak, Jola zauważyła, że Marta wodzi za nim oczami, kiedy pracują na polu, i nie chce, by biedna dziewczyna została wykorzystana. Zna ten typ mężczyzn. Kiedyś była żoną takiego.

A jeśli chodzi o tę nową dziewczynę, Irinę, jest o wiele za swawolna i przystępna, z tym swoim uśmiechem z dołeczką. Jola już zauważyła, że Knedel zawiesił na niej wzrok dłużej, niż to było konieczne. Zbiera zbyt



białe truskawki i prycha, kiedy Jola próbuje nauczyć ją właściwej techniki obchodzenia się z nimi, która polega na tym, że musisz chwycić je palcami od dołu, nigdy więcej niż dwie naraz, jak męskie jądra. Nie ściskaj ich, Irino!

OK, przyznaję, nie byłam najszybszym zbieraczem truskawek, ale ta apodyktyczna polska ciocia nie musiała mi tego wypominać w taki wulgarny sposób.

To był mój czwarty dzień i wciąż nie mogłam uwierzyć, że za każdym razem, kiedy zniżałam się do poziomu truskawek, tak bardzo bolały mnie plecy i kolana. Kiedy wstałam i się wyprostowałam, chrzęstnęło i strzeliło mi w kościach, zupełnie jakbym była starą babcią.

Ukrainiec dosypywał do mojej łubianki owoce za każdym razem, gdy rzędy męski i żeński się zrównywały, ale wolałabym, żeby tak się we mnie nie wpatrywał. Raz, kiedy usiadłam, by odpocząć, podszedł, usiadł obok i wsunął mi do ust truskawkę. Cóż, nie mogłam jej przecież wypluć, prawda? Ale lepiej, żeby wybił sobie z głowy takie pomysły, bo nie przyjechałam tu, by przez cały czas odpierać zaloty górnika z Donbasu.

Dość już miałam zalotników w szkole. W większości byli prymitywami, chcieli tylko obmacywać — co nie jest zbyt romantyczne — i nie mieli najmniejszego pojęcia o czułych słówkach i szarmanckich gestach. Moim zdaniem każdy powinien przeczytać *Wojnę i pokój*, która jest najbardziej romantyczną powieścią, jaką kiedykolwiek napisano, i zarazem najbardziej tragiczną. Kiedy Natasza i Pierre wreszcie się spotykają, czujesz w środku coś tak intensywnego, tak żarliwego. Na taką miłość czekam — nie na szybki numer w krzakach, co najwyraźniej najbardziej interesuje wszystkich chłopców.

„Miłość jest jak ogień — mawiała Mama. — Jest skarbem, a nie zabawką”. Biedna Mama, robi się coraz starsza i coraz bardziej konserwatywna. Wydeła swe umalowane wargi, kiedy minęłyśmy te dziewczyny na Chreszczatyku, ubrane w mini, a raczej w paski materiału pomiędzy pępkiem a majtkami, śmiejące się na cały głos, kiedy chłopcy oblali je piwem. Choć to bardziej romantyczne, gdy dziewczyna zachowa cnotę dla tego *jedyne*go, było jednak coś intrygującego w tym ich głośnym śmiechu. Co takiego wiedzą one, czego ja nie wiem? Może tu w Anglii, z dala od wścibskich oczu mamy będę mogła to odkryć. Kiedy obserwowałam napięte mięśnie ramion tego górnika, gdy podnosił palety z truskawkami, znów zaczęłam się nad tym zastanawiać. *Tylko zastanawiać, Mamo. Nic więcej.*

\* \* \*

Kawałek dalej przy drodze prowadzącej do Sherbury Down jest zatoczka zasłonięta rzędem topoli — miejsce, w którym przez dziurę w żywopłocie można obserwować pole. Farmer, pan Leapish, zatrzymuje się w tym świetnym punkcie widokowym swoim land-roverem i z satysfakcją obserwuje sielską scenę. Widzi, że mężczyźni lubią ścigać się między sobą pośród rzędów truskawek, natomiast kobiety raczej troszczą się wzajemnie o siebie, nie chcą, by któraś została w tyle. Pan Leapish jest świadom tej różnicy i dlatego dał mężczyznom więcej rzędów do zbierania, kobietom zaś wyznaczył zadanie przejścia raz jeszcze przez te rzędy, w których zbierali mężczyźni. Oczywiście kobiety mniej zarabiają, ale tam, skąd przyjechały, to normalne, więc nie narzekają. Wystarczy tylko znać się trochę na ludzkiej naturze, by zwiększyć wydajność i zyski.

Dziś jest sobota, dzień wypłaty, zatem będzie musiał nieco wybulić na ich wynagrodzenia, dlatego jest wyjątkowo skoncentrowany na arytmetyce.

Osiem łubianek na tacę, pół kilograma na łubiankę, średnio osiemdziesiąt kilo na jednego pracownika dziennie, sześć dni w tygodniu przez jeden sezon, który trwa dwanaście tygodni. Jego umysł pracuje na zwolnionych obrotach bez wysiłku w czasie wykonywanych w pamięci obliczeń. Kiedy zbiorą truskawki z tego pola, przeniosą się na następne, położone niżej w dolinie, a potem, kiedy krzaczki znów zaowocują, wrócą tutaj. Zbieracze dostają trzydzieści pensów za kilogram przed potrąceniami. A każdy kilogram sprzedaje się za dwa funty. Nieźle. Koniec końców to nie najgorszy mały biznes, choć Leapish nie zarabia tyle, ile ten nowy Tilley, który kawałek dalej ma hektary foliowych tuneli. Leapish mógłby zarobić więcej, gdyby sprzedawał dużym supermarketom, ale woli, żeby inspektorzy nie krążyli wokół przyczep i nie zadawali pytań na temat związków między działalnością prowadzoną przez Wendy a jego biznesem. Cały urok polega na tym, że połowę tego, co trzeba by wybulić na pensje, można odpisać na poczet kosztów utrzymania. A na dodatek ci frajerzy zarabiają dzięki niemu takie pieniądze, jakich nigdy nie zarobiliby u siebie w domu.

I dlatego tu siedzą.

Punktualnie o godzinie pierwszej podjedzie do bramy i zatrąbi klaksonem, a zbieracze truskawek uniosą uginające się pod ciężarem owoców tace z łubiankami i zaczną iść ku niemu przez pole. W ciepłe dni powinien właściwie częściej odbierać tace i przechowywać owoce w zimnym pomieszczeniu. Tak trzeba, jak się chce sprzedać kilogram za dwa i pół funta dużym supermarketom. Ale lokalne stacje benzynowe, które są jego odbiorcami, nie zadają żadnych pytań.

Może Ukrainiec będzie już czekał przy bramie, żeby mu otworzyć. Uprzejmy. Chętny do pracy. Wydajny. Gdyby tylko wszyscy tacy byli. Zdaje się, że ta nowa dziewczyna jak nic przyniesie straty, chyba że przy-

spieszy trochę, jak już złapie rytm. Atrakcyjna, ale niezbyt obiecująca — w jego wieku potrzebny mu ktoś, kto wie, co robić, by motor zapalił. Nie ma pojęcia, dlaczego Wulk ją tu przysłał — przecież prosił o mężczyznę. A teraz Wulk chce, żeby mu ją oddał. Może da jej pracę w innym dochodowym biznesie. Cóż, trzeba będzie zobaczyć, jakie ma wyniki. Jeśli okaże się bezużyteczna, to może rzeczywiście niech Wulk ją zabiera.

Po odprawie da im pół godziny na lunch, który przywiózł ze sobą. Jak zwykle składa się z chleba, margaryny i plasterków sera. Dziś jest wyjątkowo z siebie zadowolony, bo znalazł nowego dostawcę, który sprzedaje bochenek jasnego chleba w kromkach za dziewiętnaście pensów. Wcześniej Leapish płacił dwadzieścia cztery pensy za bochenek. Osiem bochenków dziennie — dwa na śniadanie, wtedy jedzą chleb z dżemem, dwa na lunch z plastrami sera i cztery na kolację z kielbaskami — przez wiele tygodni — to już daje jakąś sumę. Nowa dziewczyna jest drobna, pewnie nie je za dużo, więc Leapish uznał, że nie musi zwiększyć ilości prowiantu poza jednym dodatkowym bochenkiem chleba. Obliczył, że taki reżim zapewnia idealne odżywianie przy minimum kosztów, są tu węglowodany, białka, cukry i tłuszcze, wszystkie potrzebne im podstawowe składniki odżywcze, które dostarczają energii. Zapotrzebowanie na owoce i warzywa pokrywają truskawki, które i tak jedzą w ciągu dnia, więc mają zrównoważoną dietę. Niektórzy farmerzy pozwalają, by pracownicy sami kupowali sobie jedzenie i zabraniają im jeść truskawki, ale Leapish uważa, że jego system jest bardziej opłacalny. Zbieracze szybko mają dość truskawek. Tak, nawet po odliczeniu prowizji, które płaci Wulkowi na koszty utrzymania, on, Leapish wychodzi na swoje.

Każdy pracownik płaci czterdzieści dziewięć funtów tygodniowo za jedzenie, wliczając w to herbatę, mleko, cukier i tyle truskawek, ile zdoła

zjeść (gdzie indziej można żyć sobie jak panisko za mniej niż pięćdziesiąt funciaków tygodniowo?), oraz pięćdziesiąt funtów tygodniowo za wynajem miejsca do spania w przyczepie, co w tej części kraju w szczycie sezonu letniego jest bardzo umiarkowaną ceną. Może nawet zbyt umiarkowaną. Może powinien liczyć im po pięćdziesiąt pięć funtów. Przynajmniej w męskiej przyczepie. Trzeba przyznać, że damska przyczepa jest dość mała. Ale w sercu Leapisha zajmuje specjalne miejsce.

Patrzy na przyczepę usadowioną na szczycie wzgórza niczym tłusta biała kura i jego oczy zachodzą mgłą. Tą przyczepą pojechali z Wendy na swój miesiąc miodowy, ponad dwadzieścia lat temu — najnowszy model swift silhouette z mnóstwem schowków, wbudowanymi meblami i w pełni wyposażoną kuchnią z dwoma palnikami, miniaturowym zlewem z nierdzewnej stali i suszarką do naczyń z opuszczaną pokrywą, która mogła służyć jako blat, oraz funkcjonalną lodówką na gaz — ależ Wendy ją uwielbiała! Ten kemping nad klifem przy Beachy Head. Spaghetti bolo-nese. Butelka wina Piat d'Or. Nieźle musieli wymęczyć to składane podwójne łóżko.

Kiedy siedem lat temu weszli w truskawkowy biznes, Wendy wzięła na siebie przyczepy. Założyła oddzielną firmę, która miała zajmować się zakwaterowaniem, żywnością i transportem dla zbieraczy' truskawek — tak się obchodzi przepisy, które ograniczają wysokość potrażeń z pensji. Jego skromnym zdaniem to właśnie paraliżuje kraj — przepisy — tak jakby dochód był jakimś brzydkim słowem — już dwa razy pisał o tym do „Kent Gazzete”. Tak, to było coś więcej niż małżeństwo, prawdziwy układ partnerski. Oczywiście teraz wszystko wygląda inaczej. Szkoda, naprawdę, ale kobiety już takie są. Zazdrosne suki. Zresztą to nie jego wina. Każdy

mężczyzna zrobiłby tak samo. Nie ma co się nad tym rozklejać. Tak, to była odpowiednia wielkość na dwie osoby, w razie konieczności mogły się zmieścić nawet cztery. Pięć? Cóż, przecież zbieraczki radzą sobie nieźle, prawda? Ale męska przyczepa — to statyczny everglade w jasnozielonym kolorze, podobne można wynająć na wielu wietrznych kempingach usytuowanych na szczytach klifów wznoszących się nad kanałem La Manche — kiedyś był to prawdziwy luksus, z marszczonymi zasłonami z różowej satyny i siedzeniami obitymi aksamitem, teraz, trzeba przyznać, raczej brązowymi niż różowymi, wsparta na ceglach od czasu, gdy znikło jedno z kół. To pewnie ci strzygacze owiec z Nowej Zelandii, choć Bóg jeden wie, na co im było koło od przyczepy kempingowej. Tam są hektary wolnego miejsca. Dodatkowe pięć funtów od każdego — to by dało dwadzieścia tygodniowo. Nie musi o tym mówić Wulkowi. Co tydzień byłby o dwadzieścia funtów bliżej spełnienia swoich marzeń.

Tak, choć pan Leapish był człowiekiem praktycznym, on również miał swoje marzenia. Jego marzeniem było pokrycie tego truskawkowego, słodkiego, opadającego na południe i skąpanego w słońcu stoku foliowymi tunelami.

\* \* \*

O szóstej po południu na polu zaczęły kłaść się długie cienie. Kiedy przy bramie znów rozbrzmiał klakson land- -rovera, podniosłam tacę z łubiankami truskawek i zaniiosłam ją do baraku.

— Ile zebrałaś, Irino? — spytała Ciocia Jola, zaglądając do mojej tacy. OK, przyznaję, w ciągu całego dnia napełniłam tylko dwanaście tac. Marta napełniła dziewiętnaście. Jola i Chinki napełniły po dwadzieścia pięć tac — powinniście zobaczyć, jak one zbierająte owoce. Ale są przecież ode mnie mniejsze i nie muszą aż tak bardzo się schylać. Mężczyźni napełnili tego



popołudnia po piętnaście tac i kolejne tyle przed południem. Na każdej tacy mieści się około czterech kilogramów truskawek. Wiedziałam, że farmer nie jest ze mnie zadowolony. Jego czerwona obrzmiała twarz przypominała truskawkę. A może raczej, jak powiedziała Jola, jądro. W każdym razie zachowałam kamienną twarz, kiedy farmer powiedział, że tego dnia zarobiłam czternaście funtów. Po potrąceniu na wydatki wychodziło dziesięć funtów, więc miałam się w przyszłości bardziej postarać. Mówił wolno i bardzo wyraźnie, jakbym była głucha bądź głupia, i machał przy tym dłonią.

— NIEDOBRZE. DO CHOLERY NIEDOBRZE. MUSISZ ZBIERAĆ SZYBCIEJ. WSZYSTKIE NAPEŁNIĆ. DO PEŁNA. DO PEŁNA. — Rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć te swoje żalosalne łubianki. — ROZUMIESZ?

Nie, niczego nie rozumiałam — te krzyki wytrącały mnie z równowagi.

— INACZEJ WYLĄDUJESZ NA ULICY.

— Na ulicy?

— NA ULICY. NA CHOLERNEJ ULICY ŁAPIESZ?

— Złapię cholere na ulicy?

— NIE, TY GŁUPIA KROWO, TY ZNAJDZIESZ SIĘ NA ULICY!

— Złapię głupią krowę na ulicy?

— OCH! SKOŃCZMY Z TYM!

Rzucił moją tacę na paletę i odprawił mnie, wymachując obiema rękami w sposób, który określiłabym jako całkiem niecywilizowany. Czulałam, że kręca mi się łyzy w oczach, ale oczywiście nie chciałam, żeby on to zobaczył. Ani Jola, która stała za mną w kolejce z pełną tacą i triumfującym szczerbatym uśmiechem na twarzy. A za nią stał Andrij i gapił się na mnie z idiotyczną miną. Do diabła z nim. Nonszalancko ruszyłam niespiesznie w stronę damskiej przyczepy i usiadłam na stopniu. Do diabła z nimi



wszystkimi.

Po chwili usłyszałam, jak land-rover farmera przejeżdża przez bramę i oddala się drogą. Na wzgórzu zapanował przyjemny spokój. Nawet ptaki zrobiły sobie chwilę przerwy. Powietrze było ciepłe i słodkie od zapachu kapryfolium. Pomyślałam, że wieczór taki jak ten jest darem, który trzeba docenić, i nie zamierzałam komukolwiek pozwolić mi go zepsuć. Niebo było jasne i mleczne, poprzecinane lśniącymi serpentynami srebrzystych chmur na zachodzie — prawdziwie angielskie niebo.

Witalij i Andrij odpoczywali na tylnym siedzeniu samochodu Witalija, popijając piwo z puszki — zdaje się, że reszta samochodu rozpada się w jakimś żywopłocie gdzieś na obwodnicy Canterbury. Typowe dla Witalija. Tomasz przepadł na sąsiednim polu, gdzie sprawdza swoje pułapki na króliki. Emanuel siedział na skrzynce przed męską przyczepą, obok stała miska truskawek, a on pisał list. Chinki leżały na łóżku Marty i czytały sobie horoskopy. Marta zapaliła już gaz pod garnkiem z kiełbaskami i nasz mały domek kempingowy wypełnił się zapachem, który był zarazem apetyczny i odstręczający. Jola brała prysznic. Na chwilę wyciągnęłam się na jej łóżku. Czułam się bardzo zmęczona, bolał mnie każdy mięsień. Chciałam tylko trochę odpocząć przed obiadem.

\* \* \*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ BIEGNĘ ZABIJAM KRÓLIKA ZJADAM CAŁEGO ZLIZUJĘ KREW DOBRA KREW MÓJ BRZUCH JEST PEŁEN DOBRY BRZUCH TO PEŁNY BRZUCH ZNAJDUJĘ RZEKĘ PIJĘ DOBRĄ WODĘ PIJĘ SŁOŃCE PADA NA MNIE CIEPŁE ODPOCZYWAM KŁADĘ ŁEB NA ŁAPACH W SŁOŃCU ŚPIĘ ŚNIĘ ŚNIĘ O ZABIJANIU JESTEM PSEM**

Marta uważa, że codzienne pożywienie jest darem od Boga i należy je przygotowywać z szacunkiem, a wspólne spożywanie posiłku traktuje jak sakrament. Dlatego zawsze bardzo się stara, by przyszykować miły wieczorny posiłek dla zbieraczy truskawek, ale dziś są osiemnaste urodziny Emanuela, więc nie szczędziła wysiłków, by ugotować coś specjalnego z niezbyt wyrafinowanych składników, których dostarcza farmer.

Kiełbaski w rondlu już się zaróżowiły, a szarawy żelatynowy sos zaczął z nich wyciekać i wsiąkać w chleb, który Marta pokroiła w paski i wrzuciła do garnka z kiełbaskami razem z kilkoma ziemniakami, które Witalij wykopał przy drodze. Z boku czekają zebrane w lesie borowiki i kilka zielonych listków dzikiego czosnku; Marta połączy je z sosem w ostatniej chwili. Z reszty chleba, fioletochoróżowych kwiatów tymianku i dwu jaj gołębic, które Tomasz znalazł w lesie, zrobiła knedle. Marta przyrządza wszystkie kiełbaski, zarówno te przypadające na kobiety, jak i te dla mężczyzn. Dlaczego? Bo Polki są dobrze wychowanymi kobietami, oto dlaczego.

Ciocia Jola bierze prysznic, szykuje się na kolejną grzeszną miłosną noc z farmerem. Woda w beczce musiała nagrzać się od słońca, bo Ciocia Jola szoruje się pachnącym mydełkiem i nuci, fałszując, jakąś pozbawioną słów piosenkę. Ciocia Jola nie ma dobrego głosu.

A potem ktoś puka w ścianę przyczepy i mówi po polsku:

— Drogie panie, mam dla was drobny podarunek, który może uszlachetnić naszą kolację. — To Tomasz ze skrwawionym królikiem w rękach. — Może droga Jola zechce przyjąć ten skromny dar w dowód moich uczuć.

— Zostaw to na schodkach, Tomku! — krzyczy Ciocia Jola spod prysznic. — Za sekundę będę gotowa.

— Może chciałabyś, żebym go oprawił? — Tomasz spogląda z nadzieją w stronę prysznicza. W foliowej zasłonce jest kilka dziur, ale ich rozmieszczenie nie jest zbyt fortunne.

— W porządku. Możesz go zostawić. Wiem, jak to się robi — odpowiada Marta.

Z westchnieniem bierze od niego martwego królika i głaszcze puszyste futerko. Biedne małe stworzenie. Ale do głowy przyszedł już jej wspaniały przepis, dzięki któremu królik na zawsze pożegna się z tym światem. Tomasz wciąż kręci się pod drzwiami i za chwilę spotyka go nagroda w postaci widoku Joli wyłaniającej się spod prysznicza w samym tylko ręczniku.

— Tomku, odejdz — mówi do niego szorstko. — Dlaczego wciąż się tu kręcisz jak smród po gaciach? Powiemy ci, kiedy obiad będzie gotowy.

Tomasz znika gdzieś na polu.

Zdaniem Marty, z takim przyzwoitym, poważnym chłopem jak Tomasz, nawet przy jego dziwactwach, cioci byłoby lepiej niż z tymi jej byłymi i przyszłymi mężami, którymi się interesuje. Ale Ciocia Jola ma własne zdanie na temat mężczyzn, podobnie zresztą jak na każdy inny temat.

Marta bierze królika i ostrym nożem sprawnie przecina futerko na brzuchu stworzenia. Ściąga skórę i kraje mięso na małe kawałeczki, które potem dusi w garnku na tłuszczu z kiełbasek z kilkoma listkami dzikiego czosnku i tymianku. Po polu rozchodzi się apetyczny aromat. W ostatniej chwili Marta wrzuca usmażone kiełbaski, borowiki i ziemniaki i dodaje puszkę piwa od Witalija, żeby powstał pyszny sos. Smakuje odrobinę i jak przystało na dobrą Polkę, z prawdziwą satysfakcją przymyka oczy.

Andrij i Emanuel rozpalili ognisko na porośniętym trawą szczycie wzgórza. W zagajniku nie brak drzewa i małych gałązek na podpałkę, ale i tak wygląda na to, że nieźle się zasapali, nadmuchali i namachali. Gdy

wreszcie ogień porządnie buchnął i nad wzgórzem uniósł się dym, rozmieścili dookoła skrzynki, grube kłody drewna, a także stare siedzenie samochodowe. Chinki przyniosły talerze i sztuce (jest tylko sześć nakryć, więc niektórzy będą musieli z kimś się podzielić albo improwizować). Emanuel zebrał całą wielką misę truskawek, a Marta zalała je zimną herbatą z cukrem i liśćmi dzikiej mięty. Uświadamia sobie, że musi w coraz większym stopniu modyfikować smak truskawek, żeby uczynić je bardziej jadalnymi dla zbieraczy. Truskawki w zalewie ułoży w misie wraz z kromkami chleba, a wszystko to razem stanie się urodzinowym puddingiem zamiast tortu dla Emanuela, którego Marta darzy szczególną sympatią. Nie ma świeczek, ale później zapalą się gwiazdy.

Emanuel przygląda się, jak Tomasz stroi gitarę. Potem Tomasz daje mu gitarę do ręki i pokazuje kilka podstawowych akordów. Witalij wyciąga swój zapas piwa i kasetkę na pieniądze. Ciocia Jola włożyła czyste majtki z jasnofioletową kokardką, które suszyły się wcześniej na sznurze, krótką frywolną spódniczkę i bluzkę z dużym dekoltem. Na pewno to wszystko na użytek jej kochanka. Marta nie ma pojęcia, co takiego jej ciocia widzi w tym farmerze. Nazywa go Knedlem. Ale on przypomina raczej pudding, który Anglicy przyrządzają tradycyjnie z dodatkiem łożu. Jeśli już kobieta zamierza uprawiać seks pozamałżeński, to równie dobrze może to zrobić z przystojnym mężczyzną. Ale Bóg na pewno jej wybaczy. Pod tym względem jest bardzo dobry.

A potem Chinka Numer Jeden wali w rondel, jakby to był gong, i wszyscy zajmują miejsca wokół ogniska w oczekiwaniu na ucztę Marty.

W dolinie, ponad wierzchołkami drzew unosi się letnia rozedrgana mgła i gromadzą się cienie. Ostre i czyste dotąd jak kryształ światło staje się bardziej łagodne i stłumione, jakby przeświecało przez warstwy jedwabiu.

Srebrzyste serpentyny chmur nabrały różowego koloru, ale niebo wciąż jest jasne i minie jeszcze godzina lub więcej, nim słońce dotknie czubków drzew. W zagajniku na gałęzi jesionu siedzi drozd i śpiewa co sił, a w drugim końcu zagajnika wtóruje mu jego partnerka. Są to jedyne dźwięki, poza szczekaniem jakiegoś psa hen daleko w lesie, które zakłócają idealną ciszę.

Wieczór taki jak ten jest darem Boga, myśli Marta, modląc się i szykując do świętowania.

Brakuje tylko Iriny. Andrij idzie jej poszukać. Znajduje ją w przyczepie. Irina śpi zwinięta w kłębek, opiera twarz na złożonych dłoniach, a na jej policzkach wykwitły dwie kolorowe plamy podobne do płatków róży. Ma lekko rozchylone usta. Pomarańczowa wstążka rozwiązała się i na poduszkę spływają pasma jej ciemnych włosów. Andrij przez chwilę się w nią wpatruje. Naprawdę, jak na Ukrainkę Irina ma kilka całkiem pozytywnych cech.

— Obudź się. Kolacja jest gotowa.

Omiał nie powiedział: Obudź się, kochanie. Ale właściwie dlaczego miałby mówić coś takiego? Na szczęście słowa utknęły mu w gardle, zanim ku swojemu zażenowaniu zdołał je wypowiedzieć. Irina ziewa, przeciąga się i przeciera oczy. Podnosi się z łóżka, wciąż jeszcze zaspana. Andrij podaje jej dłoń, pomagając zejść po schodkach przyczepy, a wtedy Irina na moment opiera się na nim całym ciężarem, by zaraz się odsunąć.

Zbieracze truskawek usiedli w kręgu i podają sobie z rąk do rąk parujące talerze z jedzeniem: knedle z chleba, królika i duszone kielbaski z podsmażonym chlebem, czosnkiem, grzybami i ziemniakami. Apetyczny zapach tych dań zaskakuje Andrija niczym cud: przechodzi go dreszcz, jest niesłychanie głodny. Marta odmawia modlitwę, po czym Witalij sprzedaje każdemu co najmniej po jednej puszce wyśmienitego piwa po specjalnej cenie. Na początku jedzą w milczeniu, przysłuchują się ptasim śpiewom i

podziwiają magiczną zmianę odcieni światła, towarzyszącą zachodowi słońca. Po jakimś czasie rozmowa wybucha mieszanką języków.

Andrij siedzi obok Iriny na długiej kłodzie i kątem oka obserwuje, jak Irina je, a właściwie wsuwa z zapalem z małymi przerwami na odgarnięcie opadających jej na twarz włosów.

Andrij nachyla się nad nią i szepcze jej do ucha:

— To co, masz jakiegoś chłopaka w domu, na Ukrainie?

Irina odwraca głowę i spogląda na niego srogo.

— Tak. Oczywiście. Ma dwa metry wzrostu i jest bokserem.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

— Jak ma na imię?

— Attyla.

Irina nie wygląda na dziewczynę boksera, ale kobiety są nieprzewidywalne, a Andrij słyszał, że czasem najbardziej wyrafinowane z nich mają skłonność do najbrutalniejszych mężczyzn. Więc może ma jednak u niej szansę?

Po jego lewej stronie Tomasz podejmuje identyczną próbę. Siada obok Joli na samochodowym fotelu Witalija i pyta ściszym głosem:

— Czy ktoś tam, w Polsce, czeka na ciebie, piękna Jolu?

— A co cię to obchodzi? — odpowiada szybko Jola.

— Bo jeśli tak, to szczęściarz z niego.

— Nie taki szczęściarz, jak ci się wydaje. Co ty w ogóle wiesz o szczęściu? — warczy Jola. — Jak nie wiesz, o czym mówisz, lepiej trzymaj język za zębami, panie poeto.

Po drugiej stronie ogniska Emanuel i Chinka Numer Dwa starają się wzajemnie od siebie dowiedzieć, skąd każde z nich pochodzi. Emanuel

odkrywa, że Chinka Numer Dwa wcale nie jest z Chin, co wydaje mu się dość dziwne, ona natomiast dowiaduje się jedynie, że Emanuel pochodzi z Afryki, co i tak wszyscy już wiedzieli. Potem Witalij wciska im następne puszki piwa, a Marta interweniuje, upominając go delikatnie, by nie wykorzystywał Emanuela, który jest na to za młody i ewidentnie wypił już wystarczająco dużo. Chinka Numer Dwa zaczyna w sposób niekontrolowany chichotać i wkrótce chichoczą wszyscy, nawet Marta.

Teraz Tomasz bierze do ręki gitarę i zaczyna śpiewać piosenkę własnej kompozycji, która ma fatalne rymy. Piosenka opowiada o mężczyźnie wyruszającym na poszukiwanie kobiety jego marzeń. Jola prosi Tomasza, by się zamknął. Andrij odwraca się do Iriny.

— Zaśpiewasz coś dla nas, Ukrainko?

Irina patrzy na niego srogo.

— Dlaczego nie poprosisz Emanuela? — Irina zanurza zęby w kawałku królika.

Hm... Wygląda na to, że z tą dziewczyną niewiele się wskóra.

\*\* \*

Kochana Siostró

Chciałbym abyś tu była albowiem w Kent truskawki są jeszcze słodsze od truskawek w Zomba.

Dziś z okazji moich osiemnastych urodzin urządziliśmy niezwykle przyjęcie. Razem z moim przyjacielem mzungu imieniem Andrij uczyniłem duże ognisko które rozpaliliśmy łopocząc i dymiąc i mieliśmy wyśmienitą ucztę którą przygotowała dla nas dobra Katoliczka Martyra chociaż ona jeszcze nie jest wstąpiona do nieba a po ucztowaniu usiedliśmy na zboczu wzgórza by oglądać urodziwy zachód słońca (choć nie tak urodziwy jak zachód słońca w Zomba) ze słońcem zachodzącym jak ognisty dysk i



pierwszą gwiazdę na fermanencie lśniącą jak diament na niebie i wzgórza niewzruszone w ich ciemnieniu. A gdy nasze serca stanęły otworem wszyscy zaczęliśmy śpiewać.

Polski mzungu imieniem Tomasz ma gitarę która jest wedle mnie niezwykle interesującym przedmiotem i zaśpiewał balladę o mężczyźnie z tamburynem i jego wielu pobrzdkujących uczniach. A potem obie Chinki zaśpiewały wysokim sopranem pieśń nieprzepartego piękna. Dziewczyna z Ukrainy też zaśpiewała słodko z chóralnym akompaniamentem Andrija który z przejęciem na nią spoglądał. A potem Katoliczka Martyra zaśpiewała pieśń błagalną z pomocą swej ciotki. I ja zaśpiewałem Och przyjdź Och przyjdź Emanuelu której nauczyła mnie siostra Teodozja. A na koniec wszyscy zaśpiewali Happy Birthday Dear Emanuel i jak się okazało to wyszło że ta niezwykła piosenka jest również dostępna nie tylko po angielsku ale też po ukraińsku polsku i chińsku! I tak zjednoczeni w pieśni cieszyliśmy się blaskiem wieczoru.

\*\* \*

Wypiłam dwie puszkę jasnego piwa, a do takiej ilości nie jestem przyzwyczajona. Kiedy ktoś nalewał alkohol, Mama zawsze rozpoczynała kazania: Irino, pijana kobieta jest jak zaatakowana pleśnią róża. W istocie nawet Marta wypła trochę za dużo. Teraz Marta myje naczynia. Jola miała jej pomóc, ale gdzieś znikła. Każda z Chinek wypła po dwa piwa i obie poszły do przyczepy — są bardzo wrażliwe na ugryzienia muszek. Emanuel wypła osiem piw i zasnął wyciągnięty przy żarzącym się ognisku. Tomasz wypła sześć piw, narzekając przy tym, że wolałby kieliszek dobrego gruzińskiego wina, i brzdąkał teraz kolejną pieśń żalobną o tym, jak bardzo zmieniają się czasy. Witalij zbierał puste puszkę i liczył, ile zarobił tego

wieczoru. Zauważyłam, że Andrij wypił przynajmniej sześć piw i gdy zepchnęłam jego dłoń z mojego kolana, odszedł chwiejnym krokiem w dół pola. Pijany górnik nie jest zbyt pociągający.

Kiedy zaszło słońce, zaczęło się robić chłodno. Po moich nagich ramionach i nogach przeszły dreszcze, więc poszłam do przyczepy po sweter i dzinsy. W środku zastałam Jolę. Czesła swoje farbowane włosy i malowała się tanią różową szminką, szykując się na spotkanie z tym tłusciochem farmerem. Co chwila podskakiwała, żeby wyrzeć przez okno, jak nadmiernie pobudzony pudel. Nagle zajazgotała:

— Patrzcie, dziewczyny. Mamy gościa.

Wskazała na okno. Zamiast land-rovera Leapisha na pole zajeżdżała wielka czarna gangsterska maszyna. Moje serce mocno zabiło. Zupełnie jakbym dostała cios pięścią w klatkę piersiową. Drzwi auta otworzyły się i z wnętrza wyłoniła się ubrana na czarno postać. Rozpoznałam go nawet z tak dużej odległości.

Wulk rozejrzał się wokół, a potem zaczął gramolić się niezdarnie w górę pola, depcząc po drodze truskawki. Skoczyłam do drzwi i popędziłam, nie oglądając się za siebie. Prześlizgnęłam się przez dziurę w żywopłocie do zagajnika. Moje serce waliło jak oszalałe. Z pochyloną głową wymykałam się chyłkiem wzdłuż żywopłotu, jak najdalej od przyczepy i jak najgłębiej w gęstwinę drzew. Przykucnęłam schowana za gęstą ścianą zieleni i zaczęłam nasłuchiwać. Słyszałam głosy, męskie i damskie, ale nie rozumiałam słów. Krew pulsowała mi w głowie tak mocno, że nawet nie słyszałam własnych myśli. To było jak zły sen, z którego budzi cię walenie twojego własnego serca. Bum, bum! Wbiłam paznokcie w dłonie, ale ból był jak najbardziej rzeczywisty.

Po chwili na pole wyszła Jola i zaczęła mnie wołać.

— Irina? Irina? Chodź. Ktoś przyjechał cię odwiedzić. Przystojny mężczyzna.

Ta kobieta jest beznadziejna. Skoro tak jej się podoba Wulk, to dlaczego sama z nim nie pójdzie? Zapewne jest akurat w jej typie. Siedziałam bez ruchu, wstrzymując oddech, aż wreszcie Jola poddała się i wróciła do przyczepy. Dopiero wtedy wypuściłam powietrze z płuc. Ale wciąż siedziałam nieruchomo. Na gałęzi kilka centymetrów od mojego nosa pająk pracował jak oszalały, tkając pajęczynę. Przyglądałam się, jak spada na niższą gałązkę, a później gramoli się z powrotem po jedwabnej drabinie, z tym swoim tłustym odwłokiem na małych pajęczych nóżkach. A potem zasiadł w samym środku sieci i czekał, aż ofiara naciągnie nici.

Po jakimś czasie usłyszałam głos Wulka. Stał przy żywopłocie. Zaczął wołać:

— Mały kwietku! Chodź, mały kwietku! Chodź!

Ten mulisty głos. Zrobiło mi się niedobrze. Ze swojej kryjówki nie mogłam go zobaczyć, ale wyobrażałam sobie, jak jego kucyk skacze z boku na bok.

— Chodź! Chodź!

Wciągnęłam głęboko powietrze i wstrzymałam oddech. Serce waliło mi tak głośno, że byłam pewna, iż Wulk je usłyszy, kiedy tak chodził w tę i z powrotem wzdłuż żywopłotu, stąpając ciężko po ziemi. Chrzęst, chrzęst.

Mały kwietku! Mały kwietku!

A potem w moje nozdrza uderzył ten okropny znajomy zapach. Wulk zapalił papierosa. Musiał stać na polu przy żywopłocie, paląc. Zaciąga się. Smrodzi. Nie widziałam go, ale po zapachu czułam, że jest blisko. Całe moje ciało było napięte, oddech przyspieszony i płytki, tak jak w koszmarze

sennym, kiedy próbujesz biec, ale twoje nogi są jak z waty. Nie wiedziałam, ile minęło czasu. Światło znikało na niebie. Po chwili znikł również zapach papierosowego dymu. Czy mogłam już wyjść? Miałam się już ruszyć, kiedy znów usłyszałam głosy. Wulk wrócił do przyczepy. Nastawiłam uszu. Nie rozumiałam, co powiedział, ale usłyszałam wulgarny śmiech Joli, a potem po trwającej całą wieczność chwili dźwięk, na który czekałam — odgłos zapalnego silnika gangsterskiej maszyny.

Trzask zamykanej bramy i oddalający się odgłos silnika, który wreszcie ustąpił miejsca ciszy.

Kiedy w końcu odważyłam się wyłonić z mojej kryjówki i wrócić do rozświetlonej przyczepy, było już ciemno.

— A, tutaj jesteś! — zawołała Marta. — Tak się martwiłam.

— Tu jesteś! — w głosie Joli pobrzmiwała nagana. Zmierzyła mnie wzrokiem i w wulgarny sposób puściła oko. — Masz sekretny kochanek. — Ku radości Chinek powiedziała to po angielsku. — Przystawia się do ciebie przystojny mężczyzna.

— Wcale nie taki przystojny — zmarszczyłam nos.

Chinki się roześmiały.

— Wystarczająco przystojny — powiedziała Jola. — Nie jakiś łysielec. Mnóstwo mocnych włosów.

— Za długie. Wyglądać jak kobieta włosy — powiedziała Chinka Numer Jeden — jak Thomkha — obie rozchichotały się jak szalone.

— Przywiózł kwiaty — zauważyła Jola.

— Kwiaty? Po co? — Na samą myśl o tym, że Wulk przywiózł mi kwiaty, zrobiło mi się niedobrze.

— Kwiat w ręka dla ciebie. Chi, chi. — Chinka Numer Dwa zasłoniła ręką usta, nie posiadając się z radości. — Luzowy kwiat. Luzowy. Kwiat

miłość. — Tak jakby kolor miał tu jakieś znaczenie. Wszyscy uważali, że to świetny żart.

— Nie chcę tych kwiatów — odparłam nonszalancko. Byłam wciąż upojona moją udaną ucieczką i ostatnią rzeczą, o której chciałam teraz pamiętać, była ta przerażająca podróż, zimne frytki, mdłości, strach. — Ten mężczyzna jest nie tylko stary, ale na dodatek brzydki, a jego kultura jest poniżej wszelkiego poziomu.

— Wszyscy jesteśmy stworzeni przez Boga — powiedziała Marta z wyrzutem. Przypuszczam, że z powodu jej dużego nosa nikt nigdy nie dał jej kwiatów. Jest bardzo miłą osobą, ale czasem myślę, że traktuje religię trochę nazbyt poważnie.

\*\* \*

Andrij wypił przynajmniej osiem puszek piwa, stoi teraz tyłem do pola i skupia się na przyjemnym uczuciu celowania ciepłą strugą sików w upartą pokrzywę, która rośnie wśród żywopłotu. Pokrzywa drży pod naporem strumienia, ale zaraz potem wraca do normy. Andrij bierze ją na cel i znów w nią wali. Pokrzywa ugina się, ale nie łamie. Jej ostre liście bezczelnie lśnią, gdy Andrij zasuwuje rozporek. Jeszcze tu wrócę i się z tobą rozprawię, obiecuje zawziętej małej roślince.

Po drodze do przyczepy, w zapadającym czarodziejskim zmierzchu, jego oczy rozjaśniają się na widok zjawiska niezwyklej urody. Jest pijany czy śni? Wspaniałe proporcje, zmysłowe kształty, piękne i tajemnicze, dzikie i zgrabne, niesamowicie bujne, a przy tym doskonałe. Wyciąga dłoń, jego palce drżą, tak bardzo pragnie dotknąć korpusu. Tak, jest prawdziwy. Głaszcze lśniąca czamo-srebrną maskę. Obchodzi ją wokół. Tak, jest doskonała z każdej strony.

A w środku? Sprawdza drzwi od strony pasażera. Nie są zamknięte.

Wsiada do środka, przeskakuje na siedzenie kierowcy, zanurza się w miękkim, ale solidnym skórzanym fotelu, przesiąkniętym zapachem tytoniu. Jaka klasa. Jaka moc. Głaszcząc obciągniętą skórą kierownicę. Przesuwa dłonią po desce rozdzielczej. Jaka ilość kontrolki. Wciska sprzęgło. Zmienia po kolei wszystkie biegi. Sprawdza hamulec i pedał gazu. Są solidne, ale chodzą gładko. Szuka kluczyka do stacyjki. Nie ma go. Sprawdza w schowku na rękawiczki. Maca ręką w środku. Coś tam jest — coś opasłego i zimnego. Na pewno nie są to kluczyki. Broń. Do czorta!

Andrij wyciąga pistolet, trzyma go w dłoniach, przekłada z ręki do ręki. Jego palce zaciskają się na nim. Zagrożenie jest namacalne. Wyjmuje magazynek — dlaczego jest w nim tylko pięć naboji? Co się stało z szóstym? Chowa pistolet do kieszeni spodni, nie mając pojęcia, dlaczego właściwie to robi. Czuje jego ciężar. Świadomość, że ma pistolet w zasięgu ręki, ale poza polem widzenia, jest miła. Wysiada z samochodu i cicho zamyka za sobą drzwiczki.

Po powrocie do ogniska odkrywa, że wszystkie panie już sobie poszły. Emanuel śpi. Witalij znikł. Tomasz wciąż śpiewa smutno dla samego siebie. Andrij postanawia przed pójściem spać raz jeszcze zająć się tą paskudną pokrzywą. Kiedy stoi w cieniu pomiędzy żywopłotem a męską przyczepą, zauważa właściciela czarnej terenówki, który schodzi w dół przez pole i siada za kierownicą. Pomimo panującego mroku Andrij widzi, że mężczyzna jest niezbyt pociągający. Co za marnotrawstwo. A mamy jeszcze tę drobną sprawę broni — po co mu pistolet?

Kolejne wydarzenia dzieją się tak szybko, w takim chaosie oślepiających świateł, ciemności i zbyt dużej ilości wypitego piwa, że później Andrij nie ma pewności, co się dokładnie stało.

Akurat w chwili gdy tylne światła terenówki giną w mroku, przez pa-

nującą w dolinie ciszę przedziera się dźwięk innego silnika. Z początku Andrij sądzi, że to ciężko pracujący silnik land-rovera, ale dźwięk jest bardziej donośny, głębszy, z podniecającym, jednostajnym dudnieniem w tle. Andrij rusza naprzód, z nadzieją, że zdoła rzucić okiem na samochód, gdy wóz przemknie obok bramy. Ale silnik milknie, najwyraźniej przy samej bramie, która otwiera się i do środka z rykiem wjeżdża czerwone ferrari z opuszczonym dachem i oślepiającymi reflektorami. Andrijowi zaczyna kręcić się w głowie. Dwa razy w ciągu jednej nocy. To musi być sen. A potem z ferrari wysiada blondynka.

Może jest trochę bardziej dojrzała, niż sądził, ale dezorientujące światło potrafi płatać różne figle. I jest wysoka, wyższa od niego, a blond włosy ma upięte w rozczochrane gniazdo na czubku głowy. Ma na sobie obcisłe białe spodnie, które przyciągają jaskrawe światło reflektorów, ukazując kształty, może nie aż tak kształtne, jak by sobie życzył Andrij, może bardziej w stylu sedana, a jednak ewidentnie jest to niebieskooka jasnowłosa *Anglika Roza*. Wysiada, nie zdając sobie sprawy z tego, że zza przyczepy зерka na nią Andrij, i zamaszystym krokiem rusza prosto na pole.

— Lawrence! — krzyczy z furią donośnym głosem. — Lawrence, gdzie jesteś? Chodź tu, ty łajdaku!

Słowa odbijają się echem w dolinie, odpowiada im cisza.

Pomimo początkowego rozczarowania Andrij uważa, że powinien skorzystać z okazji, choćby ze względu na ferrari. Ma za sobą cały wieczór pełen magii, w ciągu którego wydarzyły się już dwie cudowne rzeczy, więc tej nocy możliwe są wszystkie dziwy. Wychodzi z cienia, rozkładając ręce w uspokajającym geście.

— *Lady...*

Ona odwraca się zamaszysto w jego stronę.



— A ty kim jesteś? — warczy. Doprawdy, jej głos również odbiega od wyobrażeń Andrija.

— Proszę pani...

Nagle Andrij nie jest w stanie wykrztusić ani słowa po angielsku. W tej sytuacji robi krok naprzód i wykonuje coś, co zna z Ukrainy, coś typowego dla starszych mężczyzn, czego on sam jednak nigdy w życiu nie zrobił, w normalnych warunkach sama myśl o tym wprawiłaby go w zażenowanie, ale teraz wydaje się to jedynym właściwym zachowaniem. Ujmuje dłoń kobiety, unosi ku swoim wargom i całuje.

Efekt jest natychmiastowy. *Anglika Roza* obejmuje go i całuje dziko w usta. To miła niespodzianka. Wie, że w oczach kobiet jest dość atrakcyjny — cóż ma już na swoim koncie parę sukcesów — ale nigdy dotąd magia nie zadziałała tak od razu. *Anglika Roza* kładzie się na masce ferrari, wciąga Andrija na siebie i zaczyna go żarliwie całować. Jej wargi są ciepłe i mają smak whisky. Jej ciało, podobnie jak tapicerka terenówki, jest solidne, ale ustępuje pod naporem jego dotyku.

— Zrobisz to, moje maleństwo — szarpnięciem rozpina guziki jego koszuli.

Co tu się dzieje? Czy to typowy pokaz angielskiej namiętności? Andrij dopiero teraz widzi — przeżywając zarazem kolejne rozczarowanie — że ten sportowy samochód to wcale nie ferrari, lecz honda (co prawda jest to czerwony sportowy samochód). Usta *Anglikskiej Rozy* są natarczywe i dominujące w sposób, który przypomina mu... tak, jego pierwszy pocałunek. Vagvagę Riskegipd siedzącą na nim okrakiem na schodach ratusza w Sheffieldzie i wpychającą swój mały jakże stanowczy języczek w jego usta. Te *anglikskie* kobiety!

A potem Andrij słyszy warkot motoru innego auta wjeżdżającego na

pole, ale kiedy usiłuje się odwrócić, *Anglika Roza* gwałtownie i stanowczo przyciąga go do siebie i przyciska jego usta do swoich. Jej język pracuje niestrudzenie. Kolejną rzeczą, którą słyszy Andrij, jest głos Joli wrzeszczącej ze szczytu pola:

— Knedelku! Knedelku! Uważaj!

Walcząc z jasnowłosym uściskiem, Andrij odwraca głowę i widzi farmera przy land-roverze gapiącego się na jego plecy. Nie wygląda na zadowolonego. Andrij, przyszpilony uściskiem blondynki do maski sportowego samochodu, zaczyna zastanawiać się, czy mądrze postąpił, poddając się namiętności tej nieprzewidywalnej *Angliskiej Rozy*.

— Co, do diabła...? Ty suko! Ty cholerna suko!

Farmer rusza wielkimi krokami w ich stronę. *Anglika Roza* spogląda przez ramię Andrija i wolną ręką, tą która nie jest zajęta wymacywaniem jego rozporka, pokazuje farmerowi dwa palce. Andrij próbuje wykorzystać chwilę nieuwagi, by uciec, ale blondynka trzyma go mocno w objęciach, a teraz już wściekły farmer biegnie w ich stronę, rycząc, i rzuca się na plecy Andrija. Kruca fuks! Zupełnie nie tak miało być. Andrij tkwi w potrzasku pomiędzy nimi dwoma, jak kawałek mięsa w jakiejś szalonej kanapce. Ciężar ciała farmera pozbawia go oddechu. Kiedy farmer przypuszcza atak, szorstkimi dłońmi ściskając Andrija za gardło, blondynka wyślizguje się, wsiada do sportowego samochodu i uruchamia silnik. Samochód szarpie do przodu, a farmer zsuwa się z maski i z głuchym odgłosem pada na ziemię.

— Uważaj, mój Knedelku!

Andrij, który wciąż leży na masce, słyszy wrzask Joli dochodzący ze szczytu pola. Rozgląda się i widzi, że Jola w sandałkach na wysokim obcasie chwiejnym krokiem schodzi w dół, lawirując wśród krzewinek truskawek. Farmer, który właśnie podnosi się z ziemi, też ją dostrzega.

— Wracaj, Pierwiosnku! — Wymachuje rękoma, żeby Jola sobie poszła.

Samochód cofa się na wstecznym, zwiększa trochę obroty, a potem nagle rusza naprzód. Słychać okropny chrzęst. Farmer, skrecając się z bólu, pada na ziemię. Samochód znów się cofa i zwiększa obroty. Andrij wisi uczepiony jedną ręką wycieraczki, drugą dłonią wali w szybę.

— Stop! Stop!

— Mój Knedelku!

Słyszy krzyk Joli z tyłu, ale nie bardzo widzi, co się tam dzieje. Kiedy samochód znów rusza naprzód, Andrij turla się na bok i ląduje na farmerze, który zwija się z bólu, ma otwarte usta, jakby krzyczał, choć wydaje jedynie słabe bulgoczące dźwięki. Andrij niepewnie zsuwa się z niego i patrzy z przerażeniem. Najwyraźniej farmer ma pogruchotane kości. Samochód znów cofa się i zwiększa obroty.

— Mój biedny Knedelku! — Jola, potykając się, zbiega w dół i próbuje odciągnąć farmera na bok. Ale farmer jest za ciężki. Samochód rusza wprost na nich. Andrij staje na nogach i wspólnie z Jolą udaje im się usunąć skrecającego się z bólu farmera z drogi, choć przedni zderzak samochodu mijają go w odległości zaledwie kilku centymetrów. Auto nabrało teraz szybkości, a jasnowłosa *Angliska Roza* wygląda za kierownicą jak wariatka.

Trzask! Z potwornym łoskotem gniecionej metalu samochód wjeżdża w tył męskiej przyczepy, która zsuwa się z cegieł i ląduje pod dziwnym kątem.

*Angliska Roza* wysiada, żeby dokonać inspekcji uszkodzeń własnego auta. Następnie podchodzi do farmera, który wije się z bólu w świetle reflektorów, i kopie go.

— Ty plugawy łajdaku. Następnym razem czeka cię mogiła.

— Wendy — jęczy farmer — to nie było nic wielkiego. Głupie bara-bara i tyle.

Jola trzymała się dotąd z dala od blondynki, ale samokontrola najwy-

rażniej nie jest jej mocną stroną.

— Bara-bara! Co to jest bara-bara? Co? — wymierza farmerowi kopniaka stopą z pomalowanymi na różowo paznokciami. — Jestem Pierwioskiem, a nie bara-bara!

— Jola, proszę...! — Andrij stara się ją powstrzymać, ale Jola wyrywa się i rzuca na farmera.

— Puść go! — krzyczy blondynka. — Może to i ściera pełna moralnego brudu, ale to moja ściera, a nie twoja! — rzuca się na Jolę akurat w chwili, gdy ta, szykując się do wymierzenia kopniaka, traci równowagę, łapie ją w pasie i obala na ziemię. Obie ciężko dyszą i szarpią się za włosy.

— Oboje jesteście ścierami! — Jola zwija się i rzuca, ale blondynka jest od niej większa i silniejsza. — Puść mnie!

— Stop! Proszę! Uspokójcie się! — krzyczy Andrij, odciągając blondynkę. Trzyma ją teraz mocno w ramionach. — Drogie panie, proszę...

Jola, korzystając z okazji, zrywa się na równe nogi i szuka schronienia w męskiej przyczepie. Andrij bierze zaciśniętą w pięść dłoń blondynki i próbuje unieść ją ku swoim ustom, ale ona wyszarpuje mu ją, otwiera dłoń szeroko i z całej siły wali go w twarz.

W ciemnej przestrzeni przed jego oczami tańczą gwiazdy.

\*\* \*

Chinki gapią się przez okno i usiłują zrozumieć, co się dzieje na polu. Wśród oślepiających światła reflektorów i plam całkowitej ciemności trudno się połapać w tym, co tam zaszło. Widzą cofający się i ruszający samochód. Widzą Jolę rzucającą się na leżące na ziemi ciało. Słyszą odgłos kolizji, kiedy samochód wjeżdża na przyczepę. Widzą Irinę i Martę niedaleko przyczepy przyglądające się wydarzeniom u stóp wzgórza. W pewnej chwili, pośród tego całego chaosu, przez otwartą bramę wjeżdża terenówka

Wulka i ze zgaszonymi światłami brzegiem truskawkowego pola cicho podjeżdża pod damską przyczepę. Irina rozgląda się wokół i widzi Wulka wyłaniającego się z ciemności. Krzyczy i pędem rzuca się w stronę zagajnika, ale tym razem Wulk biegnie za nią i łapie ją. Chinki są świadkami uprowadzenia, ale nie są w stanie nic zrobić. Wulk wpycha opierającą się i krzyczącą Irinę do swojego auta i odjeżdża w ciemną noc.

TLR

## Bye-bye truskawki. Hello mobilfon

Krzyczałam i krzyczałam. Widziałam, że Chinki i Marta odwracają się i biegną w moją stronę. Widziałam ich przerażone twarze, białe w oślepiającym świetle reflektorów. Poczułam dłonie Wulka na moich plecach, jego ramię zaciskające się na mojej szyi, a potem zemdlałam.

Kiedy odzyskałam przytomność, trzęsłam się i kiwałam w aucie, które tłuło się jakąś ciemną drogą. Czułam znajomy okropny zapach tytoniu, śmierdzący ze skórzanego obicia, do którego przyciskałam policzek. Przerażenie i rozpacz ścisnęły mi żołądek. Jak mogłam na to pozwolić? *Ty duma Irino. Głupia. Ty bezmyślna idiotko. Chwila nieuwagi i proszę, co się stało. Równie dobrze mogłabyś już nie żyć. Tak by było lepiej. Lepiej umrzeć, niż... nie, nawet o tym nie myśl. Wymaż to z pamięci. Wymaż.*

Cała się trzęsłam. Moje dłonie i stopy były lodowato zimne. *Mamusiu, Tatusiu, proszę pomóżcie mi. Jestem waszą małą Iriną. Skarbem, a nie zabawką. Nie złościście się. Pomóżcie mi. Na pewno ktoś mi pomoże. Przecież to Anglia.*

Mały kwietek, OK? — Ten mulisty głos! Leżałam poskręcana na podłodze pod siedzeniem obok kierowcy, z dziwnie podkurczonymi nogami i twarzą wciśniętą w skórzaną obicie. Kilka centymetrów dalej leżał zszarżany bukiet kwiatów. — Mały kwietek myśli, że może uciec Wulkowi. Mały kwietek myśli, że jest sprytny. Ale Wulk wszędzie jest bardziej sprytny. Ja czekam. Wracam. Hop! Łapię. I teraz już jest okazja.

*Przestań. Pomyśl. Musi być jakiś sposób... Drzwi — może się otworzą. Samochód jedzie szybko. Poranisz się — może zginiesz. Lepiej umrzeć, niż... Nie. Przestań. Porozmawiaj z nim. Oszukaj go. Wymyśl coś, szybko. Mamusiu, Tatusiu, pomóżcie mi. Zrób jakiś plan. Drzwiczki się otwierają. Nie,*

*drzwiczki są zamknięte. Nie, drzwiczki się otwierają. Wypadasz, turlasz się. Jesteś potłuczona, ale żywa. Biegiesz. Ktoś ci pomoże. Przecież to Anglia. Biegiesz. On biegnie za tobą. Ma broń.*

Wulk popchnął w moją stronę zszargany bukiet kwiatów. Ich łodyżki wplątały mi się we włosy.

— Podoba się, kwietku?

Zamykam oczy i siedzę cicho. Słyszałam skrzypienie jego skórzanej kurtki, kiedy pochylił się nade mną. Czułam woń tytoniu i zepsutych zębów. Dotknął mojej twarzy. Czułam, jak przesuwają szorstkimi palcami wzdłuż mojego policzka i brody. Samochód szarpnął. Wciąż miałam zamknięte oczy. Jego palce błędziły po mojej szyi. Czułam ich natarczywy dotyk w zagłębieniu obojczyka.

— Ładne kwietki. Podoba się, kwietku?

*Myśl. Powiedz coś. Jesteś sprytna — użyj swojego rozumu. Właściwe słowa mogą ocalić ci życie. Powiedz coś.*

Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Poczułam skurcze w gardle. Zaczęłam gwałtownie wymiotować. Struga grudkowego płynu wytrysnęła mi z ust na siedzenie fotela.

Poczułam, że samochód zwalnia, gwałtownie skręca i wjeżdża na wyboisty teren. Najwyraźniej zjechał z drogi. Wulk nachylił się i otworzył drzwi po mojej stronie. Znajdowaliśmy się na jakiejś niewyraźnej drodze gruntowej, prowadzącej gdzieś w las. Wypchnął moją głowę na zewnątrz.

— Wymiotuj na ziemię.

Zwymiotowałam jeszcze raz i jeszcze raz z głową zwisającą w ciemnościach z boku samochodu. Wulk czekał.

*Teraz. Teraz jest właściwy moment, by uciec. Skacz. Biegnij. W las. Schowaj się w krzakach. Zniknij w cieniu drzew. Leż nieruchomo. Ukryj się.*



Moje oczy przywykły do ciemności. Moje ciało naprężyło się. A Wulk, jakby czytając w moich myślach, powiedział:

— Jak spróbujesz uciekać, to zastrzelę.

*Lepiej martwa, niż... Pustka. Śmierć. Pustka.*

Skoczyłam.

\*\*\*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ BIEGNĘ CZUJĘ ZIEMIĘ I LAS I WODEŃ DRZEWA KRZAKI JEŻYNY CZUJĘ LISA CZUJĘ KRÓLIKA KRZAKI ZBYT BLISKO ROZRYWAJĄ SKÓRĘ KRWAWIĘ BIEGNĘ OSTRY KAMIEŃ BÓL W ŁAPIE KREW ZLIZUJĘ KREW BÓL UCIEKAM DALEKO ZŁY PIES SZCZEKA W ODDALI MEŃCZYŻNA KRZYCZY CISZA JEST BLISKO NOCNY PTAK NAWOŁUJE NOCNY PTAK ODPOWIADA PTASIA MIŁOŚĆ PRZEMAWIA CISZA DRZEWA KRZAKI ŻYWOPŁOT DŁUGIE POLE SŁODKA TRAWA ŚWIATŁO KSIĘŻYCA BIEGNĘ BIEGNĘ JESTEM PSEM.**

\*\*\*

— Lepiej bierz nogi za pas — mówi Wendy. Wybiera jakiś numer na swoim *mobifonie*. W półmroku jej twarz jest poszarzała i wściekła. Andrij gapi się na nią, zastanawiając się, co go opętało.

— Nogi za pas?

— Bierz nogi za pas. Zanim przyjedzie policja.

— Ale ja...

— Staranowałeś go moim samochodem, prawda? Sprzeczka o wynagrodzenie.

— Ale...

Andrij ogląda się na farmera, lecz ten najwyraźniej stracił przytomność.

— Jak myślisz, komu uwierzy policja? Masz — rzuca mu kluczyki.

Andrijowi serce skacze w piersiach. Ale kluczyki nie są od sportowego samochodu, tylko od land-rovera.

— Możesz też zabrać tę cholerną truskawkową dziwkę. — Wendy macha ręką w stronę szczytu pola. O co jej chodzi? Andrij wsuwa kluczyki do kieszeni i robi krok naprzód, żeby ją objąć, ale ona się odsuwa. — Jedź już stąd.

Andrij wsiada do land-rovera i próbuje kluczyki. Silnik zapala od razu. Pedał i skrzynia biegów chodzą dość ciężko. Ostatnim samochodem, który Andrij prowadził, był zaporoziec taty. Pierwsze, co przychodzi mu do głowy, to wyjechać przez bramę, i już niemal naciska pedał, ale jego paszport i tygodniówki są ukryte w starej skarpetce pod materacem. Powstrzymuje go jeszcze jedna sprawa — ta dziewczyna, jej ciemne włosy rozrzucone na poduszce, budząca się ze snu. Nie odjedzie bez pożegnania. Do widzenia i Bóg z tobą? Czy do widzenia i do zobaczenia? Andrij bardzo chciałby to wiedzieć.

Wyłącza silnik i idzie do męskiej przyczepy, która stoi przechylona. W środku jest Jola. Siedzi na przekrzywionym łóżku Tomasza, spazmatycznie trzęsąc się i płacząc, a Tomasz ją pociesza.

— Jadę — mówi Andrij. Wyciąga paszport i pieniądze i zaczyna pakować swój skromny dobytek do torby. — Zanim przyjedzie policja.

Jola spogląda na niego wystraszona.

— Przyjeżdża policja?

Andrij potakuje. Jola, odpychając Tomasza, zrywa się na równe nogi.

— Ja też jadę. Wezmę torbę. — Rusza w stronę drzwi. — Zaczekaj. Proszę, zaczekaj.

Tomasz wyciąga z szafki swoją torbę i też zaczyna się pakować.

— Jadę z tobą.

Emanuel śpi na łóżku Witalija, ale teraz otwiera oczy i unosi się wsparty' na jednym ramieniu, drugą dłonią osłaniając oczy przed światłem, mamrocząc coś w swoim języku.

—Odjeżdżamy. Do widzenia, przyjacielu. — Andrij zamyka cicho drzwi i wraca do land-rovera ze swoją torbą.

Jedzie land-roverem wzdłuż brzegu pola, wyprzedzając Tomasza, który biegnie prosto przez krzewinki truskawek, z torbą i gitarą objającymi mu się o plecy. Drugi bieg wciąż wyskakuje, a układ kierowniczy ma luz. Będzie musiał ostrożnie jechać.

Andrij puka i otwiera drzwi damskiej przyczepy. W środku panuje histeria i chaos. Jola przy świetle lampy oliwnej usiłuje zebrać swój dobytek i równocześnie uspokoić Martę i Chinki, które spazmatycznie szlochają.

— Gdzie jest Irina? — pyta Andrij.

—Zabiał ją człowiek — mówi, drżąc, jedna z Chinek, a druga dodaje: — Mężczyzna kobiece włosy zabiał.

—Człowiek, który przyjechał tym gangsterskim autem, zabrał Irinę — wyjaśnia po polsku Marta.

Krew zalewa mu oczy. Jak to się stało? Jak mógł do tego dopuścić? Jaki mężczyzna pozwoliłby, żeby jego dziewczyna (czy ona jest jego dziewczyną?) została w taki sposób porwana? Robi mu się słabo i niedobrze.

— Dokąd pojechał?

Dziewczyny niejasno wskazują w dół pola. Serce Andrija kurczy się na myśl o beznadziejności tej sytuacji. Co za głupiec z niego. Blondynka. Ferrari. Co za głupi bezużyteczny idiota.

— Chodźmy. Chodźmy.

Łapie torbę Joli i torbę Marty, która chce jechać z ciocią, ale wtedy obie Chinki zaczynają piszczeć i zawodzić.

— My nie zostać. My z wami. My jechać. Zły człowiek kobiece włosy wrócić znowu.

— Pakujcie się. Szybko. — mówi Jola. Dziewczyny szukają po omacku rzeczy, trzęsąc się histerycznie, a na dodatek Tomasz co chwila wchodzi im pod nogi, stukając je przy każdym ruchu swoją gitarą. Między drzewami w dolinie Andrij dostrzega błyski niebieskich świateł. Nagle uświadamia sobie, co powinien zrobić. Wskakuje do land-rovera, zawraca go, cofa i zakłada przyczepę na hak. Znajduje nawet gniazdko, do którego podłącza konektor. Trwa to krócej niż dwie minuty. A potem odjeżdża.

Kiedy jedzie wyboistym skrajem pola, wyłania się przed nim mała postać w zielonej kurtce, chybcząc się na skutek wypicia ośmiu puszek piwa. Andrij naciska hamulec. Przyczepa szarpie do przodu i omal nie zeskakuje z haka. Hm... Będzie musiał na przyszłość pamiętać, żeby tak ostro nie dawać po hamulcach.

— Wsiadaj! — krzyczy. Emanuel gramoli się na tył land-rovera i sadowi na sianie.

Przy bramie Wendy wciąż siedzi przykucnięta nad skrzyconym ciałem farmera. Spogląda przelotnie, kiedy przejeżdżają obok, a Andrij ma wrażenie, że na jej twarzy błąka się uśmiech, choć równie dobrze może to być gra świateł.

Nie jest w stanie wrzucić trójki, a drugi bieg wciąż mu wyskakuje, dodatkowo próby zapanowania nad nieposłusznym kołysaniem i szarpaniem przyczepy przy takich luzach w układzie kierowniczym to nie są żarty. A tam w dolinie wyją syreny, błyskają niebieskie światła. Rany boskie! Uje-

chał zaledwie kilka kilometrów, a oni już są za nim.

Jak do tego doszło, Andriju Palenko? Piętnaście minut temu miałeś land-rovera, pieniądze w kieszeni, wolną drogę, czekającą na ciebie ukochaną z dzieciństwa. Teraz masz sześciu pasażerów, niesforną przyczepę i policję na karku. Dlaczego po prostu nie powiedziałeś „nie”?

Przed nim, po lewej, jest skręt — porośnięta trawą droga gruntowa, która prowadzi chyba gdzieś w las. Andrij zjeżdża z głównej drogi. Po kilku metrach droga rozszerza się, zamieniając w parking, na którym stoi stary stół i ławy. Andrij naciska hamulec. Na tyle land-rovera Emanuel śpi na sianie. Andrij zagląda do przyczepy.

— Wszystko w porządku?

Cztery kobiety i Tomasz czają się skłębieni na podłodze. Marta się pochorowała.

— Gdzie jesteśmy? — pyta Tomasz.

— Nie wiem. Nie wiem, gdzie jesteśmy ani dokąd jedziemy. Zostajemy tutaj. Rano zdecydujemy.

Andrij siada na podłodze obok pozostałych. Uświadamia sobie, że trzęsą mu się kolana. Jest zlany potem. Jeśli zjawi się tu policja, to po prostu wszystko im wyjaśni. Powie im, że to wszystko jest jedną wielką pomyłką, i poniesie konsekwencje, jak przystało na mężczyznę. Przecież to Anglia.

\*\* \*

Jola absolutnie nie ma za co przepraszać. Absolutnie nie. Kiedy kochanek cię zdradza i obraża, nazywając cię jakąś bara-bara, to jeśli jesteś kobietą czynu, musisz działać. Ten głupek Andrij starał się wszystkich uspokoić. Jaki pożytek z zachowania spokoju w takiej sytuacji? Oczywiście żona będzie usiłowała zrzucić winę na Jolę. To wszystko kłamstwa. Ale

spróbuj wytłumaczyć to policji. Jola zna mentalność policjantów — kiedyś miała męża policjanta. A policjanci myślą w taki sposób: winny jest ten, kto ma motyw. Czy Andrij miał motyw, żeby rozjeżdżać Knedla? Nie. Czy Jola miała motyw? Tak.

A więc najlepiej trzymać się z dala od policji. Wrócić do Polski. Szybko, szybko. Ale ta kapuściana głowa mówi, że nie może już dłużej prowadzić, bo chce mu się spać. Po tym, jak patrzy na łóżko, widać, iż myśli, że pozwoli mu spać tutaj, w damskiej przyczepie. A ten złodziej damskiej bielizny, Tomasz (sądzi, że Jola nie ma o tym pojęcia, ale ona wie swoje), zdjął buty. Fu! Co za smród! Wszystkie dziewczyny zaczęły się krzywić i zasłaniać nosy. Jola zakłada ręce na piersiach i mówi stanowczo:

— To damska przyczepa, tylko dla kobiet.

Ale czy ten zakuty łeb, ta kapuściana głowa, je posłucha?

— Jolu — mówi Andrij — mogłaś być królową truskawkowego pola, ale tu, na drodze, ja jestem szefem. A skoro mam jechać do Dover, to muszę się porządnie wyspać.

Jola cierpliwie wyjaśnia, że pod nieobecność farmera, za co zresztą nie czuje się w żaden sposób odpowiedzialna, to ona jest najwyższą rangą, i to ona podejmie decyzję w sprawie spania.

— Jestem dojrzałą, szanującą się kobietą i trudno oczekiwać, że będę dzielić pomieszczenie, w którym śpię, z jakimkolwiek mężczyzną.

Cóż, odpowiedź jest tak ordynarna, że Jola nie będzie jej powtarzać, powie tylko, że były odniesienia do jej wieku, bielizny, kraju, z którego pochodzi, i jej stosunków z farmerem, które, jako że były umową o charakterze czysto biznesowym, zawartą na dodatek w obcym kraju, nie mają żadnego znaczenia w dyskusji na temat charakteru Joli — niuans zapewne zbyt subtelny dla takiego Ukraińca.

— Andriju, proszę! — Tomasz interweniuje ze spokojem i godnością. — Nie ma problemu. Możesz spać w land- roverze, a ja będę spać tutaj na podłodze.

— Nie! Nie! — krzyczą dziewczyny chórem. — Nie ma miejsca na podłodze!

— Cóż, wobec tego będziemy spać w land-roverze. Jakoś damy radę.

No i dali radę. Jakoś. Co mieli począć?

\*\* \*

Andrij porządnie wydarł się na Jolę i teraz czuje się znacznie lepiej. Na zewnątrz w panującym tuż przed świtem chłodzie niebo już się rozjaśnia, a gwiazdy znikły. Tomasz znów zdjął adidas, postawił je na masce, wyciągnął się na przednich siedzeniach land-rovera i wystawił nogi za okno, rozsiewając w powietrzu odór swych skarpetek. Andrij zastanawia się, gdzie spędza tę noc Irina. Na samą myśl o tym czuje niemiły ucisk w żołądku. Wczołguje się na tył samochodu, układa obok Emanuela, który podczas tego wszystkiego spał jak kamień na słodko pachnącym sianie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Na podłodze leży stary koc, którym Andrij okrywa siebie i Emanuela. Choć powietrze jest chłodne, cisza lasu, oddech ziemi, korzeni i krążących w roślinach soków wreszcie sprawiają, że Andrij zapada w głęboki sen, z którego obudzi się dopiero, gdy poranne słońce zacznie przeświecać między srebrzystymi pniami drzew.

\*\* \*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ BIEGNĘ SAM POLE ŻYWOPŁOT  
DROGA WSZĘDZIE CIEMNOŚCI WIDZĘ NIEBIESKIE ŚWIA-  
TŁO BŁYSK BŁYSK WĘSZĘ NASŁUCHUJĘ SŁYSZĘ ZŁY WI-  
BRUJĄCY DŹWIĘK UOOO UAAA UOOO UAAA BIEGNĘ POLE**



**RZEKA PIJĘ MAŁE ZWIERZAKI PRZEPYCHAJĄ SIĘ ZAPACH TRAWY I ZIEMI MARTWE RZECZY GNIJĄCE ZWIERZĘ CZUJĘ ZAPACH ŚWIEŻYCH SIKÓW BORSUK LIS ŁASICA KRÓLIK BIEGNĘ DROGA POLE LAS DROGA LAS STOP WĘSZĘ WĘSZĘ CZUJĘ ZAPACH STÓP CZŁOWIEKA ZAPACH DOBRYCH MOCNYCH STÓP RUSZAM SZUKAĆ ZAPACHU STÓP CZŁOWIEKA BIEGNĘ BIEGNĘ JESTEM PSEM.**

\*\*\*

Skoczyłam.

Upadłam. Ziemia była miękka. Sturlałam się, wstałam i zaczęłam biec. *Mamusiu, Tatusiu, proszę, pomóżcie mi. Jestem waszą małą Irinoczką.*

Pomyślałam: drzewa, muszę dostać się między drzewa. Wdrapałam się na skarpe i schylona pod nisko opadającymi gałęziami pobiegłam do lasu. Tutaj mogło mi się udać. Przy odrobinie szczęścia kule mogły trafić w drzewa. Biegając, spięłam się w sobie, pewna, że za chwilę usłyszę strzały, kurczyłam się w oczekiwaniu na huk oznaczający moją śmierć. Ale nie było żadnych strzałów. Słyszałam jedynie kroki, jego i moje, depczące poszycie i kruszące opadłe gałęzie. Trzask. Trzask. *Żadnych strzałów. Dlaczego nie słyszysz strzałów? Może ja już nie żyję?* Było tak ciemno. Ciemno jak w szafie pod schodami. Ciemno jak w grobie. Wcześniej gdzieś słabo błysnęły światła reflektorów, ale teraz, biegnąc w czarną jak smoła noc, zostawiłam je już za sobą. Było zbyt ciemno, żeby biec. Zbyt wiele przeszkód, cieni, które okazywały się drzewami, gałęzi smagających mnie po twarzy, korzeni drzew, oplątujących się wokół moich nóg, niewidzialnych strachów. Żadnego światła księżyca. Miałam wrażenie, że z boku widzę skraj lasu, szarą

poświatę nieba między drzewami.

Skreśliłam gwałtownie w prawo, ześlizgnęłam się po skarpie z powrotem na drogę gruntową i zaczęłam biec bardzo szybko i cicho po trawie. Wciąż słyszałam go za sobą w lesie. Trzask. Trzask.

Teraz droga skręcała i pięła się stromo. Z jednej strony rósł postrzępiony żywopłot. Ponad nim widziałam niebo, gwiazdy, wszystko skakało mi przed oczami. Zatrzymałam się, nie mogąc złapać tchu. Moja klatka piersiowa eksplodowała. Krew dudniła mi w uszach — bum, bum, bum! *Biegnij dalej. Nie zatrzymuj się. Jesteś młodsza i bardziej wysportowana. Możesz go przegonić.* Potknęłam się o korzeń drzewa, upadłam, podniosłam się i biegłam dalej — bum, bum, bum. Kiedy nie byłam już w stanie biec, stanęłam pod drzewem i nasłuchiwałam. Wielkimi haustami wciągałam powietrze w płuca. Wciąż słyszałam chrzęst kroków w lesie, ale nie potrafiłam ocenić, jak był daleko. A więc Wulk jeszcze się nie poddał. Znów zaczęłam biec, w szale, wciąż na coś wpadając i potykając się. *Zwolnij. Uważaj. Jak upadniesz, to koniec z tobą.*

Pomyślałam, że tak musi czuć się zwierzyna w trakcie polowania, z trudem łapie powietrze, przerażenie ogarnia wszystkie zmysły, topi się w swoim własnym strachu. Znalazłam dziurę w żywopłocie i precyzyjnie się przez nią, kolce zaczepiły o moje ubranie. Po drugiej stronie w świetle gwiazd rozciągało się długie zaorane pole. Łapałam powietrze jak szalona, dysząc i dławiąc się. Próbowałam biec, ale bruzdy były zbyt głębokie, więc przez jakiś czas szłam, oddychając powoli i potykając się na koleinach. Potem zatrzymałam się, przykucnęłam i nasłuchiwałam. Cisza. Nie było słychać kroków. Ani strzałów. Niczego.

Poszłam jeszcze kawałek dalej, a następnie wróciłam na drogę i znów biegłam, teraz trochę wolniej. Serce tłukło się jak dziki ptak uwięziony w

klatce. *Czy już po wszystkim? Czy on sobie poszedł? Skąd możesz być tego pewna? Ostatnio czekał, aż pomyślałaś, że już sobie poszedł, i wtedy wrócił.*

W miarę jak pięłam się zboczem wzgórza, niebo się rozjaśniało. Kiedy nie mogłam już dalej biec, szłam. Nie zatrzymywałam się na dłużej. Wreszcie znalazłam lej po wyrwanym z korzeniami drzewie. Zrobiłam sobie poślanie z suchych liści, które z wierzchu osłoniłam gałęziami, tak żeby nie było mnie widać z drogi. Położyłam się. Starłam się leżeć nieruchomo w ciszy, czekając, aż moje serce zwolni — bum, bum — i obserwowałam, jak nastaje różowobrzoskwiniowy świt, z małymi chmurkami przypominającymi anielskie skrzydła.

\* \* \*

Andrij budzi się pierwszy, świadom, że jego nogi przygniata coś ciepłego i ciężkiego. Najpierw myśli, że to Emanuel zwałił się na niego we śnie. Szturcha go lekko i natrafia na ciepłe futro pokrywające solidnie zbudowane ciało. Kruca fuks! Stworzenie jest wielkie i włochate i sapie przez sen. Andrij siada i przeciera oczy. Pies również siada i gapi się na niego w taki sposób, że Andrij może jedynie opisać wyraz jego ciepłych brązowych oczu jako pełen uwielbienia. Jest to duży, piękny pies, o krótkiej, w zasadzie czarnej sierści, z odrobiną białych włosów wokół pyska i na brzuchu, które nadają mu dojrzały, dystyngowany wygląd.

— Hau — odzywa się pies, uderzając mocnym ogonem o bok land-rovera.

— Cześć, Psie! — mówi Andrij, trąc uszy. — Co ty tu robisz?

— Hau! — odpowiada Pies.

Rytmiczne uderzenia ogona o bok land-rovera budzą z kolei Emanuela, który na widok psa nie ma zbyt szczęśliwej miny.

— Jest OK, Emanuelu. Jest dobry pies. Nie gryzie.

— W języku cziczewa mamy takie powiedzenie. Gdzie pies sika, tam trawa umiera.

— Hau — powtarza uprzejmie Pies, a Andrij zauważa, że mimo wszystko Emanuel jest pod urokiem entuzjastycznego machania ogonem, wywieszzonego języka, mokrego i różowego pomiędzy ostrymi białymi zębami.

Ale najbardziej ciepłe powitanie odbywa się między Tomaszem a psem — żarliwe łaszenie się do nóg, lizanie po twarzy, machanie ogonem, podskakiwanie, tarzanie się po ziemi. Wreszcie pies, sapiąc w ekstazie, znajduje na masce land- -rovera adidasy Tomasza i, choć Tomasz próbuje go powstrzymać, ucieka z jednym z nich w pysku i żuje go tak długo, aż po bucie nie ma prawie żadnego śladu. Cóż, w zasadzie to wspaniały pies, myśli Andrij, bo im szybciej znikną te adidasy, tym lepiej. A pies z tak świetnym zmysłem węchu może pomóc w odszukaniu zaginionej osoby.

**\*\* \***

**JESTEM PSEM JESTEM SZCZĘŚLIWYM PSEM <sup>1</sup> BIEGNĘ  
SIKAM WĘSZĘ MAM MOICH LUDZI IDĄ SIUSIAĆ W LAS ICH  
SIKI DOBRZE PACHNĄ TE SIKI PACHNĄ MCHEM I MIĘSEM I  
ZIOŁAMI TO DOBRZE WĄCHAM A TAMTE SIKI PACHNĄ  
CZOSNKIEM I HORMONAMI MIŁOŚCI TO TEŻ DOBRZE ALE  
HORMONY MIŁOŚCI SĄ ZA MOCNE WĄCHAM A TE SIKI SĄ  
ZBYT KWAŚNE ALE JE GO STOPY MAJĄ DOBRY ZAPACH  
WĄCHAM W TYM LESIE JEST JESZCZE ZAPACH INNEGO  
CZŁOWIEKA WYMIOCIN MĘŻCZYZNY KTÓRY PALI WĄ-  
CHAM NIE MA ZAPACHU ŻADNEGO PSA ZOSTAWIĘ TUTAJ  
MÓJ PSI ZAPACH BIEGNĘ SIKAM JESTEM SZCZĘŚLIWYM  
PSEM JESTEM PSEM**

Zdaniem Joli pies okazuje zbyt wiele entuzjazmu, pod byle pretekstem wtyka jej nos pod spódnicę w sposób, który przypomina jej o... Nie. Jest dojrzałą, szanującą się kobietą i nie będzie dzielić pewnych tajemnic z jakimiś wścibskimi czytelnikami.

Pies okazuje również duże zainteresowanie moczem. Kiedy kobiety się budzą, jakąś godzinę później niż mężczyźni, pies usiłuje każdej z nich dotrzymać towarzystwa w drodze do lasu, gdzie idą, żeby zrobić siusiu, i trzeba go na siłę odciągać.

— Skąd wziął się tutaj ten pies? — pyta Jola. — Powinien wracać do domu. — Ale nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie. A potem pies spogląda na nią z taką czułością w oczach, że jej serce od razu topnieje, bo Jola jest kobietą o miękkim sercu, i w rezultacie sięga po pomarańczową wstążkę Iriny, a następnie zawiązuje psu na szyi czarującą kokardę.

Marta dostrzega, że pies ma podrapane, zakrwawione łapy, tak jakby przebiegł długi dystans, więc aplikuje mu doskonałą polską maść antybakteryjną. Dzieli się nawet z nim chlebem, czyli wszystkim, co mają na śniadanie, ale to akurat okazuje się niepotrzebne, bo pies znika w lesie, a potem wraca z królikiem w zębach.

Po jedzeniu wyciąga się u stóp Tomasza, łeb kładzie na łapach i nadstawia ucha, by przysłuchiwać się ich rozmowom. Bo najwyraźniej teraz muszą wdać się w niekończące się dyskusje na temat tego, dokąd dalej jechać, co jest całkiem zbyteczne, ponieważ Jola już zdecydowała, że jadą do Dover.

Niewątpliwie nawet i tam nie znajdą tej Ukrainki. Koniec końców nie

była z niej taka zła dziewczyna, ale pewnie sama przez te swoje niefrasobliwe uśmiechy ściągnęła na siebie to nieszczęście. Kiedy takiemu gangsterowi wpadnie do głowy jakiś pomysł, to co można poradzić? A kwiaty były bardzo miłym gestem.

Jeśli chodzi o Jolę, to wszystko jest jasne. W końcu to Andrij, który na szczęście potrafił się znaleźć, przeprosił elegancko za swój wybuch, zapakował ich do tej konserwy, więc teraz musi ich stąd wydostać, szybko, zanim przyjedzie policja.

— Kiedy w sprawę wchodzi się policja, najmniejszy drobiazg może ciągnąć się w nieskończoność. Wszystko całkiem niepotrzebnie zostaje opisane. — Jola na podstawie własnych doświadczeń wie, jak bardzo zbiurokratyzowana może być biurokracja. Kiedyś była żoną pewnego biurokraty. — A tymczasem biedny Mirek czeka na nas w Zdroju. Mirek. Kozy. Dojrzewające śliwki w ogrodzie. Czas wracać do domu. — Jola dramatycznym gestem ociera łzy.

— Kto to jest Mirek? — jęczy długowłosa Tomasz z twarzą bladą jak ściana.

— Mirek jest moim ukochanym synem.

— I ukochanym przez Boga — dodaje Marta, przewracając oczami. — Jest jednym ze specjalnych dzieci Boga.

Dlaczego Marta zawsze nudzi o kłopotach tego biednego chłopca i niepotrzebnie rozpowiada o tym całemu światu? Odstraszyła już co najmniej ze dwu potencjalnych kandydatów na męża tymi bogobojnymi zawodzeniami. Jola kopie ją dyskretnie.

— A jego ojciec? Czy jego ojciec również tam czeka? — Tomasz się nie poddaje.

— Jego ojciec odszedł — Jola wbija w Tomasza zimne jak lód spojrze-

nie. — Dlaczego zadajesz tyle pytań, Panie Śmierdzące Stopy? Masz dość własnych problemów, nie musisz wtykać nosa w moje.

Teraz każdy ma coś do powiedzenia.

— My jedziemy Londyn — mówi jedna z Chinek. — W Londyn pełno Chińczycy. Pełno pieniędzy płaca dla Chińczycy. Lepsze niż w tluskawki.

— Mam adres pewnego człowieka w Anglii. Zaczekajcie, proszę, dziękuję. — Emanuel szpera w swoich papierach. Szpera i szpera. — Wybitnie dobry człowiek. Nazywa się Toby Makenzi i z jego pomocą mam nadzieję odnaleźć miejsce pobytu mojej siostry.

Szpera dalej. Co to za nazwisko? Chłopak najwyraźniej je przekręcił.

— Emanuelu, a może pojedziesz razem z nami do Polski? — mówi uprzejmie Jola. Chłopcu potrzebna jest matka, a nie siostra, myśli sobie Jola. Może nawet młodszy brat. A Tomasz dodaje:

— Emanuelu, jeśli przyjedziesz do Polski, nauczę cię śpiewać i grać na gitarze.

Zdaniem Joli, Emanuel już śpiewa i gra na gitarze dużo lepiej niż Tomasz.

— Zastanawiam się, gdzie się podział Witalij? — mówi Marta. Jola już wcześniej zauważyła, że Marta zerka na Witalija w sposób, który może oznaczać tylko jedno. Czy to nie jest ironia losu, że tak religijną dziewczynę pociąga mężczyzna otoczony taką aurą grzechu? Ale często tak właśnie jest.

A potem Tomasz znów zaczyna, spoglądając na nią tym psim wzrokiem.

— Pojadę z wami do Dover. A stamtąd do Polski. Promem, autokarem. Pojedziemy razem. Może twojemu chłopcu potrzebny jest ojciec? Co ty na to, Jolu?

Jola uśmiecha się niezobowiązująco.

— Najpierw musisz sobie sprawić nowe buty.



Ma za długie włosy. Brzydko pachnie. Nie jest w jej typie.

— Andriju, a co ty zamierzasz teraz robić? — pyta.

Andrij przez kilka minut nie odpowiada i Jola już ma powtórzyć pytanie, ale w tej samej chwili Andrij mówi spokojnym cichym głosem:

— Najpierw odszukam Irinę.

Zapada milczenie. Marta zaczyna płakać.

\* \* \*

Musiałam zasnąć. Obudziłam się, gdy promienie słońca padły w dziurę, w której leżałam skulona. Od zimnej wilgotnej podściółki zdrętwiały mi nogi. Bolały mnie wszystkie mięśnie. Wstałam i rozprostowałam nogi. Wtedy sobie przypomniałam. Wulk. Lasy. Ucieczka. Czy w dalszym ciągu tam na mnie czeka? Znow się przyczaiłam. Było jeszcze za wcześnie, by świętować, ale przynajmniej żyłam, byłam cała i zaczynał się nowy dzień.

Słońce weszło zapewne już kilka godzin temu. Powietrze było wciąż świeże i spowite mgłą, tą miękką mgiełką, która zwiastuje ciepły dzień. Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek budzi się rano przepelniony szczęściem tylko dlatego, że żyje? Słyszałam śpiewy ptaków i beczenie owiec, i jeszcze jeden dźwięk dochodzący z oddali, słodki, radosny dźwięk. Bicie kościelnych dzwonów. To musiała być niedziela. W niedzielę w Kijowie w całym mieście słyszać bicie w dzwony. Przyjeżdżają wtedy kobiety ze wsi ubrane w odświętne stroje, w chustkach ciasno zawiązanych na głowach, ich złote zęby połyskują, a one żegnają się, wchodząc do cerkwi. Mama piecze sernik z rodzynkami i nawet nasz kot Waśka dostaje śmietankę, żeby było mu miło i przyjemnie, a potem liże łapki i drapie się za uchem. Waśka, kiedy wrócę, będziesz mnie jeszcze pamiętać? Czy ja w ogóle wrócę kiedyś do domu?

Nagle w oczach stają mi łzy. Pociągam nosem. *Przestań. Musisz myśleć trzeźwo i mieć szeroko otwarte oczy. Zrób plan.*

W dole widzę drogę biegnącą między polami i lasem, wzdłuż której wczoraj biegłam. Przypomina mi się mój strach. Moje walące serce. Gwiazdy skaczące ponad poszarpanym żywopłotem. W świetle dnia pnąca się niewinnie zalesionym wzgórzem ścieżka wyglądała tak ładnie i malowniczo. Po drugiej stronie biegnie zakosami w dół i znika za horyzontem. Gdzie się znajduję? Jak daleko odjechaliśmy wczorajszej nocy? Ile czasu minęło, nim odzyskałam przytomność?

Przyjrzałam się uważnie każdemu z pól. Może stąd udałoby mi się zobaczyć nasze truskawkowe pole. Rozpoznałabym je po dwu stojących na nim przyczepach. Krajobraz wyglądał znajomo, ale szybko dotarło do mnie, że wszystkie pola wyglądają niemal tak samo, jak wzorzyste brązowo-zielone chusteczki posypane natką pietruszki. Czy chusteczki zdoła się natką pietruszki? Pewnie nie. Wśród wysokich żywopłotów wyrastał rząd jakichś drzew. To topole. Policzyłam je — jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta. Czyżby to były te same topole? Nieopodal rosła kępa drzew, które mogły być zagajnikiem na szczycie truskawkowego pola. Lecz gdzie podziała się przyczepa? Dalej na zachodzie zobaczyłam dziwne białe pole, które lśniło jak jezioro. Ale jego brzegi były zbyt równe. Wyglądało raczej jak pole pokryte szkłem albo plastikiem. Czy w pobliżu były takie pola? Nie mogłam sobie przypomnieć. Nie widziałam żadnych domów, jedynie przysadzistą iglicę wieży kościoła, wznoszącą się ponad kępą drzew obok lśniącego pola. Może była tam jakaś wioska ukryta w pofałdowanym terenie; może to tam dzwoniły dzwony kościelne, a ludzie szli na niedzielną *mszę*.

Poniżej, tam gdzie ścieżka dochodziła zapewne do drogi, coś błyszczało

— w promieniach słońca dostrzegłam między listowiem błysk metalu. To musiał być zaparkowany samochód. Serce znów zaczęło walić mi w piersiach — bum, bum. Poczułam wirowanie w żołądku. Czy on tam na mnie czeka? Położyłam się cicho z powrotem w dziurze i zaciągnęłam na siebie gałęzie, żeby nie było mnie widać. Tym razem mnie nie złapie. Nieważne, ile będzie czekać, ja będę czekała dłużej.

\* \* \*

Jeśli, zdaniem Andrija, jazda do przodu z przyczepą była trudna, to cofanie było jeszcze gorsze. Tak jakby przyczepa miała własne zdanie. Kiedy wreszcie są gotowi do odjazdu, jest już późny ranek. Emanuel stoi i kontroluje sytuację, gestami daje znać Andrijowi, kiedy ten wycofuje się z parkingu na drogę. Jola, Marta i Chinki siedzą na tyle land-rovera z psem u stóp. Tomasz jest w przyczepie, gdzie usiłuje uciąć sobie drzemkę.

Gdy wreszcie wyjeżdżają na główną drogę, prowadzenie nie sprawia już takich trudności. To ciekawe, tak sobie holować coś tak ciężkiego, myśli Andrij, trzeba zawczasu planować kolejny ruch, żeby uniknąć gwałtownych manewrów. Nim dojechali do obwodnicy Canterbury, nabrał już wprawy, ale akurat wtedy zauważył przed sobą samochód policyjny i dwu policjantów sprawdzających przejeżdżające auta. Rany boskie! Czy już go namierzyli? Ostro skręca w lewo, dodaje gazu i nagle widzi, że jedzie prosto w jednokierunkową ulicę, prowadzącą do centrum miasta, a przyczepa się kołysze i wszyscy z tyłu wrzeszczą na niego jak opętani. Wrzaski są bezużyteczne. Tylko go rozprasza. Nie ma gdzie skręcić, może tylko jechać prosto.

Znajduje się w gąszczu wąskich uliczek, wszędzie stoją zaparkowane samochody, przechodnie beztrąsko przechodzą, w ogóle nie patrząc na boki. Co za koszmar! Ten ruch lewostronny to nie żarty. Jak teraz wrócić na

obwodnicę? Andrij skręca w prawo i wciska się w wąskie sklepione przejście, przed którym zapewne widniał znak zakazu wjazdu, ale teraz jest już za późno, gdy nagle Marta krzyczy:

— Stop! Stop!

Andrij naciska hamulec. Przyczepa wierzga i szarpie. Pamiętaj, żeby więcej tego nie robić, Andriju Palenko. Następnym razem trzeba wykonać łagodny ruch, jakby pompowania. Z przyczepy słychać trzask i krzyk i po chwili wyłania się z niej przecierający zaspane oczy Tomasz w samych skarpetkach i gaciach.

— Co się dzieje? Dlaczego się zatrzymaliśmy?

— Nie wiem — odpowiada Andrij. — Dlaczego się zatrzymaliśmy?

— Patrzcie! — krzyczy Marta, wskazując na coś palcem.

Andrij wysiada i staje na chodniku obok pozostałych. Wszyscy patrzą w górę. Przed nimi strzelista kremowa masa rzeźbionego omszałego kamienia, łuki ponad łukami, wypełnione jakimś dziwnym misternym, ażurowym wzorem, kamienie delikatne jak papier wznoszą się coraz wyżej i wyżej w niebo, a dostojne figury dawno zmarłych świętych spoglądają na nich ze swych piedestałów.

Widział katedry o złotych kopułach w Kijowie, cudowną Ławrę Pieczerską, ale to jest coś zupełnie innego — tak, to naprawdę jest coś. Żadnych kolorów ani złocień. Całe piękno tkwi w kamieniu. Jak by to było tak sobie pracować tam wysoko w górze, wylupując i rzeźbiąc w jasnym kamieniu młotkiem i dłutem, zamiast wyrąbywać przodek mrocznej kopalni pod ziemią? Czy stałby się wtedy innym człowiekiem — bliższym aniołom?

Pochyliła głowę i żegna się na sposób prawosławny, na wszelki wypa-

dek. Nikt nic nie mówi. Marta zamyka oczy i też się żegna. Jola naciąga spódniczkę, żeby zakryć kolana, i żegna się gorliwie. Tomasz wraca do przyczepy i wkłada spodnie. Chinki po prostu patrzą.

Emanuel szepcze do Andrija:

— Co to za bestie i gobliny? Dlaczego nałożyli symbole czarów na chrześcijański kościół?

— Nie martw się — odpowiada również szeptem Andrij. — Jest OK.

\* \* \*

Kochana Siostró

Dziś spłynęło na mnie błogosławieństwo w postaci zwiedzenia Katedry w Canterbury która jest znakomita. Gmach zbudowany całkowicie z kamienia i cudownie rzeźbiony przeraźliwymi demonami i gnomami które siedzą na zewnątrz z szeroko rozdziawionymi ustami. Ale wewnątrz przepełnione jest tajemniczym Spokojem albowiem w tej Katedrze mnóstwo jest szklanych okien takich jakich nie widziałem nawet u św. Grzegorza na Likomo Island które pogłębiają światło słońca w czerwień i błękit i jeszcze opowiadają z pełnym kolorów mistrzostwem historie o Naszym Panu i Wszystkich Świętych.

I przyszedł do nas ksiądz i spytał czy będziemy się modlić a ja bałem się uczestniczyć w protestanckim obrządku ale Katolicka Martyra szepnęła że wszystkie takie Katedry należały formalnie do naszej Dobrej Religii i zostały nam skradzione przez bezmyślnych protestantów. A więc weszliśmy do małej jakby modlitewnej kaplicy cudownej w bezruchu i ciszy i świetle i poprosiliśmy Pana by zwrócił nam naszą siostrę Irinę która została schwytana w Szpony Szatana i nikt nie znał jej miejsca pobytu. Po modlitwach wszyscy powiedzieli Amen nawet pies chciałbym żebyś zobaczyła tego psa jest wyjątkowo pobożny. A ja modliłem się również żebyś została mi

przywrócona droga siostrze w tym odległym kraju. Albowiem w tej cichej migoczącej kaplicy poczułem obecność Pana stojącego tuż za nami słuchającego naszych modlitw i poczułem Jego oddech w zimnym kamiennym powietrzu.

A potem usłyszałem muzykę Organów i chór śpiewający Sheep May Safely Graze co mną poruszyło albowiem ta Katedra została nazwana na cześć świętego Augustyna.

A wtedy dobry Ojciec Augustyn z Zomba zapukał do drzwi mej pamięci w całej swej dobroci i łzy popłynęły mi z oczu na wspomnienie domu.

\*\* \*

Po modlitwach w katedrze Andrij się uspokaja. Dopiero kiedy dochodzą do przyczepy, zauważa, że nie ma Emanuela. Wraca po niego do kaplicy, ale Emanuel znikł. Gdzieś w katedrze słychać organy i chóralny śpiew. Kierując się dźwiękami, Andrij idzie kamienną nawą, gdzie przez prastare witraże na posadzkę padają plamy kolorowego światła. Trwa msza, a w pierwszym rzędzie wśród wiernych siedzi Emanuel.

Ma zamknięte oczy, więc nie widzi dziwnych spojrzeń, którymi obrzucają go pozostali. Jego otwarte usta są zadziwiająco różowe w młodzieńczej czekoladowej buzi — Emanuel śpiewa głośno wraz z chórem słodkim wysokim głosem. A gdy tak śpiewa, po policzkach spływają mu łzy. W tych zamkniętych oczach, otwartych ustach, łzach i muzyce jest coś tak bezbronnego, a zarazem potężnego, że Andrij z trudem łapie oddech. Kim jest ten chłopak? Andrij odczuwa nieprzeparowane pragnienie, by otoczyć Emanuela ramieniem, ale powstrzymuje się tak, jak każdy by się powstrzymał przed obudzeniem lunatyka, obawiając się, że gwałtowne zderzenie z rzeczywistością mogłoby złamać mu serce.

Andrija nachodzi wspomnienie — krąg zachwyconych twarzy w leśnym jarze, dokąd zabierała go babcia, gdy był jeszcze dzieckiem. Pop, który śpiewał litanie i kropił ich wodą święconą, obiecując przebaczenie grzechów i pocieszenie w trudach i znojach codziennego życia. „Kyrie elejson. Zmiłuj się nad nami Panie”.

Ojciec powiedział mu, że religia to opium dla ludu i że to wstyd, iż jego matka, która pod każdym względem była dobrą kobietą i dobrą komunistką, wierzyła w takie bzdury.

W ciszy, która zapadła po skończonej pieśni, Andrij podchodzi do Emanuela i dotyka jego ramienia. Emanuel otwiera oczy, rozgląda się wokół i uśmiecha się.

—Ndili Bwino, mój przyjacielu.

\*\* \*

Modlitwy sprawiły, że Jola doznaje miłego uczucia, że jest szlachetną i prawą osobą. Po czymś takim jest rzeczą naturalną, że człowiek czuje się głodny i spragniony. Więc jeśli chodzi o Jolę, to najważniejszą dla niej sprawą, kiedy już dojadą do Dover, jest obiad.

W przeciwieństwie do Canterbury, gdzie wszystkie sklepy były otwarte, w Dover wszystko jest zamknięte. Wreszcie gdzieś przy jakiejś uliczce odkrywają mały mroczny sklepik z dwoma rzędami półek, pachnący przyprawami i stęchlizną. W sumie niezbyt przyjemny. Sklepiarka jest pulchną Hinduską mniej więcej w wieku Joli. Ma na sobie zielone sari i czerwoną kropkę na czole. Jola przygląda się kobiecie z zaciekawieniem. Na azjatycki sposób jest nawet atrakcyjna.

Ale ta czerwona kropka jest chyba w złym miejscu. Na pewno powinna znajdować się na policzkach.



Jako kontroler Jola jest oczywiście odpowiedzialna za zakupy, ale z uwagi na harmonię społeczną pozwala każdemu się wypowiedzieć. Ustala, że należy kupić pięć bochenków krojonego białego chleba (lepszy od gruboziarnistego polskiego chleba i całkiem niedrogi), margarynę (bardziej nowoczesna niż masło i na dodatek tańsza), dżem morelowy (ulubiony dżem Tomasza), herbatę w torebkach i cukier (suszyli i ponownie parzyli zużyte torebki, ale wszystko ma swoje granice), banany (wybór Andrija, typowe dla Ukraińców), solone orzeszki (specjalne zamówienie Emanuela), dużą tabliczkę czekolady z rumem i rodzynkami (mały luksus Joli), dwie duże butelki coca-coli dla Chinek i puszkę psiej karmy. Tomasz marudzi w części monopolowej, studiując uważnie etykiety, ale jego prośba o butelkę wina zostaje stanowczo odrzucona przez Jolę. To zbyteczne. Za drogie. Andrij też kręci się w części monopolowej, rozglądając się za piwem.

— Widziałaś, jaką marzę narzucił Witalij na to piwo, które nam sprzedał?

— mówi zrzędliwie. Typowy Ukrainiec.

Marta została w land-roverze z psem, a Jola nie może sobie przypomnieć jej specjalnego zamówienia.

Hinduska sklepikarka cmoka z niezadowoleniem, kiedy Jola wykłada wszystkie zakupy przy kasie.

— Nie odżywiacie się dobrze.

— Nie? — To Jola jest odpowiedzialna za ich prawidłowe odżywianie.

— Białko. Musicie jeść białko. Jak zjecie to wszystko, to się pochorujecie.

Jola spogląda na stertę produktów i uświadamia sobie, że sklepikarka ma rację. Wystarczy na to spojrzeć, a już się robi niedobrze.

— Co może mi pani polecić?

Sklepiakarka waha się i zastanawia.

— Sardynki. — Wskazuje na dolną półkę. — Rybki. Zdrowe. Tanie. W puszcze tam na dole.

Jola stwierdza, że ryby na etykiecie wyglądają dorodnie i apetycznie, a przy tym jest miło zaskoczona ceną. Biorą dwie puszki.

Pomiędzy górną a dolną częścią sari sklepikarki widać miękką fałdę czekoladowego ciała. W cywilizowanych krajach ta część ciała kobiety jest zwykle zakryta, ale Jola zauważa, że Ukrainiec nie może oderwać od niej oczu.

— *Madam* — mówi grzecznie Andrij — chciałbym panią spytać, gdzie nabrała pani takiej mądrości?

Co za pochlebca z tego buraka, zachowuje się niemal jak Polak. (Oczywiście Polacy są znani na całym świecie jako wielcy uwodziciele za sprawą ich obyczaju całowania w rękę, ale, niestety, to wcale nie czyni z nich dobrego materiału na męża, o czym Jola, ku swojemu rozgoryczeniu, miała okazję się przekonać). Sklepiakarka śmieje się skromnie i wskazuje na zawieszony nad ladą zdjęcie przedstawiające uśmiechniętą pomarszczoną kobietę, ubraną w ostre błękity, z potrójnym sznurem pereł na szyi i w stylowym błękitnym kapeluszu na głowie.

— Ta dama jest moją inspiracją.

Wszyscy podchodzą, by się przyjrzeć. Starsza pani na zdjęciu jest lekko odwrócona i z radosnym uśmiechem macha komuś dłonią odzianą w rękawiczkę. Jola uważa, że jednoczesne przybieranie kapelusza woalką i małymi niebieskimi piórkami jest przesadą: jedno albo drugie w zupełności by wystarczyło.

— To dama niezwykle wiekowa i mądra. W trakcie swego długiego życia, które już niestety się zakończyło, dała wiele ważnych wskazówek na temat istotnych spraw życiowych. Mieć przyjaciół z dala to wielka przy-

jemność. To jedno z jej powiedzeń. — Sklepiarka opiera się łokciami o ladę, z przyjacielskim uśmiechem. — Nie jesteście stąd. Chyba wszyscy pochodzicie z dala, prawda?

— Ma pani rację — Tomasz uśmiecha się przymilnie. — Przybywamy z różnych zakątków świata: Polski, Ukrainy, Afryki, Chin.

On również nie odrywa wzroku od brązowej fałdki. No naprawdę, i jak tu współpracować z mężczyzną?

— Iz Malezji — dodaje Chinka Numer Dwa.

— Cóż, życzę wam miłego pobytu, moi drodzy, i *bon appetit*. — Sklepiarka uśmiecha się do nich promiennie zza lady. — To kolejne z jej powiedzeń.

— To wspaniałe powiedzenie — mówi Emanuel. — Nauczę się tego na pamięć.

\* \* \*

Ale Chinka Numer Jeden szepcze do Chinki Numer Dwa:

— Wydaje mi się, że to powiedzenie przypisane starszej pani w niebieskim naprawdę jest powiedzeniem Konfucjusza.

A Chinka Numer Dwa wskazuje czerwoną kropkę na czole sklepiarki i szepcze:

— Myślę, że to ślad po kuli.

Obie chichoczą.

\* \* \*

**JESTEM PSEM JESTEM PSEM SIEDZĘ Z MOIM PANEM JEM  
PSIĄ KARME MIĘSO PAN JE LUDZKIE JEDZENIE CHLEB  
RYBĘ JEMY RAZEM SIEDZIMY RAZEM NA MAŁYCH GŁAD-**

**KICH KAMIENIACH OBOK WIELKA WODA SŁOŃCE ŚWIECI  
GORĄCO TA WODA NIE JEST DOBRA DO PICIA ŹLE SMAKUJE  
WIELKA WODA GONI PSA PIES GONI WIELKĄ WODE WIEL-  
KA WODA SYCZY NA PSA SSS PIES SZCZEKA NA WIELKĄ  
WODE HAU PIES WĄCHA WIELKĄ WODE WĄCHAM WĄ-  
CHAM NIE PACHNIE PSEM NIE PACHNIE CZŁOWIEKIEM  
TYLKO WIELKĄ WODĄ WSZĘDZIE KAMIENIE LAS ZIELSKO  
ODPADY PIES ZNAJDUJE MĘSKI BUT NAD WODĄ MOKRY  
BUT BUT CZŁOWIEKA**

**ODOBRYM ZAPACHU PIES PRZYNOŚI MOKRY BUT MĘŻ-  
CZYŹNIE O KWAŚNYCH SIKACH MOCNYM ZAPACHU NÓG  
MĘŻCZYŻNA JEST SZCZĘŚLIWY DOBRY PIES MÓWI JESTEM  
DOBRYM PSEM JESTEM PSEM**

**\*\* \***

Po zjedzeniu obiadu Andrij czuje się ociężały. Te sardynki w sosie pomidorowym były dobre, ale chyba zjadł ich za dużo. Kiedy pozostali ruszają do terminalu promowego, on rozkłada ręcznik na kamienistej plaży i wyciąga się w słońcu, a pies kładzie się obok niego. Powolne nadciąganie i cofanie się fal nad brzegiem jest bardzo kojące. Pies zasypia niemal natychmiast, prychając i pochrapując w rytm morza. Andrij jest niesamowicie zmęczony, ale ilekroć zaczyna zapadać w sen, ma przyływ paniki i się budzi. *Ja tego nie zrobiłem.* Prowadzenie w ruchu lewostronnym, nadpobudliwi pasażerowie, ta uparta przyczepa, sprzeczka z Ciocią Jolą i dręczący bliżej nieokreślony niepokój, który kłębi się w jego głowie jak mgła, nie przybierając żadnego stałego kształtu, wszystko to bardzo go zmęczyło, ale zarazem sprawiło, że nie jest w stanie się odprężyć.

Wreszcie zasnął, gdy nagle ogłuszający hałas dochodzący z odległości zaledwie kilku metrów gwałtownie wyrywa go ze snu. Krew tężeje mu w żyłach, serce zaczyna walić. Jest w półśnie, jakby budził się z koszmaru, wsłuchuje się w przerażający dźwięk — długie crescendo odbijające się głośnym echem, z wolna zanikające dudnienie. To przeciągły pomruk krzyczącej z bólu ziemi. Ryk walącego się przodka w ciemności pod ziemią.

Siada i przeciera oczy. Nic się nie dzieje. Nic, jedynie fale rozbijają się o kamienie kilka metrów od jego stóp. Zaczął się przyływać. A jednak w chwili przebudzenia raz jeszcze przeżył horror wywołany widokiem pełnej oparów ciemności, hałasu i kurzu świadom, że jego ojciec nigdy nie wyjdzie stamtąd żywy.

Ten dźwięk — nie, nigdy już nie będzie w stanie pracować pod ziemią. Nie może tam teraz wrócić. W gruncie rzeczy nigdy nie chciał być górnikiem. Uczyłby się dalej, żeby zostać nauczycielem albo inżynierem. Ale kiedy miał szesnaście lat, ojciec wcisnął mu w dłoń kilof — dawno minęły czasy, kiedy kilofy były narzędziami władzy — i powiedział:

— Ucz się, synu. Ucz się, jak zostać mężczyzną.

Odpowiedział z typową dla szesnastolatka rezolucją, która teraz, kiedy to wspomina, wydaje mu się żenująca:

— Czy mężczyzna to ktoś, kto ryje pod ziemią jak zwierzę?

A ojciec odparł:

— Mężczyzna to ktoś, kto przynosi chleb do domu i stawia bezpieczeństwo swoich towarzyszy ponad własnym, i nie narzeka.

W Donbasie jest tylko jeden sposób na to, by przynieść do domu chleb. Kiedy powiedzieli, że kopalnie są niedochodowe, solidarność międzyna-

rodowa nie mogła pomóc, związki górnicze nie mogły pomóc. Więc górnicy wrócili z powrotem pod ziemię i sami zaczęli sobie radzić. Cóż, trzeba za coś żyć, prawda? Kiedy strop się zawalił, Andrij przeżył i dwu innych też przeżyło. Sześciu zginęło. Poza Donbasem ta sprawa nie trafiła na pierwsze strony gazet.

Ale dlaczego on? Dlaczego przeżył, a pozostali zginęli? Bo w jego głowie uparcie wibrował głos: Jeżeli chcesz żyć, biegnij, biegnij. Nie odwracaj się za siebie.

Andrij obserwuje kłęby szarych chmur zbierających się na horyzoncie.

I dlaczego Sheffield? Bo w Sheffieldzie desery są różowe, a dziewczęta, całując się, wpychają język w usta. I coś jeszcze, coś, co ma związek z niewidomym mężczyzną, miły ton głosu, kiedy mówił o ciepłym przyjęciu, jakie czeka w mieście wszystkich przyjezdnych, sposób, w jaki trzymał cię za rękę, tak jakby patrzył ci prosto w serce, choć on oczywiście w ogóle nie patrzył. Tak, teraz sobie przypominasz, Andriju, nazywał się Wlunket.

A jak już znajdziesz się w Sheffieldzie? Na razie nie wybiegał tak daleko naprzód. Jutro zaczniesz szukać Iriny, a kiedy ją znajdzie, ruszy w drogę.

\*\* \*

Nieważne, jak długo będzie czekać Wulk, ja będę czekała dłużej.

Z mojej zielonej kryjówki obserwowałam, jak słońce z wolna zatacza łuk znad zalesionych wzgórz na wschodzie aż po zwoje szachownicy zielonozłotych pól i opada, kryjąc się za linią horyzontu po drugiej stronie. To było dziwne, bo choć widziałam, że słońce się przesuwają, w środku czułam się tak, jakby czas się zatrzymał. Czekałam — czekałam i starałam się nie myśleć o tym, dlaczego czekam, ponieważ było to tak straszne, że gdybym

pozwoiliła tym myślom opanować mój umysł, to może już nigdy nie byłabym w stanie ich przepędzić. *Podoba się kwietek?*

Pomyślałam, że kiedy wrócę do Kijowa, napiszę o tym książkę. To będzie thriller o przygodach dzielnej bohaterki, która przemierza Anglię, ścigana przez złowrogiego, ale zabawnego gangstera. Rozmyślanie o mojej książce wprawiło mnie w lepszy nastrój. Kiedy piszesz książkę, możesz zdecydować o tym, jak się kończy.

W miarę jak słońce przesunęło się po niebie, zaczęły napływać kłęby pierzastych chmur, które wkrótce zgęstniały i nabrzmiały. To dziwne, że nigdy dotąd nie zwróciłam uwagi na to, ile ekspresji mają w sobie chmury, które jak ludzie zmieniają się, starzeją, rozłączają.

Musiałam chyba zasnąć, bo nagle, gdy otworzyłam oczy, odkryłam, że słońce już znikło, a to, co wzięłam za błękitne wierzchołki wzgórz, było w istocie długimi tumanami chmur, które pochłonęły niebo. Zbierało się na deszcz. Byłam niesamowicie głodna. Pomyślałam, że jeśli czegoś nie zjem, to zemdleję. Wydostałam się z kryjówki i spojrzałam uważnie na ścieżkę. Tam gdzie widziałam błysk metalu, nie było teraz nic prócz liści. Odjechał, czy to tylko dlatego, że słońce zaszło? Może czekał na mnie w ukryciu? Może wszędzie, gdziekolwiek pójdę, będzie Wulk, będzie na mnie czekał, ukrywał się? *Przestań. Nie myśl o tym. Jeśli będziesz tak myśleć, przez resztę życia będziesz jego więźniem.*

Wiedziałam, że muszę znaleźć jakieś jedzenie. Rozejrzałam się wokół. Drzewa, krzaki, trawa, liście. Czy cokolwiek z tego nadawało się do jedzenia? Zerwałam garść trawy — jeśli krowy to jedzą, to pewnie jest OK. Zaczęłam przeżuwać, ale nie mogłam się zmusić do przełknięcia. Na krzewie rosły czerwone jagody o wyraźnie trującym połysku. *Mamusiu,*



*Tatusiu, znacie się na takich rzeczach. Nie bądź głupia, Irino. Wiesz, że nie należy jeść jagód ani grzybów, chyba że masz stuprocentową pewność. Ile razy mam ci to mówić?*

Myśli kłębiły się w mojej głowie, ale zaczęłam już schodzić ścieżką. Za dnia wydawało się, że to żadna odległość. Przechodziłam się na drugą stronę żywopłotu, żeby nie być na widoku. Na dole ścieżka się rozszerzała, stał tam stary stół z ławami po obu stronach, z których wyjęto kilka desek. Na miejscu nie było żadnego pojazdu, tylko ślady opon na ziemi. Albo Wulk tu był, i to nie jeden raz, albo zajechały tu inne samochody. Przyjrzałam się uważniej. W jednej z kolein zauważyłam niedopałek papierosa. Serce zaczęło mi walić w piersiach — bum, bum. Pamiętałam, że ostatniej nocy Wulk miał papierosa, ale czy to ten sam papieros? Czy on tu wrócił? Czy siedział w swojej gangsterskiej maszynie, paląc papierosa i czekając na mnie? *Maty kwietku...* Postawiłam stopę na niedopałku i wdeptałam go w ziemię. Był tam jeszcze jeden dziwny przedmiot, coś szarego i gumowatego. Wyglądało jak fragment buta. Co za smród! Ale buty Wulka były przecież lśniaco czarne.

A potem pod zniszczonym stołem zauważyłam podartą papierową torebkę. Od razu wiedziałam, co to jest. Kolejny łut szczęścia! Podniosłam ją. Ten zapach! Nie mogłam się powstrzymać. Ciekła mi ślina jak psu. Rozwinęłam papier i policzyłam je. Jedna, dwie, trzy... Było ich mnóstwo! Wepchnęłam je do ust. Mój żołądek zaburczał radośnie. Były zimne i sztywne jak palce trupa. Były absolutnie przepyszne. A pod frytkami było coś jeszcze, coś złotego i chrupiącego. Ułamałam kawałek i wsunęłam sobie do ust. To było jak manna. To było... cóż, już tego nie było.

Potem pomyślałam, co za idiotka z ciebie, stoisz tu przy drodze, gdzie

każdy, kto przejeżdża obok, może cię zobaczyć, i opychasz się wyrzucenymi przez kogoś resztkami. Gdyby Mama cię teraz widziała... *Ale nie może cię zobaczyć, prawda?*

Czyjeś resztki... Ale czyje? Czy Wulk miał ostatniej nocy w aucie jakieś frytki? Nie, zorientowałabym się po zapachu. A więc musiał tu być ktoś inny. A może Wulk odjechał, kupił frytki, wrócił i usiadł w samochodzie, czekając, aż wrócę?

Czekał na mnie, żeby... *Przestań! Nie myśl o tym. Za każdym razem, kiedy o nim myślisz, on cię ma.*

\* \* \*

Terminal promowy jest niemal opustoszały i cichy, nie licząc zawodzenia małej zmęczonej, umorusanej czekoladą dziewczynki, która ciągnie równie zmęczoną matkę za spódnicę. Marta przypomina sobie rozgardiasz i podniecenie, kiedy tu przybyli zaledwie kilka tygodni temu. Teraz wszyscy sprawiają wrażenie przybitych. Andrij został na plaży. Emanuel poszedł popatrzeć na łódki. Chinki jedzą na zewnątrz lody. Jola i Tomasz rozglądają się za biurem, w którym mogliby zmienić datę odjazdu na biletach. Jola ma zaczerwienioną twarz: może z nerwów, może z nadmiaru słońca, bo przecież wiatr porwał jej kapelusz, a jak ona zaczęła się wtedy wyrażać, to naprawdę było straszne. Tomasz ma na nogach adidas, z których jeden jest śmierdzący, a jeden mokry i o dwa numery za duży. On też opalił sobie nos. Marta nie może się na niczym skupić, bo przede wszystkim natychmiast musi znaleźć toaletę.

Jola i Tomasz ruszają na poszukiwanie biura sprzedaży biletów, które mieści się w innym budynku, a Marta idzie za znakami do toalety. W drodze powrotnej kątem oka spostrzega młodego mężczyznę, który siedzi wygodnie rozparty obok baru kawowego i rozmawia z kimś przez telefon ko-

mórkowy. Wygląda tak, jakby na kogoś czekał. Jest dość wysoki i elegancko ubrany. Na szyi ma złoty łańcuch, a w jednym uchu błyszczą mu kolczyki. Jego ogolona głowa jest lśniącą brązową, a okulary przeciwsłoneczne nadają mu nieco złowrogi wygląd. Wydaje się przypominać kogoś. Marta próbuje mu się lepiej przyjrzeć, ale stara się robić to dyskretnie. Nagle mężczyzna uśmiecha się i macha do niej. Czy ona też powinna do niego pomachać? Następnie mężczyzna zdejmuje ciemne okulary, a wtedy Marta od razu go rozpoznaje. To Witalij.

Chowa telefon komórkowy do kieszeni i wolno rusza w jej stronę.

— Cześć, Marto. Jak sprawy?

— Dobrze. — Marta się waha. Od ich ostatniej wspólnej kolacji tyle się wydarzyło. — Cóż, prawdę mówiąc, Witaliju, nie najlepiej. Musieliśmy opuścić truskawkowe pole. Farmer był ranny, a Ciocia Jola martwi się policją.

— Hm. Policja to nic dobrego.

— Teraz starają się wymienić bilety.

— Wracają do Polski?

— Wszyscy wracamy, jak najszybciej się da. A ty, Witaliju, co ty robisz?

Wyglądasz tak elegancko. Skończyłeś z truskawkami?

— *Bye-bye* truskawki. Witaj *mobifon*. — Uśmiecha się tajemniczo, a potem zniża głos — *Recruitment konsultant* — mówi po angielsku.

— Witaliju! — Marta jest pod wrażeniem. — Co to takiego?

— Dynamiczne rozwiązanie kwestii zatrudnienia. Ostra ciach, ciach (wykonuje dłonią szybki ruch, jakby coś szatkował) reakcja na płynne zmiany w popycie na personel. — Mówi tak swobodnie, że aż dech zapiera.

— Witaliju, zostałeś biznesmenem! Anglojęzycznym YIP-em.

Marta wpatruje się w niego trochę zażenowana swoim marnym wyglądem. Ten uśmiechnięty, kędzierzawy, zbierający truskawki Witalij, tak

czarująco nieokiełznany, przemienił się w gładkiego pewnego siebie biznesmena, który z łatwością przechodzi z polskiego na angielski.

—Szkoda, że musicie już wracać. Mogę wam znaleźć wspaniałą pracę w tej okolicy. Wysokie wynagrodzenie. Wygodne warunki życiowe.

—Och, Witaliju, jak ty potrafisz kusić. Zostałabym, ale Ciocia Jola chce wracać do domu. Tęskni za synem... — Marta dostrzega w jego oczach grzeszny błysk i myśli o tym, jak miło by było nawrócić go na właściwą drogę.

W tym momencie zjawia się Jola z Tomaszem. Oboje mają pochmurne miny. Nie udało im się wymienić biletów. Biuro sprzedaży jest zamknięte. Ktoś im powiedział — nie są pewni, kto to był — że muszą wrócić jutro albo pójść do biura w mieście i stać w kolejce, jeśli chcą wymienić bilety. Teraz kłócą się o to, kim była osoba, która udzieliła im tych informacji, i co dokładnie powiedziała. Jola twierdzi, że to była sprzątaczką albo jakaś inna niezadowolona pasażerka, której nie można ufać. Tomasz twierdzi, że to była funkcjonariuszka władz portowych i wyjątkowo źle się stało, że Jola posłała ją do wszystkich diabłów, jakby ją osa ugryzła, nie słuchając, co ta pani ma do powiedzenia.

— Dlaczego nie wywiesili po prostu kartki z informacją, tylko każą nam gonić w tym upale jak jakimś idiotom? — Ciocia Jola gotuje się ze złości. — Gdzie jest toaleta? Marto, znalazłaś toaletę? Kto to jest? — Przygląda się. — Witalij?

Witalij wyciąga rękę i ściska ciepło dłoń Joli.

— Słyszałem, Jolu, że zamierzacie wrócić do Polski.

— Kto ci to powiedział?

— Ciociu, to ja mu powiedziałam — mówi Marta swoim najbardziej uspokajającym głosem. — Nie gniewaj się. Ale Witalij mówi, że może nam znaleźć w tej okolicy dobrze płatną pracę. Witaliju, powiedz cioci, czym się

zajmujesz.

— *Recruitment konsultant*. Konsultant do spraw rekrutacji. Specjalista od ostrego ciach, ciach dynamicznego rozwiązywania kwestii zatrudnienia, elastycznie reagujący na zmiany w zapotrzebowaniu na pracowników. — Witalij za każdym razem powtarza tę kwestię coraz szybciej.

— Mój Boże! — mówi Jola. — Witaliju, jesteś kimś!

Witalij skromnie pochyła głowę.

— Pracuję dla brytyjskiej firmy. Nightingale Human Solutions. Byłem na *training seminar*.

— *Trenning semeenar...* Witaliju, co to takiego? — Marta nie jest w stanie ukryć podziwu w głosie.

— Och, to nic takiego — Witalij uśmiecha się skromnie. — Każdy to potrafi. Trzeba tylko nauczyć się kilku słów po angielsku. No i oczywiście mieć kontakty. Najważniejsze to mieć kontakty.

— A ty masz kontakty, Witaliju? — pyta Jola. Mimo swego niedawnego statusu kontrolera i szefowej ekipy ona również jest pod wrażeniem nowego wcielenia Witalija.

— On ma telefon komórkowy — szepcze Marta.

Tylko Tomasz zachowuje obojętność.

— Witaliju, dziękujemy, ale nie szukamy nowej pracy. Zamierzamy wrócić do Polski, jak tylko wymienimy bilety.

— Ach, wymiana biletów jest niemożliwa. Będziecie musieli kupić nowe bilety. Będą wam potrzebne pieniądze.

— A ta wspaniała praca, o której mówisz — dopytuje się Jola. — Jakie jest wynagrodzenie?

Witalij milczy przez chwilę, jakby dokonywał w myślach jakichś obliczeń.

— To będzie gdzieś w przedziale od pięciuset do sześciuset funtów ty-

godniowo. Zależy od wyników. Może nawet więcej.

Wszystkim, nawet Tomaszowi, zapiera dech w piersiach. To dwukrotność tego, co zarabiali na truskawkowym polu przed potrąceniami.

— I możecie pożegnać się z przyczepą. Będziecie mieszkać w luksusowym hotelu.

— A ta praca, co będziemy robić? — pyta Marta.

— Drób. — Witalij przechodzi na angielski. — Przyczynicie się do dynamicznego odrodzenia przemysłu drobiarskiego na Wyspach Brytyjskich. Albo, jak byśmy powiedzieli po polsku — puszcza oko do Marty — będziecie karmić kurczaki.

Marta wyobraża sobie siebie w otoczeniu wesołej gromadki pulchnych, brązowych ptaków, które gdaczą i tłoczą się, kiedy ona rzuca im garściami ziarno. Jej serce topnieje.

Jednakże Tomasz szepcze do Cioci Joli:

— Pomyśl o Mirku. Pamiętaj o policji.

— Tak. — Ciocia Jola wygląda na zniechęconą. — Nie chcemy kłopotów. Lepiej będzie, jak wrócimy. Jeżeli poradzimy sobie jakoś z tymi idiotami, którzy w dzisiejszych czasach zawiadują promami. Jutro spróbujemy jeszcze raz. Co ty na to, Marto?

Zanim Marta ma szansę cokolwiek powiedzieć, wtrąca się Witalij:

— Słyszałem, dzięki moim kontaktom, że skoro farmer nie został zabity, tylko ranny, nie ma problemu z policją.

— Ale nawet jeśli jest tylko ranny — mówi Tomasz — to muszą przeprowadzić dochodzenie.

— To jedynie formalność. Myślę, że szkoda by było przepuścić taką okazję zarobienia mnóstwa dobrej angielskiej kasy. Pomyślcie o tym, ile zainwestowaliście w bilety, żeby tu przyjechać. Jolu, zastanów się, jakie

luksusy będziesz mogła zapewnić swojemu synowi dzięki tym pieniądzom.

— Hm — mówi Jola.

Marta czyta w jej twarzy jak w otwartej talii kart.

Nagle tuż obok jej ucha rozlega się głośna radosna melodia. Di di daa da! Marta podskakuje. To telefon komórkowy Witalija.

— Przepraszam was! — Witalij wyciąga aparat z kieszeni na piersi i zaczyna nawijać w języku, który nie jest ani angielskim, ani polskim, ani ukraińskim, ani rosyjskim. Wolną ręką wymachuje w powietrzu. Jest bardzo podniecony. Rozmowa się rozwija. W pewnym momencie zasłania ręką telefon i szepcze do pozostałych:

— Bardzo przepraszam, wybaczcie. Pilne sprawy firmowe.

Marta stara się coś zrozumieć, ale Witalij mówi zbyt szybko.

Jola i Tomasz naradzają się, kładąc na jedną szalę radość z kurczaków, a na drugą radość z powrotu do Polski, gdy nagle pojawiają się Chinki kurczowo ściskające swe mocno już wylizane lody w rożkach. Zamierają w połowie lizania, rozpoznają Witalija i natychmiast zaczynają chichotać. One również są oczarowane jego transformacją.

— On jest teraz... kim ty jesteś, Witaliju?

Witalij promienieje, chowa telefon do kieszeni i z powrotem nakłada ciemne okulary.

— Konsultant do dynamicznego zatrudnienia ostrej ciach, ciach rekrutacji we wszelkich sprawach wymagających elastycznych rozwiązań.

Wykonuje niewielki ukłon. Chinki chichoczą jeszcze bardziej, ale Witalij ucisza je pełnym dramatyzmu gestem i ciągnie dalej swym zadziwiająco płynnym angielskim.

— Jeśli panie również szukają nowego zatrudnienia, mam kilka interesujących ofert, które z przyjemnością paniom przedstawię.



Chinki spoglądają po sobie nerwowo, podekscytowane.

— Być może mógłbym wam znaleźć dobre posady w Amsterdamie. Byłyście kiedyś w Amsterdamie? To miasto niezwykłej urody, wzniesione w całości na wodzie. Jak Wenecja, ale jeszcze lepsze.

— Ja widziałam zdjęcia — mówi Chinka Numer Dwa. — Jest ładniejsza od Kuala Lumpur.

— Ale na pewno w Chinach czekają na was wasi chłopcy? Wy dziewczęta znacie te wszystkie sztuczki, co? — Głos Witalija staje się nagle niski i słodki jak miód. — Wy niegrzeczne chińskie dziewczynki pewnie sypiacie czasem z chłopcami, co? Ładnie się kochacie?

To bardziej pasuje do dawnego grzesznie uśmiechniętego Witalija niż do nowego, biznesowego Witalija, myśli Marta, choć zadane przez niego pytanie jest dla niej pewnym zaskoczeniem.

— Żaden chłopiec — mówi Chinka Numer Jeden. Chinka Numer Dwa smutno kręci głową.

— Żadnych chłopców. To bardzo dobra wiadomość. Cóż — znów sięga po swój telefon i naciska kilka guziczków. — Myślę, że mogę tam mieć dla was dobre posady w charakterze opiekunek dzieci pewnego dyplomaty. Chińskiego dyplomaty obecnie mieszkającego w Londynie. Ma sześcioro dzieci, trzech chłopców i trzy dziewczynki. Każda będzie się opiekować trójką, dlatego potrzebne są dwie osoby. To bardzo inteligentne dzieci, więc potrzebują dobrej opieki i cierpliwości. Nie wolno wam ich bić ani na nie krzyżeć. Sądźcie, że dacie radę?

— Tak, tak! — krzyczą. — Ale...

Witalij widzi spojrzenie Chinki Numer Dwa i szybko dodaje:

— Praca czasowa. Tylko na trzy miesiące. Ich nianie wyjechały na wakacje. Hej, nie bójcie się, przecież mnie znacie. Możecie mi zaufać... jestem waszym przyjacielem, będę się wami opiekować. — Puszczą do nich oko.

— Zamieszkacie z tą rodziną w wielkim luksusowym domu w samym sercu amsterdamskiej starówki. Będziecie miały swój własny elitarny apartament i wszędzie będziecie pływać łodzią. To bardzo prestiżowa i odpowiedzialna praca, a płaca będzie współmierna. W euro. — Znów rzuca okiem na swój telefon. — Pięć tysięcy euro miesięcznie.

Zapiera im dech w piersiach. Wydaje się, że to dużo, choć nie mają najmniejszego pojęcia, jaki jest kurs euro do funta, do jena czy do ringgita.

— Muszę zatelefonować, żeby mieć całkowitą pewność co do wszystkich szczegółów i sprawdzić, czy nic się nie zmieniło. Spotkam się tu z wami jutro w południe. Zabierzcie ze sobą bagaże. I paszporty.

— Ja też byłabym zainteresowana pracą opiekunki do dzieci — mówi Marta.

Nagle puchate brązowe kurczaki nie wydają jej się już tak atrakcyjne. Witalij patrzy na Martę, przez chwilę przygląda się jej uważnie, oglądając ze szczególną uwagą jej nos, po czym uśmiecha się miło:

— Myślę, że opiekowanie się kurczakami jest dla ciebie lepszym zajęciem.

\*\*\*

Po niezbyt przyjemnej drzemce na plaży Andrij postanawia rozejrzeć się po Dover. Pies, który w dalszym ciągu ma na szyi pomarańczową wstążkę, idzie za nim. Stąpa cicho u jego boku, czasem odbiega kawałek, tropiąc jakiś interesujący zapach, a potem pędzi, by dogonić Andrija.

Niebo staje się ciężkie, a światło ma szarawą brudną barwę. Od spania na słońcu Andrija rozboleła głowa i zawisła nad nim chmura pesymizmu. Wcześniej był tak pewien, że odnajdzie Irinę w Dover — przekonanie oparte przede wszystkim na przecuciu i częściowo na tym, że on również

przyjechał do Anglii przez Dover, choć jego pośrednikiem był kto inny. Ale teraz nie wie, od czego zacząć. Ulice Dover są przygnębiające, sklepy pozamykane, domy i hotele podupadłe, ludzie ponurzy z twarzami pełnymi napięcia. Właściwie to miasto przypomina mu Donieck, bezrobotnych próżniaków wałęsających się po ulicach, upijających się, żebrzących albo po prostu gapiących się. Zbyt wielu jemu podobnych przybyszów szukających czegoś, czego nie ma, czekających, aż los się do nich uśmiechnie. A w tle przez cały czas posepny, zgrzytliwy odgłos morza i żalosne zawođenje mew.

Andrij idzie ulicami i coraz bardziej czuje, że to zadanie zupełnie go przerasta. Gdzie powinien rozpocząć poszukiwania? I dlaczego w ogóle szuka tej dziewczyny? Co się stało, to się nie odstanie i choć oczywiście gdyby to było możliwe, tobyś temu zapobiegł, ale nie ponosisz za nią żadnej odpowiedzialności. Tak naprawdę to Iriny powinien szukać jej chłopak, bokser. *Bye-bye, end of story.*

W drodze powrotnej na plażę mijają mężczyznę z wiadrem i wędką. Wygląda na Ukraińca. Ma okrągłą twarz i ciemne oczy, ale okazuje się, że jest Bułgarem. Mówi — mieszanką łamanego angielskiego, bułgarskiego i rosyjskiego — że łowił ryby na molo — wskazuje niewyraźnie jakieś miejsce za plażą — i ryby są na sprzedaż. Andrij kupuje małą makrelę i dwie inne ryby nieokreślonego gatunku za pięćdziesiąt pensów, co poprawia mu nieco nastrój.

Kiedy wraca, pozostali są już w przyczepie. Chinki siedzą w środku, czytają swoje horoskopy i szepczą między sobą, tłumiąc ekscytację. W drodze powrotnej Tomasz znalazł na parkingu dla ciężarówek plandekę i jakiś niebieski sznur — rzeczy, co do których ma fantastyczne plany. Jola i Marta jedzą lody. Marta przyniosła zresztą jednego loda dla Andrija.

Emanuel był na tyle przewidujący, że napełnił dwie puste butelki po coca-coli czystą wodą z publicznej toalety.

Andrij czuje ukłucie rozdrażnienia, kiedy opowiadają mu o spotkaniu z Witalijem. *Bye-bye truskawki, tak? Hello mobilfon!* Wszyscy rozprawiają entuzjastycznie o nowych perspektywach zatrudnienia. Czy duma pozwoli mu poprosić Witalija o znalezienie czegoś dla niego? A jeśli Witalij coś znajdzie, czy będzie tak samo jak z narzutem na puszki piwa — okazja do zrobienia dobrego biznesu pod przykrywką przysługi?

— Chodź, Andriju — mówi Marta. — To ostatni wieczór, który spędzamy razem. Musimy to uczcić. — Ale w tym momencie wpada pies z na wpół zamrożonym kurczakiem w zębach.

\*\* \*

Kochana Siostró

Nasza mała truskawkowa rodzina ma się ku końcowi. Polscy mzungu zamierzają podjąć zatrudnienie przy kurczakach a Chinkom pisany jest Amsterdam. Tylko Andree ja i pies przetrwamy w przyczepie. Na naszą uroczystość Tomasz spowodował butelkę włoskiego wina a niedaleko Dover znaleźliśmy pole obdarzone obfitością marchewek którym Martyra z zapalem stawiała czoła. Pies obdarował nas również mrożonym kurczakiem.

Kiedy Martyra sztyletowała marchewki Andrij i ja wyruszyliśmy po drewno na opał. Trafiliśmy wtedy do zacienionej kotliny i tam natknęliśmy się na Tomasia i Jolę którzy spacerowali rozmawiając poważnym tonem. A kiedy wrócili do przyczepy Jola trzymała Tomasia za rękę a w drugiej dłoni miała damską bieliznę.

A potem Tomasz i Andree z plandeki i niebieskiego sznura które zebrał Tomasz zbudowali doskonały namiot a mnie przypadło spanie samotnie w tylnej części land-rovera z uwagi na moje niewielkie rozmiary.

Uczta przygotowana przez Martyrę była wyśmienita podobnie jak wino Tomasia i wkrótce nadszedł czas na śpiewy. Tomasz skomponował wybitną piosenkę o grupie podróżników ich historiach miłosnych i niewłaściwym zachowaniu którą zaśpiewał przy akompaniamencie swej gitary a ja bardzo byłbym zainteresowany nauką gry na gitarze bowiem Tomasz już nauczył mnie kilku akordów. Gdy nadeszła moja kolej zaśpiewałem Benedictus z Wielkiej mszy h-moll Bacha czego nauczyła mnie siostra Teodozja i podziękowaliśmy za Przyjaźń którą cieszyliśmy się na truskawkowym polu. A ja w głębi serca pomodliłem się raz jeszcze o to bym na powrót złączył się z tobą kochana siostró a także o szybkie wybawienie Iriny bowiem wiedziałem że nadchodzi sztorm jako że czerwone słońce zeszło nisko poprzez rozeżlone obrzmiałe białoszare chmury które przesłoniły wschodzący księżyc.

\* \* \*

Kiedy zjadłam wszystkie frytki, polizałam skrawki papieru, a następnie zlizalam z papieru tłuszcz. Potem rozważyłam moje możliwości.

Jeśli skrećę w prawo, to będę iść w stronę rzędu topól i lśniącego białego pola. Jeśli to te same topole, droga zaprowadzi mnie z powrotem na truskawkowe pole, skąd będę mogła zabrać swoje rzeczy i trochę pieniędzy, które udało mi się zaoszczędzić, a pozostali zaopiekują się mną i pomogą mi się stamtąd wydostać. Jeśli skrećę w lewo, prawdopodobnie dotrę do Dover. Poszłabym wtedy na policję, a oni odesłaliby mnie do Kijowa, gdzie czekałaby na mnie Mama ze łzami w oczach. Ostrzegałam cię, Irinko, ale ty mnie nie słuchałaś! — powiedziałyby, pochlipując. A potem snułabym się po mieszkaniu, w którym byłabym tylko ja, Mama i kot. Grałybyśmy sobie na nerwach, żalując, że nie ma z nami Taty, a ja marzyłabym o powrocie do Anglii.

Skreśliam w prawo.

Słońce zeszło już nisko, zapadał zmierzch i zerwał się nieprzyjemny wiatr. Musiałam być stale w ruchu, inaczej zamarzałabym na śmierć.

Zaczełam maszerować, wymachując energicznie rękoma, by się rozgrzać, bo miałam na sobie tylko cienki sweter. Całe szczęście, że tamtego wieczoru, kiedy zaczęły gryźć muszki, włożyłam na szorty dzinsy. Droga wiała się pomiędzy wysokimi żywopłotami, więc przez większą część czasu nie wiedziałam, dokąd idę. Czasem pięła się nieco, czasem opadała. Wokół nic nie wyglądało znajomo. Rząd topoli znikł całkowicie z pola widzenia.

Straciłam poczucie czasu i przestrzeni i nie miałam pojęcia, jak daleko zaszłam. Minał mnie jakiś samochód, mignął oślepiająco reflektorami, ale się nie zatrzymał. Potem zaczęło padać. Z początku wcale tym się nie przejęłam, bo bardzo chciało mi się pić, więc wystawiłam język, by złapać krople wody. Ale wkrótce mój sweter przemókł, zaczęłam dygotać z zimna, a wiatr przenikał przez mokre ubranie i smagał moją twarz strugami deszczu. To było okropne!

Zaczełam biec z głową pochyloną w dół, dłońmi wciśniętymi w kieszenie swetra. Przejechał kolejny samochód, a ja zamachałam ręką, ale auto znikło już w mgławicy rozpylonej wody. Kiedy zaczęłam już czuć deszcz na własnym ciele, zobaczyłam przy drodze starą szopę, a może garaż ze skorodowanych blach. Pchnęłam drzwi. Otworzyły się, skrzypiąc. Wewnątrz unosił się zapach benzyny, a w kącie przykryty plastikiem rdzewiał stary silnik. Było tam nawet krzesło. Szczęście się do mnie uśmiechnęło! Usiadłam. Krzesło się zachwiało. Miało tylko trzy nogi. Cóż, nie pozostało mi nic innego jak siedzieć i czekać do rana. ‘

Marta otulona ciepłem swojego łóżka wsłuchuje się w bębnienie deszczu o obły dach przyczepy, miękki, bliski odgłos stukania przywodzący na myśl przyjaciela, który pyta, czy może wejść. Marta myśli o Irinie. W drugim łóżku Ciocia Jola mamrocze coś przez sen, pochłonięta jakąś nocną sprzeczką. Nawet we śnie ciocia znajdzie powód, by kogoś zbesztać. Krople deszczu są coraz głośniejsze, bardziej natarczywe. Zerwał się ostry wiatr, szarpie lekkimi panelami ich kruchego domu i wpada do środka poprzez zasłony w kratkę, które zasłaniają otwarte okna. Chinki też nie śpią. Wtulają się w siebie w swym podwójnym łóżku. Ciocia Jola gwałtownym parsknięciem kończy sprzeczkę, którą śniła, i wstaje, by pozamykać okna. Marta nastawia czajnik, smaruje kromki chleba margaryną i dżemem morelowym. Wkrótce w przyczepie robi się ciepło i przyjemnie. Wszystkie siadają w koszulach nocnych na skraju podwójnego łóżka, zajadają chleb z dżemem i rozmawiają szeptem, choć nie ma ku temu właściwie żadnego powodu.

Nagle na zewnątrz rozlega się inne głośniejsze stukanie i słychać męskie głosy. Marta otwiera drzwi. W progu stoją Andrij i Tomasz. Są przemoczeni do suchej nitki i wyglądają jak dwie mokre skarpetki zawieszzone na sznurze do bielizny. Zwiało im dach. Choć to damska przyczepa, tylko dla kobiet, Ciocia Jola mięknie na ich widok.

— Wejdźcie. Możecie się tu schować przed burzą.

Wycierają się ręcznikami i też siadają na skraju łóżka. Marta podaje im posłodzoną herbatę w kubkach. A potem słyszy ciche szczekanie psa — hau! hau! — i znów ktoś puka do drzwi. Pies i Emanuel postanowili do nich dołączyć. Nie zmokli — w land-roverze było sucho — byli po prostu spragnieni towarzystwa. Mieć przyjaciół z dala to wielka przyjemność, mówi Emanuel, wycierając przed wejściem buty o wycieraczkę.

Jakoś cała siódemka mieści się w środku, Andrij siedzi na stołku, Tomasz, Emanuel i Pies na podłodze, panie ściśnięte na podwójnym łóżku.



Popijają herbatę, jedzą resztki chleba z dżemem i słuchają, jak deszcz wali o dach. Zawsze będę pamiętać tę noc, myśli Marta. Taka przyjaźń jest prawdziwym darem Boga.

Po jakimś czasie, kiedy wszyscy robią się senni, Tomasz i Andrij wyciągają się na pojedynczych łózkach, a Emanuel zwija się w wąskim przejściu pomiędzy nimi. Marta i Jola mieszczą się jakoś z Chinkami na podwójnym łóżku, a pies kładzie się pod nim. Marta, która leży w środku, musi łokciami wywalczyć sobie miejsce między ciocią i Chinką. Napierająca na nią dziewczyna jest zaskakująco ciężka i ciepła. Marta zastanawia się, która to z tych dwu. Choć nigdy dobrze żadnej z nich nie poznała, wspólne mieszkanie w przyczepie sprawiło, że obie są jej w jakiś sposób bliskie.

Marta, zawieszona pomiędzy jawą a snem, przypomina sobie ostatnią kolację. To było prawdziwe dzieło sztuki. Najpierw usmażyła rybę Andrija na margarynie z listkami dzikiego czosnku i kilkoma grzybami, które przyniósł z pola Tomasz. Kurczaka pokroiła w drobne kawałki i ugotowała na wolnym ogniu w ziołach i herbacie, a do pysznego sosu dodała odrobinę wina. Szkoda, że zakupy, które wcześniej zrobili, były takie skromne, powiedziała ciotce z cieniem wyrzutu w głosie. Na szczęście zostało jeszcze trochę czerstwego chleba, który pokroiła w kwadraty, obsypała dla smaku świeżym, rosnącym przy drodze majerankiem i lekko podsmażyła. Marchewki posiekała w drobne prawie przezroczyste słupki i podała na margarynowo-brzoskwiniowej glazurze. Marta żałuje, że marchewki były kradzione, w końcu to grzech, ale modli się, by właściciele zostali wynagrodzeni w niebie, bo przecież kiedy dajemy jeść ubogim, to tak jakbyśmy karmili Pana Naszego. I choć każdy dostał tylko po małej filiżance wina, wystarczyło, by wznieść toast za ich przyjaźń i szczęśliwe ponowne spo-

tkanie w bliżej nieokreślonej przyszłości.

— Za wszystkich mieszkańców przyczep wszędzie na świecie! — powiedział Tomasz, unosząc w górę wyszczerbioną filiżankę.

Tej nocy nikt nie może spać. Leżą, słuchają odgłosów burzy i rozmawiają szeptem, aż wreszcie wiatr cichnie, bębnienie deszczu ustaje, a niebo się rozjaśnia.

Następnego dnia w terminalu promowym czeka na nich Witalij. Znowu rozmawia przez telefon komórkowy i rozgląda się wokół, podirytowany i niespokojny. Marta po raz pierwszy zauważa w jego oczach zniecierpliwienie, a to ją niepokoi. Po ostatniej nocy, pod wpływem uczucia bliskości między przyjaciółmi, hałaśliwa melodyjka telefonu komórkowego nabrała fałszywego tonu.

Witalij nie przyszedł sam. Jest z nim mężczyzna, który podobnie jak Witalij ma wygoloną głowę i ciemną karnację, jest jednak starszy, ma nieco ostrzejsze rysy i bliznę na lewym policzku, sięgającą aż po kącik ust. Mężczyzna przedstawia się jako pan Smith.

— Pan Smith będzie wam towarzyszyć — Witalij zwraca się do Chinek. — Będzie wam towarzyszyć w drodze do Amsterdamu i przedstawi was rodzinie szacownego dyplomaty. Prawda, panie Smith?

Pan Smith uśmiecha się, a blizna odciąga jego górną wargę, odsłaniając zęby.

— Drogie panie. Proszę za mną. Czy macie przy sobie paszporty?

Prowadzi je przez tłum ludzi do dużego srebrnego samochodu, który stoi zaparkowany na zewnątrz.

— Do widzenia — mówią Chinki, machając przez zaciemnione szyby.

Song Ying, znana pozostałym jako Chinka Numer Jeden, pochodzi z południa Chin z prowincji Guangdong. Jej ojciec pracuje w nowym banku w dużym przemysłowym mieście i jest osobą o pewnej pozycji wśród lokalnej społeczności. Mama jest nauczycielką. Song Ying jest ich jedynym dzieckiem, rodzice ją hołubią, nie żałują na nią wydatków, więc dziewczynka żyje w oczekiwaniu obiecującej przyszłości.

Jest bystra, a rodzice płacą za prywatne lekcje. W wieku dziewiętnastu lat zdaje egzaminy do prestiżowej Szkoły Biznesu przy Uniwersytecie Pekińskim. Rodzice oszczędzili wystarczająco dużo, by pokryć wszelkie opłaty. Pierwszy semestr zaczyna się jesienią. A przynajmniej powinien się wtedy rozpocząć.

Szesnaście miesięcy wcześniej jej mama zaszła w ciążę. Władze dość pobłażliwie traktowały wówczas przepis nakazujący małżeństwom mieć tylko jedno dziecko, więc sądzi, że ujdzie jej to na sucho, ale podczas ostatniej fali wzmożonego konserwatyzmu znów przykręcono śrubę. Mamę wezwano do rady prowincji, gdzie dano jej do wyboru dwie możliwości: albo usunie płód, albo będzie musiała zapłacić wysoki podatek. Mama Song Ying za część swoich oszczędności wykonuje prywatnie badanie ultrasonograficzne. Wynik wskazuje, że to chłopiec. Rodzice Song Ying późną nocą omawiają stojący przed nimi wybór. Ojciec namawia mamę do aborcji, ale mama tak długo płacze, że ojciec w końcu ustępuje. Podejmują decyzję. Będą mieć to dziecko i zapłacą podatek.

Podatek pochłania wszystkie pieniądze, które oszczędzili na wykształcenie Song Ying, a nawet więcej, i w efekcie popadają w długi. Niemowlę jest śliczne. Cała rodzina je rozpieszcza i dziecko szybko robi się tłuściutkie. Mama Song Ying jest szczęśliwa i ledwo zwraca uwagę na córkę, a

jeśli, to tylko po to, by powiedzieć: „Spójrz, masz ślicznego brata. Czy to ci nie wystarcza?”. Ojciec Song Ying stara się o awans, by móc częściowo pokryć ten dodatkowy podatek, zaczyna również dorabiać nocami w restauracji. „Nie martw się — mówi do córki. — Znajdę ci dobrą pracę w banku nawet bez dyplomu uniwersytetu”. Song Ying płacze nocami w poduszkę, ale nikt tego nie słyszy.

Song Ying dowiaduje się o college'u w Anglii, do którego za skromną opłatą mogą się zapisać studenci z zagranicy i otrzymać wizę bez konieczności obowiązkowego uczęszczania na zajęcia. Mając studencką wizę, może pojechać do Anglii i pracować dorywczo. Nikt nie będzie sprawdzać, ile godzin pracuje. Jeśli chesne będzie opłacone, college z przyjemnością potwierdzi, że Song Ying uczęszcza na zajęcia. Pomogą jej znaleźć pracę. Może pracować, ile tylko zechce, a kurs wymiany yuana jest tak korzystny, że nawet po zapłaceniu biletu lotniczego i opłat w college'u zarobione pieniądze wystarczą jej na wydatki związane z pierwszym rokiem studiów na uczelni w Pekinie — Song Ying wszystko dokładnie kalkuluje, bo nie może sobie pozwolić na żaden błąd. Potem składa podanie do college'u, zostaje przyjęta i podpisuje zgodę na opłacenie biletu na samolot i chesnego z pieniędzy, które zarobi.

College nie wygląda tak, jak sobie wyobrażała — to po prostu kilka pokoi nad agencją bukmacherską przy nędznej uliczce wiele kilometrów od centrum Londynu. Mieszczą się tam tylko cztery sale. Większość studentów, podobnie jak ona, nie przyjechała po to, by się uczyć. Po pracy w gwarnej restauracji jest często zbyt zmęczona, by skupić się na tych niewielu lekcjach angielskiego, na które chodzi. W college'u poznaje Soo Lai Bee, Chinkę z Malezji, która zapisała się na kurs angielskiego (college, niezależnie od pozostałych dziedzin działalności, prowadzi kilka auten-

tycznych kursów). Dla Song Ying, która w swym rodzinnym domu dorastała pod kloszem, bez rodzeństwa, towarzystwo innej dziewczyny w jej wieku jest czymś wspaniałym. Mówią tym samym językiem i mają sobie tyle do powiedzenia. Soo Lai Bee rozumie jej problemy i ma swoje własne, którymi chce się z nią podzielić. Stają się nierozłączne. Kiedy w college'u podano informację o pracy przy zbieraniu truskawek i zaproponowano załatwienie (oczywiście odpłatnie) niezbędnych papierów, potwierdzających, że są studentkami rolnictwa, obie pod wpływem chwili decydują, że podejmą tę pracę.

Choć to college znalazł Song Ying pracę przy zbieraniu truskawek, nie zarobiła jeszcze tyle, by pokryć czesne, a co dopiero oszczędzić na uniwersytet. Ale Song Ying jest pracowita, inteligentna i ambitna. Na pewno znajdzie sposób, by spełnić swoje marzenie.

\* \* \*

Chińczyk w Malezji musi być dwa razy zdolniejszy i pracować dwa razy więcej, by gdziekolwiek zajść, tak mówił ojciec Soo Lai Bee. A i to często nie wystarcza. Więc kiedy Soo Lai Bee, znana pozostałym jako Chinka Numer Dwa, dostała pięć najwyższych stopni na egzaminach STPM i mimo to nie było dla niej miejsca w szkole medycznej, choć wielu studentów, Malajów należących do grupy Bumiputra, z niższymi stopniami dostało się na studia w ramach systemu kwotowego, jej nadzieje zostały zburzone. To dlatego, że Chińczycy odnoszą w Malezji tyle sukcesów, mamrotał ponuro jej ojciec. Jeśli większość ludności należącej do grupy Bumiputra zacznie żywić urazę, to wybuchną zamieszki skierowane przeciw Chińczykom. Wystarczy spojrzeć na Indonezję. Ale i tak było to bolesne. Rodzice, którzy mieli wobec córki ambitne plany, uzgodnili, że powinna studiować w Anglii.

Tak, wiązałoby się to z wysokimi kosztami. Jednakże ojciec miał na to środki, był właścicielem odnoszącej sukcesy rodzinnej firmy budowlanej. Chińczyk w Malezji ma tylko jeden sposób na robienie interesów: musi połączyć swe siły z firmą Bumiputra. Taka firma dostaje kontrakt na podstawie przepisów ograniczających zawieranie umów z osobami, które nie są rdzennymi Malajami, a potem go od niej odkupujesz. Oni zarabiają, ty wykonujesz pracę, prawo jest przestrzegane i wszyscy są zadowoleni.

Ojciec Soo Lai Bee nawiązał całkiem niezłe relacje ze swoim partnerem biznesowym z grupy Bumiputra, Abdulem Ismailem, który zarobił miliony, sprzedając Chińczykom zezwolenia na import samochodów, przyznawane członkom grupy Bumiputra w ramach systemu kwotowego, a kontrakty budowlane traktował jako działalność uboczną; czasem nawet spotykali się towarzysko. W trakcie jednego z takich spotkań Soo Lai Bee poznała Zia Ismaila, jego syna. Zainteresowała się nim trochę dlatego, że należał do Bumiputra, natomiast jego przyciągnęło do niej to, że nie była Malajką. Zakochiwanie się w niewłaściwej osobie jest przywilejem młodości i tak właśnie stało się w tym przypadku.

Abdul Ismail był wściekły. Postawił swemu partnerowi biznesowemu ultimatum: albo ich dzieci zerwą ze sobą, albo oni zerwą stosunki biznesowe. Soo Lai Bee płakała i płakała, ale naprawdę nie było innego wyboru. Mama i dwie starsze siostry nalegały. Ojciec ostrzegał, że bez takiego partnera biznesowego i lukratywnych kontraktów z sektora publicznego nie będzie pieniędzy na opłacenie jej studiów w Anglii. Nie martw się, poczekam na ciebie, powiedział Zia Ismail.

Przyjęcie do angielskiej szkoły medycznej zależało od tego, czy Soo Lai Bee otrzyma siódmą na międzynarodowym teście z języka angielskiego. Rodzice pomyśleli, że najlepiej będzie, jak natychmiast wyjedzie. Zapisła

się do college'u dla zagranicznych studentów w Londynie. Po dwu tygodniach od przyjazdu do Anglii dowiedziała się, że Zia Ismail jest z kimś zaręczony.

Najpierw była smutna, później wściekła, a potem cieszyła się, że jest z dala od domu, w innym kraju, w którym nikogo nie obchodzi przynależność rasowa. W college'u zaprzyjaźniła się z Song Ying, Chinką, która nawet nie studiowała i była *tam* tylko ze względu na zezwolenie na pracę. Całymi godzinami rozmawiały o mamach, ojcach, chłopakach, braciach, siostrach, Polakach, Ukraińcach, Malajach i Anglikach. Razem śmiały się i płakały. Razem pojechały zbierać truskawki. I razem pojechały do Amsterdamu.



## „Łąka jaskrów”

Hotel Majestic w Shermouth mógł być w porównaniu z hotelami nad Bałtykiem uważany za luksusowy w latach pięćdziesiątych, ale od tamtej pory ani go nie odnawiano, ani nie przeprowadzano żadnych istotnych prac konserwatorskich. Do jego licznych niewygód należy również to, że winda nie działa (pokój Marty i Joli jest aż na piątym piętrze), woda we wspólnych łazienkach jest zakręcana o godzinie dziewiątej wieczorem (pokój z łazienką? Chyba żartujecie). No i wszędzie biegają karaluchy. Co prawda z pokoju rzeczywiście mają ładny widok na morze.

Ale najgorsze w hotelu Majestic jest to, że w jego masywnych ścianach z czerwonej gotyckiej cegły, w których roi się od karaluchów, mieszka około dwustu osób, i to nie turystów czy wczasowiczów, ale ludzi usiłujących tam żyć — pracujących imigrantów, takich jak one same, osób starających się o azyl, przybyłych z każdego targanego konfliktami zakątka świata, bezdomnych rodzin ze slumsów angielskich miast — upchniętych jedni nad drugimi jak dusze w piekle, przepychających się w kolejkach do brudnych toalet, podkradających sobie mleko ze stęchłych wspólnych lodówek, budzących siebie nawzajem ciągłymi kłótniami, imprezami i nocnymi koszmarami.

Hotel nie oferuje żadnych posiłków, więc „goście” muszą jeść na mieście albo przyrządzać posiłki i jeść w pokojach — raj dla karaluchów. Nie słyszać śpiewu ptaków, ale nigdy też nie ma ciszy, bo nawet ciemną nocą zawsze ktoś wstaje na wczesną poranną zmianę, ktoś wraca z nocnej zmiany, ktoś puszcza muzykę, bije się albo się kocha, albo ucisza płaczące niemowlę, toteż jedynym sposobem na zachowanie zdrowia psychicznego jest całkowite odcięcie się, wymazanie ze świadomości ludzkiego żywiołu

napierającego poprzez ściany, podłogi i sufity. Jola podsumowuje to trzema słowami: Zbyt wielu obcokrajowców.

Gdyby to naprawdę było piekło, myśli Jola, to powinny tu być diabły z widłami. Tymczasem Jolę i Martę przypisano do pokoju, który muszą dzielić z dwiema Słowaczkami, a te zdecydowanie niechętnie powitały nowe współlokatorki, jako że wcześniej pokój należał tylko do nich. Porzuciły wszędzie swoje rzeczy i porozwieszały moką bieliznę, przez co nie tylko panuje bałagan, ale jeszcze na dodatek jest parno i wilgotno. Oczywiście nie można ich winić za to, że w hotelu nie ma pralni i suszami, ale zdaniem Joli sprawę pogarsza rodzaj majtek noszonych przez Słowaczki. Są to mianowicie stringi. Masywne pośladki Słowaczek podskakują w tak wyciętych majtkach w sposób całkowicie niekontrolowany, co jest żalotne, i Jola nigdy w życiu nie zdoła pojąć, dlaczego jakakolwiek kobieta miałaby z własnego wyboru cierpieć takie niewygody, skoro ładnie wycięte majtki z białej bawełny są ogólnie dostępne, niedrogie i powszechnie uznane za higieniczne, a w przeciwieństwie do tego, co można by przypuszczać, mężczyźni o bardziej wyrafinowanej naturze, których, jak Jola może tylko się domyślać, jest bardzo niewiele na Słowacji, uważają je za niezwykle ponętne.

Marta również patrzy na stringi z odrazą, choć jej powody są zupełnie inne.

\*\* \*

Kiedy Jola i Marta zostały odwiezione do hotelu, Tomaszowi kazano zostać w furgonetce, ponieważ był potrzebny fermie i wylęgami drobiu Sunnydell w Titchington. Protestował zaciekle, twierdząc, że jedyne, czego chce, to być z Jolą, i nie dba o nową pracę, będzie szczęśliwy, siedząc u jej boku z gitarą i śpiewając dla niej. Ale furgonetka już ruszyła, a w tylnym

lusterku Jola i Marta pomachały na pożegnanie i znikły.

— Bez obaw. To niedaleko — powiedział kierowca minibusu. — Wrócisz z porządną wypłatą i wtedy będziesz mieć możliwości. He, he.

Z jakiegoś powodu wszystkie siedzenia w minibusie były wymontowane, więc pasażerowie musieli siedzieć w kucki na podłodze. Ze swojego miejsca Tomasz niewiele widział, ale dostrzegł jakieś pola, lasy, a raz nawet kawałek morza. Później pokonali wertepy długiej tłuczniowej drogi, aż wreszcie dojechali na miejsce.

Minibus zatrzymał się przed dwoma małymi bliźniakami z cegły, stojącymi w zaniedbanym, zarośniętym ogrodzie otoczonym drewnianym parkanem. W zasadzie domki powinny robić czarujące wrażenie, ale Tomasz od razu czuł, że jest w nich coś podejrzanego i złowrogiego. Zastłony były zaciągnięte, choć był już późny ranek, a przed drzwiami stało kilka cuchnących czarnych worków na śmieci.

— Tutaj — kierowca wskazał dom po lewej stronie — tutaj będziesz mieszkać. — Po czym, jakby dla dodania mu otuchy, wskazał na dom po prawej: — A ja zatrzymam się tutaj.

Tomasz wziął torbę i przewiesił gitarę przez ramię. Cóż, zamieszkanie w domu, pomyślał, to przynajmniej jakaś miła odmiana, nocą będzie mógł zaniknąć oczy i zamknąć również drzwi.

— Kiedy gotowy, pójdziesz do biura, tam.

Kierowca wskazał szeroki plac za podwójną bramą, na którym stał niski budynek z czerwonej cegły. Przed budynkiem widać było kilka zaparkowanych samochodów. Dalej kolejny podjazd prowadził do kilku ogromnych zielonych budynków przypominających hangary, oddalonych od siebie o mniej więcej dwadzieścia metrów. To stamtąd, uświadomił sobie Tomasz, dochodził ten brzydki zapach.

**\*\* \***

**JESTEM PSEM JESTEM SMUTNYM PSEM MÓJ DOBRY PAN O OSTRYM ZAPACHU STÓP ODJECHAŁ MOJA PANI OD NAKŁADANIA MAŚCI NA ŁAPY ODJECHAŁA MOJA PANI O DOBRYM ZAPACHU POD SPÓDNICĄ ODJECHAŁA WSZYSCY ODJECHALI DO WIDZENIA PSIE POWIEDZIELI DO WIDZENIA DOBRY PSIE JESTEM DOBRYM PSEM JESTEM SMUTNYM PSEM JESTEM PSEM**

**\*\* \***

Zapach z fermy sam w sobie był już dość nieznośny, ale Tomasz zupełnie nie był gotowy na smród, który uderzył go w nozdrza, ledwo otworzył drzwi wejściowe do małego domku: był to fetor zastałego powietrza, potu, moczu, kału, spermy, niemytych włosów, nieświeżego oddechu, zepsutych zębów, zbutwiałych butów, brudnych ubrań, zepsutej żywności, papierosów i alkoholu. Był to zapach ludzkości. A choć Tomasz był bardziej niż inni odporny na takie zapachy, mimo to złapał oddech i zasłonił dłonią nos i usta.

Na dole mieściły się dwa pokoje. Drzwi do jednego z nich były otwarte. W środku wokół stołu, na którym tłuste resztki jedzenia wciąż czekały, aż ktoś je posprząta, stało sześć krzeseł. Drugi pokój był od frontu. Tomasz otworzył drzwi i uderzyła go fala gorącego cuchnącego ludzkimi oddechami powietrza. Było tam sześć — nie, siedem — śpiących osób, zwinionych na materacach na podłodze, z porozkładanym wokół żalonym dobytkiem wysypującym się z podręcznych toreb i reklamówek — pomieszane ze sobą buty, ubrania, pościel, papiery, paczki papierosów, butelki i inne ludzkie pozostałości. Rozlegało się chóralne łagodne pochrapywanie i

posapywanie. Tomasz szybko się wycofał i zamknął za sobą drzwi.

Na górze było to samo. W jednym pokoju, tym mniejszym, były cztery materace. Leżały na podłodze tak blisko siebie, że aby dostać się na drugą stronę pomieszczenia, trzeba było po nich przejść. A na każdym materacu leżała na brzuchu śpiąca postać. W drugim, większym pokoju było sześć materaców i sześć śpiących osób. Nie — jeden materac, ułożony najdalej, w rogu, był pusty i Tomasz uświadomił sobie z okropnym uczuciem ssania w żołądku, że ten materac był przeznaczony dla niego.

Zszedł na dół, do jadalni, odsunął krzesło i z uczuciem przygnębienia tak intensywnym, że aż niemal przyjemnym, wyciągnął gitarę. A więc teraz będzie żył w takich warunkach. Czy był kimś więcej niż tylko fragmentem wzburzonej ludzkości, wyrzuconym na ten daleki brzeg? Oto dokąd zaprowadziła go ta podróż.

Z tego może być jakaś piosenka.

\*\* \*

Obudził mnie śpiew ptaków, tak słodki i bliski, że przez chwilę myślałam, że jestem z powrotem w przyczepie. Otworzyłam oczy i rozejrzałam się wokół. Gdzie byłam? Promienie słońca wpadały nisko przez zakurzone okno. I wtedy sobie przypomniałam: w pewnym momencie nocą opuściłam krzesło o trzech nogach i zwinęłam się na plastikowej płachcie na podłodze. Musiałam tak zasnąć. Moje ubranie było wilgotne. Nic dziwnego, że cała zdrętwiałam. Wstałam i wyprostowałam się, rozciągnięcie rąk i nóg było bolesne. Aj! Co za noc. Pamiętałam, że coś mi się śniło — to był jeden z tych okropnych snów, w których biegiesz i biegiesz, ale nie możesz się ruszyć. Jeden z tych snów, z których chętnie się budzisz w słoneczny poranek.

Znów burczało mi w brzuchu—wczorajsze frytki przestały już mieć jakikolwiek efekt. Uchyliłam drzwi i wyszłam na zewnątrz. Deszcz już nie padał i niebo się rozjaśniło, ale na ziemi wciąż były kałuże. W Kijowie, kiedy nocą pada, budzisz się rano i widzisz wszystkie złote kopuły cerkwi umyte i lśniące w słońcu, a wyboje na ulicach pełne są wody. Uważaj na wyboje, Irino, mawiała Mama, kiedy szłam rano do szkoły, ale ja i tak zawsze byłam ochlapana.

Znajdowałam się w czyimś ogrodzie. Stary garaż stał na końcu długiego żwirowanego podjazdu. W oddali, za ścianą drzew widziałam kominy dużego domu. Żwir pod moimi stopami zachrzącał i gdzieś niedaleko zaczął szczekać pies. Czy był na łańcuchu? Czy był groźny? Stałam bez ruchu i nasłuchiwałam. Szczekanie ustało. A potem w oddali usłyszałam inny cichy dźwięk — warkot samochodowego silnika, który stawał się coraz głośniejszy.

Kilka minut później zobaczyłam samochód. To była biała furgonetka. Podeszłam bliżej i zaczęłam machać. Kierowca zwolnił i pomachał do mnie. Co za idiota — nie widział, że nie macham tak sobie dla zabawy? Wyskoczyłam na sam środek drogi, nie miał wyboru, musiał zahamować z piskiem opon. Kierowca opuścił okno i zawołał:

— Ty, wariatka! Co ty robisz?

— Ten znajomy akcent! Ta okrągła twarz! Ta okropna koszula! Od razu wiedziałam, że jest Ukraińcem. Z jakiegoś głupiego powodu łzy napłynęły mi do oczu.

— Proszę. — Powiedziałam po ukraińsku. — Proszę mi pomóc.

Otworzył drzwiczki od strony pasażera.

— Wsiadaj, dziewczyno. Gdzie chcesz jechać?

Usiłowałam coś powiedzieć, ale zaczęłam pociągać nosem, co było za-

łosne, bo przecież jednak żyłam i nic strasznego mi się nie stało.

—OK, dziewczyno. Nie płacz — powiedział kierowca furgonetki. —  
Możesz z nami jechać.

Kiedy furgonetka ruszyła, usłyszałam z tyłu głosy. Odwróciłam się i zobaczyłam ze dwanaście osób, mężczyzn i kobiet siedzących w kucki na podłodze. Wszyscy byli młodzi. Niektórzy cicho rozmawiali. Inni drzemali. Wyglądali na studentów — w zasadzie byli bardzo podobni do mnie.

—Cześć — powiedziałam po ukraińsku. Rozległo się chóralne „cześć”, wypowiedziane po ukraińsku, polsku i jeszcze w dwu innych słowiańskich językach, których nie potrafiłam zidentyfikować.

— Zbieracze truskawek — wyjaśnił kierowca.

— A, to świetnie! Tak jak ja.

Zaczęłam opowiadać o przyczepach i truskawkowym polu i nagle je zobaczyłam, mignęło po prawej stronie, mały zagajnik i brama, i kochane znajome pole na południowym stoku wzgórza. Ale co się stało z naszą przyczepą?

— Zatrzymaj się, proszę! — krzyknęłam.

Kierowca nacisnął hamulec, kręcąc przy tym głową.

—Zatrzymaj się. Jedź. Zatrzymaj się. Jedź. Typowa kobieta.

— Zaczekaj. Proszę. Tylko na chwilę!

Pobiegłam w dół drogą i otworzyłam bramę. Nie było damskiej przyczepy — po prostu znikła. Tylko osłona prysznicowa wciąż trwała na miejscu, czarny plastik łopotał nikomu już niepotrzebny. Męska przyczepa stała przekrzywiona. Wspięłam się na palce i zajrzałam przez okno. Była pusta. Wokół nie było nikogo. Na polu pełno dojrzałych truskawek. Słyszałam tylko drozda, który jak zwykle śpiewał w zagajniku na szczycie wzgórza swą poranną pieśń.



Wróciłam do furgonetki.

— Zatrzymać się? Jechać? — spytał kierowca.

— Jedźmy.

\*\* \*

Kiedy Chinki odjechały z panem Smithem, a Witalij zabrał Polaków na spotkanie z kierowcą furgonetki (którego określił mianem „menedżera do spraw transportu”), Andrij, Emanuel i pies, szukając pocieszenia i ucieczki przed upałem, wybierają się na lody. Z Witalijem mają się spotkać w mieście w jednym z pubów.

Andrij ma nadzieję, że Witalij, zamożny właściciel *mobil-fonu*, postawi im kolejkę, ale okazuje się, że nie ma przy sobie gotówki, więc Andrij, z tego, co mu zostało z dwutygodniowej wypłaty, musi zapłacić za dwa małe piwa dla siebie i Emanuela i za podwójną szkocką z colą dla Witalija.

Zabierają drinki i przez drzwi z napisem: „Ogród piwny” przechodzą na zimny i wilgotny dziedziniec, na którym stoi pełno pustych beczek po piwie i gdzie przez wysoki ceglany mur porośnięty posępnym, pokrytym czarnym osadem bluszczem ledwo docierają promienie słońca. Nikogo więcej tam nie ma. Pies znajduje pod stołem resztki kanapki zawinięte w papierową serwetkę i pochłania je błyskawicznie, rozrzucając wokół okruchy i skrawki papieru. Emanuel i Andrij sączą powoli piwo, by starczyło im na dłużej.

Witalij od razu chce wiedzieć, co się stało z Iriną, a w jego sposobie mówienia, płynnym przechodzeniu z rosyjskiego na angielski, jest jakaś irytująca arogancja.

— Myślałem, że do tej pory ty i ona stworzycie już sobie możliwości. Mógłbym znaleźć jej miłą pracę w Londynie. Taniec. Czy ona potrafi tańczyć? Dobrze płacą. Luksusowe zakwaterowanie.

Kiedy Andrij opowiada mu o nocnym uprowadzeniu, Witalij gwizdże

przez zęby.

— Ten pan Wulk to niedobry niedobry człowiek. Przez niego zawód konsultanta do spraw rekrutacji może mieć złą reputację.

— To on jest konsultantem rekrutacji?

— Tak, oczywiście. Ale nie takim jak ja. Nie jest konsultantem do spraw rekrutacji z umiejętnością elastycznego reagowania na wzrost wymagań. Jego bardziej interesują zagraniczne kontakty. Moje kontrakty to znajdowanie pracy dla osób, które przyplływają promem. Dynamiczne i stanowcze rozwiązywanie wszystkich spraw organizacyjnych i zatrudnieniowych.

— I on mieszka tu, w Dover?

— W jakimś hotelu, chyba niedaleko stąd.

— Możesz mnie do niego zaprowadzić?

— Aha! Widzę, że dalej czekasz na sposobność z tą Ukrainką?

Andrij w wystudiowany sposób wzrusza ramionami.

— Cóż, oczywiście chciałbym wiedzieć, gdzie ona teraz i jest. Ale Irina ma już chyba chłopaka. Mistrza boksu.

Witalij patrzy na niego z rozbawieniem.

— Boksu? To niezbyt typowe jak na wysokiej klasy dziewczynę. *Anglijski?*

— Być może. Chyba tak. — Andrij również ma wątpliwości co do tego chłopaka.

Jest niesamowicie wściekły na Witalija. Skąd on ma te ubrania, ciemne okulary, ten telefon? A jak te baby tańczyły wokół niego w terminalu! Przecież nie zawdzięcza tego marży na piwie sprzedawanym w przyczepie, prawda? I dlaczego trzymał to w tajemnicy? Zbieracze truskawek wszystkim się dzielili, a Witalij przez cały czas coś przed nimi ukrywał. I jak

szybko nastąpiła ta przemiana z równego na wyższego. Do czorta! To się stało w ciągu jednej nocy. Oczywiście Andrij widział już takie rzeczy na Ukrainie —jednego dnia wszyscy byli towarzyszami, a drugiego jedni mieli miliony, a inni... kupony. Jak do tego doszło? Nikt nie miał pojęcia. Został mu po tym niesmak.

A co możesz zrobić z kuponami? Nie można ich zjeść. Nie można ich wydać. Można je tylko sprzedać. Ale kto by je kupił? Nagle wszyscy milionerzy stali się miliardami, a reszta miała tylko na węgiel, by jakoś przetrwać zimę i tyle *bye-bye, end of story*. Teraz w całym kraju rządzą faceci z *mobilfonami*.

A ten Witalij —jeśli znajdzie Irinę, czy zadzwoni do ciebie na *mobilfon* i powie: hej, Andriju, przyjacielu, chodź i zrób tu sobie możliwość? Mało prawdopodobne. A co ona sobie pomyśli o tym nowym Witaliju i jego nowym mobilfonowym rekrutująco-konsultującym wcieleniu? Uważa się za kogoś dużo lepszego — nowa Ukrainka, model High Spec — może akurat okaże się, że nowy Witalij mieści się w jej kategorii. Halo, mobilfonowy biznesmenie — tu mówi Irina — czy mamy możliwość? A gdyby Irina dała sposobność Witalijowi, to dlaczego w ogóle miałoby cię to obchodzić, Andriju Palenko? Teraz Andrij odczuwa irracjonalną, zaślepiającą złość zarówno na Irinę, jak i Witalija.

— Ja też mam *angliską* dziewczynę — mówi znacząco Witalijowi. — Vagvaga Riskegipd. W Sheffieldzie. Właśnie zamierzam tam pojechać i ją odszukać.

Witalij znów spogląda na niego dziwnym wzrokiem.

— Posłuchaj, przyjacielu, jeśli zobaczę Wulka, zapytam go, co się stało z tą Ukrainką.

Andrij ma właściwie nadzieję, że Witalij zaproponuje mu pracę — dobre wynagrodzenie, luksusowe zakwaterowanie i tak dalej — tylko dlatego, że mógłby wówczas z satysfakcją ją odrzucić. Ale Witalij niczego takiego nie robi, a дума Andrija nie pozwala mu zapytać. Umawiają się na spotkanie następnego dnia w tym samym pubie i o tej samej godzinie. Witalij nieśpiesznie odchodzi, równocześnie wyciąga z kieszeni swój *mobifon*, zaczyna rozmawiać, wymachując wolną ręką w górę i w dół, jakby dla podkreślenia wagi tego, co mówi.

Słońce praży niemiłosiernie, wycina krótkie ostre cienie na spękanych chodnikach. Andrij wraca do przyczepy z Emanuelem i psem, wciąż jest poirytowany i żałuje pieniędzy, które wydał na podwójną szkocką Witalija. Co gorsza, czuje się obdarty, biedny i nieatrakcyjny. Czy jest zazdrosny o Witalija? Jakież to wstyd być zazdrosnym o kogoś, kto ci nie dorównuje pod żadnym względem, nie licząc komórki i lepszych spodni. Oto do czego doprowadził go Witalij. Oto do czego doprowadzili go wspólnie Witalij i Irina. Tak, sądził, że Witalij jest jego przyjacielem, a tymczasem on na boku robił swoje. Cóż, oto jego prawdziwi przyjaciele. Hej, Psie! Ale pies zapamiętałe podąża szlakiem ulicznych latarni. Hej, Emanuelu! Emanuel znalazł w piwnym ogródku do połowy pełną paczkę chipsów o smaku wędzonego bekonu i podzielił się z Andrijem, wysypując na koniec ostatnie okruchy na jego rękę. Sól z syntetycznym wzmacniaczem smaku rozpuszcza mu się na języku, smaczna i toksyczna.

— Hej, Emanuelu. Lubisz łowić ryby? Może nam się poszczęści.

— *Sikomo*. Łowienie ryb jest bardzo ciekawe. Ale gdzie zdobędziemy dobre sieci? — Emanuel zaczyna śpiewać: t *...a uczynią was rybakami ludzi*\*<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> Mateusz 4, 19, Biblia Tysiąclecia.

Wolnym krokiem schodzą na molo. Bułgar, który sprzedał wczoraj rybę Andrijowi, powiedział, że to najlepszy sposób w mieście na zarobienie pieniędzy. Na końcu bocznej uliczki, w gąszczu zaparkowanych samochodów i ciężarówek, znajdują wejście na Admiralty Pier. Niegdyś musiała to być całkiem imponująca konstrukcja, ale teraz ozdobne, odlane z żelaza ornamenty rozpadają się i wyglądają marnie, pokryte gołębimi odchodami, a kilka martwych gołębi gnije za barierkami, tam gdzie upadły. Kiedy wchodzisz na molo, uderza cię smród.

Kilku mężczyzn kręci się przy wejściu z bogatą ofertą wędek i wiader, część z nich jest niebieska, a część żółta.

— Chcecie kupić czy wypożyczyć? — pyta starszy z nich. Mimo upału ma naciągniętą na uszy czarną wełnianą czapkę, a czarna koszulka odkrywa jego ramiona i barki pokryte płataniną niezwyklej tatuaży. — Wynajem to pięć funciaków za dzień. Możesz też kupić je za dwadzieścia pięć funciaków. Pierwszorzędny sprzęt wędkarski. Świetna inwestycja. W pięć dni ci się zwróci, a potem to już czysty zysk. Zostajesz tu przez kilka dni?

Mężczyzna mówi za szybko. Angielski Andrija zostaje poddany ciężkiej próbie. Zastanawia się, ile to kosztuje?

— Co to jest?

— Sprzęt wędkarski wysokiej jakości. Taki, jakiego używają najlepsi wędkarze. Któregoś dnia gościu złapał tu dwudziestopięcioletniego dorsza. Dostał za niego pięćdziesiąt funciaków. Gotówką. — Mierzy wzrokiem Andrija i Emanuela, tak jakby oceniał ich wędkarski potencjał.

— Co wieczór masz co włożyć do garnka, a nadwyżkę możesz nam sprzedać. Funciak za kilogram. Łatwa kasa. Żadnych podatków. Żadnych pytań. Kasa twoja i możesz ją sobie wydać, na co ci się podoba. Tylko pięć funciaków za dzień. Spróbuj.

Andrij bierze do ręki wędkę i uważnie ją ogląda. Ostatni raz łowił ryby jako dziecko, ale przecież to nie może być takie trudne — tamten Bułgar nie wyglądał na szczególnie bystrego.

— Pięć funciaków? Pięć funtów?

— Tak jest, kolego. Z przyływem nadciąga ogromna ławica makreli. Ani się obejrzysz, a zwrócą ci się koszty, a resztę zabierzesz do domu dla swojej pani.

Andrij daje mu pięć funtów. Mężczyzna wręcza mu wędkę i niebieskie wiadro.

\* \* \*

Kiedy ukraiński kierowca przejechał przez bramę, zobaczyłam lśniące białe pole, które zauważyłam wczoraj ze zbocza wzgórza. Wyglądało jak pokryte plastikiem i okazało się, że tak właśnie było — szeregi tuneli z folii polietylenowej naciągniętej na metalowe obręcze. W każdym z tuneli, przez środek, leżały rzędem bele słomy, a na nich worki kompostu obsadzone truskawkami. Ogród pod osłoną. Powietrze było wilgotne i ciepłe, pachniało słodko dojrzałymi truskawkami i czymś jeszcze, niezdrowym i chemicznym, co przywarło mi do podniebienia. Mimo tego zapachu byłam tak głodna, że nie potrafiłam się powstrzymać — zaczęłam zrywać truskawki i pakować je sobie do ust. Pozostali śmiali się ze mnie.

— Nie wierzę, że jesteś prawdziwym zbieraczem truskawek, Irino! Nam nie wolno ich jeść. Wyrzucą cię, jeśli cię na tym przyłapią — powiedziała Oksana, która wzięła mnie chyba pod swoje skrzydła. Oksana pochodziła z Charkowa, była ode mnie trochę starsza, miła, choć wyraźnie brakowało jej kultury — ale takie rzeczy nie miały już teraz zbyt dużego znaczenia.

Kontroler, Borys, to również Ukrainiec. Jest nieco otyły, niezbyt bystry i ma silny zaporoski akcent. Wciąż mi się przyglądał i powtarzał, że jeśli dziś

się wykaże, to wspomni o mnie, komu trzeba, i kiedy wrócimy do biura, załatwi wszystkie papiery. Był pewien, że mnie wezmą, bo przez upały truskawki zaczęły wcześniej dojrzewać i — już trzeci raz tak powiedział, co jest z tym człowiekiem? — wspomni o        mnie, komu trzeba.

Kiedy oświadczył mi, jakie tu jest wynagrodzenie, nie mogłam uwierzyć. To było dwa razy więcej niż w poprzednim miejscu i od razu zaczęłam myśleć o wszystkich rzeczach, które mogłabym sobie kupić — jakieś cudowne pachnące mydło, przyjemny szampon, nowe majtki, małe i seksowne, których Mama by nie znosiła, ogromną tabliczkę czekolady, jakieś sandały i potrzebna mi jest szczotka, nowy podkoszulek, a może dwa, cieplejszy sweter, no i nie mogę zapomnieć o        prezencie dla Mamy. A zbieranie było takie łatwe, żadnego schylania się, podnoszenia. Tak, pomyślałam, mam szczęście, że dostałam taką szansę, i będzie lepiej, jak ją wykorzystam, więc zbierałam jak szalona, bo musiałam się sprawdzić.

Na koniec zmiany podszedł do mnie Borys i powiedział, że nadszedł czas, żebym się sprawdziła. Po czym w obrzydliwy sposób natarł na mnie swoim ciałem i pocałował mnie w usta wilgotnym obleśnym pocałunkiem. Nie byłam wystraszona — Borys robił wrażenie głupiego i niegroźnego — więc pozwoliłam mu się pocałować, bo naprawdę bardzo chciałam dostać tę pracę. Jego gwałtowny oddech tuż przy mojej twarzy sprawił, że wewnątrz zrobiłam się całkiem zimna. W skali seksapilu dałabym mu zero. Powiedziałam sobie, OK, to tylko transakcja, nic więcej. Próbowałam wyobrazić sobie Nataszę i Pierre'a, jak się całują zatraceni w miłości. Czy w dzisiejszych czasach mężczyźni są inni? Kiedy skończył, otarłam sobie usta podkoszulkiem i poszłam za nim po schodach do biura.

\* \* \*

Andrij idzie po molo Admiralty Pier ze swoją wędką, niebieskim wia-



drem w dłoni i Emanuelem u boku. Molo to ponura nitka betonu niemal kilometrowej długości, która sięga w morze niczym zgięta psia łapa. Każdy metr przestrzeni zajmują rybacy z wiadrami u swych stóp i wędkami lub żyłkami zarzuconymi w wodę, wpatrujący się w dal ponad falami. W niektórych wiadrach jest trochę małych rybek, ale nie jest to coś, czym można by się pochwalić.

Mniej więcej w połowie pierwszego odcinka molo Andrij i Emanuel natykają się na Bułgara, który sprzedał Andrijowi rybę. Przedstawia im parę swoich przyjaciół: Rumuna i Mołdawianina.

—Zwykle dwu, trzech z nas tutaj — mówi Bułgar. — Kilka metrów dalej są Bałtowie. Smażyciele ryb. Tam — wskazuje na użytek Andrija. — Ukraińcy. Białorusini. Zjadacze buraków. A tam — wskazuje na użytek Emanuela — mamy nawet Afrykę. Bóg jeden wie, co oni jedzą. Na końcu są Bałkany... Serbowie, Chorwaci, Albańczycy. Lepiej trzymać się od nich z daleka. Za dużo bijatyki.

— A *angliscy* wędkarze?

Bułgar wskazuje na sam koniec molo.

—Tam chodzą wszyscy *angliscy*. Na sam koniec. Za Bałkanami. Od razu widać, kto jest *angliski*. Każdy ma wełnianą czapkę. Nawet kobiety. Naciągniętą na uszy. Nawet latem. Dobre na łowienie ryb.

— Łowisz dużo ryb?

— Mnóstwo. Wszędzie mnóstwo ryb. Łatwe pieniądze.

Andrij rzuca okiem do wiadra chłopaka. Jest tam trochę drobnicy. Czy on naprawdę myśli, że kogoś na to nabierze?

— A od jak dawna zajmujesz się wędkowaniem?

Chłopak spojrzał na niego podejrzliwie.

— Od kilku dni.

— Skąd masz tę wędkę i wiadro?

— Od człowieka na molo. Tak jak ty. Łatwe pieniądze.

— Łatwe dla niego.

Bułgar odwraca wzrok i bawi się wędką. Andrij ma ochotę go walnąć, ale co to zmieni?

— Mówi, że dziś rano będzie tu mnóstwo, mnóstwo makreli— chłopak woła płaczliwie w stronę znikających pleców Andrija. Żałosny idiota, nie wie nawet, że już jest popołudnie.

— Idę poszukać Afryki — Emanuel rusza w stronę dwu czarnych postaci pochylonych nad swoimi wędkami.

Andrij bierze kubek oraz wędkę i rusza do Ukraińców. Są to dwaj młodzi chłopcy o chudych twarzach, jeden o nierówno wygolonej głowie, a drugi z włosami w stylu ekipy Kliczko, obciętymi na jeża i sterczącymi.

— Cześć, chłopaki.

— Cześć, kolego.

— Szczęście dopisuje?

— Nie za bardzo.

Sądząc po zawartości ich wiader, w ogóle nie mają szczęścia.

— Skąd jesteście.

— Z Winnicy. A ty?

— Z Doniecka.

Andrij zajmuje wolne miejsce za nimi i patrzy na swoją wędkę — zapłacił za nią, więc lepiej się postarać, by była warta tych pieniędzy. Ale zaraz uświadamia sobie, że nie ma żadnej przynęty. Pyta chłopców, czy mogą mu jakąś pożyczyć.

— Nie potrzeba przynęty. Wystarczy przyczepić piórko. Makrele łapią się na piórko. Myślą, że to ryba — mówi ten o nierówno wygolonej głowie.

— Muszą być dość głupie.

— Taa. Ha, ha, ha — zaśmiewa się chłopak.

— Czy tu w ogóle komukolwiek udaje się coś złowić?

— Taa. Jasne. Muszą łowić.

— To znaczy tyle, żeby zapłacić za wędkę i wiadro?

— Taa, myślę, że ktoś musi. Dlaczego masz niebieskie wiadro?

Andrij dopiero teraz zauważa, że ich wiadra są żółte.

— Niebieskie, żółte, co za różnica?

— Niebieskie wynajmujesz. Na koniec dnia je oddajesz. Żółte zatrzymujesz. I co dzień używasz.

— To znaczy, że mam oddać wiadro na koniec dnia? Nawet jak nic nie złowię?

— Może jesteś jego rybką, a on właśnie złowił ciebie — chłopak o nierówno wygolonej głowie szczerzy zęby w uśmiechu. — Nawet bez żadnego piórka. Ha, ha, ha!

— Do czorta!

Andrij rozgląda się po molo. Najwięcej jest żółtych wiader, kilka niebieskich, a niektóre są w innych kolorach: czerwonym, zielonym, czarnym, szarym. Naprawdę możesz mieć pretensję tylko do samego siebie, Andriju Palenko, za to, że słuchałeś tego kretyna o twarzy jak księżyc. Liczy, ile jest żółtych, a ile niebieskich wiader, i oblicza dzienny zysk Pana Wytatuowanego. Łatwe pieniądze.

Kawałek dalej, w Afryce, koledzy chyba opuścili Emanuela, zostawiając mu pod opieką swój sprzęt wędkarski. Co się dzieje? Emanuel ma w sobie coś takiego, że wzbudza w Andriju instynkt opiekuńczy: on również jest niewinną duszą zagubioną w tym świecie *mobilfonów*. Andrij podnosi kciuk, żeby dodać mu otuchy, ale Emanuel tego nie zauważa. Intensywnie wpatruje się w morze.

Andrij również wpatruje się wodę — ponure, niezbyt obiecujące kołowanie się fal, plaśnięcia o beton, bliżej nieokreślone i obrzydliwie wyglądające odpadki, które od czasu do czasu wypływają na powierzchnię. Andrij uważa, że morze jest bardzo wzburzone.

Kiedy znów spogląda na Emanuela, chłopiec sprawia wrażenie poruszonego i gestem przywołuje Andrija do siebie. Wygląda na to, że jest zrozpaczony.

— Mężczyźni z Afryki, z Mozambiku, mówią, proszę popilnuj naszych rybich rzeczy, a my pójdziemy do toalety. Jedna godzina. Dwie godziny. Wciąż ich nie ma.

O czym, u licha, on mówi?

— Żaden problem, przyjacielu — Andrij uspokajająco kładzie dłoń na jego ramieniu. — Wszystko w normie.

To dziwne, myśli. Dlaczego to wiadro jest czerwone?

Po kilku godzinach tych z Mozambiku wciąż nie ma, a obaj Ukraińcy, którzy złapali wspólnie cztery ryby, świętują teraz przy skrecie i piwie, a potem przy jeszcze kilku piwach. Proponują Andrijowi butelkę, lecz on kręci głową. Lubi piwo, podobnie jak stojący obok Ukrainiec, ale w ich sposobie picia jest coś desperackiego. Dość się na to napatrzył w Doniecku — chłopak pije jedno piwo, a potem jeszcze kilka, a później dla zabawy skacze do rzeki, by się ochłodzić, i tyle po nim: *bye-bye*, ciała nigdy nie odnaleziono, *end of story*.

Zerwał się chłodny wiatr i ci, którzy przynieśli kurtki, zapięli je pod szyję, a ci, którzy ich nie mieli, włącznie z Andrijem i Emanuelem, zaczęli trząść się z zimna. Plaśnięcia i bulgotanie wody nasilają się, od czasu do czasu ochlapują ich fale. Zaczął się przypyw. W pewnej chwili wszystkich na molo ogarnia poruszenie. Namierzono ławicę makreli, która jest już w

drodze. Ale jakoś nie dopływa.

Pod wieczór większość rybaków może uznać ten dzień za zakończony. Na angielskim końcu molo złapano kilka większych ryb, Bałkańczycy też mieli sporo szczęścia i wybuchła między nimi bójka o to, komu co się należy. Andrij wciąż nic nie złapał.

— Hej, koleś — mówi obcięty na ekipę Kliczko Ukrainiec — powinieneś zatrzymać tę wędkę i wiadro. Dlaczego masz je oddawać Panu Wytatowanemu? Przynajmniej za swoje pieniądze coś będziesz mieć. Pięć funciaków to złodziejstwo. Następnym razem weź lepiej żółty. Inwestycja w przyszłość.

Hm... W tym, co mówi ten Ukrainiec, jest jakaś logika.

— Ale ten facet z tatuażem czeka na nas na końcu molo?

— Łatwo możesz go ominąć. Słuchaj, Ukraińcu, pomożemy ci trochę. Włożymy twoje niebieskie wiadro w nasze żółte. — Bierze wiadro i szybkim ruchem przerzuca cztery małe rybki. — Widzisz? Każdy z nas weźmie po jednej wędce. Spotkamy się w pubie, o tam. — Macha ręką. — Postawisz nam duże piwo i zachowasz sobie wiadro oraz wędkę. — Szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu. — OK?

— OK.

Andrij zastanawia się, czy nie ma w tym jakiegoś podstępny, ale gdyby nie można było mieć zaufania do braci Ukraińców, to komu w ogóle można by zaufać?

Nagle słyszy krzyk dochodzący z afrykańskiej części molo.

— Wciągaj ją! Kręć kołowrotkiem! — Potężny mężczyzna w wełnianej czapce instruuje Emanuela, który siłuje się z wygiętą w łuk wędką. Stara się kręcić kołowrotkiem, ale kołowrotek chyba się zaciął, więc Emanuel zaczyna szarpać i ciągnąć wędkę.

—Spokojnie, spokojnie — mówi Wełniana Czapka. — Wyciągaj ją łagodnie.

Emanuel znów zaczyna wyciągać; a potem coś wielkiego i srebrnego wyłania się spod powierzchni wody, miotając się i waląc o fale. Wśród pozostałych rybaków zapanowało poruszenie i nagle wszyscy zbierają się wokół Emanuela, żeby popatrzeć. Stworzenie jest masywne, dzikie i walczy o życie. Emanuel ostrożnie je wyciąga i ryba z furją ląduje na moło, rzuca się i wygina na betonie.

—Wrzuć ją do wiadra! — ktoś krzyczy, ale ryba nie zmieści się w wiadrze.

— Nie macie sieci?! — woła ktoś inny.

— Albo noża? Trzeba ją nożem!

— Nie! — wrzeszczy Emanuel.

Wrzuca miotającą się rybę do czerwonego wiadra tych Mozambiku, nosem do dołu, na dnie jest kilka centymetrów wody, a potężny zgięty ogon wystaje ponad krawędź i podryguje. Andrij przepycha się przez tłum, by poklepać Emanuela po plecach.

—Dobra robota, przyjacielu. Sprzedamy rybę, zarobimy dużo pieniędzy.

Na miejsce zdarzenia przybyło kilka wełnianych czapek i wszyscy podekscytowani zastanawiają się, ile ta ryba może ważyć, najwyższa obstawiana waga to dwanaście kilo.

Pan Wytatuowany czeka przy wyjściu i zatrzymuje tych spośród wychodzących, którzy mają niebieskie wiadra. Jego pomagier ma wagę sprężynową, na której ważą mizerny połów, a potem rozdzielają równie mizerne kwoty pieniędzy. Na widok gigantycznej ryby w wiadrze Emanuela świecą mu się oczy.

—Niezły ten twój dorsz, kolego. Większy od fiuta czarnucha —

stwierdza Pan Wytatuowany. — Niezwykłe o tej porze roku. Chcesz ją wrzucić na wagę?

— Ta ryba nie jest na sprzedaż. Jest dla mnie — mówi Emanuel z naciśkiem. — Ja złowiłem. Ja zatrzymuję.

Pan Wytatuowany mruży oczy. Syrenka na jego bicepsie się marszczy.

— W porządku, kolego. Masz prawo do złowionej ryby. To wolny kraj. Ale teraz musisz mi oddać wędkę i wiadro.

Sięga po wędkę, lecz Emanuel mocno ją trzyma.

— Nie! Wędka i wiadro należą do Mozambikanów Afrykanów.

Wokół zebrał się niewielki tłumek. Andrij trzyma się na boku, by pozostać niezauważony.

— Przecież wypożyczyliśmy ci sprzęt! — Pan Wytatuowany nie jest w stanie oderwać wzroku od ryby. — Musisz go teraz oddać, koleś. Oddawaaaaj ten kubeeeł. Albo oddaaaaj rybęę. *Comprendes?* — Podniósł głos.

— Nie! — Emanuel jest wytracony z równowagi. — Ten kubeeeł jest moich przyjaciół z Mozambiku do toalety.

Pan Wytatuowany krzywi usta.

— Ale show! To odrażające. Czy tam w Mozambiku nie uczą was siadania na kibelku? Toalety są na końcu molo.

Zadowolony z siebie rozgląda się wokół, w oczekiwaniu na okrzyki aprobaty. Andrij stoi ze schyloną głową. Czeką na odpowiedni moment, by zniknąć i niepostrzeżenie wymknąć się z kolejki, ale pomagier go zauważa i wyciąga na środek.

— Tu jest. To on wziął nasz sprzęt.

— To nie ja. To musiał być jakiś inny Ukrainiec. — Andrij szybko robi unik. — Ten z psem. — Najchętniej by uciekł, ale nie może przecież zostawić Emanuela.

Kątem oka widzi, że tamci dwaj Ukraińcy zeszli już z nabrzeża i idą



teraz w stronę ronda, z jego niebieskim wiadrem ukrytym sprytnie w ich żółtym.

Jakiś rybak w wełnianej czapce wychodzi z tłumu i bierze w obronę Emanuela.

—Niech zatrzyma tę rybę, Bert. Rybak ma prawo do złowionej ryby.

— Trzymaj się od tego z dala, Derek. — mówi Pan Bert Wytatuowany.

— Gnój chce mi rąbnąć sprzęt. I używał wiadra jako toalety.

Nachyla się groźnie nad Emanuelem i chwyta wiadro za rączkę.

— Oddaj sprzęt albo rybę. Tidge, zrób z nim porządek.

Tidge groźnie postępuje naprzód.

—Zaczekaj chwilę, Bert. To nie twoje wiadro. Jest czerwone. To pewnie wiadro Charliego.

Bułgar, który czeka na zważenie swojego połowu, zaczyna się niecierpliwić. Przepycha się do przodu i usiłuje wrzucić na wagę swoją mizerną drobnicę. Ale Pan Wytatuowany nie jest zainteresowany.

— Rekiniek psi. Dla mnie na nic. Mówiłem ci już wczoraj.

Tępy jesteś czy co? Sam sobie zjedz. Albo daj psu.

Jak na zawołanie nagle po drugiej stronie ulicy pojawia się pies, machając radośnie ogonem.

Andrij zauważa go. Widzi również, że dwaj Ukraińcy przeszli obok pubu i idą dalej. Teraz ruszyli truchtem. Do czorta! Złodziejskie szcurze mordy, co za dranie!

Przebija się przez tłum, wyciąga rybę Emanuela z wiadra i rzuca się za nimi w pogoń.

— Hej, dawaj tę rybę! — wrzeszczy Pan Wytatuowany, upuszczając wiadro i rzucając się naprzód biegiem. Andrij trzyma rybę za ogon. Ryba wyslizguje mu się z dłoni, wyslizguje się również z rąk Pana Wytatuowa-

nego, wije się i miota, waląc ogonem o ziemię. Natychmiast w jej stronę wyciąga się tuzin rąk.

— Niech rybak zatrzyma złowioną rybę! Ma regulaminowy wymiar! — krzyczy Derek.

— To musiało być wiadro Charliego. Zanim wykorkował. Niech Bóg ma w opiece jego duszę! — krzyczy jakaś inna wełniana czapka.

Przepychają się pochyleni niczym drużyna rugby, usiłując złapać rybę, która wciąż miota im się pod nogami. Pies z zainteresowaniem przygląda się z boku tej scenie. Pan Wytatuowany już niemal ma rybę, ale nie jest w stanie porządnie jej złapać. Nagle, niczym szarżująca kawaleria, rzuca się do boju Pies, wpada pomiędzy nogi rybaków, łapie rybę w zęby i ucieka.

\*\* \*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ BIEGNĘ Z RYBĄ DLA MOJEGO  
PANA DUŻĄ ŻYWĄ RYBĄ CHLUP PLUSK TRZYMAM JĄ  
MOCNO W ZĘBACH UWAŻAJ NIE POGRYŻ DOBRY PIES MÓJ  
PAN LUBI RYBY ZANIOSE MU TĘ RYBĘ BIEGNĘ ZA MNĄ  
BIEGNIE MĘŻCZYŻNA WIELKI MĘŻCZYŻNA Z ZASIKANymi  
SPODNIAMI BIEGNIE ZA MNĄ KRZYCZY BIEGNĘ SZYBCIEJ  
BIEGNĘ ULICĄ BIEGNĘ PO MAŁYCH KAMYKACH OBOK  
WIELKIEJ WODY BIEGNĄCY MĘŻCZYŻNI SĄ DALEKO W  
TYLE NIC TYLKO WIELKA WODA ZWALNIAM SKRĘCAM IDE  
DALEJ ZANIOSE TĘ ŻYWĄ RYBĘ MOJEMU PANU PRZECHO-  
DZĘ OBOK WIELKIEJ WODY TA WODA JEST NIEDOBRA  
SKACZE NA MNIE SYCZĄC SSSS MOKRE ŁAPY SZCZEKAM  
HAU SZCZEKAM Z OTWARTYM PYSKIEM RYBA WYSKAKUJE  
MI Z PYSKA DO WIELKIEJ WODY CHLUP PLUSK SSSS HAU  
CHLUP SSSS WIELKA WODA POŁYKA RYBĘ JUŻ PO RYBIE**

## NIE MAM RYBY DLA MOJEGO PANA JESTEM SMUTNYM PSEM BIEGNĘ DO DOMU BIEGNĘ JESTEM PSEM

\*\* \*

Andrij siedzi na schodkach przyczepy, tuż przy plaży i czeka na Emanuela i Psa. Jego czoło pokrywa pot. Pije wodę z butelki i rozmyśla ponuro o wydarzeniach tego popołudnia. Złapał tych chłopaków; gonił ich całą drogę, aż na sam szczyt wzgórza. Złapał ich i prosił, żeby oddali mu sprzęt. A oni roześmiali mu się w nos. Złodziejskie szurze mordy, ukraińskie szumowiny! A kiedy chwycił wiadro, chłopak z włosami obciętymi na ekipę Kliczko wyciągnął nóż. Cóż, oczywiście, Andrij musiał się odsunąć. Nie zamierzał ryzykować życia dla ukradzionego niebieskiego wiadra. Ale to zajście bardzo go przygnębiło. Co się dzieje z jego krajem? Co tu się w ogóle dzieje? Ojciec nie żyje, a wszystkie jego marzenia i ideały umarły wraz z nim: solidarność, człowieczeństwo, szacunek dla samego siebie? Wszystko, w co wierzył, obróciło się w proch, a tym nowym światem rządzą faceci z *mobilonami*.

Później, gdy Emanuel wraca z mozambicką wędką i wiadrem, Andrijowi poprawia się trochę humor.

\*\*\*

Kochana Siostró

Jestem teraz w Dover. Wszyscy mzungu oprócz Andree wyjechali i zamiast zbierać truskawki zostałem rybakiem. To przywołuje moje wspomnienia naszego szczęśliwego dzieciństwa na brzegiem rzeki Shire i zastanawiam się co się z tobą stało moja siostró i czy jeszcze kiedyś się spotkamy. Jeśli moje listy do ciebie dotrą przyjedź proszę do Dover gdzie zawsze znajdziesz mnie na moło bowiem stałem się niczym Uczeń Pana

Naszego w Galilei tyle że nasze łowienie tutaj nie odbywa się za pomocą sieci lecz wędki.

Kiedy przyszedliśmy na molo spotkaliśmy jednego mzungu z niezwykle ciekawym tatuażem na ramieniu to był wizerunek kobiety która w połowie była rybą czesała włosy i przeglądała się w lusterku w kształcie serca. Nazbyt wylewne fale jej włosów przesłaniały nagość i sięgały niżej tam gdzie za każdym poruszeniem ramienia mzungu połyskiwały niewielkie rybnie łuski. A w mej pamięci zamusowała historia opowiedziana przez pewnego rybaka który doświadczał przygód na brzegu naszego jeziora od strony Mozambiku o urodziwej kobiecie która od pasa w dół jest rybą i siedzi na skale i wabi marynarzy ku śmierci. Czyżby to była ta sama!!!

I na tym molo wpadłem w towarzystwo rybaków z Mozambiku którzy są przyjaciółmi szwagra naszego kuzyna Simeona z Cobue. Pogawędziliśmy sobie a potem powierzyli mi swoją wędkę i wiadro i odeszli. Długo nie wracali a ja zostałem wprawiony w zakłopotanie bowiem nie mogłem zostawić ich rzeczy mając w pamięci powiedzenie w języku cziczewa **wędka mężczyzny jest jego najdroższym skarbem** i modliłem się o ich powrót. Po pewnym czasie na moją wędkę złapała się ogromna ryba. Zadrzałem bo przypominała tę urodziwą kobietę z opowieści rybaka a jej wyciągnięcie z morza było niezwykle trudnym zadaniem z tymi wszystkimi mzungu tłoczącymi się wokół mnie i krzyczącymi w swoich językach. Gdy przestała się tak miotać włożyłem ją do wiadra z wodą bowiem jej oddychanie było już bardzo utrudnione i znów zacząłem rozmyślać o tych z Mozambiku czy to była moja ryba czy ich??? Bowiem była to najbardziej olśniewająca ryba jaką kiedykolwiek spotkałem i przypominała mi kobietę z tej opowieści.

Ale ta kwestia została subtelnie rozwiązana przez psa który porwał rybę w zęby i wrzucił ją z powrotem do morza. I od tamtej pory co dzień chodzę na molo z wędką i wiadrem ale ani ci z Mozambiku ani ryba nigdy już nie

wrócili.

\*\* \*

Biuro znajdowało się po drugiej stronie dziedzińca. W pierwszej chwili Tomasz miał wrażenie, że nikogo w środku nie ma, ale wtedy zza biurka wyłonił się wysoki chudzielec z okropnymi krostami na policzkach. Na widok Tomasza rozpromienił się.

— Tak, kolego, świetnie. Zjawiasz się w samą porę. Nazywam się Darren Kinsman, brygadzysta. W następnym tygodniu zaczyna się kolejna pieprzona promocja w supermarkecie... dwie sztuki w cenie jednej... i brak nam rąk do pracy w grupie łapaczy. Zwykle robimy to nocą, ale grupa ma inną pracę w Ladywash i muszą zasuwąć. Praca jest łatwa. Musisz tylko łapać ptaki i pakować je na ciężarówki. Nic wielkiego. Mój chłopak Neil da ci sznury. Zaczynasz za pół godziny.

— Nie ma problemu. — Tomasz zastanawia się, kiedy będzie odpowiedni moment, by spytać o zakwaterowanie.

— A potem trzeba tylko wyszorować kurnik pod następną uprawę. Nic wielkiego.

He jest kurczaków?

Mnóstwo. Czterdzieści tysięcy.

Och. — Tomasz usiłuje wyobrazić sobie czterdzieści tysięcy kurczaków, ale zawodzi go wyobraźnia.

Skąd jesteś, kolego? Z Ukrainy? Masz papiery? Sezonowe zezwolenie na pracę w rolnictwie? Concordia?

— Jestem z Polski.

— Z Polski, tak? To niepotrzebne ci papiery. Ostatnio niewielu mam stamtąd. Od czasu jak weszli do Europy. Słuchaj, kolego, jak się nazywasz?

— Rzuca okiem na paszport, który Tomasz położył na biurku. — Tomasz? Gdyby ktoś cię pytał, pracujesz dla agencji, nie dla nas, OK? Dostajesz sześć funciaków za godzinę, ale każdą następną pracujesz dobrowolnie, na ochotnika, OK?

— Więc te sześć funciaków to za godzinę czy za dwie?

— Nie, sześć funciaków za godzinę. Druga godzina, jak już mówiłem, jest dobrowolna. Nie musisz tego robić. Zawsze znajdzie się cała masa takich, co zechcą. Ukraińcy, Rumuni, Bułgarzy, Albańczycy, Brazylijczycy, Meksykanie, Kenijczycy, ci z Zimbabwe, można się w tym pogubić. Wszędzie wokół słycać trajkotanie. Dniem i nocą. Jak pieprzone Stany Zjednoczone. Przyjeżdżało do nas wielu Litwinów i Łotyszów, ale Europa wszystko zniszczyła. Zrobili się legalni. Jak Polacy. Strata pieprzonego czasu. Zaczęli pytać o minimalne wynagrodzenie. Chińczycy są lepsi. Żadnych papierów. Żadnego mówić po angielsku. Żadnego pieprzonego pojęcia, o co chodzi. Uważaj na siebie, niektórzy goście mogą cię wykorzystać. Jak tych palantów w zatoce Morecambe. Trajkotali i trajkotali przez telefon komórkowy, aż tu nadszedł przyływ i nikt nie miał pojęcia, co się dzieje. Po co trzymać obcokrajowców, jeśli trzeba im płacić tak jak Anglikom, co? Dlatego poszliśmy do agencji. Niech oni się tym wszystkim zajmują.

Darren kończy papierkową robotę i rzuca paszport zamaszystym ruchem w stronę Tomasza. Tomasz, z tego, co usłyszał, rozumie, że w jakiś zawoalowany sposób jest zatrudniony przez Witalija. Zaczął mieć złe przeczucia na temat tej pracy.

— A zakwaterowanie jest zapewnione?

—Przez inną agencję. Cóż, w zasadzie przez tę samą. Odliczą to od twojego wynagrodzenia, więc nie musisz się tym martwić. Zdrowie. Po-datek. Ubezpieczenie. Transport. Wszystko to za ciebie załatwią.

—A dom to ten... — Tomasz wskazuje domek po drugiej stronie podjazdu.

—Tak jest, kolego. Po lewej. Czy Milo tam cię nie zaprowadził?

— Tak, byłem tam. Jest dość zatłoczony.

—Tym się nie martw. O siódmej już ich tu nie będzie. To nocna zmiana. Zawozimy ich do Shermouth.

\*\* \*

—Powiem o tobie dobre słowo, Irino. — Borys prowadzi mnie po schodach do biura na farmie truskawek w Sherbury. Najwyraźniej uznał, że się sprawdziłam. Jak następnym razem znów ze mną spróbuje, wbiję mu nóż w ten jego brzuch.

Kobieta za biurkiem od razu spytała:

—Masz dokumenty? Potrzebny mi twój paszport i sezonowe zezwolenie na pracę w rolnictwie.

Wyjaśniłam, że ukradziono mi wszystkie dokumenty. Kobieta uniosła brwi, jeśli można tak nazwać to, co tam miała, bo tak naprawdę były to raczej dwa cienkie łuki narysowane kredką.

—Agent, który mnie tu sprowadził. Próbował... Chciał... Zabrał mnie... — Brak mi było angielskich słów, by opisać horror tego, co przeżyłam. — Zatrzymał moje dokumenty.

Kobieta pokiwała głową.

— Niektórzy agenci tak robią, chociaż nie powinni. Będziemy musieli się tym zająć, jeżeli chcesz pracować w Sherbury. Nie zatrudniamy tu nikogo nielegalnie. Niektóre supermarkety są trochę dziwaczne. Zostaw to mnie. Zadzwoń tu i tam. Pamiętasz, jak się nazywał agent?

—Wulk. Miał na imię Wulk — samo wypowiedzenie tego imienia sprawiło, że zaczęłam dygotać.



– Chyba już słyszałam to imię. A farmer?

– Leapish. To niedaleko stąd.

Wąskie łyse brwi znów się uniosły. Uważam, że ludzie powinni zostawić swoje brwi w spokoju.

– Ten, którego przejechali jego zbieracze truskawek? Miałaś z tym coś wspólnego?

– Och nie. Nie miałam o tym pojęcia. To musiało się stać, jak już opuściłam to miejsce.

OK, to było kłamstwo, ale bardzo małe.

– Więc dlaczego stamtąd wyjechałaś?

– Za mało dojrzałych truskawek do zbierania. Chciałam więcej zarobić.

OK, dwa małe kłamstwa. Kobieta pokiwała głową. Wyglądało na to, że moje odpowiedzi w pełni ją zadowolily.

– Tu możesz nieźle zarobić. Po potrąceniu kosztów. — Znów to słowo! — Uważaj na siebie. Nie zdziwiłabym się, gdyby ten ich agent był jakiś trefny. Na tej farmie działy się dziwne rzeczy. — Kobieta ściszyła głos. — Mówią, że Lawrence Leapish miał romans z jedną ze swoich pracownic, a Wendy Leapish miała mołdawskiego *toy-boya*.

Zastanawiałam się, co, u licha, ma znaczyć mołdawski *toy-boy*.

– Mówią, że jak jej mąż wyszedł ze szpitala, posadziła go na wózku i kazała mu oglądać swoje figle z tym Mołdawianinem. Możesz w to uwierzyć... tu w Sherbury?

– To również musiało się stać po tym, jak wyjechałam.

Kobieta o łukowatych brwiach robiła jakieś notatki. Widziałam wiele fatalnie zrobionych brwi włącznie z brwiami mojej cioci Wiery, ale te należały do najgorszych. Dała mi tymczasowy numer, do czasu załatwienia sprawy moich dokumentów, i wyznaczyła mi wolne łóżko w przyczepie

numer trzydzieści sześć z Oksaną. Mieszkały tam jeszcze dwie inne Ukrainki, wszystkie były pracownice z zamkniętych zakładów obuwniczych w Charkowie, które dostarczały obuwie dla armii sowieckiej. Miały zezwolenia z tej samej co ja nieistniejącej szkoły rolniczej.

— Witamy w szalonym domku — powiedziała Lena, najmłodsza z nas czterech, o bardzo ciemnych smutnych oczach i włosach obciętych na chłopaka. Wyjęła z szafki butelkę wódki i puściła ją w obieg. Miałam powiedzieć: Nie, dziękuję, ale zamiast tego rzuciłam: A do diabła i pociągnęłam duży łyk.

*Widzicie, Mamo, Tato? Nic mi nie jest. Wszystko jest OK.* Jak tylko dostanę się do telefonu, zadzwonię do nich. Zastanawiałam się, co się stało z tym zdjęciem, które przyczepiłam na ścianie przyczepy. Zastanawiałam się, co się stało z przyczepą i z ludźmi — Chinkami, z którymi dzieliłam łóżko, bardzo miłą Martą, przystojnym ukraińskim górnikiem z Doniecka. Czy kiedyś jeszcze ich zobaczę?

\*\* \*

Tomasz nie potrafi sobie wyobrazić, jak może wyglądać czterdzieści tysięcy kurczaków, a nawet po tym, jak zobaczył je na własne oczy, wciąż nie bardzo może uwierzyć w to, co widział.

Neil otwiera drzwi do kurnika, żeby Tomasz mógł zajrzeć do środka. Uderza w niego fala gorąca i smrodu, w półmroku widzi tylko gruby dywan białych piór, a kiedy Neil włącza światło, dywan zaczyna się ruszać; nie, pełzać; nie, kotłować się. Kurczaki są tak ciasno poupychane, że nie można odróżnić, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi. I ten odór! Bije w nozdrza — obrzydliwa chmura czystego amoniaku, od której pieką go oczy. Tomasz kaszle i cofa się, zasłaniając ręką usta. Widział malowidła przedstawiające przeklęte dusze w piekle, ale to było nic w porównaniu z tym

widokiem.

Mnóstwo kurczaków, co? — mówi Neil, któremu wyznaczono zadanie opiekowania się Tomaszem. Jest synem Darrena, ma siedemnaście lat, jest szczupły i wysoki podobnie jak jego ojciec i ma podobne problemy z trądzikiem.

— No więc wszystko, co masz robić, to łapać je za nogi, cztery albo pięć naraz, i wpychać do tych klatek. I to wszystko. — Zatrząskuje drzwi do kurnika.

— Mnóstwo. Za dużo mnóstwo.

— Taa, za dużo mnóstwo. He, he, he — chłopak tłumy śmiech. — To dobrze. To dlatego, że rosną takie tłuste. Zaczynają jako małe świergoczące pisklaki, a po sześciu tygodniach proszę jak wyglądają... za tłuste, żeby chodzić na własnych nogach. Uważasz. Niektórzy ludzie tak wyglądają, no nie? Tłuste bydlaki. Czytałeś o tej kobiecie, która w samolocie zajmowała dwa miejsca i policzyli jej podwójną opłatę za bilet?

— Podwójną opłatę? — Tomasz bardzo by chciał, żeby chłopak tak szybko nie mówił.

— Możesz wziąć z biura jakiś kombinezon.

— Ale czy to jest normalne?

Tomasz wciąż nie może uwierzyć własnym oczom. Tuż przed nim — na jakimś metrze kwadratowym — doliczył się jednego, dwu, trzech... dwudziestu kurczaków rozpychających się i zdesperowanych, by uciec z drogi mężczyznom. Tak, nazywa się je kurczakami, ale wyglądają raczej jak zniekształcone kaczki — ogromne rozdęte korpusy na skarłowaciałych nóżkach. Chwieją się groteskowo pod własnym ciężarem — te, które jeszcze w ogóle są w stanie się ruszać.

— Taa, karmi się je tak, żeby utyły, i to szybko. — Neil wyciąga paczkę

papierosów z kieszeni, wkłada jednego do ust i częstuje Tomasza. Tomasz kręci głową. Neil zapala papierosa zapalką, wydycha kłęby dymu i od razu zaczyna kaszleć i charczeć.

—Widzisz, to przez te supermarkety. Chcą tylko dużych piersi. Jak fa-  
ceci, nie? — Kaszel. Kaszel. — Widziałeś tę kobietę w *Big Brother*?

— Kto to jest *big Brother*?

— Nie znasz Wielkiego Brata? Co tam u was leci w tej telewizji? To ten program, gdzie zamykają ich razem w domu, a ty możesz sobie na nich popatrzeć.

— Na kurczaki?

— Tak, tak, na kurczaki. To mi się podoba. — Chłopak znów tłumii śmiech. W zasadzie, myśli Tomasz, to całkiem miły chłopak. Przyjacielski i rozmowny. Mniej więcej w wieku Emanuela, z tą samą niezdarną niewinnością. — I jest tam taki głos, który mówi im, co mają robić. I nie wolno im mieć seksu, ale jedna dziewczyna to robi... ta z wielkim cycem, to o niej ci mówiłem.

— Wielkim cycem?

— Taa. Olbrzymim.

— Ale jak one mogą chodzić z tak dużymi piersiami? Jak można opiekować się tyloma?

Chłopak patrzy na niego dziwnym wzrokiem.

— A tam... jak to jest... tam u ciebie w kraju?

— W Polsce wszyscy...

— W Polsce? — W jego głosie słychać nutę podatni. — *Wow!* Nigdy tam nie byłem. Więc tam wszystkie babki mają wielkie cyce?

— Tak, wielu ludzi je ma. Trzymają je w szopie za domem.

— Aa! Chodzi ci o kurczaki. — Na jego młodzieńczej twarzy pojawia się błysk zrozumienia.

— Oczywiście. I trzeba się nimi zajmować.

— Och, tutaj zajęli się wszystkim. — Chłopak ma dziwnie rozczarowaną minę. — Widzisz te rurki. No to stąd mają wodę, widzisz? A jedzenie leci tędy. Ile tylko dadzą radę zeżreć, bo chodzi o to, żeby szybko utyły. *Fast-food*. Łapiesz?

— I zawsze mają tu przygaszone światło, żeby nie uderzyły w kimono — karmią je całą noc. To trochę jak jedzenie pizzy przed telewizorem. Takie przygaszone światło je uspokaja. Dlatego zwykle łapie się je nocą. To wszystko czysta nauka, mówię ci.

— Ale tak wiele razem. To nie może być zdrowe.

— Taa, tutaj zajęli się wszystkim. W karmie są wszystkie te antybio dodatki, żeby nie chorowały. To lepsze od państwowej służby zdrowia, wszystko zapewnione. A najlepsze jest, że jak jesz takiego kurczaka, to zjadasz te wszystkie antybio dodatki, więc jak się nad tym zastanowić, to by wychodziło, że ty też robisz się od tego zdrowszy. Jak mawiała moja babcia, lepiej zapobiegać, niż leczyć. Tak jak Guinness.

— A sprzątanie odchodów?

— Tego się nie robi. Nie sposób dostać się do podłogi. Za dużo ptaków. Nie ma jak. Zostawia się i tyle. Muszą w tym chodzić. Kurze gównno. Wypala im tyłki, nogi. Kto chciałby być kurczakiem? — Neil mówi dalej, ale równocześnie wciąga na siebie nylonowy kombinezon. — Mówię ci, wołałbyś nie mieć tego na butach. Przepali je na wylot. Włącznie ze skarpetkami. Jak już nie ma kurczaków, to wtedy wchodzimy i sprzątamy pod następną uprawę.

— Uprawę?

— Taa, tak to nazywają. Śmieszne, nie? Można by pomyśleć, że to jakieś warzywa czy coś w tym stylu. A nie coś żywego. Ale warzywa są żywe, no nie? No są żywe czy nie?

Ja wiem... — drapie się po głowie i zaciąga papierosem. — Warzywa. — Kaszel. Kaszel. — Jedna z wielkich zagadek życia.

Następnie gasi wypalonego do połowy papierosa i pieczołowicie chowa go z powrotem do paczki. — Pałę, no wiesz, na spokojnie, tylko kilka machów — wyjaśnia. — Dbam o kondycję. A tak w ogóle, kolego, to będzie ci potrzebny kombinezon. Jak się nazywasz?

— Tomasz. Znajomi mówią na mnie Tomek.

— Tom-Mick... a zresztą... Nie będzie ci przeszkadzać, jak będę do ciebie mówił po prostu Mick? Będzie ci potrzebny kombinezon, Mick. Zobaczmy, czy jeszcze jakiś tam został.

Idą do biura. Na zapleczu mieści się magazyn. Na kołku wisi niebieski nylonowy kombinezon, pod nim na ławce leżą porozrzucane męskie części garderoby.

— Mamy szczęście — mówi Neil.

Tomasz wciąga na siebie kombinezon. Górna część jest za krótka, więc kombinezon ciśnie go w kroku. Neil mierzy go krytycznie wzrokiem.

— Nieźle. Chociaż trochę jesteś na niego za duży. Trzymaj, przyda ci się. — Neil podaje Tomaszowi parę zniszczonych skórzanych rękawic, a drugą parę sam nakłada. — I jakieś buty.

But jest tylko jeden, zielony, ale na szczęście w rozmiarze Tomasza.

— Lepiej jeden niż nic — mówi Neil. — Policz łaski, dary, którymi obdarza cię Bóg, jeden po drugim... Znasz to? Moja babcia stale to śpiewa. Wtedy, gdy nie śpiewa hymnów. Moja babcia jest bardzo, no wiesz, chrześcijańska! Stale się modli za kurczaki. Ale lubi Guinnessa. Musisz ją poznać.

— Z przyjemnością poznam twoją babcie.

Neil zaczyna poszukiwania i w końcu pod biurkiem w biurze znajduje jeden czarny kalosz w mniejszym rozmiarze. W moim przypadku to już

staje się regułą, myśli Tomasz, wsuwając swoje adidas, z których każdy jest inny, pod ławkę, i wkładając buty, z których również każdy jest inny. Może to jakiś znak.

Idzie z powrotem do kurnika dość sztywnym krokiem, bo ciśnie go lewy but i kombinezon uwiera w krocze.

— Gotowy? — pyta Neil. — Zaraz załapiesz, o co tu chodzi. Będziemy musieli trochę poćwiczyć, zanim zjawi się ekipa. Do środka.

Otwiera drzwi do kurnika i obaj rzucają się we wzburzone morze kurczaków. Kurczaki kwilą, piszczą i przepychają się, żeby zejść im z drogi, ale nie mają dokąd. Usiłują podfrunąć, ale ich skrzydła są za słabe, by unieść przerośnięty korpus, więc tylko desperacko wdrapują się jedne na drugie i w tej szamotaninie wzbijają w górę śmierzdzącą warstwę piór i odchodów. Tomasz czuje, że pod stopą chrzęści mu coś żywego i słyszy pisk bólu. Musiał na kogoś nadepnąć, ale naprawdę nie sposób tego uniknąć.

— Łap je za nogi! — krzyczy Neil w tym piekle pisków, piór i wirujących w powietrzu odchodów. — O tak!

Unosi lewą dłoń, w której trzyma pięć kurczaków, każdego za jedną nóżkę. Przerażone ptaki wiją się i trzepoczą skrzydłami, z przerażenia wypróżniają się, a po chwili zrezygnowane zwisają bez ruchu.

— Widzisz, jak się je trzyma łebkami do dołu, to się uspokajają.

Rozlega się trzask i jeden z pięciu kurczaków opada bezwładnie ze złamanym udkiem, ale wciąż jeszcze trzepocze skrzydłami. Przy najbliższej ścianie stoją plastikowe skrzynki. Neil wyciąga jedną z nich, wciska do środka ptaki i zamyka skrzynkę. Następnie rzuca się po kolejną piątkę.

Tomasz zbiera się w sobie, wstrzymuje oddech, zamyka oczy i zanurza rękę w kotłującej się masie kurczaków. Chwyta i łapie za coś — chyba za skrzydło — ale ptak tak zaciekle walczy i piszczy tak żałośnie, że Tomasz



musi go puścić. Znow chwyta i tym razem łapie za nogi, podnosi biedne stworzenie w powietrzu, a ponieważ boi się, że je straci, od razu ładuje do klatki. A potem następnego. Wkrótce udaje mu się złapać dwa za jednym razem, a następnie trzy. Nie może trzymać więcej niż trzy ptaki naraz, ponieważ nie potrafi zmusić się do tego, żeby trzymać je za jedną łapkę. Po półgodzinie napełnił jedną klatkę, a Neil cztery.

— Lepiej, żebyś nabrał wprawy — mówi Neil — zanim się tu zjawi ekipa.

Jak na zawołanie otwierają się drzwi kurnika i wchodzi reszta ekipy — czterech niskich ciemnowłosych mężczyzn mówiących niezrozumiałym dla Tomasza językiem. Rozchodzą się po kurniku, a piszczenie i trzepotanie nasila się i teraz w całym przepastnym pomieszczeniu rozpętuje się burza piór i kurzu, i smrodu, i zgiełku, bo ekipa pracuje jak oszalała, każdy łapie po pięć kurczaków naraz i wciska je do klatki.

— Portugalczycy — Neil informuje Tomasza, przekrzyku jąc harmider. — Albo brazylijskie świry! Szacunek!

Neil unosi w górę dłoń w skórzanej rękawicy. Tomasz robi tak samo. O czym ten chłopak mówi? Zmobilizowany przykładem czwórki mężczyzn, z nową energią przystępuje do łapania kurczaków i udaje mu się nawet chwycić cztery jedną ręką, trzymając każdego za jedną nogę. I znowu. I znowu. Praca jest wykańczająca. Czuje, jak pod rozgrzanym nylonowym kombinezonem leje się z niego pot. Palą go oczy. Jego włosy są sztywne i pokryte pyłem wydalin. Zdaje się, że nawet nos i usta ma zapchane tym obrzydlistwem.

Klatki się wypełniają. Złapane kurczaki, wyczerpane z przerażenia, trzęsą się i piszczą rozpaczliwie, pokryte ekskrementami ptaków, które

jeszcze trzepoczą skrzydłami i przepychają się nad nimi. Po kilku godzinach w klatkach jest już tyle kurczaków, że wreszcie zaczyna prześwitywać podłoga kurnika. Jest to śmierdzący ugór trocin, moczu i kału, w którym zataczają się ranne i ośleple od amoniaku ptaki.

Tomasz widzi u swoich stóp ptaka ze złamaną nogą, który wlecze się przez łajno, piszcząc żałośnie, przygnieciony ciężarem swoich dużych piersi, i uświadamia sobie, pełen wyrzutów sumienia, że zapewne to ten sam ptak, któremu złamał nogę, gdy na niego nadepnął.

Sięga po kurczaka, łapie go za obie nogi i unosi w powietrze, a wtedy ptak się chybcze i Tomasz czuje, że złamała mu się druga noga. Ptak zwisa mu w garści bezwładnie i patrzy na niego z przerażeniem.

— Przepraszam, kurczaczku—szepcze Tomasz po polsku. Czy powinien włożyć go do klatki? Łapie spojrzenie Neila.

— Taa, nie martw się, Mick. One zawsze tak robią. — Podchodzi do Tomasza, machając w powietrzu czterema kurczakami. — Łamliwe. Żadnej wytrzymałości. Nie mogą się ruszać, to nie rosną im łapy. Trzeba, żeby grały w piłkę nożną, co? Kurza piłka nożna. Niektóre grają, ale to one są piłką. Kto by chciał być kurczakiem?

Tomasz wkłada połamanego ptaka do klatki, a ten zapada się pod stertą innych gramolących się kurczaków. Tomaszowi zaczyna się robić niedobrze.

— Czas na przerwę, kolego — rzuca Neil.

Na zewnątrz, w słońcu, oddychają głęboko świeżym powietrzem i ochlapują się wodą z kranu umieszczonego przy bocznej ścianie kurnika. A potem osuwają się na ziemię, jeden obok drugiego. Neil wyciąga niedopalonego papierosa i bierze kilka sztachów. Kaszle przy tym z dość zdeterminowanym wyrazem twarzy.

— Pojechać tam, pojechać tam — mówi Neil.

Portugalczyki czy też Brazylijczycy również zapalają papierosy. Rozpięli swoje kombinezony i Tomasz widzi, że pod spodem mają tylko bieliznę. W zasadzie jeden z nich nie ma chyba na sobie nawet bielizny. To całkiem rozsądne, przyznaje w duchu. Potem rozmyśla o swoim za ciasnym w kroczu kombinezonie, który wciąż ma na sobie. Kto go nosił wcześniej? Odwraca się w stronę siedzącego najbliżej młodego mężczyzny. Jest trochę niższy od Neila i prawdopodobnie jest w tym samym wieku, ma kręcone włosy i piękne zęby.

— Portugalczyk?

— Tak — odpowiada młody mężczyzna.

— Brazylijczyk?

— Tak.

Tomasz wskazuje na siebie.

— Polak. Polska.

— A! — Młody mężczyzna uśmiecha się promiennie. — Gregor Lato.

— Pele — mówi Tomasz. — Podają sobie ręce.

— Lubisz piłkę nożną?

— Oczywiście — odpowiada Tomasz, dla dobra nowej znajomości, choć nie do końca jest to prawda, ponieważ wszelkie sporty go nużą, ale gdyby już musiał wybierać, to wolałby oglądać mecz mgby Juventii Kraków. To jeden z tych obszarów sprzeciwu, które wydarł dla siebie, tak jak picie wina zamiast piwa i słuchanie zachodniej muzyki.

— Później zagramy — młody mężczyzna błyska zębami w uśmiechu.

— Na dudach. — Drugi mężczyzna, siedzący obok tamtego ma w oczach błysk szaleństwa.

— Szkot? — pyta Tomasz.

Mężczyzna mruga do niego okiem.

— Szkot.

Kiedy dopalają papierosy, na podjazd wtacza się wielka ciężarówka. Czterej mężczyźni skaczą na równe nogi i idą porozmawiać z kierowcą, który również wygląda na Portugalczyka. Albo na Brazylijczyka.

— To oni są z Portugalii czy z Brazylii? — Tomasz pyta Neila.

— Taa, jedno albo drugie. Niektórzy to Portugalczycy udający Brazylijczyków. Inni to Brazylijczycy udający Portugalczyków.

— Udają, że są z Brazylii?

— Taa, wariaci, no nie? Widzisz, Brazylijczycy są nielegalni, więc dostają się tutaj jako Portugalczycy. Ale Portugalczycy są teraz legalni, od kiedy mamy całą tę Unię Europejską, a niektórzy sprawiali tu kłopoty, więc nikt już ich więcej nie chce. Tak mówi mój tata.

— Robią kłopoty?

— Taa, związki zawodowe. Minimalne wynagrodzenie. Higiena i bezpieczeństwo pracy. Brazylijczycy, rozumiesz, nie sprawiają kłopotów, bo są nielegalni. Więc jak Portugalczyk chce dostać pracę, musi udawać, że jest Brazylijczykiem... Portugalczycy udający Brazylijczyków udających Portugalczyków. Szaleństwo, no nie? To szalony, szalony, szalony świat. Widziałeś ten film? Oglądałem go z babcią w Folkestone. Najlepszy film, jaki kiedykolwiek widziałem.

— Bardzo. — Tomasz kręci głową.

— Byłeś kiedyś w Folkestone? Kiedy byłem mały, zabierała mnie tam babcia. Nazywają to miejsce Uroczą Plażą Folkstone. Uroczą dla mojej dupy. Tak napisałem na znaku drogowym. Jak pojedziesz do Folkestone, to zobaczysz. Uroczą plaża dla mojej dupy. Taa, ja to napisałem.

— Ciekawe.

— Tak, zostawiłem po sobie ślad.

— Jakie jest minimalne wynagrodzenie w Anglii?

— Bo ja wiem. Nie za duże. Czy tam u was, w Polsce, też to macie?

— Mamy jeden bardzo znany związek zawodowy. Nazywa się „Solidarność”. Słyszałeś o nim?

— Brzmi jak coś, na czym można sobie zęby połamać. Solid-er-nosz. He, he. Łapiesz? Taa, myślę, że pojedę do Brazylii. — Rzuca tę informację tak zwyczajnie, że mało brakowało, a Tomasz, który wciąż jeszcze myśli o związkach zawodowych, w ogóle by jej nie dosłyszał. Spogląda na chłopaka z większym zainteresowaniem.

— A więc wybierasz się w podróż odkrywcy.

W wieku Neila był taki sam, myślał tylko o tym, jak by się gdzieś wyrwać. Oczywiście, kiedy miał siedemnaście lat, to były czasy komuny i podróżować można było jedynie we własnej głowie. Pamięta, jak jeden z jego przyjaciół wydobyl skądś piracką kasetę z piosenkami Boba Dylana. Usiedli wtedy we czwórkę w garażu w samochodzie jego taty, szyby zaparowane od ich oczarowanych oddechów, i słuchali muzyki, jakby to były dzwony wolności. Każdy ma w życiu taką chwilę, kiedy może uwolnić się od z góry założonej sytuacji i ruszyć w zupełnie innym kierunku. Dla Tomasza tamten wieczór był przełomowy. Sam nauczył się angielskiego, by zrozumieć słowa, a kilka miesięcy później kupił używaną gitarę od czeskiego Cygana, który akurat był przejazdem w Zdroju. I złożył sobie obietnicę: któregoś dnia pojedzie na Zachód.

— Podróż odkrywcy? He, he. To mi się podoba — powiedział Neil. — Któregoś dnia, kiedy odłożę wystarczająco dużo pieniędzy, pojedę do Brazylii. To moje marzenie. Każdy musi mieć jakieś marzenie. Dlatego uczę się palić. — Spogląda w stronę czwórki Portugalczyków-Brazylijczyków, którzy pozapinali już swoje kombinezony i idą z powrotem do kurnika. — Może ich marzeniem było przyjechać do Anglii.

Przyjechać do Anglii i urobić się po łokcie w kurzym gównie. Zabawne marzenie, no nie?

Czwórka Portugalczyków-Brazylijczyków zaczęła ładować skrzynki z kurczakami na ciężarówkę. Kiwają na Tomasza i Neila, a oni z ociąganiem do nich dołączają. Ustawili się jeden za drugim i podają sobie klatki z rąk do rąk, ciasno upakowane kurczęta piszczą w panice, bo przerzucane klatki niemal fruwały w powietrzu, a następnie z łomotem lądują na pace ciężarówki. Niesamowite, ile udało im się napełnić klatek. A i tak wydaje się, że liczba kurczaków w kurniku wcale się nie zmniejszyła.

Po odjeździe ciężarówki trzeba wracać do kurnika i dalej łapać i pakować do klatek. Dzień ciągnie się w nieskończoność, nużący, brudny i wyczerpujący. Tomasza tak bardzo bołą ręce, że ma wrażenie, że zaraz mu odpadną. Jego nogi i przedramiona są poranione od dziobnięć i miotania się walczących ptaków. Ale najgorsze jest to, że jego dusza jest poraniona. Traci już wrażliwość, zdolność postrzegania kurczaków jako żywych czujących istot, a w efekcie traci zdolność ostrzegania tak samego siebie. W pewnej chwili orientuje się, że wciska naraz do klatki pięć kurczaków z takim impetem, że jednemu z nich łamie skrzydło. Co się z tobą dzieje, Tomaszu? Kim ty się stajesz?

Pod koniec popołudnia podłoga pokryta jest martwymi i umierającymi ptakami, niektóre są wdeptane w trociny i ekskrementy, inne wciąż trzepoczą skrzydłami i walczą o życie. Tomasz czuje, że jego własna dusza jest jak umierający ptak, trzepocze się w bagnie... ale czego...? Z tego może być jakaś piosenka, lecz jakie akordy byłyby dość rozdzierające, by oddać ten nieutulony żal.

— Zabiliśmy ich aż tyle? — szepcze do Neila.

— E tam, nie martw się, kolego — mówi Neil. — Większość z nich już i

tak była martwa. Widzisz, jak złamię nogę albo są trochę słabe, to nie mogą się dostać do jedzenia i umierają z głodu. Kompletne wariactwo, żeby było tam tyle jedzenia, a one nie mogły się do niego dostać. Ale i tak żyją tylko pięć tygodni od wyklucia do złapania. Pięć tygodni! Niezbyt wiele, żeby rozwinąć osobowość, no nie?

— Osobowość?

— Taa, ja właśnie staram się to w sobie rozwinąć: osobowość.

Przyjeżdża kolejna ciężarówka i wytacza się na zielone drogi z kolejnym ładunkiem piszczącego nieszczęścia. Znow czas na przerwę. Neil z uwagą wypala następną połówkę papierosa. Portugalczycy-Brazylijczycy gnają do kranu i chlapią się, śmieją i mocują ze sobą, wypychając sobie wzajemnie głowy pod strumień wody. Tomasz pije łyk za łykiem wodę prosto z kranu, a potem myje włosy i twarz pod zimną bieżącą wodą. Długie włosy i broda w takiej sytuacji stanowią wielkie wyzwanie. Gdyby chociaż miał trochę pachnącego mydła Joli.

— *Wow!* — Neil patrzy w stronę Portugalczyków-Brazylijczyków, którzy robią się coraz bardziej hałaśliwi. — Dudy. Lepiej na to nie patrz, Mick.

Ale Tomasz jest sparaliżowany.

Jeden z mężczyzn, ten z szaleństwem w oczach, schwytał utyłanego kurczaka ze złamaną nogą i ściska go teraz pod pachą. Główka ptaka sterczy z tyłu po jego łokciem, a on podkrada się do swojego kolegi, który pochylony zamyka klatkę. Kiedy się prostuje, mężczyzna o szalonych oczach ściska mocno ramieniem stworzenie, jak dudziarz, a wtedy spod ogona kurczaka strzela struga ekskrementów i ląduje na twarzy tego drugiego. Kurczak kwili i próbuje się uwolnić, ekskrementy wciąż z niego wyciekają. Ofiara ryczy z wściekłości, ocierając twarz dłonią, przez co jest jeszcze



bardziej umorusana, następnie łapie innego kurczaka, wpycha go sobie pod pachę dziobem do tyłu i ściska go mocno gwałtownymi pompującymi ruchami. Kurczak wydaje z siebie długi pisk bólu. Ekskrementy strzelają. Starszy z mężczyzn biegnie w ich stronę, krzyząc, by przestali, wpada w poślizg na szlamie i ląduje na ziemi utapłany w odchodach. Czwarty mężczyzna tylko stoi i się przygląda, biorąc się pod boki i płacząc ze śmiechu. Neil również stoi i się śmieje, krztusząc się histerycznie, łzy spływają mu po twarzy. Ku swemu przerażeniu Tomasz również zanosi się śmiechem.

Pojawia się brygadzysta i bluzga przekleństwami po portugalsku. Naddasani mężczyźni podejmują z powrotem pracę. W miarę jak zmniejsza się liczba ptaków, a łapanie tych, które się ostały, stanowi coraz większe wyzwanie, daje się wyczuć ledwo powstrzymywane podniecenie. Jest niesamowicie gorąco, odchody na podłodze parują jak sterta nawozu, a oni wciąż nie mogą zostawić otwartych drzwi do kurnika. Ta garstka ostatnich kurczaków to ocalańcy, prawdziwi twardziele. Mężczyźni muszą się teraz więcej nabiegać, wrzeszczą, klną i ślizgają się w odchodach, usiłując osaczyć i złapać ptaki.

Wreszcie zostaje tylko jeden kurczak, duży sprytny ptak, który r<sup>o</sup>^i uniki i wymyka im się z niesłychaną wprawą, kiedy usiłują go osaczyć. Jeden z Portugalczyków-Brazylijczyków — miłośnik piłki nożnej o pięknych zębach — dosięga umykającego kurczaka końcem buta i kopniakiem posyła go w powietrze. Skrzydła ptaka są zbyt słabe, by unieść jego ciężar, więc kiedy spada na ziemię, drugi Portugalczyk-Brazylijczyk podbiega i solidnym kopniakiem znów posyła go w powietrze. Kurczak wiruje i piszczy. Wszędzie latają pióra. Starszy mężczyzna krzyczy na nich, by przestali, ale zabawa jest zbyt ekscytująca. Pierwszy z mężczyzn posyła kurczaka kopniakiem wprost do koryta z karmą. Unosi ręce w górę i krzyczy: Gol! Gol!

Ogłuszony i sponiewierany ptak podnosi się i znów zaczyna uciekać, coraz bardziej już teraz osłabiony. Biegnie w stronę Tomasza. Nagle zatrzymuje się i patrzy na niego, mrugając dziwnymi okrągłymi oczami. Tomasz też na niego patrzy. Stoją naprzeciw siebie, mężczyzna i ptak. A potem Tomasz schyla się gwałtownie, łapie ptaka i trzymając go w obu dłoniach, pędzi przez kurnik, otwiera drzwi i wypada na zewnątrz. Przyciskając ptaka do piersi, gna przez podwórze w stronę niskiego drucianego ogrodzenia, za którym w obniżeniu terenu rośnie żywopłot. Przechyla się i stawia kurczaka po drugiej stronie ogrodzenia. Kurczak się nie rusza, oszołomiony mruga oczami w jasnym świetle dnia. Tomasz znów się przechyla, klepie go lekko i szepcze po polsku: Biegnij kurczaczku, biegnij! Ptak waha się przez chwilę, a potem nagle śmiga w stronę żywopłotu, tak szybko jak tylko mu pozwalają jego zdeformowane małe nogi, i znika w zaroślach.

Pozostali wyszli za nim na zewnątrz. Na ich twarzach maluje się zdumienie.

— Co ty wyprawiasz, Mick? — pyta Neil.

Tomasz odwraca się do niego z uśmiechem szaleńca na twarzy.

— Rugby. Strzeliłem bramkę.

Kiedy skończyli, Tomasz był tak wyczerpany, że marzył o tym obrzydliwym materacu, z pięcioma innymi spoconymi wyczerpanymi ciałami wyciągniętymi obok. Czwórka Por. tugalczyków-Brazylijczyków pojechała gdzieś z kierowcą ciężarówki. Tomasz jest zbyt zmęczony, żeby z nimi jechać. Postanawia rozprostować nogi i pójść do miasteczka, aby się zorientować, czy uda mu się kupić tam coś do jedzenia. Ferma drobiu położona jest na peryferiach Titchington, które składa się z grupy uroczych domków o stromych dachach, otoczonych pełnymi róż ogrodami i zgrupowanych wokół ładnego średniowiecznego kościoła. Tomasz zastanawia

się, czy mieszkańcy zdają sobie sprawę z horroru, który odbywa się tuż obok. Mówiono, że ci, którzy mieszkali w pobliżu Trebłinki, mieli bardzo mgliste pojęcie o tym, co działo się kilka kilometrów dalej za ogrodzeniem z kolczastego drutu. Kiedy wiatr wiał w ich stronę, im również musiał przeszkadzać zapach, podobnie jak mieszkańcom Titchington.

W osadzie nie znalazł żadnego sklepu ani pubu. Tomasz uświadamia sobie nieco skonsternowany, że nie ma nic do jedzenia i nie ma miejsca, w którym mógłby cokolwiek kupić. Kiedy wraca, dom jest pusty. Wszyscy śpiący zniknęli — zostały po nich tylko ich zapachy, nędzny dobytek i masa plastikowych torebek pod ścianami, które przypominają mu o tym, że ci ludzie tu byli. Przeszukuje szafki i natrafia na kilka kromek czerstwego chleba i puszkę pomidorów. W szufladzie w kuchni jest otwieracz do konserw. Tomasz zjada pomidory prosto z puszki, wycierając sos czerstwym chlebem. I dalej jest głodny. Gdyby tylko były tu jakieś sardynki. Albo ciasteczka czekoladowe. I kieliszek czerwonego wina. Chianti. Rioja. Zastanawia się, gdzie są teraz Jola i Marta i co one jedzą. Może królika. Albo rybę. Wyobraża sobie aromat potrawy przyprawionej ziołami, i Jolę pachnącą mydłem i podającą mu z uśmiechem talerz. ***Proszę, Tomku, jedz.***

Następnie ktoś puka do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do środka wchodzi Neil. Przebrał się i teraz zamiast kombinezonu ma na sobie džinsy i czarną skórzaną kurtkę, a pod pachą trzyma kask. W drugiej dłoni ściska jakąś papierową torebkę.

— Proszę, Mick. To dla ciebie. Solid-er-nosz.

Torebka jest ciepła. Tomasz otwiera ją. W środku w pojemniku z folii aluminiowej leży mały placek z kurczakowo- -pieczarkowym nadzieniem.

— Dziękuję. — Tomasz zaczyna rozpakowywać placek. Smakowity zapach drażni nozdrza. Zapewne ze zmęczenia albo z tego całego skumu-

lowanego horroru kurnika, albo może z samotności do oczu napływają mu łzy. — Dziękuję. Wyciągnąłeś mnie z ulicy rozpaczy\*<sup>3</sup>.

— Ulica rozpaczy. — Neil kiwa głową. — Nieźle. To film?

— Nie, to piosenka.

— Podoba mi się.

— I powodzenia z tą twoją podróżą.

— Taa. — Chłopak wlecze się w stronę drzwi.<sup>1^</sup> fta Dojadę tam.

Tamtej nocy księżyc jest w pełni. Jego blask wpada do środka przez niezastłonięte okna, oświetlając twarze pięciu śpiących postaci zwiniętych na materacach na podłodze — pięciu nieznajomych, którzy zjawili się o wpół do pierwszej w nocy i wchodząc, narobili tyle hałasu, że obudzili Tomasza, który trzy godziny wcześniej poszedł spać. Teraz mimo zmęczenia nie może zasnąć. Wsłuchuje się w ich głębokie, rytmiczne oddechy i patrzy na księżyc. Myśli o kurczaku — tym, który uciekł. Czy śpi dziś w żywopłocie, w świetle księżycy? Czy cieszy się swoją wolnością? Czym jest wolność?

Przez kilka dni będziesz w grupie czyszczącej kurze gówno. A potem wysyłają cię do rzeźni — powiedział Darren, a Tomasz zadrżał.

— Nie ma jakiejś innej pracy, którą mógłbym wykonać?

— Nie, kolego. Musisz robić to, co ci każą.

— Gdzie czerń jest kolorem, gdzie nie ma nic więcej\*<sup>4</sup>.

Darren spojrział na niego dziwnym wzrokiem.

Czy tu na Zachodzie Tomasz ma więcej wolności niż w Polsce za komuny, kiedy marzył jedynie o wolności, nie wiedząc nawet, co ona ozna-

---

<sup>3</sup> *Desolation row* (ang.) — tytuł piosenki Boba Dylana, przekład Sylwek Szweđa.

<sup>4</sup> *Where black is the colour and none is the number* — cytata z piosenki Boba Dylana (*A Hard Rain s A Gonna Fall*), przekład Marek Zgaiński.

cza? Czy naprawdę ma więcej wolności niż te kurczaki w kurniku, upchnięty w zbyt małym śmierdzącym pomieszczeniu z pięcioma nieznanymi, potulnie poddającymi się codziennemu horrorowi, który przeszedł już w rutynę. Dręczyciel i dręczony, wszyscy są potępionymi duszami w piekle. Z tego może być jakaś piosenka.

\*\* \*

Jola była w złym humorze. Tego ranka odkryła, nie pytajcie w jaki sposób, że Słowaczki, z którymi musiały dzielić pokój, nie mają włosów łonowych. Jak coś takiego może być dozwolone? Zapewne nie miały tak od urodzenia — to znaczy, zapewne tak miały, ale potem w naturalny sposób włosy im wyrosły, a one przedsięwzięły nienaturalne środki, by je usunąć. O komunizmie można powiedzieć wiele złego, ale jedno jest pewne, za komuny kobiety nie znęcały się w ten sposób nad swoimi włosami łonowymi — taka praktyka jest nienaturalna, szpecąca, niegodna i nie wdając się w szczegóły, potencjalnie niebezpieczna.

Jola rozmyśla o torturach, które kobiety same sobie zadają i którym się poddają, w drodze do Zakładów Drobiowych FarmFresh „Łąka Jaskrów”<sup>5</sup> położonych niedaleko Shermouth i kiedy dociera na miejsce, jest już wystarczająco podminowana, by z byle powodu wdać się w sprzeczkę. Humor pogarsza się jej jeszcze bardziej, gdy okazuje się, że ona, kobieta czynu z dwuletnim doświadczeniem na stanowisku kontrolera i sporym doświadczeniem w zakresie angielskich obyczajów i w ogóle życia (o czym później wam opowie) nie została od razu wyznaczona na stanowisko nadzorcy. Za to nadzorczym sekcji, do której przydzielono Jolę, była ordynarną nieprzyjemną Rumunką o imieniu Geta, która mówiła fatalnie po angielsku i z

---

<sup>5</sup> *Farm-fresh* — oznaczenie na opakowaniach, świadczące o tym, że drób został wyprodukowany metodami ekologicznymi, czyli w warunkach możliwie komfortowych.

trudem komunikowała się z pracownikami, w większości Słowianami. Nie miała też najmniejszego pojęcia o znaczeniu harmonii seksualnej dla utrzymania przyjemnej atmosfery w miejscu pracy. Miała natomiast okropny nawyk spluwania na palce, za każdym razem gdy sięgała po kawałek kurczaka przesuwający się po taśmie, i Jola zaczęła podejrzewać, że Rumunka została nadzorczynią tylko z powodu blond włosów, które — każdy idiota, by się domyślił—były tlenione, oraz jej bezwstydnego biustu ewidentnie podtrzymywanego przez wkładki z pianki poliuretanowej i fiszbiny (Ohyda. Jola również na ten temat ma wyrobioną opinię, którą później się z wami podzieli), i dyplomu z zakresu higieny żywienia z Instytutu Politechnicznego w Bukareszcie, dokumentu, który — każdy idiota by się domyślił — był sfalszowany i zapewnił jej to godne pozazdrosczenia stanowisko.

W każdym razie ta ofiszbinowana fałszywa blondynka z fałszywym dyplomem zaczyna uczyć Jolę, jak kładzie się dwa kawałki kurczaka na polistyrenowej tacce. Po sposobie, w jaki to robi, można by sądzić, że naprawdę potrzebny jest do tego dyplom politechniki, podczas gdy jedyne, co należy wykonać, to wziąć dwa kawałki piersi z taśmociągu, na którym przesuwają się wszelkie rodzaje pokrojonego mięsa, i wcale nie trzeba, jak ta fałszywa blondynka, spluć na rękę. Kiedy Jola zwraca jej na to uwagę, Geta nabzdycza się i mówi, że wy Polki, teraz legalne, myślicie, że wszystko wiecie, ale nic nie wiecie, kładziesz dwa kawałki piersi na tackę w ten sposób, a te kawałki tłuszczu i skóry, co są luzem, wsuwasz pod spód, żeby pierś wyglądała ładnie i pulchnie. Po takich słowach możesz tylko myśleć o tych wkładkach z pianki poliuretanowej, które fałszują podtrzymywany fiszbinami biust fałszywej blondynki, w istocie fałszywa blondynka ujawnia, że w te kurczaki wstrzyknięto również wodę, sól, mięso wieprzowe i inne rzeczy, by wyglądały pulchnie, co, jak się nad tym za-



stanowić, jest jeszcze gorsze od lateksu, bo musisz to wszystko zjeść, a lateksu nie — chociaż biorąc pod uwagę to, co w dzisiejszych czasach wyprawiają mężczyźni, Jola i tym nie byłaby zaskoczona — a potem zakrywasz je folią samoprzylepną z tej dużej rolki i posyłasz na taśmie do kobiet, które ważą tacki i nakleją na nie etykiety, żółte dla jednego supermarketu, niebieskie dla drugiego i tak dalej. Dyplom nie jest do tego potrzebny, prawda?

\* \* \*

Praca Marty stanowi jeszcze mniejsze wyzwanie.

Kiedy znalazła się w Buttercup Meadow, jasno dała do zrozumienia, że chce karmić kurczaki. Ale jej nadzorca, miły przyjacielski chłopak z Litwy, któremu brakowało przednich zębów, a mimo to — lub może właśnie dzięki temu — mówi! całkiem niezłe po polsku, wyjaśnił, że takiej pracy już nie ma, ponieważ karmienie kurczaków jest teraz całkowicie zautomatyzowane z powodu mieszanek hormonów i antybiotyków, które dodaje się do karmy, a w hali drobiarskiej panuje okropny smród i w żadnym wypadku nie jest to odpowiednie miejsce dla tak młodej i wrażliwej kobiety.

Przypisano ją zatem do tej części zakładów, w której kurczaki są dzielone na klasy. Przyjeżdżają na taśmie z rzeźni, a Marta ma jedynie zbadać kurczaki, wyselekcjonować te pulchne i nieuszkodzone i umieścić je na innej taśmie — zostaną zapakowane i sprzedane w całości. Ptaki nieco poranione albo na przykład ze złamaną nogą, albo poparzone amoniakiem pozostawia się na taśmie, która transportuje je dalej, do tej części zakładów, w której są dzielone na kawałki, a następnie pakowane tam, gdzie pracuje ciocia Jola. Bardzo uszkodzone i pokaleczone kurczaki idą do wielkiego plastikowego pojemnika, skąd zostaną zabrane i przerobione na potrzeby przemysłu gastronomicznego — restauracji, barów szybkiej obsługi i



szkolnych stołówek.

Na początku Marta jest zbyt zaabsorbowana przyglądaniem się i selekcjonowaniem nieuszkodzonych ptaków, by rozmyślać o całym procesie produkcji, i nie zastanawia się nad tym, dlaczego tak wiele ptaków przejeżdżających przez harmonijkową gumową bramkę znajduje się w tak okropnym stanie. Wyselekcjonowane przez Martę kurczaki wyglądają przyjemnie i spokojnie, mają też pulchne piersi i Marta zabawia się wymyślaniem cudownych przepisów, które z godnością przeniosłyby ptaki w inny świat. Można by je na przykład nadziać płatkami owsianymi, estragonem, cytryną i czosnkiem albo żurawinami, brązowym cukrem i wieprzowymi żołądkami — to ulubiony przepis jej mamy — albo tartą bułką, masłem i suszonymi owocami, albo kasztanami i... właściwie kasztany są smaczne same w sobie. Można by też zanurzyć kurczaki w marynacie z jogurtu i papryki albo miodu i chrzanu, tylko nie za dużo tego chrzanu, bo będzie za ostra, może tylko pieprz, rozbite ziarna czarnego pieprzu, które chrzęszczą pod zębami, i posypać majerankiem zawsze pasującym do białego mięsa.

Chciałaby spytać nadzorcę, tego całkiem sympatycznego Litwina, czy któregoś dnia mogłaby wziąć jednego kurczaki do domu, żeby wypróbować ten przepis z chrzanem — oczy! wiście zapłaciłaby — ale zaraz przypomina sobie, że nie mieszkają już w przyczepie, lecz w zatłoczonym hotelu i tam nie ma gdzie gotować. Cóż, to też będzie musiało poczekać, aż Marta wróci do domu.

Marta łapie się na tym, że kiedy nie myśli o przepisach albo o żywotach świętych, co w końcu może stać się dość monotonne, coraz więcej czasu poświęca na wspomnianie swojego domu w Zdroju, starszego brata, który w dalszym ciągu z nimi mieszka, mamy, która jest nauczycielką, i ojca, który

pracuje w ratuszu i jest kolegą Tomasza — co się z nim stało? — zastanawia się Marta. I małego Mirka, który często również z nimi przebywa, wtedy kiedy Jola poluje na nowego męża. I choć czasem Jola postępuje grzesznie, to nie nam ją sądzić, bo nikt z nas nie jest bez grzechu, i kto może wiedzieć, jak by się zachował w jej sytuacji, a to, że ojciec dziecka ją porzucił, było prawdziwym nieszczęściem i odszedł, zostawiając ją samą z dzieckiem z zespołem Downa.

\* \* \*

— Kiedy wrócimy do domu, ciociu? — Marta pyta Jolę. Stoją w słońcu na zewnątrz przed zakładami i przeliczają swoją pierwszą tygodniową wypłatę.

— Kiedy? Jak zostaniemy milionerkami. — Jola uśmiecha się kwaśno. Na pewno zaszła jakaś pomyłka. Wypłata stanowi jakąś jedną czwartą kwoty, jaką obiecywał Witalij. W kopercie oprócz pieniędzy jest jakiś świstek papieru z całą masą niezrozumiałych liter i cyfr. U starego Knedla nigdy nie było takich bzdur. Tylko gotówka do ręki.

— Potrącenia, co to znaczy? — pyta stojącą w pobliżu Getę. Nadzorczyńm też przelicza pieniądze, ale jej koperta jest dużo grubsza od koperty Joli, choć Geta nic nie robi, tylko przechadza się dumnie i wszędzie wciska nos. Kiedy Jola była kontrolerką, dawała przynajmniej innym dobry przykład własną ciężką pracą.

— Potrącenia to wszystko, co płacisz — wydziera się Geta fatalną angielszczyzną. — Rozumiesz — transport, zakwaterowanie, podatki, *superannuations*, NIS.

— NIS?

— W Anglii każdy to płaci. Takie prawo.

— A TR. Co to takiego?

— To znaczy *trenning ret*. Nie masz umiejętności\* szkolić.

– *Trenning*? Co to takiego?

– *Trenning* to nauka. Trzeba się nauczyć, jak pracować.

– Taką pracę każdy idiota potrafi wykonać. Niby jak mam się tego uczyć?

– Ja szkole, ty się uczysz. Szkole, jak kłaść kurczaki na tackach.

– I za to płacę?

– Po dwu tygodniach będzie normalna opłata.

– A tobie płacą więcej?

– Jasne. Jestem kontrolerem.

Jola aż gotuje się ze złości, czuje, że za chwilę wybuchnie. Marta odciągają na bok i kto wie, co by się wydarzyło, gdyby nie interwencja niezwykle przystojnego mężczyzny o długich jasnych włosach i umięśnionych łydkach wielkości przerośniętych kabaczków, takich, o jakich marzy każda kobieta — i tak, ma na sobie szorty, na co większość mężczyzn nie może sobie pozwolić, ale w jego wypadku jest to wspaniałe, ponieważ ma opalone, porośnięte miękkimi jasnymi włosami nogi, a mięśnie jego łydek są wielkości... tak, już to wiemy. W każdym razie ten boski mężczyzna podchodzi do nich i pyta:

– Potrzebna wam jest jakaś pomoc w związku z waszymi paskami wypłaty i potrąceń?

Cóż, w tej sytuacji która kobieta nie potrzebowałaby pomocy?

Mężczyzna o łydkach jak kabaczki zaczyna im wszystko wyjaśniać, że *superannuations* to składka emerytalna, ale ponieważ obie przejdą na emeryturę w Polsce, to nie dostaną z tego ani grosza i że prawdopodobnie i tak nie zobaczyłyby z tego ani grosza, bo ci krwio pijcy nie wpłacają pieniędzy do żadnego funduszu emerytalnego, tylko schowają je do własnych kieszeni i

wydadzą na rolls-royce'y i luksusowe jachty i owszem, skoro już o tym wspomniała, prawdopodobnie kupią za nie niewygodną bieliznę dla swoich zdzirowatych żon i tak samo będzie z NIS-em, ubezpieczeniem państwowym, i pewnie też z podatkami — jeśli poborca podatkowy zobaczy te pieniądze, to naprawdę będzie miał dużo szczęścia, a potrącenia za transport i zakwaterowanie nie są do końca legalne, natomiast z pewnością są zbyt wysokie i on się temu przyjrzy, jeśli Jola sobie tego życzy. A na koniec pyta, czy Jola chciałaby zapisać się do Związku Zawodowego Pracowników Drobiarstwa? Cóż, w takiej sytuacji która kobieta by nie chciała?

\*\*\*

Tomasz również został zwerbowany do Związku Zawodowego Pracowników Drobiarstwa przez młodego mężczyznę w szortach, który zaczepił go w drodze do pracy, choć to nie nogi mężczyzny przekonały Tomasza, lecz głęboka niewytłumaczalna złość na Witalija i na wszystko, co sobą reprezentował. Ten Witalij jest zbyt niecierpliwy, tak mu spieszno, by się wzbogacić, że zapomniał już o podstawowych zasadach człowieczeństwa. Tomasz był też zły na samego siebie: w ogóle nie powinien dać się wciągnąć w ten system Witalija. Przyjechał do Anglii, żeby zdobyć nagrania kilku rzadkich kawałków Boba Dylana i zobaczyć trochę świata, nim się zestarzeje, i tak, może nawet znaleźć miłość, gdyby to było mu pisane. A tymczasem jakimś cudem dał się zdegradować do takiego poziomu, że mógł zadawać cierpienie żywym istotom, odczuwając przy tym zaledwie cień współczucia. Stał się pionkiem w grze tamtych.

Była dopiero siódma rano, a już przydarzyły mu się dwie okropne rzeczy. Kiedy zszedł o świcie do zaniedbanej jadalni, by zjeść kilka kromek chleba z margaryną i dżemem — tak, zainwestował w dżem morelowy — zanim o szóstej rano przyjechała po niego biała furgonetka, zasiadł do pracy

nad nową piosenką, którą przez całą noc komponował w myślach. Wówczas to odkrył, że jego gitara znikła. Z początku nie mógł w to uwierzyć. Szukał jej wszędzie, pod stołem, gdzie poniewierały się resztki jedzenia i pomięte opakowania po ostatnim wieczornym posiłku, w zapaćkanych szafkach kuchennych, w sypialniach, w których wciąż unosił się duszny zapach oddechów wyczapanych śpiących ludzi, w brudnej szafie pod schodami. I na tym koniec. W domu nie było więcej miejsc, które mógłby przeszukać. Ktoś ją ukradł. Jeden z tych zdesperowanych anonimowych mężczyzn z jakiegoś zubożałego albo wyniszczonego przez wojnę regionu świata ukradł jego gitarę i zapewne zdążył już ją sprzedać za — za co? Za butelkę wódki? Placek z kurczakiem i pieczarkami?

Tym razem Tomasz nawet nie płakał. Jaki miałoby to sens?

Milo pozwolił mu usiąść obok siebie, na miejscu pasażera, ponieważ Tomasz był pierwszym pracownikiem, którego zabrał tego ranka. Wsiadając, Tomasz z żalem przypomniał sobie, że nie pożegnał się nawet z Neilem, swoim jedynym przyjacielem. Tomasza przenoszono do innego domu, nad morzem, na przedmieściach Shermouth, bliżej rzeźni zakładów przetwórstwa, w których o szóstej trzydzieści miał rozpocząć pracę. Gdyby siedział z tyłu, zapewne by tego nie zobaczył, ale ze swojego miejsca nie mógł nie dostrzec na zakręcie tuż przed nimi zmiażdżonych resztek przejechanego na drodze kurczaka. A więc to tu nastąpił kres jego wolności. Z tego może być jakaś piosenka, pomyślał Tomasz i zaraz przypomniała mu się jego gitara.

Jeśli jednak coś jasno uświadomiło mu, jak bardzo jego los stał się podobny do losu kurczaków, było to zdarzenie, do którego doszło później: wypadek z kciukiem chińskiego rzeźnika.

Kiedy kurczaki trafiały do rzeźni, zadaniem Tomasza było podwieszanie

ich za spętane nogi na taśmociągu, gdzie ptaki dyndały, piszcząc żałośnie, zwłaszcza te o połamanych łapkach (choć teraz Tomasz był nieczuły na piski), a taśmociąg transportował je, głowami w dół, do zbiornika wypełnionego naelektryzowaną wodą, która miała je ogłuszyć, zanim ich gardła zostaną przecięte automatycznym ostrzem. Ale gdy woda nie spełniała swego zadania albo ostrze chybiło, co zdarzało się dość często, w hali było kilku rzeźników gotowych podciąć kurczakom gardła, zanim trafią dalej, do pomieszczenia, w którym były oparzane, a następnie mechanicznie usuwano im pióra i łapki. Potem ptaki były patroszone przez inną grupę rzeźników.

Rzeźnicy byli Chińczykami i mieli wprawę w posługiwaniu się nożami, ale byli trochę za niscy w porównaniu z wysokością, na której zawieszony był taśmociąg, i nie zawsze widzieli, co robią. Jeden z nich złapał ptaka, który utknął w automatycznej obcinarce łap i jakoś tak się stało, że obciął sobie kciuk, tuż powyżej stawu. Na początku wśród pisków kurczaków nie było nawet słyhać jego krzyku. Tomasz zatrzymał taśmociąg i popędził po nadzorcę, który natychmiast złapał za telefon komórkowy i zaczął krzyczeć, żeby przysłali mu nowego rzeźnika, podczas gdy reszta ludzi rozpoczęła poszukiwania kawałka kciuka na posadzce rzeźni, wśród krwi, odchodów i piór. Ale kciuk przepadł, a mężczyzna przez cały czas wrzeszczał, zawodził i kurczowo ścisnął swoją dłoń w nadgarstku, by zatrzymać krwawienie. Wreszcie znaleźli odcięty kawałek kciuka i ktoś zawiózł rzeźnika do szpitala, aby mu go przyszyto.

Wtedy nadzorca zaczął krzyczeć na Tomasza za to, że zatrzymał taśmę:

— Tracimy pieniądze, ty durniu, włączaj tę pieprzoną taśmę, żeby te pieprzone kurczaki zaczęły się ruszać. Co ty sobie myślisz, że to jakieś pieprzone wakacje?

Wyglądał na zaledwie kilka lat starszego od Neila, nie miał trądziku, ale brakowało mu również uroku tamtego chłopaka.

— Trzymaj. — Podał Tomaszowi zakrwawiony nóż rzeźnicki, choć trudno było powiedzieć, czy była to krew rannego rzeźnika, czy kurczaków. — Lepiej bierz się do roboty, dopóki nie zjawi się ktoś na jego miejsce.

Jeśli stracę palec, pomyślał Tomasz, to nie będę już mógł grać na gitarze.

— Rękawice. Muszę mieć skórzane rękawice. <sup>v</sup>

Nadzorca spojrzał na Tomasza, mrużąc oczy.

— Jesteś jakimś wichrzycielem czy co?

— Takie same rękawice, jakie mieliśmy do łapania kurczaków. Bez takich rękawic ta praca jest niebezpieczna. — Z jakiegoś powodu wciąż był wściekły, i to nie na nadzorcę czy właścicieli zakładów, ale na Witalija.

— Słuchaj, kolego, ludzie wykonują tę robotę bez rękawic już niemal od dwu lat.

— I?

— I straciliśmy tylko trzy kciuki. A licząc ten dzisiejszy... cztery.

— Nie będę tego robić bez rękawic.

— Skąd jesteś? — spytał nadzorca.

— Z Polski — Tomasz uśmiechnął się, bo doskonale wiedział, że nie taką odpowiedź chciał usłyszeć nadzorca.

— Och, powinienem się domyślić. Rozwydrzeni, kurna wichrzyciele. Zaraz będziesz się domagać cholernego zasiłku macierzyńskiego. Dobra, czekaj. Pętaj dalej ptaki, a ja poszukam jakichś pieprzonych rękawic.

— Nie — powiedział Tomasz. — Nawet do pracy przy pętaniu potrzebne są rękawice.

Nadzorca zrobił się purpurowy na twarzy.

— Słuchaj, ty pieprzona polska cioto, następnym razem, jak zaczniesz mi pyskować, to wylądujesz na ulicy. Tylko dlatego tu jeszcze jesteś, że stra-



ciem tego zajebistego Chińczyka, inaczej już dawno wylądowałbyś na ulicy.

W końcu jednak poszedł po rękawice.

Tomasz powoli, z namysłem, zaczął je wkładać, najpierw jeden palec, potem drugi. Jedno zdanie, które wypowiedział ten wstrętny nadzorca, przywiodło mu na myśl Jolę: Gdzie ona teraz jest? Co robi? Czy o nim myśli?

\* \* \*

W pozostałej części zakładów nagłe zatrzymanie taśmociągu spowodowało radośnie przyjętą przez pracowników przerwę w pracy. Jola westchnęła i rozejrzała się wokół. Dopóki taśmociąg był w ruchu, nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest hałaśliwy. Wąskie okna pakowalni były umieszczone zbyt wysoko, by przez nie wyrzeć, ale załamujące się w nich promienie słońca przypominały o lecie. Jak to możliwe, że wpadła w taką pułapkę? Jola czuła w pęcherzu coraz większy ucisk, ale już sama myśl o tym, że miałyby prosić Getę o pozwolenie na pójście do toalety, była poniżająca. Powstrzymała się. Wszyscy wokół niej korzystali z okazji, by odpocząć i zamienić parę słów z najbliższymi stojącymi pracownikami. Dwie Słowaczki próbowały nawet zuchwale wyslizgnąć się na papierosa, lecz Geta ruszyła za nimi, wrzeszcząc: Nie palić! Hygien!

Jola pomyślała, że to dobry moment, by niepostrzeżenie się wymknąć, ale Geta od razu ją zobaczyła i uparła się, że będzie jej towarzyszyć, twierdząc, że do jej obowiązków należy dbanie o to, by przerwy na toaletę były właściwie wykorzystywane, zwłaszcza przez Polaków i Ukraińców, bo czort wie, co oni tam wyprawiają, czasami spod drzwi wydobywa się dym. Jak można się zrelaksować i cieszyć miłą przerwą na pójście do toalety, kiedy ta ofiszbinowana wiedźma stoi na zewnątrz i ponagla cię, waląc w

drzwi i mówiąc, żebyś się pospieszyła? Jola celowo i uparcie siedziała w kabinie nadmiernie długo, wydając wszelkie możliwe łazienkowe odgłosy, żeby tylko zdenerwować Getę.

— I nie zapomnij umyć potem rąk — warknęła Geta.

— Dlaczego mi to mówisz? — syknęła Jola zza zamkniętych drzwi toalety. — Jestem nauczycielką, a nie świnią.

— Ja mam kwalifikacje z higieny nie ty! — wrzasnęła Geta.

— Sikam na twoje świadectwo.

— Żaden świadectwo, dyplom.

— Sram na twój dyplom.

Jola głośno pierdnęła.

\*\* \*

Tymczasem Marta obesła taśmę i zaczęła rozmawiać z kobietami stojącymi po drugiej stronie. Okazało się, że pochodzą z zachodniej Ukrainy, a jedna z nich była nawet w Polsce, chociaż akurat nie w Zdroju. Tak więc Marta, podobnie jak wielu innych pracowników, znajdowała się daleko od swego stanowiska pracy, kiedy taśma ponownie z gwałtownym szarpnięciem ruszyła. Musiała wrócić pędem, by złapać pierwsze przejeżdżające kurczaki. Zdjęła je z taśmy; były jakieś takie odpychająco twarde, drewniane — jakby zostały ugotowane w całości z łapami i wnętrznościami. Kiedy Marta zastanawiała się, co zrobić z tymi okropnymi ugotowanymi ptakami, na taśmie pojawił się kolejny kurczak, który nie był ugotowany żywcem, i choć stracił większość piór, sprawiał wrażenie całkiem nienaruszonego, mimo że musiał przejść etap obcinania łap i patroszenia. Kiedy po niego sięgnęła, bezwładne, biedne ogołoczone z piór stworzenie zaczęło szamotać się w jej dłoniach. Wciąż żyło. A potem na taśmie pojawił się kolejny i ku przerażeniu Marty on również były żywy. Albo półżywy. A

potem jeszcze jeden. Taśma nabrała teraz prędkości i przesuwała się zwykłym tempem. Co powinna zrobić?

Marta złapała trzy na wpół żywe kurczaki i zaczęła krzyczeć.

Pierwszy zjawił się litewski nadzorca. Objął ją uspokajająco ramieniem i podał chusteczkę. Geta, opuściwszy niewdzięczny posterunek przy toalecie, pojawiła się jako druga. Żywe ptaki otrząsnęły się z pierwszego szoku i pędziły teraz po posadzce hali. Ugotowane ptaki wciąż wjeżdżały na taśmie, a wraz z nimi jeszcze więcej tych wpółżywych, coraz szybciej i szybciej. Geta zaczęła krzyczeć na Martę i na ogołoczonego z piór kurczaka, który ganiał tam i z powrotem między nogami pracowników, oraz na nadzorcę, Litwina, który odkrzyknął jej, że Marta jest osobą wrażliwą i nie należy się na nią denerwować.

— Polacy nie są wrażliwi, ty leniwy sukinsynu! — krzyknęła Geta.

Tego było już dla Marty za wiele. Wybuchła płaczem. Następnie jeden z kurczaków pognał do drzwi, które Geta zostawiła wpółotwarte, a za nim popędziły pozostałe, wprost do pakowalni. Na przeciwległym końcu pakowalni uchyliły się drzwi. To Jola wracała, bo zabrakło publiczności dla jej toaletowych odgłosów. Oczywiście na widok mknących w jej stronę kurczaków otworzyła im drzwi na oścież. A one wybiegły.

— Zwalniam cię! Zwalniam! Zwalniam! — krzyknęła Geta, której na twarzy z wściekłości wystąpiły plamy, i pchnęła lekko Jolę.

— Sama się zwolnij! — odkrzyknęła Jola i też ją pchnęła.

Jola miała za sobą w sektorze kurzych piersi przyjaciół, a także przyjaciół przyjaciół „w udkach i podudziach”, a Marta też nie zamierzała stać i patrzeć, jak ktoś obraża jej ciocię, więc wkrótce Getę osaczył wściekły tłum, domagający się przeproszenia Joli i przywrócenia jej do pracy.

Tymczasem wieść o kciuku Chińczyka rozeszła się lotem błyskawicy po całym zakładzie. W pomieszczeniu do patroszenia mówiono, że rzeźnik obciął sobie cały kciuk. Gdy wiadomość dotarła „do udek i podudzi”, ów nieszczęsny mężczyzna stracił już całą dłoń, a w „ważeniu i etykietowaniu” trzeba mu było amputować całą rękę powyżej łokcia. Chińczycy maszerowali w kółko, tupiąc nogami i monotonie śpiewając coś niezrozumiałego, z kieszeniami wypchanymi kurzymi łapkami, a reszta uwalniała z pęt kurczaki, które spadały nieżywe albo w półżywe na taśmę i podłogę.

Równocześnie otworzyły się niemal wszystkie drzwi zakładu i na jasny, zalany słońcem plac wylegli wszyscy pracownicy. Trzy nagie kurczaki wciąż tam biegały, popiskując i zastanawiając się, co się dalej wydarzy.

Tomasz zauważył, że blondyn o imponująco umięśnionych łydkach, który zwerbował go do związku, wciąż kręci się przy bramie. Wyglądało na to, że zamierzał już wsiąść na rower, uznając swoją misję na ten dzień za zakończoną, ale gdy zobaczył zamieszanie na placu, zawrócił. A potem Tomasz dostrzegł Jolę. Wypadła przez drzwi, podbiegła do mężczyzny ze związku i teatralnie rzuciła mu się na szyję. I tak radość Tomasza została natychmiast ostudzona. Bo co prawda znalazł Jolę, ale w ramionach (no, może prawie) innego mężczyzny.

— Ona mówi, że zwolniona! Ona mówi, że jestem zwolniona! — zawodziła Jola.

— Chwileczkę, chwileczkę. — Głos mężczyzny był spokojny, ale wyczuwało się w nim napięcie. — Ustalmy procedury. Czy jest tu ktoś z zarządu?

Geta natychmiast wystąpiła naprzód.

— Polacy złe pracownik. Za dużo toaleta. Kurczaki uciekają.

Wtedy z tłumu wystąpił nadzorca rzeźni, ten sam, który kłócił się z Tomaszem o rękawice.

—Słuchaj, kolego, nie wiem, kim jesteś ani co tu robisz, ale odczep się. OK? — Po czym zwrócił się do Gety. — Zamknij się. Nie rozmawiaj z nim. Ten wałkoń jest zerem. Nie chcemy go na terenie zakładu.

— Chwileczkę, jestem przedstawicielem...

— Zjeżdżaj stąd albo wezwę policję.

Nagle na placu zjawili się Chińczycy, którzy pracowali przy patroszeniu, uzbrojeni w groźnie wyglądające noże. Zaczęli pokrzykiwać i potrząsać nożami i choć nikt nie mógł zrozumieć, co mówią, widać było, że są najwyraźniej rozwścieczeni. Nadzorca sięgnął po swój telefon komórkowy, ale jeden z Chińczyków wytrącił mu go z dłoni i deptał po nim tak długo, aż całkiem go zmiażdżył.

—Chwileczkę! — Związkowiec złapał go za rękę. — Żadnej przemocy, towarzysze. Jestem pewien, że możemy rozwiązać ten problem za pomocą pokojowych negocjacji.

Wyglądało na to, że nadzorca tylko przez ułamek sekundy był mu wdzięczny.

—Słuchaj no, kolego, jedyne negocjacje, jakie mnie interesują, dotyczą powrotu tych próżniaków do pracy.

—Chwileczkę. Chwileczkę. Najpierw musimy wysłuchać ich pretensji.

Podniosła się wrzawa głosów i pisków. Wszyscy mieli jakieś pretensje, nawet kurczaki.

—W każdej minucie przestoju taśmy tracimy pieniądze. Bardzo to wszystko ładnie brzmi, tak sobie można mówić, poczekaj chwileczkę, pieprzone coś tam, poczekaj chwileczkę, cholerne tamto, ale chrzanione supermarkety nie czekają, no nie? Kup jednego w cenie dwu, kolego. I to musimy im dać. Do piątku. Inaczej stracimy kontrakt i pożegnamy się z

„Łąką Jaskrów” i ci wszyscy pieprzeni próżniacy, co krzyczą o prawach pracowniczych, będą mogli pożegnać się ze swoją cholerną robotą.

— Cóż, tym więcej mamy powodów, by szybko rozwiązać tę sprawę. A teraz...

—OK, powiedz im, że jak wrócą teraz do pracy, to spełnimy wszystkie ich żądania.

Tomasz widział, że związkowiec zmierza donikąd, a nadzorca lada moment wystrychnie go na dudka. Wskoczył na przewróconą skrzynkę i złożył dłonie w trąbkę.

— To nie jest sprawa do negocjacji! To pogwałcenie godności ludzkiej! I kurzej!

Jola gwałtownie się odwróciła i zawołała: Tomek!

\*\* \*

Jola dawno temu już zauważyła, że jedną z irytujących rzeczy w kontaktach z mężczyznami jest to, że całymi latami szukasz tego jednego dobrego, a potem w tym samym momencie trafiają ci się dwaj. Blondyn z mięśniami łydek jak przerośnięte kabaczki byłby marzeniem każdej kobiety, i te włosy na nogach, jaka kobieta nie chciałaby... Ale bądźmy realistami, on jest Anglikiem, a ty pewnie nie zdołasz namówić go, by przeniósł się do Polski, a nawet jeśli, to co on by tam robił? Tylko by sprawiał kłopoty. A ten Tomasz, choć ma pewne wady, poprawia się, i Jola jest pewna, że gdyby wyszorowała go ładnie pachnącym mydłem i wyrzuciła te zapewne nylonowe skarpetki, i zastąpiła je miłymi wełnianymi albo bawełnianymi, o wiele bardziej wygodnymi i niepowodującymi pocenia się stóp — tego, kto wymyślił nylonowe skarpetki, należałoby wykastrować — zmusiła go do pozbycia się tych sportowych butów, które w ogóle nie przy stoją mężczyźnie, i zastąpienia ich jakimiś ładnymi skórzanymi butami

(pełno jest świetnych wykonanych w Polsce butów i całkiem wygodnych), wówczas wszystkie problemy zostaną rozwiązane i będzie mogła zapanaować między nią a Tomaszem seksualna harmonia.

A przecież Jola widzi, że Tomasz ma dobre serce i wykazał już pewne zainteresowanie tym, by stać się ojcem dla małego Mirka. I choć nie powiedziała mu jeszcze o kłopotach jej synka i bardzo by chciała, aby jej rozpaplana siostrzenica zamknęła się i za szybko nie puściła farby, to jest pewna, że gdy Tomasz zobaczy go na własne oczy i przekona się, jaki Mirek jest kochany, jakim jest kochanym szkrabem, to nie odejdzie tak po prostu — jak jej ostatni mężczyzna.

A na dodatek z tego Tomasza zrobił się niezły bohater. Proszę, jak wskakuje na kontener i krzyczy donośnym męskim głosem: Ile lat muszą ci ludzie żyć, by nauczyli się, czym jest wolność?

— Chwileczkę, chwileczkę — mówi mężczyzna o kabaczkowych łydkach, z paniką w głosie. — Musimy sprecyzować żądania.

Doprawdy ci mężczyźni, nawet najmiłsi z nich, mówią głupstwa.

Nadjeżdża teraz wielki srebrny samochód, dokładnie taki sam jak rolls-royce, o którym mówił ten o kabaczkowych łydkach. Mężczyzna w średnim wieku o siwych włosach i bardzo szacownym wyglądzie — mógłby nawet być lekarzem, z pewnością taki człowiek nie może mieć żony noszącej zdirowatą bieliznę, chyba że kochankę — wysiada z auta, by sprawdzić, co się dzieje, a ten o łydkach jak kabaczki wyjaśnia, że jednemu rzeźnikowi trzeba było amputować rękę, a pewna kobieta została zwolniona za to, że za dużo czasu spędziła w toalecie. Mężczyzna od rolls-royce'a mruczy: Hm... Hm... i pociera policzek. Facet o łydkach jak kabaczki mówi, że kobieta musi wrócić na swoje stanowisko, a rzeźnik otrzymać odszkodowanie, ale wtedy wtrąca się niepotrzebnie ta apodyktyczna rumuńska



krowa i oznajmia, że oni wszyscy wykorzystuje sytuację, zwłaszcza ci źli Polacy, którzy myślą, że teraz, jak już są w Europie, mogą robić, co im się podoba, a ten od rolls-royce'a powtarza: Hm... Hm... Następnie zjawia się starszy nadzorca, osoba o bardzo niskim poziomie, biorąc pod uwagę to, że całkiem zbędnie używa brzydkich słów i zachowuje się jak zwyrodnialec, bo szczypie kobiety w tyłki, uważa, że muszą uprawiać z nim seks, jeśli zależy im na pracy. (Żadna nie chce mieć z tobą seksu, ty szczurze z cienkim penisem, powiedziała Jola). I ten nadzorca oświadcza, że długowłosy Polak jest wichrzycielem — czyżby miał na myśli Tomka? Wszyscy rozglądają się za Tomaszem, ale on gdzieś znikł. A gdzie jest Marta? Zaraz jednak mają kolejne zmartwienie z kurczakami, które biegają i trzepoczą skrzydłami, oprócz tych czołgających się, z połamanymi łapkami. Naprawdę te kurczaki są w opłakanym stanie i jeden z nich wypróżnia się na lśniący but tego od rolls-royce'a. Skąd się wzięły te pieprzone kurczaki? — pyta. Naprawdę dość to zaskakujące, kiedy tak wytworny dżentelmen odzywa się tak wulgarnie. Ale skąd się wzięły te kurczaki? To całkowita zagadka.

\* \* \*

Andrij i Emanuel stawili się na spotkanie z Witalijem w pubie i spędzili tam półtorej godziny, siedząc i popijając małe piwa, ale Witalij się nie zjawił. Co powinni wobec tego zrobić? Emanuel chce jechać do Richmond pod Londynem — znalazł wreszcie adres swego przyjaciela — ale Andrij ma opory przed wyjazdem. Ta dziewczyna... może gdzieś tu być, Wulk zaś, który to wie, z pewnością jest w Dover. A Andrij słyszał, co może się stać z ukraińską dziewczyną w Anglii. Więc nawet jeśli między nimi absolutnie nic nie ma i nawet jeśli Andrij zdecydowanie postanowił, że znajdzie Vagvagę Riskegipd, to czy przede wszystkim jego obowiązkiem nie jest odszukanie tej dziewczyny i przekazanie jej w ręce rodziców? Bo jeśli on tego

nie zrobi, to kto? Przecież nie ci wszyscy do niczego się nienadający Ukraińcy, którzy myślą tylko o sobie i piją piwo; nie, Andrij, nie jest taki.

Uzgadniają z Emanuelem, że spędzą jeszcze kilka dni w Dover. Przyczepę zaparkują na polu marchewek i za dnia będą jeździć land-roverem. Emanuel mówi, że teraz, kiedy zdobył prawa do czerwonego wiadra, a ci z Mozambiku zniknęli bez śladu — na molo krążą plotki, że ich deportowano — chciałby rozwinąć swoje umiejętności wędkarskie.

I choć szczęście nie sprzyja mu już tak bardzo jak pierwszego dnia, to udaje mu się codziennie złowić ryby na obiad, a nawet część sprzedaje Panu Wytatuowanemu, który zachowuje się tak, jakby całkiem zapomniał o wcześniejszym nieporozumieniu.

Andrij całymi dniami przeczesuje ulice i hotele w Dover. Któregoś dnia trafia na sklep z hinduską sprzedawczynią. Tym razem kobieta jest ubrana w niebieskie sari. Wydaje się mniejsza i bardziej pulchna niż ostatnio. Andrij nie ma zbyt wiele pieniędzy, po dwutygodniowych wypłatach, które dostał na farmie truskawek, nie zostało zbyt wiele, a musi jeszcze zatankować land-rovera, ale mimo to kupuje trochę chleba i margaryny. Zastanawia się, czy nie kupić także sardynek, ale nie chce sprawić przykrości Emanuelowi, który bardzo poważnie traktuje swoje wędkowanie.

— Wasza dieta nie jest zbilansowana — grzecznie upomina sprzedawczyni.

— Tak, tak. Alejemy też ryby.

— Musicie jeść witaminy. Bo zaczniecie chorować z powodu ubogiej diety. Cytryny są dobre. Tu, po prawej. Niedrogie. Po przyrządzeniu ryby wyciśnij na nią kilka kropel.

Andrij bierze cytrynę.

—I potrzebny wam błonnik, aby jelita dobrze pracowały.

—Musicie jeść warzywa.

—Jemy mnóstwo marchewek. Codziennie marchewki.

—Marchewka jest świetnym źródłem błonnika i niezbędnej witaminy A.

Tylko myjcie je dobrze.

— Dziękuję pani za te rady. — Andrij stara się nie wpatrywać zbyt jawnie w czekoladowe krągłości ponad dolną częścią jej sari. Naprawdę, pulchne kobiety mogą być całkiem

seksowne.

— Wiesz, w tym mieście wielu biednych ludzi źle się odżywia. Pijani marynarze. Górnicy bez pracy. Ona — kobieta wskazuje na wiszące nad ladą zdjęcie damy w błękitnym kapeluszu — jest doskonałym przykładem na to, jak dzięki dobremu odżywianiu można dożyć starości.

Andrij dowiadyuje się od sprzedawczyni, że niedaleko stąd również były kiedyś kopalnie, które zamknięto po wielkim strajku w 1984 roku. Teraz rozumie już, dlaczego to miasto przypomina mu Donbas. Chociaż miał wtedy tylko pięć lat, pamięta bardzo wyraźnie, z jakim namaszczeniem rodzice ofiarowali swoje złote obrączki na zakup jedzenia dla brytyjskich górników. Co się stało z tymi wszystkimi pieniędzmi? Ukraińskim górnikom z pewnością by się teraz przydały.

—Szukam mężczyzny o imieniu Wulk. Wygląda jak gangster. Ubrany na czarno.

Sprzedawczyni kręci głową.

—W tym mieście jest teraz za dużo gangsterów. Ale na szczęście żaden tu się nie pojawił, a gdyby próbował wejść, to już ja bym go pogoniła.

—I Ukrainki. Długie ciemne włosy. Bardzo... — Bardzo jaka? Czy ona jest ładna? Piękna? — Bardzo... ukraińskiej.

—Och, Ukrainek też tu mamy mnóstwo. Każdej nocy stoją na ulicach i na

plaży i za pieniądze uprawiają seks.

— Ale nie ona.

Sprzedawczyni uśmiecha się dyplomatycznie, a Andrij wychodzi ze sklepu w podłym nastroju.

Wraca na molo, gdzie ku swojemu zaskoczeniu zastaje Emanuela stojącego w niewielkim tłumie, którego centrum stanowi Witalij. Witalij kładzie obie dłonie na ramionach Andrija i obejmuje go jak brata, odsuwając Emanuela na bok.

— Przyjacielu, jak dobrze, że tu jesteś. Mamy wspaniałą okazję do zrobienia biznesu. Dobra praca. Dobre pieniądze. Będziesz bogaty. Wrócisz na Ukrainę jako milioner.

Andrij wyplątuje się z uścisku Witalija.

— Co to za okazja?

— W fabryce. Dwadzieścia kilometrów stąd. Dobra praca I dobre pieniądze. Wszyscy ci ludzie — macha ręką, wskazując na około dwunastu pechowych rybaków, których udało mu się zwerbować — mogą dostać dobrą pracę. Ty i Emanuel również. Dwadzieścia iuntów za godzinę dla ciebie. Stawka nadzorcy. Masz transport. Weźmiesz przyczepę, wsadzisz wszystkich do środka i zawieszysz do fabryki.

Witalij musiał dostrzec powątpiewanie na twarzy Andrija.

— Dam ci pieniądze na benzynę.

Andrij w dalszym ciągu się waha.

— I za transport. Ile chcesz? — Wyjmuje zwitek banknotów. Są to same dwudziestki.

— Ale ja mam tylko ukraińskie prawo jazdy. Żeby zabrać tyle osób, powinienem chyba mieć jakieś specjalne prawd jazdy.

— To nie problem. Tylko wtedy, gdy pojazd ma miejsca siedzące dla

ponad ośmiu osób, trzeba mieć specjalne zezwolenie. Teraz w nowoczesnym transporcie nie ma siedzeń.

Ta argumentacja jest dość dziwna.

— Ale przyczepy tu nie ma.

— To nie problem. Przyrowadzisz ją. A my tutaj poczekamy.

Kiedy Andrij i Emanuel wrócili z przyczepą, tłumek znacznie się powiększył. Witalij zajmuje przednie siedzenie land- \_r0vera, obok Andrija, a Pies kładzie się u jego stóp. Emanuel i trzej inni pasażerowie siadają z tyłu. Około czternastu pełnych nadziei mężczyzn wciska się do przyczepy. Ci, którzy nie mieszczą się na łózkach, siadają z podkurczonymi nogami na podłodze. Andrij zauważa, że jest wśród nich Bułgar, a także jego koledzy. Andrij czeka z włączeniem silnika, aż Witalij odliczy ze zwitka banknotów pięć dwudziestoiuntówek i mu je wręczy.

To uczciwie zarobione pieniądze, bo z takim ładunkiem na pokładzie przyczepa wierzga, gwałtownie skręca na wszystkie strony i Andrij musi się nieźle napracować, by utrzymać ją na jezdni. Niemal przez cały czas musi jechać na pierwszym biegu, stuprocentowo skoncentrowany, by uniknąć wywrotki na zakrętach. Jadą już prawie godzinę, coraz bardziej wąskimi drogami, aż wreszcie Witalij wskazuje mu wąską drogę, przy której stoi znak z napisem Zakłady Drobiowe FarmFresh „Łąka Jaskrów” i zdjęciem jasnowłosej małej dziewczynki, która z bukietem jaskrów w dłoni przyciska do piersi pluszowego brązowego kurczaka. Pod zdjęciem widnieje slogan reklamowy: *Partnerstwo w przemyśle drobiowym*. Wszystko razem bardzo ładnie wygląda.

Kiedy podjeżdżają pod bramę, ich oczom ukazuje się wzburzony tłum. Co tu się dzieje? Żeliwna brama jest otwarta na oścież, a policjanci w rynsztunku bojowym usiłują powstrzymać rozwrzeszczany waleczny tłum, który na nich naciera. Wśród tego wszystkiego po placu biega oszalała

gromada piszczących i trzepoczących skrzydłami kurczaków.

— Co tu się dzieje, Witaliju? Gdzie ty nas przywiozłeś?

Andrij wrzuca jedynekę i zaczyna powoli przejeżdżać przez bramę. Nagle słyszy przeraźliwe wycie i widzi, jak jakiś szalony, wymachujący nożem Chińczyk w zbryzganym krwią ubraniu przebija się przez kordon policji i rzuca się na maskę land-rovera, a z jego kieszeni wypadają kurze łapki.

Kim jest ten człowiek? Czego on chce? Przez chwilę ich spojrzenia, Chińczyka i Andrija, spotykają się, usta mężczyzny poruszają się szybko, mówi coś niezrozumiale, ale zaraz rzuca się na niego dwu policjantów. Ściągają go z maski i odciągają szamoczącego się na bok. Przy bramie dwu innych policjantów siłuje się z dużym blondynem w szortach, wykręcają mu rękę do tyłu i pospiesznie ładują do policyjnego wozu. Ewidentnie sytuacja nie jest dobra.

— Dlaczego ten Chińczyk chciał nas zabić? Co tu robi policja, Witaliju?

— Wszystko jest OK. Policja jest po naszej stronie.

— Ale dlaczego przyjechała tu policja? Co tu się dzieje?

— Wszystko przez wicherzycieli. Leniwi Chińczycy nie chcą pracować. Policja broni twojego prawa do pracy. Pokażemy im, jak Ukraińcy potrafią pracować. Dobra praca, dobre pieniądze, co przyjacielu?

Andrij zaczyna się czuć niewyraźnie. Wjeżdżanie przeładowaną przyczepą w taki tłum, z policjantami wokół, kiedy jest się najprawdopodobniej człowiekiem wyjętym spod prawa, zbiegiem, a już z całą pewnością kierowcą niemającym zezwolenia na przewóz osób i ukrywającym w plecaku nabitą broń — czy to aby dobry pomysł? Jednakże to nie te obawy sprawiają, że Andrij zaczyna odczuwać niechęć do całego przedsięwzięcia. Powodem jest coś, co powiedział mu kiedyś ojciec i co utkwilo mu głęboko w pamięci. Były to słowa wizjonerskiego ślepcy z Sheffieldu wypowiedziane w trakcie przemówienia, tyle lat temu. Andrij usiłuje sobie przypo-

mnieć... miało to jakiś związek z solidarnością, podstawowym poczuciem braterstwa między ludźmi — ojciec mu to wpoił — i z szacunkiem dla samego siebie. Bądź mężczyzną — czy właśnie to miał wtedy na myśli? Że są pewne rzeczy, których mężczyzna nie powinien zrobić za żadne pieniądze?

Andrij wrzuca wsteczny bieg i zaczyna się powoli wycofywać.

— Nie, nie! Jedź dalej! Naprzód! — Witalij podskakuje na siedzeniu, wymachując rękoma, i nieopatrznie przyciska butem ogon psa. Zwierzę skowyczy, wyskakuje z land-rovera i podniecone ostrym zapachem kurczaków, daje nura w tłum.

— Psie! Wracaj! — Andrij gwałtownie hamuje. — Wracaj! Te kurczaki nie są do jedzenia!

Ale pies, świadom czekającego go wyzwania, chce wszystkim pokazać, kim naprawdę jest, i lawirując wśród tłumu, za pomocą zaledwie kilku uprzejmych szczęknięć starannie zagania wszystkie kurczaki w róg placu. Ptaki stoją tam sobie spokojnie, nieco zdziwione i posłusznie popiskują.

Nagle słychać mrożący krew w żyłach wrzask i mała rozwścieczona postać, drobna, lecz o bujnych kształtach, wyłania się z tłumu i pędzi w ich stronę, wymachując rękami.

— Jola! — krzyczy Andrij. — Co ty tu robisz?

— Chcę do domu, do Polski! To miejsce to piekło! Jedno wielkie oszustwo i kłamstwo.

A potem na przednim siedzeniu land-rovera Jola zauważa Witalija i rzuca się na niego z pięściami, szarpie go, uczepona drzwiczek i zawodzi:

— To on! To ten elastyczno-dynamiczny rekrutant konsultant!

Policjant próbuje ją odciągnąć, ale Jola trzyma się mocno i walczy jak bestia, gryząc i drapiąc, szamocze się w twardym uścisku policjanta i



wreszcie kopie go w czułe miejsce tak mocno, że policjant musi ją puścić. Emanuel łapie ją za ramię i wciąga na tył land-rovera. Potem biegnie ku nim Marta oraz Tomasz i oni też zostają wciągnięci do środka, a przez cały czas land-rover wraz z przyczepą cofa się powolutku—Witalij krzyczy: Nie, stop! Stop! — dojeżdżają do miejsca, gdzie jest na tyle szeroko, że mogą zakręcić. W ostatniej chwili dołącza do nich pies, wskakuje na tył, a Andrij wciska gaz i odjeżdżają.

Nim dojechali do Dover, Marta, Jola i Tomasz opowiedzieli Andrijowi i Emanuelowi o wszystkim, co im się przydarzyło. Witalij bezskutecznie usiłował wyciągnąć od Andrija z powrotem pieniądze, a większość mężczyzn siedzących w przyczepie się pochorowała.

\*\* \*

Marta żałuje, że nie udało jej się kupić kurczaka na kolację, ale w ciągu ostatnich dni jej pogląd na sprawy odżywiania uległ radykalnej zmianie. Podrzucili pasażerów do Dover, a sami pojechali na swoje ulubione miejsce obok pola marchewek, gdzie Marcie udaje się naprędce zaimprovizować kolację: biały chleb, margaryna i dorsz z dodatkiem marchwi w plastrach cytryny i przydrożnych ziółach.

Jola i Tomasz wspólnie obierają marchew, a Jola opowiada mu o swoich kłótniach z Getą. Tomasz wpatruje się zafascynowany w oczy Joli i prosi ją, by powtórzyła te dźwięki, które wydawała w toalecie, co Jola natychmiast czyni w typowy dla siebie wulgarny sposób i oboje zaśmiewają się jak dzieci. A Marta myśli sobie: no proszę, i znów to samo.

Marcie się przypomina, kiedy Jola ostatni raz spotkała miłego mężczyznę, otyłego właściciela warzywniaka, i cały czas było trzymanie się za rękę, chichotanie i ukradkowe pocałunki. A potem Jola zabrała go do siebie do Zdroju i kandydat na męża, jak tylko zobaczył małego Mirka, jak tylko

rzucił na chłopca okiem, od razu wyleciał przez drzwi, aż się za nim kurzyło. Nawet nie zdążył zdjąć kapelusza. Nawet nie zdążył wręczyć pudełka czekoladek z likierem, które ścisnął w dłoni.

— Sikam na twoje kabaczki! — krzyknęła za nim Jola, ale te słowa spływały po nim jak masło po gorących pierogach.

Trochę to trwało, zanim Jola doszła do siebie. I jedno trzeba jej przyznać — nie winiła za to Mirka. Ani razu.

— Jola — mówi Marta, zapalając gaz — dlaczego nie pokażesz Tomkowi swoich zdjęć?

— Jestem pewna, że Tomasz nie ma ochoty na oglądanie moich nieciekawych zdjęć. — Jola kopie Martę w piszczel. Tak, jej piszczele są już nieźle posiniaczone.

— Bardzo bym chciał zobaczyć te zdjęcia — mówi Tomasz.

W tej sytuacji Jola musi wyjąć trzy zdjęcia, które zawsze nosi przy sobie. Śliczny dom w Zdroju z ogrodem opadającym do samej rzeki i śliwko-czereśniowym sadem. Cztery kozy, trochę nieostre, bo nigdy nie potrafią ustać spokojnie. I Mirek siedzący na huśtawce w ogrodzie, z tym słodkim szerokim uśmiechem na dużej okrągłej buzi, wystawiający język, a wokół jego małych oczek zmarszczki śmiechu.

— To twój syn?

— Mój ukochany syn, Mirek.

— Bardzo chciałbym go poznać.

\*\* \*

Następnego dnia wczesnym rankiem Andrij budzi się nieco zdezorientowany. Coś się zmieniło w przyczepie. Słyszy szepty i chichot. Co się stało z Emanuelem? W drugim pojedynczym łóżku, w którym spał Emanuel, śpi mocnym snem Tomasz. Po przeciwnej stronie przyczepy podwójne łóżko

jest rozłożone i leżą w nim Jola i Marta. Andrij znów zamyka oczy i udaje, że śpi. Po chwili szepty milkną, a Marta wstaje i nastawia czajnik. Emanuel, który dobrowolnie przeniósł się na noc do land-rovera, wraca na śniadanie.

Kiedy dojeżdżają do terminalu promowego, jest już późny ranek i wszyscy bardzo się spieszą. Wbrew temu, co mówił Witalij, Jola, Tomasz i Marta bez trudu wymieniają bilety. Pożegnaniu tuż przy przystani towarzyszą łzy, uściski i wymiana adresów.

— Wrócimy tu kiedyś — mówi Tomasz.

— Na pewno — dodaje Jola — ale nie do pracy przy truskawkach albo kurczakach. Teraz jesteśmy w Europie i możemy tu dobrze zarobić. Ja będę nauczycielką. Tomasz będzie urzędnikiem. Marta... kim będziesz, Marto?

— Będę wegetarianką — oświadcza Marta.

— Któregoś dnia Ukraina również wejdzie do Europy. — Całuje Andrija w policzek. — I Afryka również. — Daje Emanuelowi dwa małe całusy, a on ociera oczy rękawem zielonego anoraka.

Jak trudno jest zmienić stare granice i jak łatwo ustanowić nowe. Andrij z ciężkim sercem obserwuje oddalający się prom. Oprócz smutku pożegnania ogarnia go smutek na myśl, że on sam znajduje się daleko po drugiej stronie tej nowej granicy Europy. Minie wiele czasu, nim będzie mógł swobodnie pracować w Anglii. Teraz nawet w Rosji Ukraińcy są nielegalni. Czy wkrótce Ukraina stanie się drugą Afryką? Obejmuje ramieniem Emanuela.

— Chodźmy.

Idą przystanią przez tłum, który zebrał się, by powitać prom przybijający do brzegu. Andrij zatrzymuje się, by popatrzeć, i wspomina, jak niemal miesiąc temu sam tu przyплыwał. Gdzie się podział ten niewinny beztroski mężczyzna w okropnych spodniach i z głową pełną nadziei, schodzący

wówczas z promu? Cóż, spodnie są wciąż te same.

Nagle uwagę Andrija przykuwają dwaj mężczyźni, którzy rozchodzą się w przeciwnych kierunkach. Tłum lekko faluje. Andrij dostrzega lśniąca wygoloną głowę, która przeciska się w stronę terminalu — to Witalij — i przypomina sobie o sześćdziesięciu pięciu funtach, które zostały mu w kieszeni po zatankowaniu land-rovera. Lepiej będzie, by zniknęli, zanim zauważy ich Witalij. Po drugiej stronie szary tłum rozstępuje się, tworząc przejście dla jakiegoś przysadzistego, ubranego na czarno człowieka, który idzie szybkim krokiem z pochyloną głową. Andrij od razu wie, że to Wulk. Serce zaczyna mu szybciej bić. Czy powinien do niego podejść i ostro z nim pogadać? Czy raczej powinien zachowywać się przyjacielsko i wyciągnąć z niego jakąś informację?

Koniec końców Andrij nie decyduje się ani na jedno, ani na drugie — po prostu podchodzi do Wulka i pyta go wprost po angielsku:

— Proszę, powiedz mi, gdzie jest Irina?

Wulk wygląda na zaskoczonego. Nie poznaje Andrija.

— Irina? Kim ona jest?

Andrij czuje, że zalewa go wściekłość. Ten potwór, który usiłował ją porwać, nie spytał jej nawet, jak ma na imię. Była po prostu kawałkiem anonimowego ciała.

— Ukrainka z pola truskawek. Pamiętasz? Wziąłeś ją do samochodu.

Wulk rozgląda się podejrzliwie.

— Ta Ukrainka nie jest ze mną.

— To gdzie ona jest?

— Kim jesteś? — pyta Wulk.

Andrij myśli szybko. Wciska dłonie w kieszenie, mruży oczy i stara się, by jego twarz przybrała taki wyraz, jaki zwykle maluje się na twarzy Wi-

talija.

—Jestem z Sheffieldu. Znam kogoś, kto dobrze za nią zapłaci.

Wulk patrzy na niego chytrym wzrokiem: taki język jest dla niego zrozumiały.

—To prima sort dziewczyna, dużo warta. Ja też dobrze za nią zapłacę.

—Jestem specjalistą od szukania zaginionych ludzi. Mój przyjaciel — wskazuje na Emanuela — potrafi tropić ślady.

— *Mooli bwanji?* — Emanuel uśmiecha się promiennie.

— I mamy psa.

Pies szczeka.

— Jak znajdziesz, to mi powiesz?

— Ile płacisz?

— A ile płaci tamten?

— Sześć tysięcy. Sześć tysięcy funtów, nie dolarów.

Wulk gwizdże przez zęby.

— To dobra cena. Słuchaj, zrobimy interes. Dam trzy tysiące plus procent od urobku.

— Co to jest urobek?

— Jak jest urobek nocny, dostaniesz procent. Dobre pieniądze, przyjacielu. Ta dziewczyna wyciągnie pięćset, sześćset, a nawet więcej każdej nocy. Może nawet zabierzemy ją do Sheffieldu. Ekskluzywny masaż. Mam kontakt. Elitami klienci. Same VIP-y. Anglicy lubią Ukrainki. Taka dobra czysta dziewczyna bez chłopaka, pierwszy facet, jak ją weźmie, płaci pięćset. — Wulk przerywa, potrząsa swoim siwiejącym ogonkiem. Jego twarz łagodnieje. — Nie. Pierwszy raz Wulk ją weźmie. Stracę pieniądź, ale będę coś z tego mieć. Hrr... I to jak.

Uśmiecha się wilgotnym, pełnym tytoniowego osadu uśmiechem. Andrij czuje, że krew uderza mu do głowy. Trzyma jednak ręce przy sobie —

to nie jest odpowiedni moment na atak. Zmusza się do uśmiechu.

— Ale ta dziewczyna, ta prima sort dziewczyna, nie zostanie z nami. Ucieknie.

— Aha. Zostanie. Żaden problem. Mam przyjaciela — mruga okiem. — Przyjaciel odwiedzi mamuszkę w Kijowie, powie: mamuska, Irina źle pracować, to rodzina ma duży kłopot. Może ktoś umrze. Żaden problem. Każda zostaje, jak to słyszy. Dwa, trzy lata i jesteśmy milionerami. A zaleta taka, że jak jest czas na odpoczynek, jak nie ma inny mężczyźni, to możemy použíwać.

Ciśnienie rośnie w piersiach Andrija jak w parowym młocie. Panuj nad sobą, Palenko. Zachowaj spokój. Gardło ma tak ściśnięte, że ledwo może mówić.

— A jaki procent dostanę?

— Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt — mówi Wulk. — Lepsze pieniądze z dziewczyny niż z truskawek. Truskawki zaraz się skończą. A dziewczyna ciągnie dalej. Rok, dwa, trzy. Stale dobry dochód. Małe koszty. Nie trzeba płacić pensji, tylko jedzenie. I ubrania. Hrr... Seksowne ubrania.

OK. Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt to dobry interes.

Wulk daje mu numer swojego *mobilfonu* i opisuje parking w lesie przy Sherbury Road, między Canterbury a Ashford. Andrij świetnie zna to miejsce.

— Ona tam jest?

— Tam była. Ja byłem patrzeć. Teraz pewnie poszła. Albo nie żyje. Może pies ją znajdzie.

— Dokąd mogła pójść?

Wulk wzrusza ramionami.

— Może Londyn. Albo Dover. Stale szukam. Mam dla niej paszport.

— Masz paszport Iriny?

— Bez paszportu daleko nie pójdzie. Może na farmę truskawek. Ktoś do mnie wczoraj dzwonił z Sherbury, niedaleko tego parkingu. Ukrainka bez papierów. Może ta sama. Pojadę, zobaczę. Jak to ta sama, to mam ją. A może inna miła Ukrainka przyjdzie do Wulka. Pozwoli się schrupać. Zrobi biznes. Dam jej paszport. Mam tego mnóstwo.

TLR



## Pięć łazienek

Sherbury Country Strawberries bardzo się różniła od rozpadającej się truskawkowej farmy Leapisha. Praca była lżejsza, wynagrodzenie lepsze, przyczepy wygodniejsze. Pracownicy mogli korzystać z różnych udogodnień: oddzielnego pawilonu ze stołem do ping-ponga, świetlicy, telewizji, telefonu. Nawet truskawki były lepsze, a przynajmniej, sądząc z rozmiaru i koloru, na takie wyglądały. A mimo to każdego ranka budziłam się z uczuciem pustki, jakby w środku we mnie brakowało czegoś niezwykle istotnego.

Nie, oczywiście, że nie tęskniłam za ukraińskim górnikiem. Wokół pełno było Ukraińców i żaden z nich nie wzbudzał mojego zainteresowania. Może powodowała to wielkość tego miejsca — około pięćdziesięciu przyczep ustawionych w rzędach tak ciasno, że wyglądało to raczej jak miasto, a nie farma. Nie widać było lasów ani horyzontu, a rankiem nie budziły mnie ptaki, tylko ciężarówki i klekotanie drewnianych palet, które mężczyźni nosili po całym placu. Trudno było usłyszeć własne myśli, bo stale w pobliżu ktoś rozmawiał albo słuchał radia. W mojej głowie kłębiło się mnóstwo pytań i potrzebowałam odrobiny spokoju.

OK, wiem, że to może zabrzmieć snobistycznie, ale ci Ukraińcy nie byli w moim typie. Słuchali tylko muzyki pop i rozmawiali o takich głupich rzeczach, jak kto z kim pójdzie do łóżka. Oksana, Lena i Tasia wciąż powtarzały: Hej, Irina, naprawdę zrobiłaś niesamowite wrażenie na Borysie. Na tej świni. Trzymałam się z dala od niego. Seks dla rozrywki mnie nie interesuje — czekam na *tego jedyne*.

Mama musiała wierzyć, że tata jest *tym jedynym*. Najsmutniejsze jest to, że wciąż w to wierzy. Poprzedniego wieczoru zadzwoniłam do niej z budki

telefonicznej na koszt rozmówcy. Nie chciałam jej niepokoić, więc powiedziałam tylko, że odeszłam z tamtej farmy i przeniosłam się na inną. Mama zaczęła płakać. Namawiała mnie, bym wracała do domu, i opowiadała, jak bardzo czuje się samotna. Krzyknęłam, żeby się zamknęła i pozwoliła mi żyć własnym życiem. Nic dziwnego, że Tato odszedł z domu, jeśli wobec niego też tak się zachowywała, powiedziałam. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam tego mówić, ale jakoś tak samo mi się wymknęło. Kiedy odłożyłam słuchawkę, zaczęłam płakać.

Dziś po pracy siedziałam na swoim łóżku i próbowałam czytać angielską książkę, lecz nie mogłam się skoncentrować. Przez cały dzień popłakiwałam bez żadnego powodu. Co jest ze mną nie tak? ***Irino, powinnaś jeszcze raz zadzwonić do Mamy. Powinnaś ją przeprosić. Tak, wiem, ale...*** Włożyłam dzinsy i sweter, bo zrobiło się już zimno, i poszłam do telefonu. Poprosiłam kogoś o drobne. Kręciło się tam kilka osób. I wtedy go zobaczyłam.

Trudno było pomylić Wulka z kimś innym, nawet widząc go tylko od tyłu: kurtka ze sztucznej skóry, szczurowaty kucyk. Stał na szczycie schodów, stukał do drzwi biura rozglądał się wokół badawczym wzrokiem i czegoś wypatrywał. Poczulałam gwałtowny skurcz żołądka. Czyżby moja wyobraźnia robiła mi takie psikusy? Zamknęłam oczy i znów je otworzyłam. W dalszym ciągu tam był. Może odtąd zawsze gdziekolwiek spojrzę, będę go widzieć. ***Nie, nie myśl tak. Jeśli sobie na to pozwolisz, to on już cię ma. Po prostu uciekaj. Uciekaj.***

\*\* \*

Kochana Siostro

Nadal jestem w Dover gdzie zostałem schwytany w pułapkę upływającego czasu ale mam dla Ciebie rewelacyjne wiadomości.

Wczoraj kiedy czekałem na molo na Andree pojawił się nagle Witalij ten podstępny mzungu z truskawkowej przyczepy i zaczął nas gwałtownie namawiać abyśmy pojechali do innego miasta na ubój kurcząt. A wtedy ogromna rzesza zgromadziła się wokół krzyząc i wołając różnymi językami niektórzy bardzo pragnęli wziąć udział w uboju a inni przeklinali Witalija i poniewierali jego imię. Jeden mężczyzna krzyknął że Witalij jest *mołdawskim toj bojem* a ja zachowałem to określenie w pamięci bo nie wiem co ono znaczy.

Ale kiedy przyjechaliśmy na miejsce do tych kurczaków Andree wygłosił wspaniałą przemowę na temat Szacunku do Samego Siebie. Mówił że są pewne rzeczy których nie można zrobić nawet za pieniądze mówił zupełnie jak Pan Nasz przepędzający kupców ze świątyni. I tak kurczaki zostały uratowane a my przywieźliśmy z powrotem Tomasia i Martyrę i Jolę którzy tam byli ukryci i odesłaliśmy ich do Polski. A ja ze smutkiem ich pożegnałem zwłaszcza Tomasia i jego gitarę.

W Dover spotkaliśmy Szatańskie Nasienie i Andree spytał go o miejsce pobytu urodziwej zbieraczki truskawek bowiem Andree miłuje tę damę i mówi że musi ją odnaleźć nim Nasienie ją schwyta i ustanowi nad nią swą Nikczemną Władzę. Więc aby przyspieszyć jej Zbawienie ruszyliśmy ponownie przez tę krainę równie zieloną jak płaskowyż Zomba z gęstwiną drzew i kwitnącymi krzewami koronującymi wzgórza. Andree spytał mnie wtedy o mój kraj a ja powiedziałem mu że nasze wzgórza i równiny są niezwykle w swej urodzie a ludzie mają najcieplejsze serca w całej Afryce i wszystko jest popsute. Twój kraj bardzo przypomina Ukrainę odpowiedział braterskim głosem. Powiedziałem mu że w porze suchej wszystko pokryte jest czerwonym kurzem. Na Ukrainie kurz jest czarny powiedział Andree.

Andree jest dobrym człowiekiem z sercem pełnym braterskiej miłości. Chociaż ma kobiece imię a jego angielski jest nieco inny od angielskiego

Tobiego Makenzi jest najlepszym mzungu jakiego kiedykolwiek spotkałem. Niewykluczone że jego pies też ma afrykańskie serce. Andree jest też znakomitym kierowcą bowiem wydobył nas z wielu niebezpieczeństw z pomocą świętego Krzysztofa którego medalik ofiarowany mi przez ojca Augustyna wraz z modlitwą o mój bezpieczny powrót do Afryki zawsze noszę na szyi.

Czasem śnię o urodzie Zomba i dobrych Zakonnich od Niepokalanego Poczęcia w pobliskim Limbę które wzięły mnie do siebie kiedy nasi rodzice umarli a siostry pojechały do pracy do Lilongwe a ty moja najstarsza najwspanialsza najukochańsza siostrze wygrałaś swoje Stypendium dla Pielęgniarek w Blantyre i zostałem sam.

Wtedy dobry ojciec Augustyn stał się dla mnie jak ojciec i zanim przyjechałem do Anglii rozmawiał ze mną łagodnie i dobrotliwie o Kapłaństwie mówiąc że byłbym pierwszorzędnym księdzem i że mógłbym pojechać do seminarium do Zomba aby nauczyć się Tajemnic co jest dla mnie rzeczą bardzo pożądaną bowiem jestem złałkniiony i spragniony Wiedzy.

I powiedział powiesz Żegnaj Śmierci bowiem śmierć dotyczy tylko ciała a nie duszy i będziesz śpiewać w Chórach Anielskich.

Ale Żegnaj Śmierci oznacza również Żegnaj Cieleśne Poznanie które jest rozkoszą ziemską i dlatego moje serce jest w zamęcie droga siostrze. Bowiem muszę podjąć Decyzję.

Dlatego w drodze spytałem Andree mojego przyjaciela mzungu czy ty rozumiesz Boże serce? Odpowiedział nikt tego nie rozumie a skoro problemu nie można rozwiązać to po co tracić czas i się nad tym zastanawiać? Przywiózł nas wtedy w to samo zaliścione miejsce w którym poprzednio się zatrzymaliśmy i zjedliśmy niczym Uczniowie chleb i rybę. Ale ja wciąż nie byłem usatysfakcjonowany i dopytywałem Andree bracie czy ty kiedyś doświadczyłeś cielesnego poznania.

Po jakimś czasie powiedział Emanuelu dlaczego pytanie takie zadajesz? A ja przedstawiłem mu swój zamęt mówiąc jeśli wybiorę miłość cielesną wejdę w dolinę cienia śmierci. Andre pokręcił głową i głosem człowieka nawiedzonego powiedział przyjacielu czemu tak wielkie pytania zadajesz? Dlaczego stale mówisz o cielesnym? Dlaczego zawsze myślisz o śmierci? Za młody jesteś na takie myśli. Dziś mamy tylko jedno wielkie pytanie: gdzie jest Irina?

\*\* \*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ BIEGNĘ WĘSZĘ MÓJ PAN MÓWI  
IDŹ SZUKAJ ZAPACHU TEJ KOBIETY OD WSTAŻKI NA  
TWOJEJ SZYI WĘSZĘ ZNAJDUJĘ LEŚNE MIEJSCE Z ZAPACHEM  
TEJ KOBIETY ALE TAM JEJ NIE MA ZNAJDUJE  
ŚMIERDZĄCY PAPIER PO LUDZKIM JEDZENIU Z ZAPACHEM  
KOBIETY MOWIE PANU ALE ON NIE ROZUMIE BIEGNIJ  
SZUKAJ WĄCHAJ MÓWI WESZE BIEGNĘ JESTEM PSEM**

\*\* \*

Dlaczego ten beznadziejny pies kręci się w kółko, wachając stare kawałki papieru i niedopałki leżące na ziemi, zamiast iść śladem Iriny? Czy to znaczy, że już jej tu nie ma? Andrij czuje zimno w sercu. Co to była za farma, o której wspominał Wulk — Sherbury? Może powinien tam zajrzeć.

Skret do Sherbury jest kilka kilometrów dalej. Droga biegnie pod górę, więc Andrij zwalnia i wrzuca jedynekę, żeby pokonać wzniesienie. Mijają zatorczkę z rzędem topól, a w dole widzą swoje truskawkowe pole, barak z zamkniętymi drzwiami, męską przyczepę, a nawet osłonę prysznicową, którą Andrij sam kiedyś zbudował. Wszystko wygląda tak znajomo, a zarazem wydaje się takie odległe jak miejsca dobrze znane z dzieciństwa, które

odwiedzamy po latach. U stóp wzgórza jest brama, przy której ten dawny, bardziej beztroski Andrij Palenko oglądał przejeżdżające samochody i marzył o blondynie w ferrari.

Jeśli Irina żyje i się ukrywa, myśli Andrij, to może tam się schowała. Zawraca i wjeżdża przez bramę. Parkuje obok baraku. Pole wygląda na zaniebane. Od razu widać, że przez długi czas nikt nie zbierał tu truskawek. Wiele jest nazbyt przejrzałych i zepsutych. Wśród rzędów krzaczków wyrosły chwasty.

Emanuel wyskakuje z samochodu, wnosi z przyczepy wszystkie miski i zaczynając od najniższej położonej części pola, zbiera truskawki. Na każdy owoc wrzucony do miski przez Emanuela jeden zostaje zjedzony. Czy Andrij powinien spróbować go powstrzymać? Nieważne. Jeśli nawet Emanuel dostanie rozstroju żołądka, nie będzie to jeszcze koniec świata.

Ktoś ustawił męską przyczepę z powrotem na ceglach, ale i tak wygląda na zaniebaną i opuszczoną — zdechłe muchy na parapetach, pajęczyny i stęchły, nieświeży zapach, na który Andrij nie zwrócił uwagi, kiedy tu mieszkali. Patrzy na swoje łóżko, brudny przesiąknięty potem materac. Tego też wcześniej nie zauważył. Andrij Palenko, który spał tu wcześniej, był innym człowiekiem — teraz już z tego wyrósł, jak z pary za ciasnych butów. Stało się to tak szybko.

Hm. Są tu jakieś ślady czyjejś obecności: dwie szklanki w zlewie lekko zalatujące alkoholem i zużyta prezerwatywa na podłodze obok podwójnego łóżka. Jakaś para musiała tu się potajemnie spotykać. Andrij uśmiecha się. Podnosi prezerwatywę, zawija ją w kawałek papieru i wyrzuca do kosza, żeby nie zobaczył jej Emanuel. Ale Emanuel padł na swój stary hamak i leży w nim teraz z błogim wyrazem twarzy, lekko się kołysząc. Andrij



wyciąga się na chwilę na podwójnym łóżku i patrzy przez okno na pole, tam gdzie dawniej stała damska przyczepa. Ogarnia go niewyraźne, mgliste uczucie. Zamyka oczy.

Rany boskie! Nagle zrobiło się piętnaście po szóstej! Potrząsa Emanuela za ramię.

— Wstawaj, przyjacielu. Jedziemy!

Żeby poruszać się szybciej, odczepiają przyczepę. Zabiorą ją w drodze powrotnej. Andrij, nie mówiąc nic Emanuelowi, wyjmując spokojnie pistolet ze schowka i wsuwa go do kieszeni spodni.

Farma truskawek w Sherbury znajduje się zaledwie parę kilometrów dalej. Przypomina bardziej fabrykę niż farmę; pozbawiony wyrazu obiekt przemysłowy z dużymi hangarami do pakowania owoców i ciężarówkami czekającymi na załadunek. Nie ma tu w ogóle pól truskawkowych, za to za niskim drucianym ogrodzeniem rozciąga się pole pełne przyczep, są ich całe tuziny, anonimowe obłe pudełka ustawione tak blisko siebie jak samochody na parkingu. Andrij zatrzymuje land- rovera na placu i rozgląda się wokół.

Na przeciwległym krańcu placu, przy czerwonym budynku z cegły są schodki prowadzące do drzwi z napisem „biuro”. Biuro jest zamknięte, ale przy budynku kręci się trochę osób. Andrij zdaje się na szczęśliwy traf.

— Szukam Ukrainki. Ma na imię Irina.

Ktoś kieruje go do jednej z przyczep, stamtąd jest odesłany do następnej, opowiadają mu, trajkocząc jeden przez drugiego, kto gdzie mieszka, Andrij czeka i czeka. No dalej. Czas mija, a oni go nie osiągnęli.

I nagle Andrij go widzi — jest pewien, że jeszcze kilka minut temu tego tam nie było — lśniący czarny o apetycznie zaokrąglonych kształtach, przyciemnianych szybach, chromowanych listwach, skórzanych siedze-



niach, z napędem na cztery koła, przyczał się za rogiem pawilonu jak szykujący się do ataku drapieżnik.

— Emanuelu, zacznij od tamtej strony, a ja od tej. Pukaj do każdych drzwi.

W przyczepach są Ukraińcy, Polacy, Rumuni, Bułgarzy, wygląda na to, że zjechał tu cały świat. Część z nich zna Irinę, niektórzy nawet dzisiaj z nią pracowali. Tak, to na pewno ta sama dziewczyna. Ładna. Długie ciemne włosy. Nie są pewni, w której przyczepie mieszka. No dalej, dalej, co za idioci! Andrijowi krew zaczyna pulsować w żyłach. Biega jak oszalały od jednej przyczepy do drugiej. W końcu puka do drzwi z numerem trzydzieści sześć.

— Tak — odpowiada dziewczyna. — Irina tu mieszka. Irina Błażko. Ale gdzie poszła. Lena zresztą też. Może ze dwadzieścia minut temu.

— Lena poszła po papierosy — mówi druga dziewczyna. — Ale nie wiem, gdzie poszła Irina.

Prowadzą Andrija i Emanuela do świetlicy w pawilonie, gdzie zainstalowany jest automat do sprzedaży papierosów i kabina telefoniczna, ale nie ma tam ani Leny, ani Iriny. Zebrał się już pokaźny tłumek zbieraczy truskawek i teraz wszyscy kręcą się wokół, szukając zaginionych dziewcząt na polu przyczep, w hali do pakowania, w pawilonie, na placu. Panuje lekki chaos i podniecenie. Każdy chce się dowiedzieć, co się dzieje. I wtedy Andrij widzi coś, co sprawia, że serce przestaje mu niemal bić — czarna terenówka znikła z placu.

Czyżby się spóźnił? Dokąd pojechali? Może sajuż w drodze do Dover. A może jadą w to samo miejsce, w którym Andrij i Emanuel zatrzymali się na lunch? *Dobre miejsce na stworzenie okazji.* Tam właśnie zabrałby ją Wulk. Andrij stara się

nie myśleć o tym, co mogłoby stać się tej dziewczynie. Skup się na tym, co możesz zrobić. Po prostu jedź tam jak najszybciej. Całe szczęście, że zostawił przyczepę.

— Jedźmy! Jedźmy, Emanuelu! Pies! Pies!

Beznadziejny zwierzak gdzieś przepadł. Będzie musiał później po niego wrócić.

Bez przyczepy droga na leśny parking zajmuje im mniej niż dwadzieścia minut. Andrij zatrzymuje się kilka metrów przed zakrętem, po czym podjeżdża dalej tak wolno i cicho, jak tylko się da. Tak, zgodnie z jego przypuszczeniami, kawałek dalej, za zniszczoną tablicą informacyjną, w głębi pod nisko zwieszonymi gałęziami drzewa stoi czarna terenówka. Andrij wjeżdża land-roverem dalej, blokując wyjazd z parkingu. Zaczekaj — czyś ty oszalał, Andriju Palenko?

Ten facet to morderca. Ale uspokajający ciężar broni, którą czuje tuż przy swoim udzie, dodaje mu odwagi. Cicho wyskakuje z land-rovera. Emanuel również. Obaj, trzymając się jak najbliżej krzaków, skradają się ścieżką.

Kiedy podchodzą bliżej, Andrij zauważa, że terenówka się kołysze —jakby podskakiwała rytmicznie na resorach w górę i w dół. Ze środka dobiegają tłumione jęki i stękania. Co za potwór! Czarcie nasienie!

Zakradają się jeszcze bliżej. Zaczęło zmierzchać. Szyby samochodu są przyciemnione i zaparowane od wewnątrz, więc z początku nie mogą zobaczyć, co się tam w środku dzieje. Potem Andrij zauważa, że okno od strony kierowcy jest opuszczone na jakiś centymetr. Podchodzi całkiem blisko i osłania dłonią oczy. Siedzenia w aucie są rozłożone i Andrij dostrzega leżącą na nich kobiecą postać. Jest naga, wyraźnie widać jej jasne

piersi, ma odrzuconą do tyłu głowę, a jej białe nogi są szeroko rozłożone. A pomiędzy tymi kruchymi dziewczęcymi kolanami, solidny tyłek Wulka podskakuje w górę i w dół, w górę i w dół.

— Przestań!

W czasie Andrija eksplodują rakiety. Opracowany przez niego plan i taktyka runęły w mgnieniu oka. Jedyne, co Andrij może teraz zrobić, to walić pięścią w szybę, rycząc:

Przestań! Przestań! Przestań! Przestań!

Para znajdująca się wewnątrz samochodu zastyga w bezruchu. Andrij robi się czerwony na twarzy, gdy Wulk wciąż nabrzmiały podnieceniem odrywa się od dziewczyny. Podpiera się na łokciach, odwraca głowę i wrzeszczy: Irrhaaa! A potem z jękiem opada z powrotem na dziewczynę. Dziewczyna unosi głowę i odwraca twarz do okna, jej oczy są niczym dwie puste studnie, ma rozdziawione usta. Ale co się stało z jej włosami? Andrij natychmiast uświadamia sobie, że to nie Irina.

Kiedy dziewczyna zauważa Andrija, jej usta otwierają się szeroko. Zaczyna krzyczeć. Nie może się ruszyć, jest przygwożdżona ogromnym brzuchem Wulka. Szamocze się rozpaczliwie, usiłując się spod niego wydostać. Nagle Andrij uświadamia sobie, że stojący za nim Emanuel aż drży z przejęcia. Pełen entuzjazmu wyciąga szyję, by dojrzeć coś przez szparę w oknie.

— Emanuelu! Wracaj do land-rovera! Nie powinieneś na to patrzeć.

Emanuel wpatruje się w Andrija z tajemniczym uśmiechem.

— Poznanie cielesne...

Co go napadło?

Para w samochodzie zaczęła teraz szukać swoich ubrań, dziewczyna

zakrywa się obiema rękami, jej drobne dziecięce ciało drży, a Wulk próbuje wciągnąć na siebie spodnie, które zaplątały mu się wokół kostek. Ale nie daje rady — w wozie jest po prostu za ciasno, więc Wulk otwiera drzwi, wystawia swoje grube nogi na zewnątrz i z grymasem bólu na twarzy usiłuje się wcisnąć w spodnie. Andrij czeka, aż Wulk skończy.

—Co za diabeł z ciebie?! — krzyczy. Dodaje mu odwagi złość, a także ciężar pistoletu w kieszeni. — Po jakie lichy bierzesz sobie taką młodą dziewczynę?

—Ty cholerny idioto! — Wulkowi drży szczeka, kurczowo raz po raz zaciska pięści, usiłując równocześnie zapiąć rozporek ukazujący ohydne przyrodzenie.

— Gdzie jest Irina?

—Nie tutaj. Jej tu nie ma. Ty cholerny idioto. Możesz widzieć. To inna.

— Gdzie jest Irina? Wiem, że jej szukałeś.

— Irina ucieka. Ucieka od Wulka. Cały czas ucieka.

Andrij właściwie spodziewa się, że Wulk zaraz wyceluje w niego pistolet, ale Wulk albo nie zdążył jeszcze zaopatrzyć się w nową broń, albo uznał, że teraz bardziej od ostatecznej rozgrywki z bronią w rękę potrzebna mu jest nikotyna, bo przestaje szarpać się z rozporkiem, trzęsącymi się dłońmi zapala papierosa i zaczyna kopcić tak, jakby od tego zależało jego życie, zaciąga się dymem przez zaciśnięte zęby.

— Słuchaj — mamrocze — jak znajdziesz tę Irinę, zapłacę ci za to. Dobre pieniądze.

Andrij odczuwa ulgę pomieszaną z odrazą.

— A po co ci ona? Masz teraz tę.

Wulk zaciąga się, spowijając Andrija chmurą dymu, jego przebarwione zęby wgryzają się w papierosa. Usta Wulka są różowe i wilgotne. Oblizuje je językiem, szybkim ruchem, jak wąż.

— Irina lepsza. Towar lepszej klasy. Bez chłopaka. Hrr... Lubię taki towar.

— Ty zdegenerowany emerycie. Dlaczego nie poszukasz sobie jakiejś babuszki, którą mógłbyś pieprzyć?

— Młoda dziewczyna dobra dla starego. — Wężowy język Wulka zamasztyłym ruchem prześlizguje się po jego wargach. — Robi go na sztywno. Dobry interes.

Spowity kłębamii dymu Wulk znów podejmuje walkę z rozporkiem i gdy wreszcie udaje mu się go zapiąć, wzdycha z ulgą. Andrij wpatruje się w niego, zafascynowany mimo woli wyglądem tego człowieka, tymi chciwymi oczami, władczym uśmiechem, spasionym brzuchem, który wznosi się ponad paskiem jak naciągnięty bęben, drobnymi płatkami łupieżu, niczym znamię śmiertelności na kołnierzyku. Tak wygląda wcielenie zła.

— A więc chodzi o miłość? Czy o interesy?

— Miłość? Interes? — Wulk krzywi się. — To jedno i to samo, nie?

Ten zepsuty stary diabeł nie rozumie, na czym polega różnica.

— Może ty, mały, wolisz starsze? — Wulk uśmiecha się szyderczo i zniża głos, tak że teraz mówi ochrypłym szeptem. — Jak chcesz, mogę ci znaleźć. Dobra kobieta. Dojrzała. Duże cycki. Lepsza niż ta. Zrobi ci sztywny.

Następnie Wulk daje nura na tył samochodu, gdzie dziewczyna wciąga właśnie na siebie za ciasne dzinsy, i klepie ją po pupie.

— Moja nowa dziewczyna. Co, Lena? Lubisz Wulka?

Lena piszczy zalotnie.

— Gdzie jest Irina? — Andrij nachyla się i pyta Lenę ściszonego głosem, po ukraińsku. — Widziałaś ją?

Dziewczyna wygląda na nie więcej niż piętnaście lat. Jej oczy są pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, puste i niezgłębione. Lena wzrusza ra-

mionami.

— Wiesz, ta Irina z nikim nie rozmawia. Myśli, że jest lepsza od innych Ukraińców. — Głos ma dziewczęcy i lekko chropawy, z silnym charkowskim akcentem. Jej oczy biegają to na boki, to znów w górę i w dół, by uniknąć spojrzenia Andrija.

— Chodź, siostrzyczko, pojedziesz ze mną. — Andrij wyciąga do dziewczyny rękę. — To nie jest dla ciebie dobre. Odwiozę cię na farmę truskawek.

W jej ciemnych oczach na krótką chwilę pojawia się wyraz lęku pomieszanego z pogardą.

— A co ty sobie myślisz, że kim jesteś? Wielki mi Pan Sprytny, co wścibia nos w nie swoje sprawy. — Andrij po raz pierwszy wyczuwa lekką woń wódki. — Ktoś cię prosił, żebyś tu przyjechał?

— Siostrzyczko, jesteś za młoda na takie zabawy. Powinnaś być w szkole.

— Mam siedemnaście lat. Jestem starsza, niż myślisz. — Lena wysiadła z samochodu i zapina teraz sweter. Ma ledwie jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu. Jej chropawy głos przybrał teraz beczelny ton. — I znam się na tych rzeczach od dwunastego roku życia. — W świetle zmierzchu martwe sadzawki jej oczu lśnią złowrogo. — Po raz pierwszy z wujkiem. Potem z innymi. Myślisz, że jesteś taki sprytny. Myślisz, że wszystko wiesz. Co ty wiesz o życiu kobiety w Jasnym- gorze?

Andrij przypomina sobie matkę, jej wymizerowaną twarz, kiedy miała czterdzieści pięć lat, i to jak niemal po omacku zbierała kawałki węgla wzdłuż linii kolejowej, a także siostrę, która harowała całymi dniami, by utrzymać męża pijaka, a po przyjściu do domu gotowała jeszcze dla niego obiad.

— Tylko ty wiesz, jak wygląda twoje życie. Ale możesz spróbować je

zmienić na lepsze.

— Właśnie próbuję. To jest mój chłopak. — Lena głaszcze kucyk Wulka, a na jej ustach pojawia się cień uśmiechu. — Da mi pieniądze. Da mi nową pracę. Lepszą niż zbieranie truskawek. Co, Wulczik?

Andrij chciałby złapać ją obiema rękami i potrząsnąć nią — wytrząść z jej twarzy ten żalosny uśmiech, wytrząść martwość z jej oczu. Co się dzieje z jego krajem? Staje się ludzką pustynią.

— Siostrze, ta nowa praca to po prostu seks za pieniądze.

Na jej twarzy pojawia się błysk uśmiechu.

— Seks za pieniądze. Seks za darmo. Jak sądzisz, co jest lepsze, Panie Sprytny Wścibski?

\*\* \*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ SZUKAM MŁODEJ KOBIETY O ZAPACHU WSTAŻKI NA SZYI DLA MOJEGO PANA KTÓREGO SIKI PACHNĄCZOSNKIEM I MIŁOŚCIĄ CZUJĘ JEJ ZAPACH WĘSZĘ JEST TUTAJ BIEGNIE GONI JĄ WIELKI CUCHNĄCY DYMEM MĘŻCZYŻNA SZCZEKAM WRR WRR SKACZĘ KŁAPIĘ ZĘBAMI GRYZĘ GO W NOGĘ GRYZĘ GO W RAMIĘ CZUJĘ ZAPACH JEGO ZŁEJ KRWI WRR WRR MĘŻCZYŻNA KRZYCZY ZATRZYMUJE SIĘ KOBIETA UCIEKA BIEGNĘ ZA NIĄ HAU KOBIETA ZATRZYMUJE SIĘ I JA SIĘ ZATRZYMUJĘ ODWRACA SIĘ I BIEGNIE KOBIETA BIEGNIE A JA BIEGNĘ ZA NIĄ HAU HAU BIEGNIE W ZŁĄ STRONĘ BIEGNIE ZA SZYBKO BIEGNĘ PROSTO NA NIĄ PRZYPADAM DO ZIEMI HAU KOBIETA ZATRZYMUJE SIĘ PODCHODZĘ BLIŻEJ HAU HAU KOBIETA NIE WIE, W KTÓRĄ STRONĘ BIEC TA MŁODA KOBIETA JEST GŁUPSZA OD OWCY HAU HAU ODWRACA SIĘ I**



**BIEGNIE W DRUGĄ STRONĘ BIEGNĘ PROSTO NA NIĄ PRZY-  
PADAM DO ZIEMI HAU KOBIETA ZATRZYMUJE SIĘ ODWRA-  
CA SIĘ W INNĄ STRONĘ TO JEST DOBRY KIERUNEK TERAZ  
KOBIETA BIEGNIE W DOBRYM KIERUNKU BIEGNĘ ZA NIĄ  
NIE ZA SZYBKO KIEDY KOBIETA SIĘ ZATRZYMUJE POD-  
CHODZĘ BLIŻEJ KLAP KLAP KOBIETA ZNÓW BIEGNIE BIE-  
GNIE DO MOJEGO DOMU NA KÓŁKACH KOBIETA BIEGNIE  
JA BIEGNĘ JESTEM PSEM**

**\*\* \***

Kochana Siostr

Dziś zostałem pobłogosławiony szczęśliwą Okazją bycia świadkiem cielesnego poznania dzięki temu , - dobremu mzungu Andree, który roz-  
bawił mnie okazując braterską miłość bał się bowiem że nigdy dotąd takiej sceny nie widziałem podczas gdy w rzeczywistości nieraz byłem świadkiem cielesnego poznania jako że było ono dość powszechne w Limbę choć nie wśród Sióstr.

Kiedy Szatańskie Nasienie krzyczał i przeklinał swoją stojącą męskość przypomniałem sobie tę chwilę w której Joel jednooki poganiacz został przyłapany w ogrodzie pani Phiri przez siedmiu chłopców z sierocińca którzy otoczyli ogarniętych gorączką grzechu cudzołożników i obrzucili ich dojrzałymi pełnymi żółtego soku owocami mango. To również było szczęśliwym zdarzeniem.

A później gdy wróciliśmy do przyczepy zdarzyło się najbardziej niezwykłe zdarzenie Andree miał wtedy zbolełe serce i natknęliśmy się na naszego psa który szczekał jak opętany a w środku w przyczepie znajdowała się ukochana Andree urodziwa Irina.

A oblicze Andree było pełne Blasku i zaraz nastąpiło bardzo radosne

powitanie. A oczy Andree lśniły w niemeński sposób i oczy Iriny również choć oczywiście jako że Irina jest kobietą w jej przypadku nie było to niemeńskie. A właściwie było. Trudno się w tym połapać. A moje oczy też stały się kobiece.

**\*\* \***

**JESTEM PSEM JESTEM PSEM ODGONIŁEM ŚMIERDZĄCEGO DYMEM MĘŻCZYZNĘ PRZYPROWADZIŁEM GŁUPSZĄ OD OWCY KOBIECĘ O ZAPACHU WSTAŻKI NA SZYI DO MĘŻCZYZNY KTÓREGO SIKI PACHNĄ CZOSNKIEM I MIŁOŚCIĄ ON JEST SZCZĘŚLIWY ONA JEST SZCZĘŚLIWA TERAZ MÓWIĄ DOBRY PIES JESTEM DOBRYM PSEM WIDZĘ TŁUSTEGO GOŁĘBIA KTÓRY ZLATUJE NA DÓŁ PO JAGODY ZJADA JAGODY ZBYT CHCIWIE ZA JADA I NIE ROZGLĄDA SIĘ SKACZĘ KŁAP NIE ŻYJE DAJĘ GO MOJEMU PANU DOBRY PIES MÓWI PAN KTÓREGO SIKI PACHNĄ CZOSNKIEM I MIŁOŚCIĄ DOBRY PIES MÓWI PAN KTÓREGO SIKI PACHNĄ MIĘSEM I ZIOŁAMI JESTEM DOBRYM PSEM JESTEM ZMĘCZONY PO TEJ ROBOCIE DOBREGO PSA KŁADĘ ŁEB NA ŁAPACH PRZED OGNISKIEM RAZEM Z MOIM PANEM SŁUCHAM ŚPIEWU PTAKA PTAK ŚPIEWA W PTASIM JEZYKU TO MOJE POLE SPIEPRZA AA JCIE STĄD TO MÓJ LAS SPIEPRZAAAJCIE STĄD KOBIECĘ MÓWI JAK PIĘKNIE ŚPIEWA TEN PTAK ONA JEST GŁUPSZA OD OWCY TEN PTAK NIE JEST DOBRYM PTAKIEM JEŚLI SFRUNIE Z TEGO DRZEWA TO GO ZŁAPIĘ KŁAP NIE ŻYJE MNIAM JESTEM DOBRYM PSEM JESTEM PSEM**

**\*\*\***

Kochana Siostrzo

Zajadaliśmy się dziś wieczorem chlebem i kabaczkami i marchewkami których mieliśmy pod dostatkiem i tłustym gołębiem złapanym przez psa i truskawkami które miały jeszcze lepszy smak niż dawniej. Rozpaliliśmy duże ognisko i usiedliśmy na szczycie wzgórza skąd mogliśmy podziwiać urodziwy zachód słońca (choć nie tak urodziwy jak zachody słońca w Zomba) i na gałęzi usiadł ptak śpiewając swą radosną pieśń a biegający pies odpoczywał. Zaczęliśmy wtedy wspominać nasze wcześniejsze uczyty w tym samym miejscu i piosenki które wówczas śpiewaliśmy i Andree powiedział niech Emanuel coś nam zaśpiewa. Więc zamknąłem oczy i otworzyłem serce i zaśpiewałem modlitwę o pokój Dona Nobila V Pacem. I popłynęło jeszcze więcej niemeńskich łez.

Kiedy na fermanencie zamrowiły się pierwsze gwiazdy Irina powiedziała że jest znużona i wróciła (to małej przyczepy która była mieszkaniem kobiet. Domyślałem się że między tą parą może dojść do ; cielesnego poznania więc udałem się do pustej przyczepy która niegdyś była mieszkaniem mężczyźni i z rozkoszą zasnąłem w moim dawnym własnoręcznie wykonanym hamaku.

Przed snem jak co wieczór pomodliłem się o odpuszczenie grzechów i poprosiłem Pana by chronił mnie przed złem i doprowadził do mojego<sup>!</sup> ponownego połączenia z tobą droga siostrzo. Potem zacząłem myśleć o siostrze Teodozji grubej i rozmiłowanej w śpiewie organistce z klasztoru w Limbe która nauczyła mnie tej modlitwy o pokój którą zaśpiewałem tego wieczora a także wielu innych urodziwych pieśni.

Byłem pochłonięty myślami o siostrze Teodozji i jej muzyce jak uderza w oba pedały w górę i w dół swymi małymi stopkami co wspominałem z wielką przyjemnością kiedy drzwi przyczepy się otworzyły i do środka wszedł bardzo cicho by mnie nie budzić chociaż ja przecież wcale nie spa-

łem Andree. Rozebrał się i położył na łóżku. A ja pomyślałem że jeśli doszło między nimi do poznania cielesnego to było ono bardzo pospieszne natomiast jeśli do niego nie doszło to Andree może być poważnie rozdrażniony. Ale Andree nic nie powiedział. Po pewnym czasie Grzeszna Ciekawość tak bardzo zaczęła mi dokuczać że spytałem szeptem Andree czy popełnił poznanie cielesne? Przez chwilę milczał aż wreszcie ciężkim głosem powiedział idź spać Emanuelu.

Wkrótce słysząc jak Andree głęboko oddycha wywnioskowałem że już śpi a ja też jedną nogą byłem już za drzwiami Snu. A gdy porwała mnie ciemność powróciłem we śnie do czasów sprzed sierocińca i klasztoru i domu misyjnego do czasów kiedy mieszkaliśmy w małej wiosce nad rzeką Shire z naszymi rodzicami i siostrami i rozmawialiśmy w języku cziczewa który wciąż jest językiem moich snów.

Nagle wyrwały mnie ze świata snu niesamowite zakłócenia wywołane szczekaniem psa po którym nastąpiły piekielne oślepiające światła oraz warkot silników. Andree wyskoczył jednym susem z łóżka i uderzył się w głowę miotając jakieś przekleństwa po ukraińsku bowiem w przyczepie było całkiem ciemno. Wyskoczyłem z hamaka i odsłoniłem okno i wtedy zobaczyliśmy że oślepiające światło pochodzi ze świateł samochodu. Andree założył wtedy spodnie a ja pomyślałem że jego męskość jest w stanie uniesienia ale on miał po prostu w kieszeni jakiś duży ciężki przedmiot i ja sam również włożyłem spodnie bowiem obawiałem się że Szatańskie Nasienie przyjechał po Irinę.

Na zewnątrz na polu panowało pandemonium szczeków i krzyków i feerii świateł i warkotów ale gdy wyszedłem z przyczepy zobaczyłem że to nie Szpony lecz Witalij o którym ci wcześniej opowiadałem i jego towarzysza która była dojrzałą kobietą o nadszarpniętej urodzie i blond włosach zebranych w coś na kształt kogucika na czubku głowy. I opierała głowę na

ramieniu Witalija w taki sposób że zacząłem się zastanawiać czy przypadkiem nie stanę się świadkiem kolejnego poznania cielesnego.

Witalij!!! Co ty tu robisz??? zawołał Andree.

Mógłbym spytać cię o to samo!!! zawołał Witalij.

Wtedy kobieta z włosami spiętymi w kogutka zaczęła śmiać się zalotnie i powiedziała do Andree , znów się spotykamy a myślałam że ci powiedziałam żebyś wziął nogi za pas.

I Witalij powiedział tak bierz nogi za pas to miejsce nie jest już wolne.

A Andree powiedział to ty bierz nogi za pas ty , czarcie nasienie.

A kobieta powiedziała patrząc przy tym lubieżnie na Andree który był ubrany w spodnie ale nie miał na sobie koszuli Chłopcy chłopcy proszę nie ma powodu do bójki.

A Witalij powiedział Wendy ten Ukrainiec nie jest dobry.

A kobieta powiedziała pojednawczym tonem w porządku moje maleństwo wracajmy do domu Lawrence może sobie na nas popatrzeć. A Andree powiedział farmer Lawrence?

A kobieta powiedziała tak moje maleństwo właśnie wrócił ze szpitala i lubi siedzieć na wózku i się przyglądać to jedyne gorące przeżycie na jakie go stać dobrze mu robi stary uganiający się za babami cap.

Następnie kobieta z kogutkiem wsiadła do małego czerwonego samochodu który przypominał z wyglądu drogocenny klejnot i Witalij również do niego wsiadł. I ujrzałem że Witalij zajmuje miejsce kierowcy. Wyjął z kieszeni spodni kluczyki i zapalił silnik który przeraźliwie zaryczał i z jeszcze większym rykiem zawrócił. A ja zobaczyłem że Andree przygląda się jak Witalij prowadzi auto a jego oblicze pochmurnieje w beznadziejnym smutku.

Następnie wróciliśmy do przyczepy a ja zobaczyłem jak Andree wyjmuję z kieszeni ten przedmiot i chowa go na dnie swojej torby potem wrócił

do łóżka i wkrótce znów zapadł w sen. Ale ja nie mogłem zasnąć z powodu tych zakłóceń i po jakimś czasie zaczęła mnie dręczyć Grzeszna Ciekawość i zajrzałem do torby Andree i zobaczyłem że ukryty tam przedmiot to pistolet. I moje serce zaczęło skakać hop hop zupełnie jak żaba byk ponieważ pistolet jest narzędziem Szatana które sprowadza na Ziemię Smutek i Śmierć. I zabrałem pistolet i poszedłem cichaczem do lasu i zakopałem go pod ciernistymi krzewami bowiem Andree jest dobrym człowiekiem a w ten sposób mogłem go uchronić przed Grzechem Śmiertelnym.

\* \* \*

A więc do tego doszło. Witalij, ten gość z *mobilfonem*, ma angielską blond dziewczynę i czerwony sportowy samochód. A ty, Andriju Palenko, co ty masz? Starego land-rovera, w którym trzeba wymienić sprzęgło, przyjaciela, który ma fioła na punkcie cielesności i Psa — cóż, w zasadzie Pies jest fantastyczny, do niego nie ma żadnych zastrzeżeń. A Ukrainka co prawda jest ładna, ale nie przejawia ani cienia zainteresowania tobą, co, musisz przyznać, jest dość rozczarowujące po tym wszystkim, przez co przeszedłeś. Można by spodziewać się jakiejś nagrody, przynajmniej małego całusa.

Kiedy wyciągnąłeś rękę, by pogłodzić ją po policzku, po jej pulchnym krągłym policzku, któremu nie sposób się oprzeć, podobnym do dojrzałego jabłka, ale zrobiłeś to uprzejmie i w elegancki sposób, odskoczyła tak, jakbyś próbował ją zgwałcić, i wrzasnęła: Zostaw mnie w spokoju!

A potem się rozplakała, więc chciałeś ją objąć ramieniem, ale bałeś się, że znów na ciebie nawrzeszczy. Dlaczego ona tak się zachowuje? Może wciąż uważa, że jak dla ciebie jest zbyt kulturalna. Może po prostu wcale nie wydajesz jej się atrakcyjnym mężczyzną, Andriju Palenko. Może wciąż jeszcze myśli o tym swoim chłopaku, bokserze, a może marzy jej się ele-



gancki businessmen z *mobilfonem*. Później powiedziała, że chce się już położyć, a ty odpowiedziałeś, że pójdziesz do drugiej przyczepy, mając nadzieję, że ona powie: nie, Andriju, zostań ze mną. Ale niczego takiego nie powiedziała. Prosiła tylko, żeby zostawić jej psa. Woli psa! Cóż, właściwie, co cię to obchodzi? Więc wróciłeś do przyczepy w nie najlepszym humorze. A kiedy już miałeś zasnąć, Emanuel zaczął gadać o cielesności.

\*\* \*

Sposób, w jaki dotknął mojego policzka, przypomni mi Wulka. *Po-  
doba się kwietek...* Cała zeszywniałam. Chciałam mu wszystko opowiedzieć, o tamtej nocy w lesie, o tym, jakie to uczucie, kiedy jest się osaczonym. Ale zwyczajnie się rozplakałam. Tak bardzo chciałam, by wziął mnie w ramiona, pocieszył, sprawił, żebym poczuła się bezpiecznie.

Ale on wyglądał na zirytowanego. A potem poszedł spać do drugiej przyczepy. Dlaczego ze mną nie został? Byłam taka samotna i wystraszona, że spytałam, czy pies może ze mną zostać, chociaż wcale go tak bardzo nie lubię, bo bezwstydnie wciska nos między moje nogi i wlepia we mnie te swoje psie oczy.

W środku nocy pies zaczął szczekać. Kiedy się obudziłam i zobaczyłam na polu jaskrawe światła samochodowych reflektorów, byłam zrozpaczona. Pomyślałam, że to już koniec. Byłam pewna, że to Wulk przyjechał, by mnie wreszcie dopaść.

Rozum nakazywał mi uciekać, ale nie byłam w stanie. Nagle poczułam się tak zmęczona bieganiem, jakby nie tylko moje kości, ale również serce wypełniał ołów. Przypomniłam sobie, jak lekko zrobiło mi się na sercu, kiedy na szyi psa zobaczyłam swoją pomarańczową wstążkę. A potem w polu ujrzałam naszą małą swojską przyczepę. Pomyślałam, że przyczepa stoi w niewłaściwym miejscu. To było jak sen — w powietrzu unosił się



zapach kapryfolium, a całe wzgórze było skąpane w nierealnym fioletoworóżowym świetle. Drzwi nie były zamknięte. W nagrzanym słońcem wnętrzu pachniało truskawkami. I rzeczywiście na stole było ich całe mnóstwo, do wyboru, do koloru, sześć pełnych misek. Dla kogo były przeznaczone? To było jak w bajce. Nie mogłam się powstrzymać — zaczęłam je jeść. Ale kto mógł zebrać te truskawki? Rozejrzałam się. Na podłodze leżała jaskrawozielona kurtka, która wyglądała znajomo. A w szafce nad łóżkiem moja płócienna torba w paski! Zajrzałam do środka. Moja piżama, moja szczotka do włosów, moja zapasowa koszulka, brudne majtki, a nawet moje pieniądze. Wyglądało na to, że ktoś przeszukał torbę, ale było w niej wszystko, co być powinno. Pozostały także zdjęcia, które zawiesiliśmy na ścianach: David Beckham, Czarna Madonna z Jasnej Góry, mała foczka, młody tygrysek i maleńka panda. Mama i Tato. Wszyscy tu byli. Później, kiedy pojawił się Andrij z Emanuelem, wiedziałam już, że to nie sen, i pomyślałam sobie: nareszcie. Teraz jestem bezpieczna.

Nie, nie dałabym rady znowu biec. Więc zamiast uciekać, wczołgałam się pod podwójne łóżko jak osaczone zwierzę, które chowa się głęboko w ziemi, w miejscu, w którym czuje się bezpiecznie, zwinęłam się w kłębek i naciągnęłam na siebie śpiwory. Po jakimś czasie hałasy ustały, a ja zapłakana w końcu chyba zasnęłam. Nie pamiętam, o czym śniłam tamtej nocy. Pamiętam tylko, że był to sen o pustce i rozpacz, tak jakby kielich mojego życia wysechł do cna.

Rano byłam zdziwiona, że wciąż jeszcze żyję i że leżę pod łóżkiem. Przez okno wpadały promienie słońca. Usłyszałam, jak Andrij i Emanuel biegają po polu, wołając mnie. Kiedy wykrzyczał moje imię — I-rii-na! — przeszedł mnie dreszcz. Zaraz potem pies pokazał im moją kryjówkę i

wszyscy zaczęliśmy się śmiać. Zjedliśmy śniadanie — znowu truskawki i chleb z margaryną. Potem Andrij powiedział: Dzisiaj jedziemy do Londynu, aby odszukać To-by'ego McKenzie, przyjaciela Emanuela. Chcesz, żebym cię odwiózł na farmę truskawek, Irino? *I-rii-no*. Czy wolisz pojechać z nami?

—Pojadę z wami.

\*\* \*

### Kochana Siostró

Dzisiaj ruszyliśmy do Londynu a ja siedziałem z przodu obok Andrija i cieszyłem się na tę okazję zadania mu kolejnych pytań ale Andrij powiedział że nie może równocześnie prowadzić i rozmawiać po angielsku. Więc zacząłem rozmyślać o języku angielskim który czasem wydaje się jakimś przerażającym śliskim węzłem który wije się to tu to tam rozwijając swe pokryte łuskami zwoje na języku. W mojej pamięci zamusowało wspomnienie pierwszych lekcji angielskiego w szkole w sierocińcu w Limbę które prowadziła siostra Benedykta która nie była Angielką i nigdy nawet nie była w Anglii pochodziła natomiast z Goa w Indiach i częściowo portugalski. Siostra Benedykta sama nauczyła się angielskiego od irlandzkiej zakonnicy która z jakichś przyczyn zawitała kiedyś na ten daleki ląd i z której siostra Benedykta wzięła przykład i sama również została zakonnica po czym udała się do Afryki z powodu wielu zagubionych dusz które należało tam nawrócić wliczając w to nasze powiedziała. Siostra Benedykta zmuszała nas do nauki każąc nam chórem odśpiewywać teksty z Pisma Świętego modlitwy kazania i słowa o innych podnoszących na duchu przedmiotach wiary aby nauczyć się ich na pamięć. W odróżnieniu od siostry Teodozji która była gruba siostra Benedykta była chuda i sroga jej brązowa skóra lśniła a oczy miały błyskawice nosiła małe okulary w

złotych oprawkach które zawsze wisiały na jej szyi na łańcuszku i zawsze była gotowa wymierzyć nam karę swoją laską.

Miałem wówczas dwanaście lat a ty droga siostró byłaś już w Blantyre kiedy zacząłem rozmyślać o poznaniu cielesnym. Kiedy spytałem siostrę Benedyktę pogroziła mi swoją laską ale siostra Teodozja powiedziała abym spytał o to ojca Augustyna kiedy wróci z Zomba ale ojciec Augustyn powiedział że poznanie cielesne to Grzech a Zapłatą za Grzech jest Śmierć. I teraz zawsze ilekroć myślę i poznaniu cielesnym jego słowa brzęczą mi w pamięci.

\*\*\*

Po wydarzeniach ostatniej nocy Andrij wciąż jeszcze jest poirytowany i nie ma nastroju do rozmów z Emanuelem, który siedzi obok niego w land-roverze, uśmiecha się radośnie i zadaje pytania na temat cielesności. Skąd mu się wzięło to obsesyjne zainteresowanie cielesnością? I dlaczego był taki podekscytowany tymi obrzydliwymi rzeczami, które działy się na tylnych siedzeniach terenowego wozu? Z pewnością jest zbyt niewinny, by mieć takie zainteresowania. A może nie jest?

I jeszcze jedno nie daje Andrijowi spokoju: dlaczego Irina siedzi z tyłu, skoro jako kobieta powinna siedzieć z przodu? Jedynym powodem może być to, że nie chce siedzieć obok niego. Czy jest dla niej za mało cywilizowany? Cóż, i tak nie ma to znaczenia, bo wkrótce zostawi ich oboje w Londynie, Emanuela z Tobym McKenzie, a Irinę w ambasadzie Ukrainy, gdzie dostanie nowy paszport. On sam zaś uda się w drogę do Sheffieldu, w stronę wszystkiego tego, co tam na niego oczekuje.

Sprzęgło nie zaskakuje, kiedy Andrij wrzuca drugi bieg, więc musi szybkim ruchem zmieniać bieg z jedynek bezpośrednio na trójkę. Wygląda na to, że miejsce, którego szukają, Richmond Park, to nic więcej jak tylko wielkie pole i kilka drzew. A gdzie są domy? Wreszcie po południowej

stronie znajdują kilka budynków stojących obok siebie. Dom, którego szukają, numer pięć, jest na samym końcu.

Już z zewnątrz widać, że jest to dom biznesmena, któremu dobrze się powodzi. Dużo okien, pośrodku ganek z drzwiami wejściowymi, podwójny garaż i tak dalej. Witalij na pewno kiedyś zamieszka w takim luksusowym domu jak ten. A samochód? Hm. Na zewnątrz stoi tylko jeden. Jest to VW golf 2.0 GLS — niezły wóz, ma opuszczany dach, skórzane siedzenia, nowoczesny system dźwiękowy i tak dalej, a w dodatku zdaje się, że ma automatyczną skrzynię biegów, niezbyt fortunne rozwiązanie w samochodach o wyższej mocy, przy ręcznej zmianie biegów osiąga się lepsze wyniki, ale i tak jest to całkiem udane auto. Tak, Andrij nie miałby nic przeciwko temu, żeby się nim przejechać, ale przed takim domem jak ten spodziewałby się jednak czegoś lepszego.

Ale skąd Emanuel zna kogoś tak zamożnego? Przyjaciel Andrija zdecydowanym krokiem rusza w stronę domu z kartką w dłoni i promiennym uśmiechem na twarzy i kilka razy naciska dzwonek. W drzwiach wejściowych pojawia się kobieta, w tym samym mniej więcej wieku co Wendy, ale dużo od niej ładniejsza, choć nie jest blondynką, tylko ma kasztanowe, elegancko upięte włosy z widocznymi siwymi pasemkami. W zasadzie wygląda zupełnie jak pani Brown z *Let's Talk English*. Jest wąska w talii i ma niewielki biust, a paznokcie u nóg ma pomalowane purpurowym lakierem. Jest to tak zaskakujące, że Andrij nie bez wysiłku odrywa od nich wzrok. Te purpurowe paznokcie mają w sobie coś niezwykle seksownego.

Kobieta spogląda na nich i na Psa ze zdumieniem, po czym bierze od Emanuela kartkę.

— Tak, Toby tu mieszka. Ale teraz nie ma go w domu. A czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

— Nazywam się Emanuel Mwere, a Toby jest moim bratem. Dwa lata temu przyjechał jako wolontariusz do Zomba, koło Limbę, i wówczas zaczęła się niezwykła przyjaźń.

— Zomba w Malawi?

— Tak, proszę pani. Toby był wolontariuszem w szkole przystającej do ośrodka misyjnego, w którym uczyłem się rzeźbienia w drewnie. — Emanuel mówi starannie, jakby usta miał pełne kamyków. Jego słownictwo jest zaskakująco wyrafinowane, myśli Andrij.

— Ach tak. Pamiętam drewnianą rzeźbę, którą Toby przywiózł do domu. Cudowna. Czy to ty ją zrobiłeś?

— Niestety nie, proszę pani. Drewniana rzeźba, którą zakupił Toby, była dziełem znacznie bardziej utalentowanego rzeźbiarza. Nasza przyjaźń wyrosła na innym gruncie. Pewnego razu wybawiłem go z poważnej opresji i wtedy złożyliśmy sobie przysięgę braterstwa. Nazywam się Emanuel Mwere. Czy Toby o mnie nie opowiadał?

— Wybawiłeś go z opresji?

— Tak, proszę pani. Wybawiłem go od wcielenia do więzienia. W związku z substancjami.

— Och. — Na jej twarzy pojawia się delikatny wyraz zrozumienia. — Wejdz, proszę, do środka. A oni...?

— To moi truskawkowi przyjaciele. Irina, Andrij. Są Ukraińcami. I nasz olśniewający pies.

Pies szczeka i macha ogonem. Kobieta pochyla się i głaszcze go po łbie. Andrij od razu widzi, że Pies podbił jej serce.

— Jestem mamą Toby'ego. Nazywam się Maria McKenzie. Wejście. Na pewno jesteście głodni.

Prowadzi ich przez wysoki, wyłożony boazerią hol do kuchni, która jest

większa od całego mieszkania Andrija w Doniecku, z lodówką o rozmiarach szafy jego babci, przeszklonymi drzwiami do ogrodu i długim drewnianym stołem pośrodku, na którym stoi wazon z kwiatami i misa pełna truskawek. Jedynie widok truskawek jest, o dziwo, przygnębiający. Następnie urządza im ucztę — podaje mnóstwo dziwnych i pysznych dań, pełnych liści, ziół, ziaren, orzechów i różnych gatunków pieczywa oraz jarzyn w postaci sałatek. Są w nich pomidory, papryki, rzodkiewki, oliwki, a także awokado, które Andrij dotąd tylko widział, ale nigdy jeszcze nie próbował, z pysznymi jogurtami i sosami i tak dalej, które po ich monotonnej, niezbyt urozmaiconej diecie dostarczają podniebieniu tak miłych wrażeń, że Andrij je coraz więcej i więcej i musi się w końcu powstrzymać, bo nie chce, by Maria myślała, że umiera z głodu, i nie chce, by Irina myślała, że jest źle wychowany, choć w zasadzie nie powinno go obchodzić, co ona sobie myśli. Spogląda na nią ukradkiem i widzi, że ona również objada się tak, jakby od wielu dni nic nie jadła, a nawet oblizuje palce, na co on sobie jednak nie pozwolił.

Tylko jedno rozczarowuje Andrija. Gdzie jest mięso? W takim domu można spodziewać się dużego tłustego steku, może jakichś kotlecików wieprzowych z czosnkiem albo przynajmniej smacznego kawałka kiełbaski czy mięsa duszonego z jarzynami i podanego z kluseczkami. Maria McKenzie, jakby czytając w jego myślach, podchodzi do szafki i wyjmuje dużą puszkę z napisem *Steak in Gravy*. Na etykiecie widać duże kawałki lśniącego brązowego mięsa. Na sam widok Andrijowi burczy w żołądku. Pani McKenzie otwiera puszkę i przekłada jej zawartość do miski. Po czym stawia miskę na podłodze, a Pies pochłania wszystko w mgnieniu oka.

— Czy macie ochotę zjeść coś jeszcze? — pyta pani McKenzie.

— Tak, proszę pani. — Andrij i Irina odpowiadają jednym głosem.



Spoglądają na siebie i wybuchają śmiechem. Na policzkach Iriny powstają seksowne dołeczki. Nie wygląda już na tak sztywną jak wcześniej. Maria McKenzie wyjmuje z lodówki surowe marchewki i kroi je w paski, kroi też seler i ogórki, i podaje z jakimś pysznym kremowym sosem o orzechowym smaku. Andrij zjada wszystko z apetytem. Jego spojrzenie znów krzyżuje się ze spojrzeniem Iriny i oboje uśmiechają się do siebie, bo w przyczepie mają przecież całą torbę marchewek, a pies siedzi w kącie i z zadowoloną miną oblizuje sobie pysk.

Kiedy są zajęci jedzeniem, Maria McKenzie wyjmuje swój *mobifon* i wybiera jakiś numer i choć mówi ściszym głosem, odwrócona do nich plecami, Andrijowi udaje się coś złapać z tej rozmowy:

— Tak, z Malawi. Tak. Tak, powiedział „więzienie”. Nie, powiedział „substancje”. Tobo, nie okłamuj mnie. Nie, on o tym nic nie wie. Jeszcze go tu nie ma. OK. OK. Do zobaczenia wkrótce, kochanie.

Odwraca się do gości z promiennym uśmiechem.

— Tobo powiedział, że niedługo będzie w domu.

\*\* \*

Ta kobieta, pani McKenzie, była bardzo miła, mimo że miała purpurowe paznokcie u nóg jak jakaś czarownica. Uważam, że jeśli już w ogóle maluje się paznokcie u nóg lakierem, to powinno się wybierać dyskretne kolory. Poczęstowała mnie truskawkami i z grzeczności zjadłam kilka, bo skąd mogła znać całą prawdę o swoich truskawkach? A potem zaparzyła dla mnie specjalną herbatę ziołową. Powiedziała, że ta herbata przywróci mi równowagę pomiędzy pozytywną i negatywną energią — to głupi pomysł, ale herbata okazała się całkiem dobra. W kuchni było ciepło i spokojnie, i pachniało pieczonym ciastem. Usiedliśmy na sofie obok wielkiego, emaliowanego pieca. Słyszeć było tykanie dużego zegara i pochrapywanie psa



— sss! hrr! sss! hrr! — który zwinął się w kłębek w kocim koszyku przy samym piecu.

Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że pani McKenzie była kiedyś w Kijowie. Spytała o moich rodziców, więc powiedziałam, że Tato jest profesorem i napisał wiele książek, i mam nadzieję, że ja też zostanę kiedyś pisarką, a Mama jest po prostu gospodynią domową i nauczycielką. Nagle zrobiło mi się smutno, że Mama ma takie nudne życie i przypomniałam sobie, że w końcu nie zadzwoniłam, by ją przeprosić.

— Czy mogłabym zadzwonić do mamy? — spytałam.

— Oczywiście, kochanie.

Podawała mi telefon.

— Mamo?

— Irino, to ty?

Od razu zaczęła mówić, jaka jest samotna i jak bardzo chciałaby, żebym wróciła.

Odpowiedziałam:

—Mamusiu, zamierzam zostać tu trochę dłużej. I przepraszam za to, co powiedziałam ostatnio. Kocham cię.

Panicznie bałam się to powiedzieć, bo sądziłam, że rozplacę się jak dziecko, ale ledwo wypowiedziałam te słowa, od razu lepiej się poczułam.

— Moja mała dziewczynka. Tak bardzo za tobą tęsknię.

— Mamusiu, nie jestem małą dziewczynką. Mam dziewiętnaście lat. I też bardzo za tobą tęsknię.

Zapadła cisza. A potem Mama oznajmiła:

—Wiesz, że ciocia Wiera spodziewa się dziecka? W jej wieku! — powiedziała to oburzonym tonem. Ciocia Wiera jest w naszej rodzinie nieustannym obiektem plotek. — A do tego pustego mieszkania na dole wprowadziła się bardzo miła para. Mają trochę starszego od ciebie syna.

Jest przystojny.

— Mamusiu, daj spokój z tymi swoimi pomysłami.

Zaczęłyśmy się śmiać i nagle wszystko między nami znów było zwyczajne i bezproblemowe.

Kiedy odkładałam słuchawkę, otworzyły się drzwi i do środka wszedł chłopak w moim wieku. Miał na sobie hip- hopowe postrzępione džinsy obcięte za kolanem i czarną koszulkę z trupią czaszką. Jego włosy były koszmarnie — długie i skręcone jak cienkie szczurze ogonki — a na policzkach rosła mu rzadka i potargana bródka. Zdecydowanie nie mój typ.

— Cześć, mamó! — powiedział.

A potem spojrział na Emanuela i obaj uśmiechnęli się szeroko, następnie uścisnęli się i podali sobie dłonie, w taki specjalny sposób zaplatając kciuki, i znów się uściskali. Pani McKenzie zaczęła pociągać nosem. Andrij i ja spojrzeliśmy po sobie i uśmiechnęliśmy się, a Andrij złapał mnie pod stołem za kolano. Zaraz potem wszedł kot i prychnął na widok psa, pies zaś zaczął go gonić po całej kuchni. Andrij krzyknął na psa i niechcący przewrócił wazon z kwiatami. Woda się rozlała, więc zaczął zbierać ją ścierką, natomiast pani McKenzie, która wciąż jeszcze wycierała łzy, zawołała: To przeznaczenie! Właśnie wtedy drzwi znów się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna.

— Dobry Boże! Co tu się, u licha, dzieje? — powiedział.

A najbardziej niesamowite było to, że wyglądał dokładnie tak jak pan Brown z mojego podręcznika do nauki angielskiego. Tylko gdzie się podział jego melonik?

\*\* \*

— Kochanie... — głos pani McKenzie jest tak niski i uwodzicielski, że Andrij czuje drżenie swych męskich narządów, choć słowa nie są skiero-

wane do niego, tylko do mężczyzny, który właśnie wszedł do środka i osunął się na sofę. — Kochanie, pozwól, że zrobię ci drinka. Whisky? Podwójna? Z lodem? Kochanie, to przyjaciele Toby'ego. Emanuel jest z Limbe w Malawi. Pamiętasz, jak Toby zrobił sobie roczną przerwę w nauce i pojechał do Malawi? Więc właśnie tam zaprzyjaźnił się z Emanuelem. A Emanuel przyjechał tu z tak daleka, żeby nas odwiedzić. Czy to nie jest cudowne? A to jest Irina i Andrij. Są z Ukrainy, ale ostatnio mieszkali tutaj, w hrabstwie Kent. Emanuel przywiózł ich do nas, bo chcieli poznać typową angielską rodzinę.

— Cóż, wobec tego znaleźli się w niewłaściwym miejscu, nieprawdaż?

— Mężczyzna szybko pije łyk whisky. — A co z psem? Jak się wabi?

— Pies ma na imię Pies, proszę pana. — Andrij żałuje, że nie wymyślił czegoś bardziej inteligentnego, ale mężczyzna jest tym rozbawiony.

— Wspaniałe. Wspaniałe imię dla psa. To mieszaniec, prawda? — Jego głos jest głęboki i tubalny niczym syrena przeciwmgielna.

— Nic nie wiem o jego pochodzeniu, proszę pana. Pewnej nocy w tajemniczy sposób po prostu się pojawił.

— Hm. To ciekawe. Psie, chodź tu. Niech ci się przyjrzę.

Pies posłusznie podchodzi i siada u stóp mężczyzny, patrząc mu przy tym w oczy przyjacielsko i zarazem uprzejmie. Serce Andrija natychmiast pęcznieje z dumy.

— Powiedziałbym, że to labrador collie z domieszką owczarka niemieckiego. Doskonała krzyżówka. Najlepsze psy, jakie można znaleźć.

— Tak, to wspaniały pies. — Choć Andrij słyszał, że Anglicy kochają psy, mimo wszystko wydaje mu się dziwne, że mężczyzna okazuje więcej zainteresowania psu niż którejkolwiek z osób obecnych w pokoju. — Poluje i przynosi nam swoją zdobycz. Dużo królików i gołębi.

Pies upaja się poświęcaną mu uwagą, macha ogonem, przechyla łeb i

podaje łapę. Mężczyzna ujmuje jego łapę w swoją niezwykle czystą dłoń biznesmena i potrząsa nią.

— Jak się masz? — Zupełnie jak pan Brown. — Hm. To nie jest młody pies. Powiedziałeś, że zjawił się w środku nocy?

— Tak. W trakcie biwaku w środku lasu. Myślmy, że biega tak od dawna, bo krwawią mu łapy i ma zadrapania na ciele.

— Fascynujące. I od tamtej pory was nie zostawił?

— Nie. Jest z nami przez cały czas.

— Hm. Niezwykle istoty, psy. Wierne do końca. Może został porwany? Powiedziałeś Kent, tak? Tak, oni wciąż jeszcze organizują tam walki psów. To smutne w naszych czasach! Łapią kanapowe pieski i rzucają je psom, które walczą. Wzbudzają w nich agresję. To doprawdy barbarzyństwo. Górnicy. Powinno się ich powystrzelać.

Andrijowi nie podoba się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa. Powieka lewego oka mężczyzny zaczęła drgać. Popija teraz whisky dużymi haustami. Pies przysuwa się bliżej i uspokajająco kładzie pysk na jego kolanach. Wygląda na to, że mężczyzna się odprężył.

— Miałem kiedyś psa. Jak byłem mały. — Pochyliła się i drapie psa za uchem. Jego głos jest nabrzmiały od emocji i whisky. — Nie mógłbyś zabrać mnie ze sobą, młody człowieku? Kiedy wybieracie się na biwak? Jechcie do hrabstwa Kent? Polować w lasach z psem? Wiesz, całkiem nieźle posługuję się śrutówką. Zające. Króliki. Gołębie. Potrafię oprawić królika. Wciąż mam mój szwajcarski scyzoryk wojskowy. Zbieranie drzewa. Rozpalanie ogniska. Wilgotne zapałki. Wszędzie dym. Woda gotująca się w czajniku. Herbata w emaliowanych kubkach. Pieczona fasola. Przypalone tosty. Tyle tego jest. — Spogląda na Andrija wilgotnymi smutnymi oczami. — Nie przeszkadzałbym.

— Proszę pana, oczywiście może pan z nami pojechać. Ale niestety właśnie wracamy z Kentu i jedziemy do Sheffieldu.

Mężczyzna wypija whisky do dna i wzdycha zawiedziony.

— Kolacja będzie wkrótce gotowa, prawda, Mario? Pójdę się przebrać.

Gdy tylko ojciec wychodzi z pokoju, Toby wydaje z siebie westchnienie ulgi.

— Emanuelu, ta cała historia z więzieniem, byłoby lepiej, gdyby się o tym nie dowiedział.

— On o tym nie wie? — pyta Emanuel.

— Kochanie — Maria McKenzie zwraca się do Emanuela tym samym niskim uwodzicielskim głosem — ojciec Toby'ego jest pod pewnymi względami dość staroświecki, choć jest bardzo dobrym i kochającym ojcem. Nieprawdaż, Toby? Ale można powiedzieć, że ma pewne trudności z pogodzeniem się z niektórymi cechami osobowości Toby'ego.

— Taa, mamó, jest taki sztywny, że można by go wetknąć w ziemię i hodować na nim jakieś pnącze.

— Toby, twój ojciec jest bardzo dobrym człowiekiem i bardzo ciężko pracuje, żeby nas utrzymać. A gdybym wiedziała, że wpadniesz w takie tarapaty, nigdy nie pozwoliłabym ci pojechać na cały rok do Malawi. Wyśłałabym cię raczej do naszej rodziny w Renfrewshire.

— Taa, taa, mamó. Koniec kazania?

— A jeśli twój ojciec o tym się dowie — Maria ciągnie dalej swoim seksownym głosem z *Let's Talk English* — będzie winił mnie za to, że zachęcałam cię do tego wyjazdu. Bo to ja powiedziałam, że taki wyjazd poszerzy twoją wiedzę i pomoże ci zrozumieć kraje rozwijające się, a twój ojciec był temu przeciwny, ponieważ uważał, że wcale nie trzeba jechać aż do Zombe, bo tutejsza okolica jest wystarczająco słabo rozwinięta, zwłaszcza Croydon.

Andrij zaczyna mieć pewne wątpliwości co do tej rodziny. Kobieta ma dobre chęci i przypomina trochę panią Brown z tą swoją szczupłą talią i bezustannym pić herbaty, ale jej pomysły dotyczące odżywiania są dość dziwaczne. I co mają oznaczać purpurowe paznokcie u nóg? Oczywiście powszechnie wiadomo, że zameżne kobiety są seksualnie niewyżyte, ale kochać się z kobietą pod dachem domu jej męża to prosić się o kłopoty, nawet jeśli ten mężczyzna pije za dużo whisky, wygaduje dziwne rzeczy i daje zły przykład żonie. A ten chłopak, Toby, zwraca się do ojca bez szacunku i Andrij zastanawia się, czy będzie dawał dobry przykład Emanuelowi, który jest taki młody i łatwowierny i wykazuje nadmierne zainteresowanie seksem.

— Croydon?! — woła Emanuel. — Chyba dzisiaj przejeżdżaliśmy przez to miejsce!

\* \* \*

Kochana Siostró

Dziś ponownie zjednoczyłem się z Tobim Makenzi i opowiem ci niezwykłą historię naszej przyjaźni bowiem po raz pierwszy spotkałem się z nim w Zomba.

Ale teraz ci mzungu zasiali we mnie wątpliwości ponieważ nie widzę żadnego podobieństwa pomiędzy Croydon i Zomba z wyjątkiem ceglanego domu misyjnego który jest absolutnie tip-top. A więc ten Toby Makenzi przywiózł z Anglii wspaniałą piłkę futbolową całą skórzaną jakiej nigdy dotąd nie widzieliśmy. Bo kiedy biedni chłopcy z Zomba chcą zagrać w piłkę muszą nadać balon i owinać go plastikowymi torebkami ponieważ pośród kłujących krzaków łatwo go przekłuć i w ten sposób ginie wiele piłek. A widząc moją radosną minę gdy trzymałem w dłoniach piłkę ten mzungu powiedział Bracie gorąco pragnę nabyć trochę Złota Malawi i w

zamian chętnie dam ci tę piłkę.

To Złoto Malawi jest tak pożądane przez mzungu że podejrzewam iż głównie dla niego przybywają do naszego kraju. I zastanawiam się czy to możliwe że rodzice Tobiego Makenzi nie wiedzieli o tym kiedy go tu posyłałi? Szkoda również wielka że niektórzy nasi policjanci są tak skorumpowani i wcielają do aresztów mzungu by powiększyć swoje dochody skoro po płaczach lamentach i zapłaceniu jednego lub dwu tysięcy kwachów mzungu są wypuszczani na wolność.

Ale porcja Złota Malawi którą dla niego załatwiłem była większa od wszystkich innych widzianych wcześniej w Zomba i skorumpowany policjant który to zobaczył zażądał czterech tysięcy kwachów a ta suma przekraczała możliwości Tobiego Makenzi. Zrobiło mi się go wtedy żal i poszedłem na policję i wyznałem że to Złoto Malawi należy do mnie a oni uwolnili Tobiego MaKenzi i wcielili mnie na jego miejsce. Ale ten policjant nie miał żadnej nagrody za wcielenie biednego sieroty za którego wolność nikt nie zapłaciłby nawet stu kwachów więc po czterech dniach mnie wypuścił wymierzając mi wcześniej cięgi. I ojciec Kevin również dotkliwie mnie ukarał.

A Toby Makenzi zareagował niezwykle tajemniczo bowiem powiedział Bracie zniosłeś cięgi za mój ciąg. I przepełniony niezwykłą wdzięcznością powiedział dzięki stary gdyby moja Mama i Tata kiedykolwiek się dowiedzieli końca by temu nie było co ja zrozumiałem jako nieustawanie we wdzięczności. Toby dał mi upragniony zielony anorak i parę porządnych butów które mam po dziś dzień obok piłki futbolowej i powiedział słuchaj Bracie jestem ci coś winien jeśli kiedykolwiek przyjedziesz do Anglii wpadnij do mnie a Mama i Tato zajmą się tobą. Potem napisał swoje imię nazwisko i adres na kawałku papieru choć zrobił to z błędami i uścisnęliśmy sobie dłonie w tradycyjny braterski sposób Chewa.



Ale kiedy tu przyjechałem byłem rozczarowany tym że Mama i Tato nie wygłaszali pochwał o moim Dobrym Uczynku uwolnienia Tobiego Makenzi i srogich cieżach które przez wzgląd na niego otrzymałem. Bowiem choć nie oczekiwałem żadnej nagrody to przecież miło by im było gdyby o tym wiedzieli.

Bowiem ten Tato Makenzi jest przygnębiony i pokrzepia się nadmiernymi ilościami whisky i wzywa imię Pańskie nadaremnie. Bowiem gdy Mama postawiła przed nim kolację zawołał na litość Boską Mario czy musimy jeść te zielska czy w tym domu nie ma przyzwoitego kawałka mięsa? A po jakimś czasie powietrze przeszył tiptopowy zapach i przy jego nogach jednym susem zjawił się Pies szczekając radośnie a Tato powiedział dobry chłopiec chodź mam coś dla ciebie.

A kiedy drzwi znów się zamknęły Toby powiedział hej Emanuelu przywiozłeś ze sobą trochę tego Złota Malawi? A ja odpowiedziałem nie Bracie ponieważ myślę że w Anglii policja nie przebacza tak łatwo jak w Malawi.

Po kolacji Tato Makenzi powiedział do Tobiego Makenzi a więc mój synu w jaki to bezużyteczny sposób przepróżnowałeś swój dzień?

A Toby odpowiedział jeśli musisz już wiedzieć Tato to pracowałem nad moim projektem.

A Tato powiedział a cóż to za projekt?

A Toby odpowiedział to o wizerunku opiatów w mediach.

A Tato potarł brwi i powiedział synu to nigdy nie zapewni ci godziwego zatrudnienia.

A Toby odpowiedział a kogo interesuje godziwe zatrudnienie?

A Tato znów potarł swoją brew i powiedział Mario czy zostało jeszcze trochę whisky?

A Mama Makenzi powiedziała Toby nie rozmawiaj z ojcem takim to-

nem.

A po dalszym spożyciu nadmiernych ilości whisky Tato zwrócił się do Andree i zaczął go prosić by pozwolił mu nam towarzyszyć w polowaniach w lesie. A Andree który jest bardzo dobrym mzungu może nawet lepszym niż Toby Makenzi powiedział spokojnym tonem że skończyliśmy już z życiem w lesie ale Tato będzie mile widziany jeśli zechciałby towarzyszyć nam w drodze do Sheffieldu.

Wtedy Tato odstawił whisky i potarł swoje brwi obiema dłońmi i zaczął wzdychać a Mama powiedziała radosnym tonem chyba czas już iść spać czy chcecie abym wam pokazała wasze pokoje?

\*\* \*

**JESTEM PSEM ŚPIĘ MÓJ BRZUCH JEST PEŁEN DOBREGO  
PSIEGO MIĘSNEGO JEDZENIA MIĘSA ZDOBYŁEM SERCE  
DOBREJ KOBIETY PACHNĄCEJ WARZY WAMI USPOKOIŁEM  
MĘŻCZYZNĘ ŚMIER-DZĄCEGO TAK JAK ŚMIERDZĄ PIJANI  
MĘŻCZYŹNI PRZEGONIŁEM NIEZNOŚNEGO KOTA TERAZ  
ŚPIĘ JESTEM PSEM**

\*\*\*

Kochana Siostró

W tym domu Tobiego Makenzi jest cudowna wanna która po dotknięciu takiego przycisku wiruje wodę równie intensywnie co rzeka Shire choć oczywiście nie ma tu krokodyli i spoczywając sobie w tej wannie zacząłem martwić się o tych mzungu pograżonych w ich bezbożnej udreće i zacząłem zastanawiać się jak dać im pocieszenie.

Bowiem ten Tato kocha polowanie i życie na wolności w lasach a jest skonfundowany miastem. Ta Mama kocha Tatę ale jest skonfundowana jego

picie whisky i bluźnierstwami. Wtedy olśniła mnie pewna myśl. Dam Tacie MaKenzie wędkę i czerwone wiadro tych z Mozambiku. W ten sposób będzie polować na ryby w rzece i porzuci picie whisky i bluźnierstwa.

A co mógłbym dać Mamie MaKenzie? Przecież każdy wie że urodziwą kobietę trudno zadowolić a ja jestem biednym chłopcem który nie ma nic do zaoferowania.

I wtedy olśniła mnie kolejna radosna myśl. Ta Mama uwielbia jarzyny więc dam jej marchewki.

Ta myśl w połączeniu z wirowaniem i gulgotaniem wody sprawiła że moje serce się otworzyło i zaśpiewałem pieśń modlitewną której nauczyła mnie siostra Teodozja Ave Maria Gratia Plena. I to również było bardzo radosne bo Mama ma na imię Maria.

\* \* \*

Andriju Palenko, jak możesz w pełni świadomie wyjechać i zostawić swojego młodego przyjaciela Emanuela pod opieką tej nienormalnej rodziny? Co się dzieje z tymi ludźmi w tym ich ogromnym domu z tyloma oknami? Dwa samochody (tak, kiedy przyjechał ojciec, Andrij zobaczył wypaszonego lexusa przycupniętego na podjeździe obok małego golfa), trzy komputery najwyższej klasy, cztery telewizory, każdy z płaskim ekranem, pięć łazienek, cztery sypialnie (tak, Andrij zrobił sobie małą wycieczkę po domu). I tak dalej. Po co mieć tyle rzeczy, jeśli nie dają ci szczęścia?

Gdyby rodzina Andrija posiadała jedną dziesiątą, nie nawet jedną setną tego całego bogactwa, wszystko byłoby zupełnie inaczej — a czy tym ludziom w ogóle by tego brakowało? Człowiek potrzebuje akurat tyle, ile potrzebuje, powiedział kiedyś jego ojciec, ani mniej, ani więcej. Ale im nie starczało. Biedny tato. Tak, jego ojciec wiedział najlepiej, że zejście pod

ziemię w takich warunkach jest ryzykowne. Ale kiedy nie masz nic, tak właśnie musisz postępować.

Andrij leży bez ruchu w ubraniu na jednym z dwu łóżek w pokoju, który dzieli z Emanuelem, wpatruje się w sufit i próbuje przygotować się na rozmowę, która go czeka. W najbliższej z pięciu łazienek śpiewa Emanuel, wypełniając cały dom swoją żywiołową muzyką. Andrijowi staje nagle przed oczami ta scena w katedrze, różowe otwarte usta, przymknięte oczy, łzy. Śpiew się urywa. Słychać bulgotanie wody wypuszczanej z wanny. Emanuel wraca do pokoju.

– Emanuelu, mój ojciec został zginąć w wypadku kopalni węgla. Twój ojciec został zginąć w wypadku, tak?

– Oboje zginęli. Mama i tata.

– To bardzo straszne. Stracić oboje rodziców naraz.

– Również mój mały braciszek. Tego nie potrafię zrozumieć. Żeby ukarać mojego małego braciszka.

– Emanuelu, to nie jest kara, to wypadek. Czasami nikogo nie można winić.

– Ale pewnie można winić mojego ojca za to, że nie był wiemy swej żonie.

– I uważasz, że ten wypadek był karą?

– Nie. Nie. Zachorowanie na HIV było karą.

Hm. Możliwe, że umykają ci tu jakieś istotne powiązania, Andriju Palenko. Ale nie warto martwić się czymś, czego nic rozumiesz. Masz tylko tę jedną noc, by go uświadomić.

– Emanuelu, mój bracie, czy wiesz, co to jest prezerwatywa?

– Oczywiście, że wiem. W oczach Boga to zwyrodnienie. W języku

cziczewa mamy takie powiedzenie: Tylko głupiec zjada cukierek razem z papierkiem.

Emanuel stoi na środku pokoju i wyciera się energicznie puszystym białym ręcznikiem, jakby polerował swoje drobne, smukłe i jędrne ciało na hebanowy wysoki połysk. Andrij nigdy wcześniej nie widział go nago. Stara się nie podglądać, ale i tak rzuca kilka ukradkowych spojrzeń. Czy prawdą jest to, co się mówi o męskich częściach ciała czarnoskórych mężczyzn?

— Prezerwatywa uratuje ci życie, Emanuelu. Z prezerwatywą możesz mieć mnóstwo seksu bez problemu. Bez wirusów. Bez drobnoustrojów. Bez HIV. Bez problemów. Potem odmówisz modlitwę i Bóg ci przebaczy.

\*\* \*

Pani McKenzie zaprowadziła mnie do pokoju pod samym dachem domu — taki śliczny pokój, wszystko dopasowane do siebie, biało-błękitne zupełnie jak w magazynie, i wreszcie mam własną małą łazienkę z puszystym białym ręcznikiem ogrzewającym się na poręczy i nową jeszcze nierozpakowaną kostką pachnącego mydła. Od razu je otworzyłam. Miało pikantny i drogi zapach, a nie słodki i mdlący jak mydło na Ukrainie. Zastanawiałam się, czy byłoby to niegrzeczne z mojej strony, gdybym zapytała, czy mogę zabrać to mydełko ze sobą; a może pani McKenzie w ogóle nie zauważyłaby, że wsunęłam je do swojej torby. Wzięłam prysznic i włożyłam swoją piżamę, która w tym czystym biało-niebieskim pokoju wyglądała na wygniecioną i zszarzałą, ale niczego innego nie miałam. Potem usiadłam w fotelu. Chłonełam zapach mydła na swoich ramionach i dłoniach i zastanawiałam się, gdzie jest Andrij i czy on się zastanawia, gdzie ja jestem. Pokoje na strychu mają w sobie coś niezwykle romantycznego.

Usłyszałam wtedy pukanie do drzwi. Moje serce zaczęło bić jak szalone.

— Wejdz.

Ale to nie był Andrij, tylko pani McKenzie.

— Witaj — powiedziała tym miękkim subtelnym głosem, który był niczym zapach mydła. — Czy mogę wejść?

— Oczywiście. Proszę.

Usiadła na brzegu łóżka.

— Niczego ci tu nie brak?

— Nie, bardzo podoba mi się ten pokój.

To była prawda — czułam się tu jak w domu, zupełnie jak w mojej małej sypialni w Kijowie. Dlaczego tak się dzieje, że kiedy myślisz o szczęściu, nagle do oczu napływają ci łzy? Pociągnęłam nosem raz i drugi. Co się ze mną działo? Nie wiem dlaczego, ale nagle zaczęłam opowiadać pani McKenzie o Wulku, a potem słowa same płynęły mi z ust: jego skrzypiąca kurtka, kucyk podobny do żywego szczurka, przebiegłe czarne oczy wyglądającego psa. Kiedy próbowałam opisać to, co wydarzyło się tamtej nocy, słowa utknęły mi w gardle i zaczęłam się krztusić.

Pani McKenzie powiedziała swoim uprzejmym głosem:

— Wiesz, w takich chwilach, kiedy potrzebny jest relaks, bardzo uspokajająco działa joga. Jeśli chcesz, mogę cię nauczyć.

— Nie. Już jest OK.

Moim zdaniem joga to typowa zachodnia fanaberia, ale nie chciałam urazić pani McKenzie, zresztą i tak wciąż jeszcze pociągałam nosem.

— Tęsknisz do mamy, kochanie?

— Tak, oczywiście. — I wtedy nagle wyrzuciłam z siebie to wszystko. — Tak naprawdę tęsknię do ojca. Odkąd wyprowadził się z domu.

— To on nie mieszka w domu...

— Wyprowadził się, żeby zamieszkać z kimś innym. Kimś o wiele młodszym.

Ledwo wypowiedziałam te słowa, poczułam, że robię się czerwona na twarzy. Nie wiem, czy ze wstydu, czy ze złości. Było mi tak przykro z powodu Mamy, która została sama w mieszkaniu, mając za jedynego rozmówcę kota, i je samotnie śniadania i obiady. A potem pomyślałam o tym, jak ona zawsze zadręczała ojca: zrób to, zrób tamto, Wania, czy ty mnie kochasz? Kiedy będę mieć męża, nigdy nie będę się tak zachowywać.

— Ty naprawdę go kochasz, prawda? — pani McKenzie się uśmiechnęła.

— Nie. Wcale nie.

Roześmiałam się wtedy, bo uświadomiłam sobie, że pani McKenzie pytała o mojego Tatę, a ja myślałam o Andriju Palence i zastanawiałam się, jakbym się czuła, gdyby wziął mnie w ramiona.

Nagle ktoś zapukał cichutko i drzwi się otworzyły. Serce skoczyło mi w piersiach. Ale to nie był Andrij, tylko Toby.

— Mamo, masz jakieś prezerwatywy? — spytał szeptem.

Pani McKenzie nawet nie odwróciła głowy.

— Druga szuflada od dołu, po mojej stronie łóżka. Uważaj tylko, żeby nie obudzić ojca.

— Dzięki, mamo.

Hm. Interesujące. Truskawkowe amory. Nie przypominają żadnych ukraińskich prezerwatyw, które Andrij dotąd widział, ale zapewne zasada jest ta sama. Ale jak mają zademonstrować ich działanie Emanuelowi?

— Chyba powinniśmy pokazać mu jakieś porno. — Toby McKenzie wygląda na podłamanego. — To mogłoby go pobudzić. Mogę ściągnąć coś z sieci. Paris Hilton z przyjaciółmi. Piersiaste cizie na motorach. Widziałeś to kiedyś?

— Pornografię?

— Piersiaste cizie na motorach. Niesamowite.



— Uważam, że pornografia nie jest dobra dla Emanuela.

— Taa. — Toby McKenzie kiwa głową. — Jest raczej dość niewinny, no nie?

Andrij siedzi z Tobym McKenzie na czerwonej sofie w pokoju telewizyjnym. Wszyscy w domu już śpią. Toby popija piwo z puszki. Proponuje piwo Andrijowi, ale ten kręci głową. Musi mieć jasny umysł. Potem dochodzi do wniosku, że w tej sytuacji chyba lepiej być trochę wstawionym. Bierze piwo i pije kilka łyków.

— Toby, chodzi o mojego przyjaciela, Emanuela, martwię się, co z nim będzie.

— Nie przejmuj się, kolego, zaopiekuję się nim. — Swoboda bycia Toby'ego wcale nie działa na Andrija uspokajająco.

— Jak mówisz, on jest niewinny. Może lepiej, aby tak pozostało.

Toby McKenzie patrzy na niego z ukosa.

— Chcesz, żeby pozostał niewinny? To po co dajesz mu kondomy?

Andrij chce powiedzieć coś bardzo inteligentnego o tym, że Emanuel powinien czerpać ze świata zachodniego to, co najlepsze, pozostając jednocześnie wiemy temu, co najlepsze w jego rodzimej kulturze. Ale ta myśl jest zbyt skomplikowana jak na jego ograniczoną znajomość angielskiego. Może piwo nie było jednak najlepszym pomysłem.

— On jest Afrykaninem — tylko tyle udaje mu się wymamrotać.

— To jego decyzja, no nie? — Toby drapie się w czoło, tuż u nasady swych długich zaplecionych w warkoczyki włosów. — Musi mieć prawo wyboru. Każdy powinien dokonywać własnych wyborów. To jest wolność.

— Czasem mamy wolność, a robimy zły wybór. Spójrz na mój kraj, na Ukrainę.

Toby McKenzie wzrusza ramionami.

— Jak się zrobi zły wybór, to trzeba potem z tym żyć. Spójrz na mojego tatę. A najzabawniejsze jest to, że on uważa, że to ja robię zły wybór. Uważa, że to wybór pomiędzy pracą na rzecz systemu a byciem obibokiem. Ale wcale tak nie jest. — Zgniata w dłoni pustą puszkę po piwie. — To po prostu wybór między whisky i marychą.

Ten chłopak nie jest głupi, tylko dlaczego jest w takim nieładzie?

— OK, Toby, może masz rację. Z prezerwatywą Emanuel ma wybór.

— Przynajmniej, jeśli dokona złego wyboru, od tego nie umrze. Nie tak jak to świństwo, które pije mój tata.

— Ale jak zrobimy tę demonstrację prezerwatywy?

— Może ty będziesz musiał mu zademonstrować — mówi Toby.

Hm. To mogłoby być krępujące. Andrij upija kolejny łyk piwa. Na ekranie telewizora przed nimi grupa półnagich tancerek odrzuca głowy do tyłu i wypycha rytmicznie biodra do przodu. Choć robią, co mogą, ich wpływ na męskie narządy Andrij a jest równy zeru. Czy będą działać podniecająco na Emanuela? Mało prawdopodobne.

Toby McKenzie bierze do ręki pilota i zaczyna skakać po kanałach. Jest program o polityce, o wprowadzaniu ulepszeń w domu, o gotowaniu. Nagle zatrzymuje się na jednym.

— To jest to. Warzywa!

Andrij stara się dostrzec coś podniecającego w cebulach i kabaczkach. Doprawdy, ci Anglicy są bardzo oryginalni.

— Mama ma ich mnóstwo. Jaki on ma rozmiar? Marchewki? Banana? Selera? Ogórka?

Andrij próbuje sobie przypomnieć tę szczupłą czarnoskórą postać wycierającą się do sucha białym ręcznikiem.

— Ogórek, nie. Nie. Marchewka, nie. Może spróbujemy ze średniej

wielkości bananem.

\*\* \*

Kochana Siostró

Myślałem dużo o tych dawno minionych dniach przed klasztorem i sierocińcem i domem misyjnym w Zomba kiedy mieszkaliśmy z mamą i ojcem i siostrami w naszej glinianej chatce nad brzegiem rzeki Shire o długich dniach mojej nagości i łowienia ryb i zbierania owoców mango. W tamtych czasach miałem zupełnie inne rozumienie świata.

Ale w wieku dwunastu lat zostałem osierocony i zabrany do sierocińca przez dobre siostry i tam odkryłem Wiedzę Dobrego i Złego. Bowiem siostra Teodozja powiedziała że Bóg jest miłością i Sprawcą wszelkiego Dobra ale siostra Benedykta powiedziała że wszelkie Zło które na nas spada jest karą za nasze grzechy tak jak choroba która zabrała nam rodziców.

A wieczne potępienie które może nastąpić po śmierci powiedziała jest znacznie gorsze od samej śmierci z palącym ogniem i wrzącą oliwą i kawałkami spalonego ciała rozrywanego obcęgami.

I wtedy zabrałem się do imaginowania makabralnych męczarni które cierpieć będą nasi bliscy w piekle i często płakałem nocami i pragnąłem byś mnie pocieszyła ale ty byłaś daleko w Blantyre. Siostra Benedykta karała mnie wtedy swoją laską ale siostra Teodozja nauczyła mnie takiej modlitwy którą śpiewa się Marii matce Jezusa która zanotowałaby ziarnko w naszym imieniu Ora pro nobis peccatoribus. To pieśń tak niezwyklej urody że śpiewanie jej sprowadza pokój na dusze naszych bliskich pomimo peccatoribus a także na moją własną duszę.

Strach przed tymi męczarniami powstrzymywał mnie przed poznaniem cielesnym mimo mej grzesznej ciekawości. Ale dziś wieczorem Andrij i Toby Makenzi pokazali mi jak mogę się zabezpieczyć przed orgazmami

które powodują śmiertelną chorobę poprzez ubranie mojej stojącej męskości w prezerwatywę poprzez co mogę radować się poznaniem cielesnym nie płacąc za to śmiertelnej ceny. Przypomniałem sobie wtedy że ojciec Augustyn powiedział że prezerwatywa jest Zwyrrodnieniem w oczach Pana i że choć moje ciało byłoby bezpieczne to moja dusza smażyłaby się w piekle. A powiedziałem skoro mam się smażyć za wiedzę cieleśną to czy nie powinienem wcześniej spróbować cukierka bez papierka?

Ale ci dobrzy mzungu pokazali mi jak się stosuje Zwyrrodnienie na przykładzie Banana w tak sprytny sposób że to Banan będzie się smażyć a nie moja Nieśmiertelna Dusza. Wzięli Banana i ubrali go w Zwyrrodnienie a Andree powiedział Emanuelu jeśli znajdziesz się z kobietą to założysz to nie na Banana ale na własny organ męski. To mnie rozbawiło a Andree rozebrał Banana i zjadł go jako że jest Ukraińcem i wielkim miłośnikiem bananów. I tak poprzez użycie banana zamiast mojej stojącej męskości to banan będzie się smażyć w Ognistych Otchłaniach Piekielnych a ja zostanę ocalony.

Bowiem życie duszy trwa dalej po śmierci ciała które kwitnie tylko przez chwilę a potem zostaje zmiecione jak chrust do pieca powiedział Ojciec Augustyn który jest miłym człowiekiem z dużym brzuchem i zepsutymi zębami i bardzo słabym wzrokiem. A potem objął mnie ramieniem i powiedział nie martw się chłopcze twoi rodzice nie byli złymi ludźmi tylko cierpieli z powodu słabości naszej ludzkiej natury. A widząc wciąż na mojej twarzy powątpiewanie westchnął i powiedział drogi chłopcze ścieżki Pana pełne są tajemnic których nie jest nam dane zrozumieć ale niektórzy z nas wierzą że nie ma zła bez celu a my wierzymy że On dopuszcza zło ponieważ zło jest testem na naszą Dobroć.

Ale ja wciąż rozcierałem w głowie pytania aż zaczęły się dymić i palić jak pochodnie i kontemplując Decyzję którą muszę podjąć modłę się do

Niego żarliwie prosząc o radę. Bowiem jeśli wybiorę ziemskie rozkosze poznania cielesnego to nigdy nie zaznam niebiańskiej Miłości ani nie zaśpiewam w Anielskim Chórze.

TLR

## Bendery

W nocy padało. Czułam to, bo powietrze miało inny zapach. Obudziłam się wcześniej w swoim biało-niebieskim pokoju na strychu cała podekscytowana, ponieważ wreszcie miałam zobaczyć Londyn, miasto moich marzeń, a na dodatek miałam je zobaczyć z *nim*.

Na początku dziwnie się czułam, jadąc z Andrijem land-roverem, siedział za kierownicą, a ja na siedzeniu obok z psem u stóp. Co mogliśmy sobie powiedzieć? Chciałam z nim porozmawiać. *Londyn jest bardzo pięknym miastem. Anglicy noszą meloniki.* Nie, nie takie głupstwa. Chciałam z nim porozmawiać o nas, o nim i o mnie. *Powiedz mi, kim jesteś, Andriju Palenko. Czy mnie kochasz? Czy jesteś tym jedynym?* Ale takich rzeczy się nie mówi. Więc jechaliśmy w milczeniu, wlokąc się w natężonym ruchu ulicznym.

Według mapy, którą dała mi Maria, znajdowaliśmy się na południowej obwodnicy. Andrij miał nieruchomą twarz, koncentrował się na prowadzeniu. I wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale chociaż jest górnikiem z Donbasu, to po raz pierwszy zauważyłam, że z profilu przypomina trochę Mr Browna.

Potem powiedział, wciąż z tym samym wyrazem twarzy, zupełnie jakby mówił do samego siebie:

— Zastanawiam się, co się stało z tymi wszystkimi marchewkami?

— Jakimi marchewkami?

— Tymi z przyczepy. Nie zauważyłaś? Znikły dwie torby. Zostało tylko sześć małych marchewek.

— Tylko sześć? Może *ona* ukradła?

— Żeby nakarmić męża.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem, i to przełamało napięcie między nami, więc zaczęliśmy śmiać się jeszcze bardziej, aż rozbolały nas brzuchy. Potem przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, ale teraz był to już inny rodzaj milczenia.

Nagle Andrij ostro zahamował.

— Do czorta! Widziałaś? — land-roverem zarzuciło, a przyczepa podskakiwała na haku. — Ci *angliscy* kierowcy! Bandyci.

Nie mogłam się powstrzymać. Wybuchnęłam śmiechem.

— Czy tak mówicie w Donbasie?

— Co?

— Do czorta! — powiedziałam ze śmiechem.

Spojrzał na mnie ostro.

— Myślisz, że my wszyscy w Donbasie jesteśmy chuliganami? Prymitywami?

— Nie, nie o to chodzi. To po prostu tak śmiesznie brzmi.

— I co sobie myślałaś, kiedy zobaczyłaś tych wszystkich niecywilizowanych górników w swoim Kijowie? Wszyscy z niebiesko-białymi flagami w proteście przeciw pomarańczowej rewolucji? Wszyscy z donbaskim akcentem? Myślałaś, że to inwazja barbarzyńców?

— Tego nie powiedziałam.

— Nie, ale wiem, co myślisz. Za każdym razem, kiedy otwieram usta, robisz miny.

— Andriju, dlaczego mówisz takie rzeczy?

— Nie wiem. — Znow zmarszczył brwi i zacisnął szczęki. — Muszę się skoncentrować. Dokąd jedziemy?

— Kensington Park Road. — Maria znalazła adres konsulatu i pokazała



mi to miejsce na mapie. — Gdzieś tutaj powinieneś skrócić w lewo. Za jakieś osiem kilometrów.

Na Putney Bridge utknęliśmy w korku i przez resztę drogi jechaliśmy w sznurze aut, więc kiedy dojechaliśmy do Kensington Park Road, konsulat już zamykano. Próbowałam przekonać urzędniczkę. Tłumaczyłam jej, że skradziono mi paszport i muszę dostać nowy. Ale była jedną z tych wiecz- nie nadających osób, które wyglądają tak, jakby rozmowa z innym czło- wiekiem była dla nich zbyt wyczerpująca.

— Proszę przyjść w poniedziałek. — Postawiła oczy w słupek i wyszła, kołysząc biodrami w wąskiej prostej spódnicy, do której moim zdaniem w ogóle nie miała odpowiedniej figury.

— I co? — spytał Andrij, który czekał na mnie na zewnątrz. A kiedy mu opowiedziałam, stwierdził: — Ci nowi Ukraińcy. Zapominają, kto płaci im pensje.

Przez chwilę milczeliśmy, bo oboje wiedzieliśmy, że musimy podjąć jakąś decyzję.

— Chcesz wrócić do Richmond? — spytał.

— A ty?

— To zależy od ciebie.

— Nie, ty zdecyduj. — Byłam ostrożna: ostrożna, by znów nie sprawić mu przykrości.

— Zrobię to, co zechcesz — powiedział.

— Mnie jest wszystko jedno.

— Wobec tego rzućmy monetą. Orzeł wracamy, reszka stajemy.

Andrij znalazł monetę w kieszeni, rzucił ją w powietrze i moneta wy- lądowała orłem do góry.

— No, to mamy to z głowy. Wracamy — powiedział.

— Dobrze — spojrzałam na monetę, a potem na niego. — Ale jeśli nie chcemy, to nie musimy, prawda?

— Zrobię to, co zechcesz.

— Mnie jest wszystko jedno. Ale naprawdę nie chcę wracać do Richmond, chyba że ty będziesz tego chciał. To znaczy oni byli bardzo mili, ale...

— Mili, ale szaleni — powiedział.

Oboje się roześmieliśmy.

— A więc gdzie chcesz wobec tego pojechać? — znów miał tę minę Mr Browna.

— Wszystko mi jedno. Ty decyduj.

\*\* \*

Z tą dziewczyną sytuacja zmierza donikąd. Nagle się uśmiecha, a potem w ogóle nic nie mówi, a czasami z kolei śmieje się z niego, jakby był idiotą. Zupełnie jak ta skrzynia biegów w land-roverze: cztery biegi i wsteczny są za blisko. Jedziesz bardzo ładnie na trzecim i jesteś już gotów zmienić na czwarty i nagle odkrywasz, że wrzuciłeś wsteczny i ostro hamujesz albo zarzuca cię do tyłu. Teraz Irina znów się uśmiecha, mówi, że chce zwiedzić Londyn i zobaczyć Globe Theatre, Tabard Inn, Chancery, Old Curiosity Shop. Co to w ogóle jest? Co ona sobie myśli, że kim on jest — ekskluzywnym VIP-owskim przewodnikiem turystycznym? Przede wszystkim powinien znaleźć jakieś miejsce do parkowania, bo jazda w tym ruchu ulicznym z przyczepą to nie żarty. Z reguły nie może nawet wrzucić trójki, a ten drugi bieg stale wyskakuje, więc jedzie na pierwszym, spalając przy tym mnóstwo benzyny, i będzie musiał jeszcze co najmniej raz zatankować do pełna, żeby dojechać do Sheffieldu. Gdyby miał narzędzia, zajrzałyby do tej skrzyni biegów. Słyszał, że skrzynia biegów w land-roverze to nie byle co.

Ciekawe, jak by wypadło porównanie z ich starym zaporozcem? Tak, on też miał podobną usterkę skrzyni biegów.

Kiedy Andrij miał trzynaście lat, ojciec kupił używanego błękitnego zaporozca 965 — nazywali go pieszczotliwie zaz, był garbaty niczym stary dziadek. Był to pierwszy samochód dla robotników masowo produkowany na Ukrainie. Prawdziwa metalowa karoseria — nie jakieś sztuczne tworzywo jak w trabancie. Jako pierwsi w swoim bloku mieli taki samochód. Co niedziela myli go i polerowali na ulicy, a czasami Andrij spędzał kilka godzin z ojcem, głowa w głowę, majstrując pod maską. (Słuchaj, chłopcze, powiedział jego ojciec. Słuchaj muzyki silnika). Jego tata regulował silnik, żeby słodko chodził. Tut-ut-ut-ut-ut-ut. To były dobre czasy. W miarę jak samochód się starzał, sesje majsterkowania stawały się coraz dłuższe. Wspólnie regulowali zawory i wymieniali uzwojenie alternatora oraz sprzęgło. Sporo się nauczył o silnikach samochodowych, ale przede wszystkim nauczył się, że każdy problem może zostać rozwiązany, jeśli podejdziesz do niego cierpliwie i metodycznie. Koniec końców samochód przeżył jego ojca. Biedny tato.

Ta dziewczyna — próbował podejść do niej cierpliwie i metodycznie, ale ona jest bardziej nieprzewidywalna niż wadliwa skrzynia biegów. Czy kiedykolwiek dotrze do etapu regulowania silnika? Hm... Skręca w boczną uliczkę, a potem w następną, za wąskim przejściem między dwoma wysokimi budynkami. Jest tu kawałek niezagospodarowanego terenu, na którym coś niedawno zburzono, stoi tam znak z napisem *No Parking* i kilka zaparkowanych samochodów. W sam raz.

— Przejdziemy się?

— Przejdźmy się.

Teraz z jakiegoś niezrozumiałego powodu Irina się uśmiecha.

Jest za ciepło. Choć niedawno spadł deszcz, w powietrzu znów unosi się kurz. Czuć woń spalin samochodowych i zatkanych studzienek, i przeróżne zapachy pozostałych pięciu milionów ludzi, którzy oddychają tym samym powietrzem. Andrij jest podekscytowany. Oto Londyn — kiedy już postawisz stopę na chodniku i nie musisz przejmować się tymi *angliskimi* piratami drogowymi — to ten Londyn naprawdę robi wrażenie.

Początkowo Andrij jest zachwycony jego ogromem — miasto ciągnie się i ciągnie, aż zapominasz, że gdzieś dalej jest coś innego. OK, widział już Canterbury i Dover, ale nic nie było w stanie przygotować go na panujący w tym mieście nadmiar wszystkiego. Samochody, które suną gładko i cicho niczym srebrne łabędzie, luksusowe modele, nie jakieś zdezelowane, stare buchające dymem graty, jakie jeżdżą po Ukrainie. Biurowce, które niemal przysłaniają niebo. I ten porządek — ulice, chodniki i tak dalej — wszystko świetnie utrzymane. Ale dlaczego budynki i posągi są pokryte gołębimi odchodami? Te zuchwałe ptaki są dosłownie wszędzie. Pies jest zachwycony. Ugania się za nimi, szczekając i skacząc radośnie.

Dochodzą do ciągu sklepów, których witryny pełne są atrakcyjnych przedmiotów. Małe *mobilfony*, wyposażone w wiele dodatkowych funkcji, kompaktowe i zmyślnie wykonane; kamery filmowe tak małe, że mieszczą się w dłoni; sprytne miniaturowe odtwarzacze muzyki, w których można zapisać tysiące różnych piosenek albo i więcej, na życzenie; telewizory wielkości ściany, o niesamowicie doskonałym obrazie — wyobraź sobie, że siedzisz ze szklanką piwa i oglądasz mecz, to lepsze niż być na meczu, lepszy widok; dające się zaprogramować odtwarzacze płyt CD, wielofunkcyjne odtwarzacze płyt DVD, komputery z niewyobrażalną ilo-

ścią ram, giga, hertzów i tak dalej. Zbyt duży wybór. Tak, mnóstwo przedmiotów, których wcześniej nie pragnąłeś, bo nie wiedziałeś, że istnieją.

Andrij ociąga się z odejściem, czyta listy funkcji specjalnych, studiuje je niemal ukradkiem, jakby stał u progu nieznanego dotąd grzechu. Taki nadmiar wszystkiego. Skąd się biorą te wszystkie rzeczy? Irina została w tyle, ogląda wystawę sklepu odzieżowego, na jej twarzy maluje się wyraz niedowierzania.

Delikatesy, restauracje — jest tu wszystko, tak, każdy zakątek świata został spenetrowany, by zapewnić taką obfitość. A ludzie również zostali ściągnięci zewsząd — z Europy, Afryki, Indii, Bliskiego Wschodu, z obu Ameryk, tak wiele typów ludzi wymieszanych w jednym tyglu, taki tłum osób pochodzących z różnych miejsc na ziemi, ocierają się ramionami na chodnikach, nawet na siebie nie patrząc. Niektórzy rozmawiają przez *mobifony* — nawet kobiety. I wszyscy są dobrze ubrani — ich odzież jest jak nowa. I te buty — nowe skórzane buty. Nie jakieś wzorzyste kapcie z wykładziny dywanowej, w których ludzie chodzą po ulicach na Ukrainie.

— Uważaj!

Andrij jest tak skoncentrowany na butach, że niemal wpada na kobietę, która idzie szybkim krokiem na wysokich obcasach. Kobieta robi unik i krzyczy opryskliwie:

— Spadaj!

Irina łapie Andrija za ramię i odciąga na bok. Dotyk jej dłoni na jego ramieniu jest niczym ogień z broni maszynowej. Kobieta idzie dalej jeszcze szybszym krokiem. To jej spojrzenie — było gorsze niż pogarda. Jej wzrok przeszył go na wskroś. Jej oczy w ogóle go nie zarejestrowały. Jego ubranie

— sfatygowana i sprana koszula, brązowe spodnie, które były nowe, kiedy wyjeżdżał do Anglii, ukraińskie spodnie uszyte z taniego materiału, o jakimś starym nieokreślonym fasonie, podtrzymywane tanim paskiem z imitacji skóry, i buty z imitacji skóry, w których zaczynają się już odklejać zelówki — jego strój czyni go niewidzialnym.

— Wszyscy wyglądają tak elegancko. Czuję się przez to jak wieśniaczka — mówi Irina, jakby czytała mu w myślach. Ta dziewczyna. Tak, jej dzinsy są znoszone i poplamione truskawkami, ale doskonale na niej leżą, a jej włosy lśnią niczym ptasie skrzydła i w uśmiechu pokazuje śliczne zęby, a gdy mówi, na policzkach robią jej się dołeczki.

— Nie mów tak. Wyglądasz... — Andrij ma ochotę otoczyć ją ramieniem. — Wyglądasz normalnie.

Czy powinien otoczyć ją ramieniem? Lepiej nie — mogłaby wrzasnąć: Zostaw mnie! Więc idą dalej, wędrują ulicami bez wyraźnego celu i szeroko otwierają oczy, by zobaczyć to wszystko, co jest tam do obejrzenia. Pies biegnie przed nimi, irytuje wszystkich, nurkując między nogami przechodniów. Tak, ten Londyn to naprawdę jest coś.

Ale dlaczego — tego Andrij nie potrafi zrozumieć — dlaczego panuje tu taka obfitość, a tam w jego ojczyźnie taki niedostatek? A przecież Ukraińcy pracują równie ciężko jak inni — ciężiej nawet, bo popołudniami po dniu pracy uprawiają warzywa, naprawiają samochody, rąbiają drwa. Na Ukrainie można harować przez całe życie i nic z tego nie mieć. Można harować przez całe życie i skończyć w jakiejś dziurze w ziemi, zasypany zwałami węgla. Biedny tato.

— Spójrz!

Irina pokazuje drobną ciemnoskórą kobietę, która ma na sobie kolorowy

szal, taki jakie noszą kobiety z dawnych republik radzieckich. Trzyma w ramionach dziecko i podchodzi do przechodniów, żebrząc o pieniądze. Dziecko jest potwornie zdeformowane, ma zajęczką wargę i jedno oko wpółotwarte.

— Andriju, masz jakieś pieniądze?

Andrij przeszukuje kieszenie. Jest trochę zły na tę kobietę, bo nie zostało mu zbyt wiele i wolałby to wydać na... cóż, w każdym razie nie na nią. Ale Irina patrzy na dziecko takim wzrokiem...

— Weź to, proszę — mówi po ukraińsku, wręczając jej dwa funty.

Kobieta patrzy na monety, a potem na nich i kręci głową.

—Zachowajcie te pieniądze — odpowiada łamanym rosyjskim. — Mam więcej od was.

Zabiera dziecko i podchodzi do pary Japończyków fotografujących jakiś posąg pokryty gołębimi odchodami.

Zawrócili już i skierowali się do miejsca, w którym zaparkowali przy czepę, gdy nagle w oknie stylowej restauracji ze stolikami nakrytymi do kolacji Irina zauważyła małą kartkę przyklejoną dyskretnie w rogu: **Zatrudnimy pracowników. Wysokie wynagrodzenie. Zapewniamy zakwaterowanie.**

—Och, Andriju! Spójrz! To może być coś akurat dla nas. Tu w samym sercu Londynu. Dowiedzmy się czegoś więcej.

Co ta dziewczyna ma na myśli, mówiąc: coś akurat dla nas? Jak to się stało, że nagle ona i on stali się „nami”? Może nie byłoby to wcale takie złe, bo ona naprawdę jest bardzo ładna i ma dobre serce, nie jest jedną z tych pustych dziewczyn, które myślą tylko o tym, co sobie kupić, jak Lidia Zakanowka. Ale nie wiadomo, jak wygląda sytuacja między nimi. Irina stale zmienia zdanie. A on lubi, kiedy sprawy są jasno określone. W jedną albo w



drugą stronę.

— Jeśli chcesz, możesz się dowiedzieć.

— A ty nie chcesz?

— Myślę, że nie zostanę zbyt długo w Londynie. Może tylko dzień albo dwa.

— Więc gdzie pojedziesz?

— Zamierzam pojechać do Sheffieldu.

— Sheffield... a gdzie to jest?

— Na północy. Trzysta kilometrów.

Jej uśmiech znika, brwi się marszczą.

— Bardzo bym chciała zostać w Londynie.

— Możesz tu zostać. Nie ma problemu.

— Dlaczego chcesz jechać do Sheffieldu?

Andrij patrzy przez szybę na wnętrze restauracji, unikając jej wzroku. Postanawia, że nie powie jej o Vagvadze Ris-kegipd.

— Wiesz, w Sheffieldzie jest bardzo ładnie. To jedno z najpiękniejszych miast w Anglii.

— Naprawdę? A w przewodniku piszą, że to duże przemysłowe miasto znane z produkcji stali i sztućców. — Przygląda mu się przez chwilę. — Może ja też tam pojedę.

Dlaczego zdjęła Psu z szyi pomarańczową wstążkę i teraz sama ją nosi? Na Psie prezentowała się dużo lepiej.

— Myślałem, że chcesz zostać w Londynie.

— Nie chcesz, żebym z tobą pojechała?

Andrij wzrusza ramionami.

— Jeżeli masz ochotę, to możesz pojechać.

— Ale może moglibyśmy zostać w Londynie przez jakiś czas, żeby zarobić trochę pieniędzy. A dopiero potem pojechać i zobaczyć Sheffield.

Co się z tobą dzieje, Andriju Palenko? Jesteś mężczyzną, prawda? Po prostu powiedz „nie”.

\*\* \*

Kobieta, która prowadziła restaurację, zmierzyła Andrija i mnie od stóp do głów. Miała czarne włosy zebrane do tyłu, białą upudrowaną twarz i bardzo czerwone usta. Dlaczego tak mocno się umalowała? Okropnie to wyglądało. Postukała czerwonym paznokciem w zęby.

— Tak, mamy nieobsadzone stanowisko pomocy kuchennej i potrzebny nam ktoś z dobrą prezencją na sali. — Spojrzała na mnie. — Byłaś kiedyś kelnerką?

— Oczywiście — skłamałam. — W restauracji Złota Gruszka przy ulicy Skoworody w Kijowie.

W końcu, co może być takiego trudnego w podaniu talerza na stół?

— Masz czarną spódniczkę, pantofle i białą bluzkę?

— Oczywiście — znów skłamałam. Przed przyjazdem do Anglii nigdy nie kłamałam. Wygląda na to, że idzie mi coraz lepiej.

Mieliśmy zacząć następnego dnia rano i pracować na dwie zmiany, od jedenastej do trzeciej, a potem od szóstej do północy. Wynagrodzenie wynosiło cztery funty za godzinę dla pomocy kuchennej i dwa razy tyle za pracę na sali plus część napiwków i opłat za obsługę, do tego dochodziły posiłki i zakwaterowanie. Powiedziała to wszystko jednym tchem, w ogóle na nas nie patrząc.

— Nie potrzebujemy zakwaterowania — stwierdził Andrij. — Mamy własne.

— Cóż, wynagrodzenie jest takie samo, z zakwaterowaniem czy bez. Możecie z niego skorzystać albo nie.

Wykonałam w myślach szybkie obliczenia.

— Bierzemy tę pracę — oświadczyłam. — Bez zakwaterowania.

Andrij nie zareagował najlepiej, kiedy poprosiłam go, by pożyczył mi pieniądze na ubranie.

— Musisz myśleć w kapitalistyczny sposób — powiedziałam. — Spójrz na to jak na inwestycję.

Obiecałam, że podzielę się z nim zarobionymi pieniędzmi i napiwkami. Widziałam wcześniej taki sklep z dużym napisem na witrynie **WYPRZEDAŻ, 50% obniżki** i nie mogłam się już doczekać, kiedy tam pójde. Zamierzałam udać się tam następnego dnia rano w drodze do pracy.

Kiedy wróciliśmy do przyczepy, wejście na teren było zamknięte metalową barierką z kłódką, ale to nam nie przeszkadzało, bo i tak nigdzie się nie wybieraliśmy. Umieraliśmy już wtedy z głodu. Maria dała nam na drogę dużo jej dziwacznych potraw. Zapakowała nawet kilka puszek steków dla psa, ale Andrij powiedział, że to śmieszne, bo pies powinien upolować sobie jakieś gołębie. Wysłał go na dwór, a sam zjadł psie jedzenie.

Kiedy musiałam pójść do toalety, czułam się trochę skrępowana, ale na zewnątrz było już ciemno. Przebranie się w piżamę też byłoby krępujące, ale Andrij bardzo uprzejmie udawał, że czyta jedną z moich książek, mimo że tak naprawdę nie umie czytać po angielsku, a kiedy to on miał się przebrać, ja zaczęłam udawać, że czytam. Ale zerknęłam na niego ukradkiem. Mmm. Tak. Bezwzględnie wygląda bardziej interesująco bez tych ukraińskich spodni.

Wyciągnęłam się na łóżku, na którym wcześniej spała Jola, a on zajął łóżko Marty. Nie rozłożyliśmy nawet podwójnego łóżka, bo to by oznaczało, że będziemy spać razem. W ciepłej zamkniętej przestrzeni przyczepy było tak cicho, że słyszeliśmy swoje oddechy. Zaczęłam sobie wtedy wy-

obrażać, jak by to było, gdybyśmy spali razem. Bo Andrij ma naprawdę bardzo ładne dłonie. Brązowe od słońca, ze złotymi włoskami. I ramiona. I nogi. A przy tym jest bardzo dżentelmeński, ma dobre maniery, zupełnie jak Mr Brown, który zawsze mówi proszę i przepraszam i za pozwoleniem. I podoba mi się to, że tak uprzejmie zwraca się do Emanuela i do rodziców Toby'ego McKenzie, a nawet do psa, i że tak uważnie słucha innych. Łącznie ze mną. OK, przyznaję, nie jest wykształcony, ale widać, że nie jest głupi. Ale czy jest tym *jedynym* Jeśli ma to być pierwszy raz, trzeba mieć absolutną pewność.

Leżałam, wsłuchując się w jego oddech, i zastanawiałam się, czy on też nie śpi i wsłuchuje się w mój. Kiedy zaczęłam zapadać w sen, zjawił się Pies i obudził nas, szczekając przed drzwiami. Andrij wstał, żeby go wpuścić, i dał mu wodę do picia — gul, gul, gul — a potem rozłożył przy drzwiach stary koc z land-rovera. Pies niemal natychmiast zasnął, świszcząc i chrapiąc bardzo głośno — sss! hrrr! sss! hrrr! — przez co oboje zaczęliśmy się śmiać. Nie mogłam potem w ogóle zasnąć. Moje serce nie mogło się uspokoić. Myślałam o wszystkim, co mi się przydarzyło, odkąd wyjechałam z domu, i o nim, leżącym tak blisko w ciemnościach, i zastanawiałam się, o czym on myśli.

— Andriju. Śpisz?

— Nie. A ty?

— Nie.

— Spróbujmy lepiej zasnąć. Jutro czeka nas ciężka praca.

— OK.

W ciemnościach słyszałam dalekie odgłosy miasta, niespokojny dudniący szmer, który nigdy nie ustawał, zupełnie tak jak wtedy, gdy przyłożyliśmy sobie do ucha muszlę i słyszymy szum morza, choć wiadomo, że to

tylko krew płynąca w głowie.

– Andriju. Śpisz już?

– Nie.

– Opowiedz mi o tym Sheffieldzie.

– Widzisz, Sheffield jest jednym z najpiękniejszych miast Anglii. Może nawet na całym świecie. Ale niewiele osób o tym wie.

– Jak ono wygląda?

– Jest zbudowane z białego kamienia ze wspaniałymi kopytami i wieżami. I leży na wzgórzu, więc widać je z daleka... kiedy się do niego zbliżasz, wygląda tak, jakby lśniło i połyskiwało w słońcu.

– Jak klasztor Ławra w Kijowie?

– Trochę podobnie, tak. Śpij już teraz.

\*\* \*

**JESTEM PSEM JESTEM ZŁYM PSEM BIEGNĘ MÓJ PAN  
ZJADA MOJE PSIE JEDZENIE IDŹ BIEGNIJ ZŁAP GOŁĘBIA  
MÓWI BIEGNĘ DOBIEGAM DO MIEJSCA Z MNÓSTWEM GO-  
ŁĘBI WSZĘDZIE GOŁĘBIE *GOŁĘBIE GOŁĘBIE SKACZĘ ŁAPIĘ*  
*GOŁĘBIA* ZJADAM WŁÓKNISTE MIĘSO PYSK PEŁEN PIÓR  
NIEDOBRE O TU JEST MIĘSO ŁADNIE PACHNIE NALEŻY DO  
MĘŻCZYZNY ON SIEDZI NA ŁAWCE JE CHLEB Z MIĘSEM  
KŁADZIE CHLEB Z MIĘSEM NA ŁAWCE SKACZĘ ŁAPIĘ  
ZJADAM ZŁY PIES MÓWI MĘŻCZYZNA BIEGNĘ JESTEM  
ZŁYM PSEM JESTEM PSEM**

\*\* \*

Pomoc kuchenna! Jak do tego dopuściłeś, Andriju Palenko? Miałeś konkretny plan: podwieźć ich oboje do Londynu, a potem pojechać do Sheffieldu. A teraz nagle zostałeś nie tylko pomocą kuchenną, ale również

kuchennymi rękoma, nogami, ramionami, plecami, stopami i tak dalej; najgorzej jest ze stopami. Gdyby podłoga nie była taka tłusta, można by chodzić boso. Tak, kiedy dostaniesz pierwszą wypłatę, będziesz sobie musiał sprawić kosmiczne adidasy.

W trakcie przerwy snuli się ulicami, co nie było zbyt roztropne z ich strony, bo kiedy nadeszła pora popołudniowej zmiany, bolały ich już nogi. W kuchni panuje okropny upał, a tempo jest szalone. Zrób to! Przynieś tamto! Szybciej! Szybciej! Przez cały czas masz dłonie mokre i śliskie od mocnego detergentu, rękawy przemoczone, stopy ślizgają ci się na śliskiej podłodze, a przy każdym oddechu wciągasz w płuca parę i opary tłuszczu.

Szef kuchni, Gilbert, jest Australijczykiem, dużym muskularnym mężczyzną, który ma okropny charakter. Ale w kuchni jest prawdziwym magikiem, sprawnie posługuje się ogromnymi nożami, siekając i krojąc niczym czarodziej. To całe gotowanie — Andrij zawsze myśląc, że to kobieca rzecz, lecz widząc, jak Gilbert kroi mięso, a potem rzuca je na dymiącą patelnię, która natychmiast syczy — wygląda naprawdę interesująco. Może nawet Andrij czegoś tu się nauczyć. Gilbert ma dwu asystentów, którzy pochodzą z Hiszpanii — albo z Kolumbii — i na rozkaz Gilberta latają po całej kuchni, a także całe zastępy krajalnic, mikserów i malakserów. No i jest Dora, jedyna kobieta w kuchni, która przygotowuje desery. A także pomocnicy — Andrij i Huan — którzy myją i skrobią talerze, zmywają naczynia, wycierają podłogę i dźwigają ogromne ciężkie torby na rozkaz pozostałych. To naprawdę tak jakby być niewolnikiem dziesięciu panów naraz, a najgorsza wśród nich jest niezbyt urodziwa Dora, pochodząca z Chorwacji czy z Czarnogóry.

W miarę jak wieczór chyli się ku końcowi, jest coraz mniej krzyków Gilberta, za to coraz więcej wrzasków Dory. Więcej brudnych talerzy do

umycia. Więcej mydła i oparów. Andrij czuje już, że między palcami ma swędzącą wysypkę. Przynajmniej na przodku można było mieć własne tempo pracy. Kiedy Gilbert wymyka się na dwór na papierosa, Kolumbijczycy pozwalają Andrijowi od czasu do czasu spróbować któregoś z dań specjalnych, ale po jakimś czasie brzuch boli go równie mocno jak inne części ciała i jedyne, na co ma ochotę, to usiąść przy otwartych tylnych drzwiach, gdzie chwilami lekki powiew porusza gęste jak zupa powietrze.

Czasami, kiedy otwierają się podwójne drzwi, Andrij dostrzega kątem oka Irinę przemykającą się między stolikami jadalni — wyznaczono ją do podawania drinków, więc rzadko zagląda do kuchni. Zaplotła włosy w dwa warkocze, przez co wygląda na jeszcze młodszą — jak ponętna uczennica w biało-czarnym mundurku. Widać, że kiedy przechodzi przez salę, mężczyźni wodzą za nią oczami. Do kogo ona tak się uśmiecha? Dlaczego jej bluzka ma taki dekolt? Dlaczego kupiła tak krótką spódniczkę? Kiedy nachyla się, by nalać drinka, widać jej... nie, niezupełnie. Tylko popatrz, jak ten facet się na nią gapi.

Długo po tym, jak szefowie kuchni poszli do domu, pomocnicy kuchenni czyszczą i wycierają podłogę i doprowadzają wszystko do porządku na następny dzień. Irina czeka w sali restauracyjnej, siedzi z założonymi nogami i skubie danie, które przygotowali dla niej Kolumbijczycy.

Kiedy mogą wreszcie wyjść, jest już dobrze po północy. Noc jest spokojna i gwiazdzista. Andrij kilka razy wciąga głęboko zadymione powietrze, aż zaczyna kręcić mu się w głowie. Czeka ich jeszcze solidny półgodzinny spacer z powrotem do przyczepy. Andrij idzie, stawiając jedną nogę za drugą, jak robot. Robot. To słowo po rosyjsku brzmi podobnie jak „pracować”. Oto kim jest. Maszyną, która pracuje.



– Nie tak szybko, Andriju.

Andrij uświadamia sobie, że Irina z trudem dotrzymuje mu kroku.

– Przepraszam.

– Spójrz, Andriju. To dla ciebie. Mogę ci oddać to, co pożyczyłam.

Sięga w głąb tego absurdalnie głębokiego dekoltu i wyciąga dwudziestofuntowy banknot.

– Skąd to masz?

– Jakiś mężczyzna mi dał. Klient.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu mi dał. Nalewałam mu drinka.

– Widziałem, jak wpatrywał się w twój dekolt. W tym stroju wyglądasz jak dziwka.

– Wcale nie. Wyglądam jak kelnerka. Nie bądź głupi, Andriju.

– Zatrzymaj te pieniądze. Nie chcę ich.

– Nie, weź je. Są twoje. Tyle, ile pożyczyłam. Dlaczego taki jesteś?

– Powiedziałem już, że nie chcę.

Wciska ręce w kieszenie, spuszcza głowę i idzie dalej, milcząc. Dlaczego on się tak zachowuje?

\*\* \*

Sposób, w jaki spojrzął na mnie ten nieznajomy mężczyzna, sprawił, że zrobiłam się czerwona jak burak. Wyciągnął portfel, wyjął z niego dwudziestofuntowy banknot i ostentacyjnie zrolował go w palcach, a potem, kiedy nachyliłam się, by podać mu szklanekę, wcisnął ten zwinięty banknot w mój stanik. Czułam go tam przez cały wieczór, twardy i kłujący pomiędzy moimi piersiami.

W restauracji panował spory ruch, wszystkie stoliki były zajęte, a kilka osób czekało przy wejściu, kelnerzy w pośpiechu krzatali się między sto-

likami, usiłując zachować spokój, a kierowniczka, Zita, przechadzała się dumnym krokiem, prowadząc gości do ich stolików z tym wymalowanym uśmiechem na ustach. Ten mężczyzna siedział przy oknie, więc pewnie nikt inny nawet tego nie zauważył. Może powinnam oddać mu ten banknot. Ale pomyślałam, że przecież i tak nigdy go już nie zobaczę, będę natomiast mogła od razu oddać Andrijowi dług, dzięki czemu wszystko między nami będzie dużo prostsze. Ale Andrij się zdenerwował, a to była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, bo już i tak przez cały wieczór miałam dość nieprzyjemnych myśli, z którymi musiałam sobie radzić.

A najbardziej nieprzyjemne było to, że ten mężczyzna od dwudziestofuntówki przypominał mi Tatę. Tak samo zbudowany. Takie same okulary bez oprawek. Takie same zjeżone włosy podstarzałego mężczyzny. Siedział sam przy stoliku. Wpatrywałam się w niego przez chwilę, ponieważ podobieństwo było uderzające, potem napotkałam jego wzrok i szybko odwróciłam głowę. Zapewne tak to się zaczęło — ta cała sprawa z dwudziestofuntówką — od tej szybkiej wymiany spojrzeń. Ale to właśnie nie dawało mi spokoju — czy Tato tak się zachowywał? Robiąc z siebie idiotę przy młodej dziewczynie, zaglądając jej w dekolt?

Bo dziewczyna, dla której Tato wyprowadził się z domu, Swietłana Soroka, jest prawie w moim wieku — w szkole średniej była dwa lata wyżej niż ja. Jest jedną z tych dziewczyn, które wszyscy lubią — ładna, z jasnymi kręconymi włosami jak gwiazda filmowa, niebieskimi oczami i zadartym noskiem, zawsze roześmiana i żartująca z nauczycieli. Później na Uniwersytecie Szewczenki, gdzie Tato wykłada historię, była jednym z organizatorów Pomarańczowych Studentów. I zakochali się. Tak po prostu. Tak Tato powiedział Mamie, i tak Mama powiedziała mi, płacząc w środku nocy i zużywając kolejne paczki chusteczek, aż miała zupełnie czerwony nos i

spuchnięte małe oczka jak świnka.

Niezbyt ładny widok. Naprawdę, trudno było winić Tatę za to, że przestał kochać kogoś nieatrakcyjnego i w średnim wieku, kto stale suszył mu głowę, i zakochał się w kimś młodszym, ślicznym i zabawnym. Zakochani — śliczna jasnowłosa studentka, a zarazem działaczka ruchu studenckiego, i wybitny ukraiński historyk połączeni umiłowaniem wolności. Czy może być coś bardziej romantycznego?

Oczywiście było mi przykro z powodu Mamy, z tym jej pociąganiem nosem i rozmiękłymi chusteczkami. Ale przecież każdy wie, że jeśli kobieta nie potrafi utrzymać przy sobie mężczyzny, to jest to jej wina. Po prostu powinna bardziej się postarać. Najgorsze było to, że nawet Mama o tym wiedziała i starała się trochę bardziej, farbując włosy, malując usta jasnoróżową szminką i nosząc ten idiotyczny różowy szal. Nie mogła jednak powstrzymać się przed zrządzeniem w naprawdę upokarzający sposób: Wania, czy ty mnie ani odrobinę nie kochasz? To tylko pogarszało sprawę. Ja nigdy nie popełnię takiego błędu.

Ten Pan Dwadzieścia Funtów — jego wygląd przypomniał mi Tatę — starszy szacowny mężczyzna, zapewne ma żonę w średnim wieku i rodzinę ukrytą gdzieś poza polem widzenia. Ale w jego oczach czaiło się spojrzenie Wulka. Głodny wzrok. *Podoba się kwietek...?* Chciwe oczy. Ten mężczyzna nie patrzył na mnie w romantyczny sposób, raczej tak jak kot patrzy na mysz, skoncentrowany na każdym jej ruchu, niecierpliwie czekający chwili, kiedy wreszcie z rozkoszą ją złapie.

Czy mój kochany pobrużdżony zmarszczkami, wymięty Tato patrzył w ten sposób na Swietlanę Sorokę? Czy tacy są mężczyźni?

Andrij miał spuszczoną głowę i ten niezadowolony wyraz twarzy, i

znów szedł zbyt szybko, ale nie zamierzałam prosić go, by zwolnił. Nie zamierzałam pierwsza się odezwać. Nawet nie winiłam Taty. Serce mi pękało pod wpływem rozczarowania, nie tylko z powodu Taty, ale z powodu wszystkich tych męsko-damskich spraw. Idziesz przez życie, czekając, aż pojawi się ten *jedyny* — pocałunki przy świetle księżyca, wieczna miłość, Mr Brown i jego tajemnicze wybrzuszenie, wierność aż po grób; a potem nagle uświadamiasz sobie, że to, na co czekałaś, w ogóle nie istnieje i będzie trzeba przystać na coś gorszego gatunku. Co za zawód.

Więc gdy po dziesięciu minutach ciszy Andrij nagle objął mnie ramieniem, po prostu się odsunęłam.

— Nie rób tak!

A potem natychmiast zaczęłam tego żałować, lecz było już za późno. *Przepraszam. Nie chciałam. Proszę obejmij mnie raz jeszcze.* Ale przecież takich rzeczy się nie mówi, prawda?

\*\*\*

W takim razie to już koniec, myśli Andrij. Za kilka dni dostanie tygodniówkę, a potem pojedzie do Sheffieldu. Nie ma sensu dłużej tu siedzieć i robić z siebie głupca, uganiając się za dziewczyną, która w ogóle nie jest tobą zainteresowana.

Ten Londyn jest ekscytujący, daje dużo do myślenia i prawdę mówiąc, Andrij cieszy się, że tu trochę pobył i zaznał jego słodko-gorzkiego smaku. I milej będzie jechać na północ z jakimiś pieniędzmi w kieszeni. Czas wyruszyć w drogę. Dziewczyna sobie poradzi. Może skorzystać z zakwaterowania, które oferuje restauracja, cokolwiek to jest, i wygląda na to, że oprócz wynagrodzenia zarobi na napiwkach. Pewnie dlatego nosi taką bluzkę. To jej sprawa. Dla niego nie ma to żadnego znaczenia. Irina może

załatwić sobie paszport, choć wygląda na to, że wcale jej do tego nieśpieszno, i zarobić na bilet, a nawet kupić sobie jakieś ładne ciuszki, jeżeli na tym jej zależy. On nie musi się o nią martwić. Zabierze przyczepę i Psa. Nie może się już doczekać, kiedy będzie sam, w drodze.

Znajdują się o jedną przecznicę od miejsca, w którym zostawili przyczepę i land-rovera, gdy dobiega ich wściekłe szczekanie Psa i niewyraźny, przerywany głuchy odgłos. W miarę jak się zbliżają, dźwięk się nasila i dochodzą do niego niezrozumiałe ostre i nieprzyjemne głosy. Andrij przyspiesza kroku, a potem rzuca się biegiem.

Kiedy skręcają za ostatni róg, ich oczom ukazuje się horda dzieci otaczających przyczepę i rzucających w nią cegłami. Pies szczeka jak oszalały, robiąc uniki przed nadlatującymi cegłami i usiłując przegonić dzieci. Skąd się wzięły te małe łobuzy? W pomarańczowej poświacie ulicznych lamp małe postaci płasają niczym uczestnicy cudaczných bachanaliów. Jeden z chłopców ułożył obok przyczepy stosik z patyków i papieru i rzuca w niego zapalonymi zapalkami.

— Co robisz! Przestań! — Andrij rzuca się pędem w ich stronę, machając rękoma. Chłopiec przerywa, ale tylko na ułamek sekundy. Najbliżej Andrija stoi obdarty chłopak z włosami przypominającymi szczurze gniazdo. Ich wzrok się spotyka. Chłopak podnosi połówkę cegły i ciska nią w Andrija.

— Nedorwieszmnietyskurwielu nedorwieszmnie!

Cegła łąduje w połowie drogi. Andrij podbiega do małego sukinsyna, łapie go obiema rękami i kilkakrotnie obraca się z nim w kółko. Kiedy chłopak wreszcie łąduje na ziemi, chwieje się na nogach.

— Pieprzsiępieprzsiępieprzsiętykutasie!

Andrij zabiera się do następnego dzieciaka, który robi unik i puszcza się

biegiem, i do kolejnego, który wywija mu się zwinnie jak kot i daje nogę, wcześniej go opluwając. Nawet Irina dobiera się jednemu do skóry. Łapie go za ramię, a kiedy on ją opluwa i przeklina, ona opluwa i przeklina jego, po czym przywala mu z całej siły w tyłek. Gdzie ona się nauczyła takich słów? Pies warczy i rzuca się na chłopca z zapalkami akurat w chwili, gdy papier zaczyna się palić. Dociera do nich zapach dymu. Dzieci rozbiegają się, krzycząc i rzucając za siebie kamieniami. Pies goni maruderów, kłapiąc zębami tuż przy ich stopach.

Papier zajął się ogniem i teraz pod przyczepą trzaskają patyki, unosi się z nich dym i strzelają iskry. Pies szaleje. Andrij w mgnieniu oka rozpina rozporek i sika na płomienie. Słyszc syczenie i jest trochę dymu, ale przyczepa nie jest uszkodzona. Dlaczego Irina patrzy na niego z taką miną? A niech sobie patrzy. Niech sobie robi miny. Kim ona dla niego jest?

Andrij siada na schodku przyczepy i opiera głowę na ramionach. Podaje się zmęczeniu. Ale ona musi przyjść i usiąść obok niego. Jej ramię, jej udo — te miejsca, gdzie ich ciała się stykają, są jak rozgrzana stal. Ta dziewczyna — dlaczego tak mu zaszła za skórę? Jeśli nie ma z tego wyniknąć jakaś okazja, to dlaczego po prostu nie zostawi go w spokoju?

Ta myśl sprawia, że wzbiera w nim beznadziejna złość zarówno na samego siebie, jak i na Irinę. I jest coś jeszcze, co go niepokoi — spojrzenie w oczach tego szczurowatego chłopaka, kiedy podrzucił go w powietrzu. To nie były szelmowsko roziskrzzone oczy niegrzecznego dzieciaka, który ma niezłą zabawę. To były puste oczy, jak martwe rozlewiska — oczy, które widziały już zbyt wiele. Jak oczy tej nagiej dziewczyny w terenówce. Jak oczy ukraińskich chłopców na molo. Dlaczego na świecie jest tylu ludzi z takimi martwymi oczami zombi?

— Andriju?

— Co?

— Nie możemy tu zostać.

— Dlaczego nie?

— Te dzieci... one tu wrócą, gdy zaśniemy. Podłożą ogień pod przyczepę, kiedy będziemy w środku.

— Nie zrobią tego.

Czy ona nie może po prostu się zamknąć i zostawić go w spokoju?

— Ale mogą tak zrobić. A nawet jeśli nie wrócą tej nocy, to przyczepa nie będzie tu bezpieczna. Wcześniej czy później na pewno tu wrócą.

— Wobec tego możemy ją przestawić jutro rano.

Andrij czuje się tak wyczerpany, jakby struga roztopionego ołowiu sączyła się i tężała w jego mięśniach. Musiał naciągnąć sobie mięśnie karku, kiedy wymachiwał tym chłopakiem, a w plecach i nogach ma jeszcze jakieś inne dziwne bóle. Musi się wyspać.

— Rano będzie zbyt wielu ludzi. Teraz łatwiej znajdziemy miejsce. Jedźmy już teraz!

— Dokąd chcesz jechać?

— Nie wiem. Gdziekolwiek. Może znajdziemy coś trochę bliżej restauracji.

Andrij bierze kawałek cegły i tłucze nią w kłódkę przy bramie. Kłódka szybko spada. W zasadzie Irina ma rację — nocą łatwiej jest jeździć po mieście. Raz nawet udaje mu się wrzucić czwórkę bez wrzucania wcześniej wstecznego biegu. Przypomina sobie cichą boczną uliczkę, niedaleko tylnego wejścia do restauracji, gdzie czasem stoi kilka zaparkowanych aut. Na razie będzie to musiało wystarczyć. To tylko tymczasowe rozwiązanie. Wkrótce i tak się stąd wyniesie.



Po incydencie z dziećmi Andrij był bardzo zirytowany. Próbowałam żartować i go rozweselać, ale z każdym dniem robił się coraz opryskliwszy i wciąż powtarzał, że jak tylko dostanie pierwszą tygodniową wypłatę, od razu wyruszy w drogę do Sheffieldu.

Miałam już około osiemdziesięciu funtów z napiwków, które klienci zostawiali na stolikach. Chciałam się z nim podzielić, ale Andrij pokręcił głową, mówiąc nie, zachowaj je, marszczył się przy tym, jakby go bolał brzuch, i powtarzał, że ma dość tej pracy i tak czy owak wkrótce będzie jechać do Sheffieldu. Co się z nim działo? Chyba nie stroił fochów z powodu tego dwudziestofuntowego banknotu?

Wróciłam więc do sklepu z przecenioną odzieżą i kupiłam inną bluzkę, która nie miała tak głębokiego dekoltu. Sądziłam, że to go uszczęśliwi, ale nic z tego. Powiedział, że dekolt wciąż jest za głęboki, a spódniczka za krótka. Dlaczego był taki nudny? To ładna spódniczka, tylko trochę przed kolana, dobrze skrojona, ze wspaniałą jedwabną podszewką i o połowę przeceniona tylko dlatego, że brakowało jej jednego guzika, który wkrótce zamierzałam przyszyć. Ma też głęboką kieszeń, bardzo dobrą na napiwki. Widziałam, że nic nie jest w stanie zadowolić Andrija. Skoro nie podobają mu się moje ubrania, to jego problem. Dlaczego nie pojedzie od razu do Sheffieldu, tylko siedzi tu, grając mi na nerwach?

Następnego ranka postanowiłam pójść do ukraińskiego konsulatu po nowy paszport. Zostały mi jeszcze pieniądze z napiwków, więc zajrzałam do tego pierwszego bardzo drogiego sklepu. Ceny na metkach po prostu zapierały oddech. Spędziłam tam godzinę, przymierzając różne rzeczy i przeglądając się w lustrze. Nie dotarłam do konsulatu. W sklepie zobaczyłam parę spodni za trzydzieści funtów, przecenioną ze stu dwudziestu. Były to czarne biodrówki, bardzo, bardzo dopasowane. Wyglądały po prostu

fantastycznie. Wiedziałam, że Andrij będzie je nienawidzić.

Zatrzymałam się przy przyczepie, ale Andrij wyszedł już do restauracji. Zauważyłam wtedy, że na przedniej szybie land-rovera przyczepiona jest jakaś żółto-czarna naklejka. Zerwałam ją i schowałam do kieszeni, żeby mu pokazać. I coś było przymocowane do przedniego koła land-rovera i do jednego z kół przyczepy. To było dziwne. Andrij na pewno będzie umiał to zdjąć. W porze lunchu byliśmy bardzo zajęci, więc nie miałam szansy z nim porozmawiać. Zresztą miał tak zaciętą minę, że wolałam schodzić mu z drogi.

A potem ktoś wszedł do restauracji, i to pogorszyło sprawy jeszcze bardziej.

Było tuż przed trzecią, zbliżał się koniec zmiany i część personelu już wyszła. W restauracji zostało tylko dwu klientów — młoda para, która kończyła jeść lunch. Wszedł wtedy do środka samotny mężczyzna i zajął miejsce przy jednym ze stolików przy oknie — przy tym samym, przy którym siedział Pan Dwadzieścia Funtów. Na początku go nie poznałam, ale on od razu rozpoznał mnie.

— Irina?

Był młody, ciemny i miał bardzo krótkie włosy. Nosił ciemnoszary garnitur, taki jakie noszą biznesmeni, bardzo, bardzo białą koszulę, duży złoty zegarek wystający spod mankietu i krawat w niebiesko-różowe wzory. W gruncie rzeczy wyglądał całkiem atrakcyjnie.

— Witalij?

Uśmiechnął się.

— *Hello.*

— Hej, Witaliju! Ależ ty się zmieniłeś!

— Co ty tu robisz, Irino?

— Oczywiście zarabiam pieniądze. A co u ciebie?

— Też zarabiam pieniądze. Całkiem niezłe. — Wyjął z kieszeni małą telefon komórkowy i otworzył go. — Konsultant do spraw rekrutacji, dynamicznego, ostrego rozwiązania spraw zatrudnienia — wykonał dłonią szybki ruch, jakby coś szatkował — elastycznie reagujący na zmiany w zapotrzebowaniu na personel.

OK, przyznaję, byłam pod wrażeniem.

— Konsultant do spraw rekrutacji? A co to takiego?

— Och, to tylko znaczy, że szukam pracy dla pewnych osób. Albo pewnych osób do pracy. Zawsze wyglądam nowo przybyłych, żeby wypełnić fascynujące wakaty.

— Możesz znaleźć pracę?

Wymierzył we mnie telefon i nacisnął kilka przycisków.

— Irino, mogę ci znaleźć pierwszorzędną pracę. Doskonale płatną. Dobrą, czystą pracę. Z zapewnionym luksusowym zakwaterowaniem. I dla mojego przyjaciela, Andrija. Dla niego też mam dobrą pracę. Niedaleko lotniska Heathrow. Czy on tu jest?

— Pracuje w kuchni. Jako pomocnik kuchenny.

— Pomocnik kuchenny. Hm. — Witalij pokręcił z uśmiechem głową. — Irino, ty i Andrij... czy wy mieliście okazję?

— Witaliju, dlaczego o to pytasz? — powiedziałam. — A wtedy ujął moją dłoń i spojrzał na mnie swymi bardzo, bardzo ciemnymi oczami w taki sposób, że cała zadrżałam. — Irino, cały czas myślę o tobie.

Zarumieniłam się. To zabrzmiało tak romantycznie. Czy on mówi poważnie? Nie wiedziałam, co powiedzieć. Na wszelki wypadek, gdyby Andrij nas obserwował, cofnęłam rękę.

— Witaliju, opowiedz mi o tej pracy. Na czym ona polega?

— Absolutnie pierwsza klasa. *Gourmet cuisine*. Pierwszorzędna międzynarodowa firma rozpaczliwie poszukuje odpowiedzialnego i zmotywowanego personelu zastępczego. — Miał głęboki głos, a sposób, w jaki wymawiał te długie słowa po angielsku, sprawiał wrażenie niesłychanie kulturalnego. — Kontrakt na przygotowywanie posiłków dla największych linii lotniczych przy lotnisku Heathrow.

\*\* \*

Odkąd człowiek po raz pierwszy wychylił głowę z jaskini, żeby spojrzeć na niebiańskie gwiazdy, i pomyślał, jak by to było miło mieć jedną z nich na własność, jego marzeniem stało się, by inni pracowali dla niego za jak najmniejsze pieniądze. A żaden człowiek nie dążył do tego celu bardziej dynamicznie niż Witalij. Spędził cały dzień, zasuważąc po londyńskich barach i restauracjach w poszukiwaniu właściwych ludzi. Nowo przybyłych, dezorientowanych i zdesperowanych, chciwych. Na takich ludziach można dobrze zarobić.

Jak powiedział ten bystry brodaty Marks, nikt nie jest w stanie zgromadzić fortuny wyłącznie własną pracą, a zatem żeby stać się członkiem VIP-owskiej elity bogaczy, należy wykorzystać pracę innych. W pogoni za tym marzeniem stosowano liczne pomysły wynalazki — od niewolnictwa, przymusowej pracy, deportacji, pracy w ramach nauki zawodu, pracy za długi i w koloniach karnych, aż do pracowników sezonowych, umów o pracę „zero godzin”, pracę elastyczną, klauzul zabraniających strajków, przymusowych nadgodzin, przymusowego samozatrudnienia, pracy agencyjnej, podwykonawstwa, nielegalnej imigracji, przymusowego korzystania z obsługi zewnętrznej i wielu innych maksymalnie elastycznych postępowych rozwiązań organizacyjnych. A na czele tego permanentnego procesu rewolucjonizowania technologii pracy historyczną

rolę odgrywa dynamiczny konsultant do spraw ostrego rozwiązywania spraw zatrudnienia. Niewiele osób to docenia.

Z tego właśnie powodu, mimo ekskluzywnego sztytu na miarę ciemnografitowego garnituru z czystej wełny, spoczywającej w kieszeni noki N94i, stanowiącej prawdziwe dzieło sztuki, i prawdziwego roleksa explorer II, wystającego zuchwale spod mankietu Witalij wciąż czuje się niedoceniony. Wszystko, czego potrzebujesz, myśli sobie Witalij, to dziewczyna, z którą będziesz mógł dzielić swoje szczęście — śliczna, czysta dziewczyna z klasą, nie jakaś wymalowana tania i do wynajęcia, lecz niewinna dziewczyna, którą będziesz mógł po swojemu wyszkolić w sztuce miłości; wystarczająco ładna, by inni mężczyźni ci zazdrościli, ale nie aż tak ładna, by uciec z najbliższym cwaniakiem z nokią N95ii i roleksem Daytona. Potrzebna ci taka dziewczyna, która stale będzie cię zapewniać, że naprawdę jesteś dobrym człowiekiem. Dynamicznym mężczyzną. VIP-em. Nie przestępcą. Nie ofiarą losu. I oto ona, dokładnie taka, o jakiej marzyłeś, uśmiecha się słodko, nalewając ci kolejny kieliszek schłodzonego sauvignon blanc. To naprawdę bardzo dobre wino — jedna z miłych drobnych korzyści w tym interesie. Fatalne natomiast jest to, że nawet wtedy, gdy zerkasz w jedwabiste wgłębienie między jej cudownymi piersiami, w tyle głowy odzywa się głos biznesmena: na tej dziewczynie możesz nieźle zarobić.

Bo jeśli wychowałeś się w odległej dolinie Dniestru, w prowincjonalnym miasteczku w zakolu rzeki, która oddziela Mołdawię od Republiki Naddniestrzańskiej — gdzie jedynym prawem jest prawo pięści, gdzie na środku głównej ulicy zastrzelono twojego ojca i dwu twoich braci za to, że odmówili płacenia haraczu, a twój trzeci brat zginął w trakcie walk spowodowanych secesją Naddniestrza, a matka zmarła ze smutku w wieku

czterdziestu dwu lat, kiedy twój dom zrównano z ziemią, a twoje dwie młodsze siostry zostały sprzedane przez pewnego kombinatora z Kosowa do salonu masażu w Peckham — jeśli dorastasz w takim miejscu jak Bendery, trochę cię to hartuje.

Ach, Bendery! Zdewastowane betonowe bloki z epoki komunizmu skrywają gorące serca; w uliczkach unosi się fetor zatkanych studzienek kanalizacyjnych i smażonego czosnku, a zachody słońca płoną niczym ogień w wypalonych oknach budynków przy moście, dzika rzeka zaś obmywa srebrzystymi falami piaszczyste łachy, na których od czasu do czasu pojawia się wyrzucone na brzeg ciało; w tamtejszych lasach wciąż słychać westchnienia duchów, a ulice nieraz spływały krwią. Ach, Bendery! W oczach Witalija szklą się łzy gorzkosłodkiego bólu. Wpatruje się w dekolt Iriny. Kiedyś w Benderach miał taką dziewczynę. Rożę. Córkę szkolnej bibliotekarki. Miała piętnaście lat i była dziewicą. Tak jak i on. Miała ciemne oczy, które płonęły obietnicą. Spotykali się po szkole, na sekretnej polanie nad brzegiem rzeki. Prawdopodobnie ona również jest teraz w Peckham.

Kiedyś, w innych czasach, Witalij był nadzieją rodziny, uczniem marzącym o wielkich rzeczach, oczkiem w głowie mamy. Prawdopodobnie zostałby prawnikiem albo policjantem, gdyby nie mieszkał w Benderach i gdyby nie natrafił na tę książkę, która zmieniła jego życie, zamkniętą w szkolnej szafce wśród wielu zapomnianych tekstów sprzed osiemdziesięciu i więcej lat, przechowywanych przez bibliotekarkę, bo być może któryś z nich znów zacznie się cieszyć popularnością. Zapewne w dalszym ciągu tam są.

Skończył właśnie piętnaście lat, kiedy w 1992 roku Nad- dniestrze odłączyło się od Mołdawii z powodu kwestii językowych. Cyrylica przeciw



alfabetowi łacińskiemu. Dołączył oczywiście wraz z braćmi do patriotów, ale nie zaangażował się całym sercem i udało mu się trzymać z dala od najgorszych walk, choć przez Bendery położone na zachodnim brzegu Dniestru i połączone z Naddniestrzem jedynie mostem przebiegała linia frontu wojny domowej. Dwa tysiące zabitych, wśród nich jego starsi bracia, setki spalonych domów, wśród nich jego dom, a wszystko przez spór na temat tego, jak powinien być zapisywany język. OK, Witalij był patriotą podobnie jak inni, ale po prostu nie uważał, że za taką sprawę warto dać się zabić. Niektórzy mądrale mówili, że tak naprawdę chodziło o sprawy polityczne — o to, czy nadszedł już czas, by pożegnać się z przeszłością dominacji sowieckiej i przymilić się prozachodniej Rumunii. Inni twierdzili, że była to po prostu wojna plemienna pomiędzy rywalizującymi gangsterskimi rodzinami. Zapewne każdy miał swój własny powód, by się zaangażować, a niektórzy nie mieli żadnego, a mimo to się angażowali.

Gdy wreszcie zawarto rozejm i życie jako tako wróciło do normy, Witalij przez pewien czas próbował się przebić w sektorze budownictwa jednorodzinnego, naprawdę bardzo się starał. Pracował całymi godzinami, dźwigając cegły i mieszając beton, układając rury, mocując w murach drzwi i okna i stale płacąc haracz. Ale kiedy jego ojciec i młodsi bracia zostali zastrzeleni na głównej ulicy Benderów przez żołnierza jednego z gangów za to, że śmieli kwestionować podwyżkę haraczu, doszedł do wniosku, że praca jest dla nieudaczników i że szczwany gładzący w kółko o tym samym starzec miał rację (zapewne dlatego te niebezpieczne książki trzymano pod kluczem) — jeśli chcesz wejść do elity, musisz nauczyć się ciągnąć korzyści z pracy innych, niech oni uczynią cię bogatym. Zbierać owoce wysiłku innych ludzi — nieudaczników. To jedyny sposób.

A zatem skontaktował się z kombinatorem z Kosowa, czekającym na



azyl oszustem, który wywiózł jego siostry, i zaoferował mu cztery dziewczyny w zamian za podróż do Anglii. W końcu udało mu się znaleźć tylko trzy: dwie córki jego zubożałego nauczyciela, którego wyrzucono z pracy, ponieważ odmówił nauczania angielskiego z zastosowaniem cyrylicy, oraz głuchoniemą dziewczynę, która sprzedawała na targu marynowane grzyby. Kombinator z Kosowa załatwił im greckie paszporty, a Witalij odprowadził je na prom do Dover, gdzie kombinator, działający jako Mr Smith, przejął od niego dziewczyny i przedstawił je ich „wujowi”, Wulkowi, który kiedyś prowadził podobny interes na Słowenii i w Niemczech i który z kolei przedstawił Witalija farmerowi Leapishowi, ten zaś popełnił błąd, przedstawiając go swojej żonie (ha, ha), która przedstawiła go Jimowi Nightingale z Nightingale Human Solutions. Tak to działa w świecie biznesu — trzeba mieć kontakty, a jeśli masz odpowiednie kontakty, wszystko możesz sprzedać.

A teraz spójrz, minęły zaledwie cztery miesiące i oto siedzisz przy najlepszym stoliku w drogiej londyńskiej restauracji, w drogim porządnym garniturze (ogolona głowa i złoty łańcuch z wiszącym na nim nożem, które mogłyby zrobić złe wrażenie na niektórych *angliskich* biznesmenach, należą już do przeszłości), z oryginalnym roleksem explorer II, a nie jedną z tych podróbek, którą rozpoznałby każdy idiota, i popijasz krzepiąco drogie, świetnie schłodzone nowozelandzkie blind river sauvignon blanc, czekając na swojego klienta i robiąc zdjęcia tej atrakcyjnej i potencjalnie bardzo wartościowej dziewczynie swoją wartościową nokią N94I, stojąc przed bardzo przyjemnym dylematem: zatrzymać ją dla siebie, czy sprzedać ją komuś. Znasz kilku chłopaków, którzy mogliby być zainteresowani, gdybyś wysłał im zdjęcia.

Bo w Benderach dziewcząt tak ładnych i niewinnych jak ta było mnó-

stwo, w istocie ty sam rozdzielczyłeś kilka z nich — to było po Rozie, po wojnie, po tym całym zabijaniu — a ostatnio myślałeś o tym, że wydawanie tak dużych pieniędzy na zewnętrzne oznaki luksusu, garnitury, zegarki, telefony, dziewczyny jest bardzo fajne i prawdopodobnie stanowi niezbędną inwestycję w kreowanie właściwego wizerunku firmy, lecz jeśli naprawdę chcesz być zamożnym człowiekiem, to nie możesz wszystkiego wydawać, musisz oszczędzać i inwestować, gromadzić kapitał, no a nieruchomości w Londynie są diabelnie drogie. Ale jak będziesz miał gotówkę, to naprawdę może ci się to udać.

Niezbyt wielu ludzi docenia, jak ciężką drogę przeszedł — jak samotną — by wydostać się z tego nikomu nieznanego miasta położonego na granicy nieuznawanej republiki, niebędącej niczym więcej jak tylko rolniczą prowincją, w której jest z pół tuzina małych miasteczek niebezpiecznie wciśniętych pomiędzy wschodni brzeg Dniestru a zachodnią granicę Ukrainy, i zdobyć pozycję jako nowoczesny konsultant do spraw rekrutacji zdecydowanych na wszystko zasobów ludzkich tu, w prawdziwym zachodnim świecie. Nie rozumieją, jakim dynamizmem trzeba się wykazać, a czasem bezwzględnością, i jak samotnie czuje się człowiek, kiedy do nikogo nie może mieć zaufania, do ani jednej osoby, bo każdy cwaniak gotów jest wykorzystać okazję, by cię pograżyć i ukraść twój biznes, i nawet najbliżsi partnerzy biznesowi są twoimi śmiertelnymi wrogami.

Jak napisał ten szczywany brodaty starzec, w okresie przejściowym pomiędzy starym a nowym światem wszystkie utrwalone, zastygłe relacje zostają zmiecione, wszystko, co jest stałe, rozpuszcza się i ulatnia, wszystko, co jest święte, zostaje sprofanowane, a człowiek musi stawić czoło prawdziwym wyborom zarówno w życiu, jak i w stosunkach z innymi. Ponieważ w tym nowym świecie istnieją jedynie rywale i nieudacz-

nicy. I, oczywiście, kobiety.

\*\* \*

Do Andrija podchodzi Irina z tym doprowadzającym, do furii uśmiechem.

– Witalij jest tutaj. Witalij z truskawkowego pola.

– Gdzie?

Tylko tego mu brakowało. Facet z *mobilfonem*, zjawiający się, żeby sobie z niego drwić, akurat kiedy Andrij stoi z rękami w zlewie.

– Tutaj. Tu w restauracji. Siedzi przy oknie.

– Czego chce?

– Mówi, że ma dla nas pracę. Pierwszorzędną pracę. *Gourmet cuisine* obok lotniska Heathrow.

Andrij czuje, że zalewa go wściekłość.

– Irino, jeśli chcesz, to idź sobie z Witalijem, to twoja sprawa. Ja nie jestem zainteresowany tą pracą.

Zanurza ręce w gorącej żrącej wodzie i wyciąga dwa śliskie talerze. Zauważa przy tym, jak bardzo czerwone i szorstkie stały się jego dłonie.

– Mówi, że to dobrze płatna praca. I czysta. To może być lepsze dla ciebie, Andriju. Lepsze od bycia pomocą kuchenną.

– Czy on wie, że jestem pomocą kuchenną?

– Powiedziałam mu, że pracujemy, żeby zarobić trochę pieniędzy. Przynajmniej idź tam i porozmawiaj z nim.

– Co jeszcze mu powiedziałaś?

Tak naprawdę to nie jej wina. Ta dziewczyna niczego nie rozumie.

– Nie wiem. Co się z tobą dzieje, Andriju? On stara się nam pomóc.

– Stara się pomóc samemu sobie. — Andrij wyciera ręce w wilgotną szmatkę. — Nalałaś mu drinka, Irino? Pozwoliłaś, żeby zajrzał ci w dekolt?

— Przestań, Andriju. Dlaczego tak się zachowujesz?

— Pokazał ci swój *mobifon*?

— Pójdź tam i się po prostu przywitaj. Przecież to twój przyjaciel, prawda?

— Powiem to, co będę chciał powiedzieć.

Odstawia oślizgłe talerze na suszarkę i kopniakiem otwiera wahadłowe drzwi prowadzące na salę. Rozgląda się. Witalij siedzi przy oknie. Popija wino i ostentacyjnie bawi się telefonem. Skąd on wziął ten modny garnitur? Nagle drzwi do restauracji otwierają się na oścież i do środka wchodzi ktoś jeszcze — wysoki mężczyzna z wygoloną głową i okropną blizną, która przecina mu policzek i usta. Andrij zastyga w bezruchu przy drzwiach kuchennych i obserwuje scenę, a człowiek z blizną namierza Witalija, przechodzi przez salę i staje przed jego stolikiem. Andrij jest pewien, że już go gdzieś wcześniej widział, ale nie pamięta gdzie. Irina jest w kuchni. Teraz pojawia się Zita szukająca Iriny, która powinna być na sali, żeby obsłużyć klienta.

Mężczyzna z blizną pyta — donośnym głosem, tak że każdy może go usłyszeć:

— Gdzie ona jest?

— Gdzieś tutaj — mówi Witalij. — Usiądź, proszę.

— Jesteś mi winien jedną laskę, frajerze. Miały być cztery, a przypro-wadziłeś tylko trzy.

— Proszę, Smitja, usiądź — mówi Witalij uspokajająco. — Możemy to wszystko omówić. Wypij drinka. — Witalij przywołuje Zitę.

— Te chińskie dziwki, które mi sprzedałeś. Żadna nie była dziewicą. Jestem spalony.

Teraz Andrij przypomina sobie, gdzie wcześniej widział tego faceta.

Witalij polubownym gestem rozkłada ręce.

— OK. Możemy ubić interes, przyjacielu. Mam dla ciebie propozycję.

— Pokaż mi dziewczynę.

— Za chwilę. Jest tutaj. Usiądź. Pójdę po nią.

Andrij oblewa się potem. Ogarnia go wściekłość. Myśli, że gdyby miał teraz w ręku pistolet, od razu zastrzeliłby Witalija. Ale wycofuje się cichaczem i staje tuż za wpółotwartymi drzwiami, żeby Witalij go nie zobaczył. Irina gdzieś się ulotniła.

Człowiek z blizną rozgląda się z furią wokół. Jego wzrok pada na Zitę.

— To ona? Ta brzydka suka? Masz mnie za kompletnego jełopa?

— Proszę, Smitja. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, a nie gangsterami. Porozmawiajmy o interesach.

— Nie pogrywaj ze mną. — Jego blizna jest purpurowo-czerwona na bladym policzku. — Zapomniałeś, kim jestem, frajerze. Myślisz, że taki spryciarz z ciebie? Zapomniałeś, jak tu się rozmawia o interesach.

Andrij widzi, że mężczyzna wyciąga rewolwer z kieszeni kurtki. Wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie. Andrij widzi, że usta tamtego rozciągają się w przeraźliwym uśmiechu, ukazując zęby. Widzi, że twarz Witalija zastyga w przerażeniu. Zita krzyczy. Mężczyzna strzela cztery razy: dwa strzały w Witalija, jeden w Zitę i jeden w lustro za barem.

Bang. Bang. Bang. Bang.

Szybka seria kolejnych strzałów rozbrzmiewa w zamkniętej przestrzeni jak podziemny wybuch. Andrij zakrywa dłońmi uszy. Mimo to słyszy chaotyczne krzyki i odgłos pękającego lustra. Zita pada do tyłu, Witalij osuwa się na stół, a kobieta i mężczyzna, którzy siedzieli przy jednym ze stolików, zaczynają histerycznie wrzeszczeć. Mężczyzna odwraca się, szybko wychodzi frontowymi drzwiami i znika na ulicy.

W ciszy, która potem zapada, Andrij słyszy Gilberta, który krzyczy z kuchni: Co się tam, do diabła, dzieje? Słyszy, że kobieta rozmawia z policją przez *mobilfon*. Słyszy słabe przeciągłe jęki Zity, która bada poszatkowaną masę mięsa, krwi i kości, która niedawno była jej lewą nogą. Witalij nie daje żadnego znaku życia. Andrij ostrożnie podchodzi do stolika. Na biały adamaszkowy obrus sączy się ciemna krew wraz z czymś szarawym, co wycieka z dwu dziur na czole Witalija, tworząc jaskrawą, coraz większą plamę. Ręka Witalija wciąż ściska nóżkę kieliszka, który pękł mu w dłoniach. Nagle z jego ciała dobywa się dziwna muzyka — groteskowo radosna melodyjka — di di di daa da de — di di di daa da de — di di di daa da daa! Dzwoni przez chwilę, aż wreszcie milknie.

Andrij przygląda się. Czuje, jak narasta w nim spieniona szara fala, przerażenie zmieszane z poczuciem winy. Czy powinien interweniować? Czy mógł uratować mu życie? Czy to jego własna skrywana złość spowodowała na Witalija śmierć? W pierwszym odruchu ma ochotę się rozeźmiać — musi zakryć dłonią usta, by się powstrzymać. W następnym odruchu ma ochotę uciec — uciec od śmierci do światła żywego świata.

Muskularny Gilbert stara się zapanować nad sytuacją w sposób niezwykle zasadniczy. Mówi parze przy stoliku, żeby się zamknęła, usiadła w spokoju i poczekała na policję, następnie czystymi serwetkami próbuje zatamować krew płynącą z rany Zity.

— Możesz iść, jeśli chcesz — cicho mówi do Andrija. — Jeżeli boisz się policji.

— Nie, jest OK — odpowiada Andrij. Ale potem przypomina sobie o broni spoczywającej na dnie plecaka.

Kiedy wraca do kuchni, odkrywa, że reszta personelu znikła.

Jedynie Irina została, obiema rękami trzyma się kurczowo zlewu, jakby

zaraz miała z wymiotować.

— Dobrze się czujesz?

Irina cicho potakuje. Wcale dobrze nie wygląda.

— A ty?

— Tak. Całkiem normalnie.

— Gdzie jest reszta? — pyta. Cała się trzęsie.

— Chyba sobie poszli. Wszyscy są nielegalni. Oprócz Gilberta. Ktoś zadzwonił po policję.

Gilbert woła z sali o lód. Andrij bierze miskę, napełnia ją kostkami lodu i zanoszą mu. Pomiedzy stolikami Gilbert usiłuje zatamować Zicie krew, jego wielkie mięsiste dłonie zręcznie zawiązują serwetki, tworząc z nich opaskę uciskową. W powietrzu wciąż unosi się zapach kordytu. Kobieta i mężczyzna wpatrują się zszokowani w milczeniu w czoło Witalija, które przestało już krwawić i we własne stygnące dania. Kobieta cicho łka.

Nagle otwierają się drzwi frontowe. Andrij unosi głowę, spodziewając się zobaczyć policję albo ekipę pogotowia, ale do środka wkracza wielki mężczyzna z *mobilfonem* w jednej dłoni i bukietem kwiatów w drugiej. Wygląda jak zwykły klient, który chce zjeść miły posiłek i przypadkiem znalazł się w samym środku przerażającej sceny. Ale to nie jest zwykły klient — to Wulk.

Wulk staje w drzwiach i powoli się rozgląda, jakby usiłował połapać się w tym chaosie. Jego obwisła twarz nie zdradza żadnych emocji. Andrij bezgłośnie się wycofuje, serce wali mu z całej siły. Wulk przechodzi przez salę, by przyrzeć się Witalijowi, i mamrocze coś pod nosem. W chwili gdy Andrij znajduje się już przy drzwiach do kuchni, Wulk unosi głowę. Ich oczy się spotykają. Wulk rzuca się naprzód. Gilbert zagraża mu przejście mięsistym ramieniem.



— Przepraszam pana, ale lokal jest zamknięty.

Wulk próbuje się przedostać, odpycha Gilberta, młóćąc bukietem na prawo i lewo, ale Gilbert jest po prostu na to za wielki. Zagradza mu drogę.

— Nie słyszałeś? Lokal jest zamknięty.

—Hrr! — Wulk odpycha go z całej siły i wpada do kuchni. Ale do tego czasu, dzięki interwencji Gilberta, Andrij zdążył złapać Irinę, wepchnąć ją do spiżarni i zamknąć drzwi od wewnątrz. Klik.

W spiżarni jest chłodno i pachnie ogórkami. Czekają i nasłuchują w ciemnościach. Irina drży i łka. Andrij obejmuje ją w pasie i zasłania jej usta dłonią. Czuje, jak serce wali jej w piersiach. Zza drzwi dochodzą odgłosy świadczące o tym, że Wulk wciąż tam jest. Słyszą trzask rozbijanych talerzy, metaliczny odgłos toczącego się po posadzce rondla i głos jak nawoływanie oszalałej bestii. *Mały kwietku!* Drzwi spiżarni trzęsą się, Wulk szarpie za klamkę, ale zamek nie ustępuje. Ktoś — zapewne Wulk — naciska włącznik światła na zewnątrz i przez krótką chwilę przestraszone spojrzenia Iriny i Andrija się spotykają.

— Mały kwietku! Nigdy nie schowasz się przed Wulkiem! Znajdem cie wszędzie!

Potem znów pogrążają się w ciemnościach.

Andrij obejmuje ją mocniej. Po chwili słyszą Gilberta.

— Co, u diabła, tu robisz? Wynoś się stąd, ty dupku! Słyszać coraz więcej trzasków i brzęków, krzyk Wulka albo Gilberta, albo jeszcze kogoś innego. A potem nagle w kuchni zapada cisza. W oddali słyszą wycie syren.

— Czy on już poszedł? — szeptem pyta Irina.

Andrij nasłuchuje.

— Chyba tak.

Andrij najciszej jak tylko można przekręca klucz i uchyla drzwi. Z sali

dochodzą jakieś głosy, ale w kuchni nikogo we ma. Idzie na palcach do komórki przy kuchni i do zlewozmywaków. Nikogo tam nie ma. Nie ma też nikogo w szatni. Wygląda przez okienko. Podwórko na tyłach restauracji jest puste. Zabiera z szatni swój plecak i należącą do Iriny torbę w paski — od czasu incydentu z dziećmiakami nie zostawiają w przyczepie niczego cennego — i wraca do spizami. Drzwi są zamknięte. Irina zamknęła się od wewnątrz. Andrij cicho puka.

— Otwórz drzwi. Szybko. To ja.

Słyszy odgłos przekręcanego w zamku klucza. Klik. Irina uchyla drzwi i wystawia nos.

— Czy on już poszedł?

— Tak. Chodźmy.

Łapie ją za rękę i wymykają się przez kuchnię tylnymi drzwiami. W polu widzenia nikogo nie ma. Na ulicy puszczają się biegiem. Wycie syren jest wszechobecne. Andrij zarzucił obie torby na ramię i trzymając Irinę za rękę, ciągnie ją za sobą. Przyczepa stoi zaledwie dwie przecznice dalej. A przynajmniej tak mu się zdaje. Może w następnej przecznicy. Nie? Może w kolejnej? Nie, na pewno stała tam, przy tych pojemnikach na śmieci. Zawracają. Teraz już nie biegną, idą, z trudem łapiąc oddech. Obchodzą cały kwartał kilka razy, aż wreszcie dociera do nich, że przyczepa po prostu znikła.

Andrij siada na chodniku i chowa twarz w dłoniach. Jego nogi, które wyciągnął przed siebie, są jak z ołowiu. Serce wciąż wali mu w piersiach. Przyczepa i land-rover. Ich śpiwory. Ubrania. Marchewki. Butelki na wodę. Wszystko znikło.

— Pies! Zabrali nawet psa!

Ale choć jakaś jego część myśli o wszystkim, co stracił, ta druga my-

śli: żyjesz, Andriju Palenko, a facet z *mobilfonem* jest martwy. Krew zastygła na jego modnym garniturze, a twoja krąży w żyłach. I trzymałeś dziewczynę w ramionach i czułeś jej ciało przytulone do twojego, uległe, ale jędrne, miękkie, ale gibkie, delikatnie zaokrąglone. A teraz pragniesz więcej.

I w tym tkwi cały problem: oni wszyscy chcą więcej — mężczyzna od dwudziestofuntowego banknotu, Wulk, Witalij i cała zgraja ich podejrzanych klientów — wszyscy pragną tego, czego i ty pragniesz. Obmyć się w słodkim jeziorze jej młodości. To przyzwoita młoda dziewczyna, świeża jak maj. I ona to wyczuwa. Nic dziwnego, że trzęsie się jak zaszczuty królik. Nic dziwnego, że skacze z przerażenia. Zostaw ją w spokoju, Andriju. Bądź mężczyzną.

\*\* \*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ ZJADAM DWA GOŁĘBIE MÓJ PAN I  
GŁUPSZA OD OWCY KOBIETA JESTEM SAMOTNYM PSEM  
DWAJ MĘŻCZYŹNI PRZYSZLI PO NASZ DOM NA KÓŁKACH  
SZCZEKAM WARCZĘ SKACZĘ NA NICH GRYZĘ ZŁY PIES  
MÓWI MĘŻCZYŻNA JEST ZŁYM CZŁOWIEKIEM JA JESTEM  
ZŁYM PSEM JESTEM SMUTNYM PSEM JESTEM SAMOTNYM  
PSEM DOMU NA KÓŁKACH NIE MA MOJEGO DOMU JUŻ NIE  
MA MĘŻCZYŻNA ŁAPIE MNIE WPYCHA DO KLATKI NA KÓŁ-  
KACH Z WIELOMA SMUTNYMI PSAMI DOKĄD JEDZIEMY  
DOKĄD JEDZIEMY DO PSIEGO DOMU MÓWI SMUTNY PIES  
WIEM CO TO PSI DOM TO NIE JEST DOBRE MIEJSCE MÓWI  
SMUTNY PIES W TYM DOMU WSZYSTKIE PSY MIESZKAJĄ W  
MAŁYCH KLATKACH I WSZĘDZIE UNOSI SIĘ ZAPACH  
PSIEGO SMUTKU NOCAMI SMUTNE PSY PŁACZĄ NIE MAJĄ**

**SWOICH PANÓW NIE POJADĘ DO TEGO PSIEGO DOMU JE-  
STEM PSEM KTÓRY BIEGNIĘ MĘŻCZYŻNA OTWIERA  
KLATKĘ NA KÓŁKACH SKACZĘ BIEGNIĘ MĘŻCZYŻNA BIE-  
GNIĘ ZA MNĄ JESTEM SZYBSZY BIEGNIĘ BYLE DALEJ OD  
KLATKI BYLE DALEJ OD PSIEGO SMUTKU ZNAJDĘ MOJEGO  
PANA OBOK TEGO MIEJSCA Z GOŁĘBIAMI BIEGNIĘ BIEGNIĘ  
JESTEM PSEM.**

**\*\* \***

Kiedy Andrij mnie złapał i przyciągnął do siebie w spizami, poczułam, jak obejmuje mnie silnym i opiekuńczym ramieniem i wtedy zrozumiałam, że to on jest tym *jedynym*. W środku było ciemno. Nic nie widziałam. Czułam tylko zapach i dotyk. Czułam cebulę i przyprawy, i ciepły orzechowy zapach *jego*, moja twarz na jego piersiach i czułam bicie dwu serc. Bum. Bum. Bum. Byłam przerażona, tak, ale dzięki *niemu* czułam się bezpiecznie. To było takie piękne, jak ten fragment *Wojny i pokoju*, kiedy Natasza i Pierre wreszcie pojmują, że są sobie przeznaczeni. Choć wydaje mi się, że Andrij jeszcze tego sobie nie uświadomił.

Złapał mnie za rękę w biegu, nie namiętnie, ale i tak było to romantyczne. A ja pomyślałam, że nawet jeśli ta cała sprawa męsko-damskich amatorów nie trwa wiecznie, to i tak trzeba w to wierzyć, prawda? Bo jeżeli nie wierzysz w miłość, to co ci pozostaje? A teraz, kiedy już znalazłam *tego jedyne*, to *ta noc* jest tylko kwestią czasu. Może nawet dziś, on i ja razem na rozłożonym podwójnym łóżku, wtuleni w siebie w naszym małym domku na kółkach. OK, wiem, że nie jest to *Wojna i pokój*, ale co z tego.

Gdy okazało się, że przyczepa znikła i nie mieliśmy gdzie się podziać, a Andrij usiadł na chodniku z twarzą schowaną w dłoniach, myślałam, że się rozpłaczę, więc objęłam go ramieniem. Ale on powiedział tylko:

— Pies! Zabrali nawet psa!

Uwielbiam go za to, jak bardzo kocha tego okropnego psa. Pomyślałam, że zabrali również moje nowe spodnie za trzydzieści funtów, co było irytujące, bo ani razu ich jeszcze nie włożyłam, ale nie powiedziałam tego na głos. Oczywiście mnie również było przykro z powodu straty naszego małego domu na kółkach, tym bardziej że uświadomiłam sobie, iż tego wieczoru może wreszcie nastąpić *ta noc*. Pokazałam mu żółto-czarną nalepkę, którą znalazłam na szybie, a on powiedział dość nieprzyjemnym tonem:

— Dlaczego wcześniej mi jej nie pokazałaś? — Ale zaraz potem dodał: — Przepraszam, Irino. To nie twoja wina. Pewnie i tak było już za późno.

Uwielbiam sposób, w jaki mówi „przepraszam”. Niewielu mężczyzn tak potrafi.

Usiedliśmy na skraju chodnika. Nie mieliśmy nic poza tym, co było w naszych torbach. Nie wypłacono nam nawet jeszcze wynagrodzenia za pierwszy tydzień pracy. Przynajmniej miałam trochę pieniędzy z napiwków. Ależ żałowałam, że kupiłam te spodnie. Andrij powiedział, że powinniśmy opuścić Londyn i udać się od razu do Sheffieldu, więc oświadczyłam, że z nim pojedę. Czasem trzeba pozwolić, żeby mężczyzna decydował.

Spędziliśmy tę noc na zewnątrz, zwinięci na ławce, niedaleko miejsca, w którym stała kiedyś przyczepa, bo Andrij powiedział, że pies może wrócić. Włożyliśmy na siebie wszystkie ubrania, jakie mieliśmy, i znaleźliśmy jakieś gazety oraz kartony, które położyliśmy na ławce, i dwie nieużywane plastikowe torby na śmieci znalezione przed sklepem, do których się wślizgnęliśmy jak do śpiworów. I chociaż nocą zrobiło się zimno, myślę, że była to jedna z najszcześniejszych nocy w moim życiu, czułam się tak bezpiecznie w jego ramionach, jego ciało było tak mocne jak drzewo, w oddali

połyskiwały światła miasta, a ponad nimi ledwo widoczne na niebie gwiazdy.

Nie spaliśmy zbyt wiele, bo stale podchodzili jacyś ludzie, żeby z nami porozmawiać — podstarzali alkoholicy, nawiedzone typy, policja, handlarze narkotyków, zagraniczni turyści, facet, który chciał wiedzieć, czy chcielibyśmy pozować do fotografii, inny oferujący nam łóżko w jego luksusowym apartamencie, co moim zdaniem było bardzo miłe, ale Andrij uprzejmie powiedział: Nie, dziękujemy. Jakaś kobieta, która karmiła gołębie, dała nam trochę chleba i ciasta. Ktoś inny przyniósł nam kubek kawy. Niesamowite, ilu w tej Anglii jest miłych ludzi. Z jakiegoś powodu ta myśl sprawiła, że zaczęłam żałośnie popłakiwać.

— Dlaczego płaczesz? — spytał.

— Nie wiem — odpowiedziałam. Musiał pomyśleć, że naprawdę jestem głupia. — Opowiedz mi o tym Sheffieldzie.

— Wiesz, Irino, Sheffield jest jednym z najwspanialszych miast Europy — powiedział z tym śmiesznym donbaskim akcentem, aleja się nie roześmiałam. — Ma szerokie, szerokie wysadzone drzewami aleje, więc latem zawsze jest cień, a zimna woda tryska z wielu marmurowych fontann i są tam place i parki pełne kwiatów, a mury pałaców obrastają czerwone i purpurowe bugenwille.

— Czy to rzeczywiście jest prawda? — spytałam.

— Tak myślę.

— Opowiedz mi coś jeszcze.

— A mieszkańcy tego miasta są znani na całym świecie z uprzejmości i przyjmują przybyszów z otwartymi ramionami, bo nauczyli się sztuki pokojowego współżycia od ich rządcy, Wlunketa, niezwykle mądrego przywódcy, który mieszka w obrośniętym bugenwillami pałacu na szczycie

wzgórza i choć jest ślepcem, jest prawdziwym wizjonerem. Kiedy pojedziemy do Sheffieldu, Irino, będziemy bezpieczni i wszystkie nasze problemy znikną.

Nie pamiętam, co jeszcze powiedział, bo zasnąłem, bezpieczna w jego ramionach.

Kiedy obudziliśmy się rano, plac pełen był gołębi, a u stóp Andrija siedział pies i machał ogonem.

Widzi je tak wyraźnie — fontanny. Czy to było w Jałcie czy w Sheffieldzie? I bugenwille spadające w takiej obfitości po murach, kaskady czerwieni i purpury spływające po kamieniu. Zapytał ojca o nazwę. Tak, zapewne była to Jałta. To naprawdę miłe miejsce. W dawnych czasach, w czasach Związku Sowieckiego, kiedy górnik to był ktoś, a przedstawiciel związków górniczych był kimś, kto się liczył, w Jałcie znajdowało się sanatorium dla górników i ich rodzin, do którego jeździli każdego lata. Na pewno w Sheffieldzie też mają coś takiego. Wszystkie budynki wzniesiono z białego kamienia i lśniły w słońcu. To były dobre czasy.

Powiedziałeś Irinie o ślepych władcy, Wlunkecie, i jego słowach o pokoju, i o ciepłym przyjęciu, które czeka na was w Sheffieldzie. Ale czy nie czas już, Andriju Palenko, powiedzieć jej o Vagvadze Riskegipd?

Bo teraz Irina chce pojechać z tobą, a jest przyzwoitą, porządną dziewczyną i chyba cię lubi. I nawet jeśli ma głupie pomysły i nie może się zdecydować, to nie powinieneś ciągnąć jej ze sobą, skoro w Sheffieldzie zamierzasz ją porzucić. Musisz się zdecydować — albo w jedną, albo w drugą stronę. Więc może nadszedł czas na okazję z tą dziewczyną i na to, by zapomnieć o Vagvadze Riskegipd i *Angliskiej Rozie* i czerwonym ferrari, co i tak zapewne było głupie. *Bye-bye, end of story.*



**I nie martw się tym Wulkiem, Witalijem i Panem Dwadzieścia Funtów.**

**Nie mieścisz się w tej kategorii. Ponieważ jesteś mężczyzną, który ją obroni i uszczęśliwi swoją miłością. Prędzej czy później — raczej prę-  
dziej, sądząc po tym, jak się rozgląda, uśmiechając do każdego męż-  
czyzny, którego spotka na swojej drodze —jakiś mężczyzna weźmie ją i  
będzie mieć tylko dla siebie. A tym mężczyzną możesz być ty, Andriju  
Palenko.**

TLR

## Cztery szczyty

I oto staliśmy przy północnej obwodnicy, przy drodze, która miała nas zaprowadzić do Sheffieldu. Przed naszymi oczami wielka struga metalu — a w zasadzie dwie strugi — każda płynąca w inną stronę, samochody lśniące czernią, błękitem, srebrem, bielą, gdy padało na nie światło, fala za falą niekończąca się niczym rzeka wpadająca do morza. Andrij jak zaczarowany wpatrywał się w samochody, wiódł za nimi oczami, odwracając głowę na prawo i lewo. Raz wykrzyknął:

— Spójrz, Irino, widziałaś to ferrari?

— Uhm. Tak. Wspaniałe — powiedziałam, choć dla mnie wszystkie wyglądały tak samo, tyle że były w różnych kolorach. Tak trzeba postępować z mężczyznami, dzielić ich zainteresowania.

Biedna Mama próbowała dzielić zainteresowanie Taty polityką i zrobiła się bardzo Pomarańczowa i stała na placu, śpiewając na cześć Juszczenki. Ale on najwyraźniej miał więcej wspólnych zainteresowań ze Świetlaną Soroką.

— Niewolnictwo zaczyna się wtedy, gdy serce traci nadzieję — powiedział kiedyś Tato. — Nadzieja jest pierwszym krokiem ku wolności.

A Mama odparła:

— W takim razie mam nadzieję, że kiedyś nauczysz się zmywać naczynia.

Widzicie? Mama może tylko winić samą siebie. Powinna bardziej się starać, żeby zadowolić Tatę. Może ja będę musiała stać przy drodze i wznosić okrzyki na cześć ferrari.

— Andriju, powiedz mi, co jest takiego niezwykłego w ferrari? — spy-

tałam.

Spojrzał na mnie bardzo poważnym wzrokiem i zmarszczył czoło.

— Widzisz, Irino, myślę, że wszystko sprowadza się do inżynierii. Niektórzy twierdzą, że to *design*, ale ja bym powiedział, że to wysokiej jakości silnik V dwanaście, poprzecznie osadzona skrzynia biegów. Sucha miska olejowa.

— Uhm — odpowiedziałam.

O wiele bardziej lubię, kiedy Andrij opowiada o Sheffieldzie.

Choć był wczesny ranek, słońce prażyło już mocno, a w powietrzu unosił się niezdrowy zapach spalin i rozgrzanego asfaltu. Mimo że samochody jechały jeden za drugim, minęła niemal cała godzina, nim wreszcie ktoś się zatrzymał, żeby nas podwieźć. Kierowca był starszym mężczyzną, prawie całkiem łysym, w okularach z grubymi szklami. Jego samochód też był bardzo stary, z plamami rdzy na drzwiach. Poduszki na siedzeniach były prostokątami gąbki w złachmanionych pokrowcach zrobionych na drutach. Widziałam rozczerowanie na twarzy Andrija.

Wkrótce zorientowaliśmy się, że mężczyzna bardzo dziwnie prowadzi. Bez przerwy gwałtownie zmieniał pas, zjeżdżając to na jedną, to na drugą stronę drogi. Kiedy przyspieszał, samochód skrzypiał i trząsał się, jakby miały mu odpaść koła. Andrij obiema rękami trzymał się pasa. Nawet pies wyglądał na zaniepokojonego. Czasami, gdy wyprzedzaliśmy, mężczyzna naciskał klakson — Bip! Bip! Bip! — i krzyczał:

— Kolejny Niemczur został zestrzelony i w płomieniach spada na ziemię!

— Dlaczego on krzyczy na te samochody? — szepnęłam do Andrija po ukraińsku.

— To niemieckie auta — odparł cicho Andrij. — Volkswagen. BMW.

Moim zdaniem powinno mu się odebrać prawo jazdy.

Mężczyzna spytał, skąd jesteście, a kiedy odparłam, że z Ukrainy, powiedział, że Ukraińcy są dobrymi ludźmi, wspaniałymi sojusznikami, i potrząsnął moją dłońią tak, jakbym to ja osobiście wygrała wojnę, a samochód w tym czasie zjeżdżał to na prawo, to na lewo. Potem minął toyotę i nacisnął kilka razy klakson, krzyząc:

— Małe żółte skurwysyny! — co było dziwne, bo samochód był czerwony.

— Ciekawe, co zrobi, kiedy wyminie ferrari — szepnęłam do Andrija, ale on odpowiedział, że to niemożliwe.

Następnie całkiem niespodziewanie zjechaliśmy z autostrady, objechaliśmy rondo, skręciliśmy w lewo i nagle znaleźliśmy się na wiejskiej drodze.

— Czy to jest droga do Sheffieldu? — spytałam.

— Tak. Tak. Koło Luton. To dla was po drodze.

Przed nami toczył się bardzo wolno stary niebieski Volkswagen polo. Nasz kierowca dogonił go i zaczął trąbić oraz mrugać światłami. Volkswagen wciąż jechał z tą samą prędkością. Nasz kierowca zwiększył obroty i przygotował się, by go wyprzedzić. Andrij i ja wstrzymaliśmy oddech. Droga była zbyt kręta, by zobaczyć, czy nie nadjeżdża coś z przeciwnika. Zaczęliśmy właśnie mijać polo, gdy zza zakrętu drogi wyłonił się wielki szary samochód sunący z dużą prędkością wprost na nas. Nasz kierowca nacisnął hamulec. A potem zmienił zdanie i przyspieszył. Samochód wyrwał gwałtownie do przodu i mijając polo, zajechał mu drogę. Słychać było pisk hamulców. Polo skręciło ostro z drogi, by uniknąć kolizji i dwoma kołami wylądowało w rowie. Szary samochód wpadł w poślizg na przeciwnym poboczu. Nasz kierowca jechał dalej.

— Trafiłem go! — powiedział z satysfakcją.

Rzuciłam okiem na Andrija. Był blady jak ściana.

— Musimy tu wysiąść — mamrotał.

— Przepraszam, proszę się zatrzymać! — krzyknęłam do kierowcy. — Muszę iść do toalety. Natychmiast.

Kierowca zatrzymał się. Andrij i pies wyskoczyli tylnymi drzwiami z naszymi bagażami, a ja przednimi i zaczęliśmy biec drogą tak szybko, jak tylko mogliśmy, aż samochód znikł nam z pola widzenia. Usiedliśmy wtedy na poboczu, czekając, aż przestaniemy się trząść i złapiemy oddech.

I tak utknęliśmy na małej drodze prowadzącej donikąd. Nie mijał nas żaden samochód. Andrij powiedział, że powinniśmy wrócić na autostradę, więc zaczęliśmy iść, z nadzieją, że po drodze złapiemy jakąś okazję, ale nic nie jechało.

Przeszliśmy już chyba kilometr, kiedy natknęliśmy się na niebieskiego volkswagena polo, którego wyprzedziliśmy. Samochód tkwił dwoma kołami w rowie, a kierowca, młoda czarna kobieta, stał obok z dość rozdrażnioną miną.

— Przepraszam panią, czy potrzebuje pani pomocy? — spytał Andrij.

Powiedział to bardzo elegancko, zupełnie jak Mr Brown. Pomyślałam sobie, nieźle, zaraz będziemy mieć pokaz spalonych słońcem męskich mięśni. I tak też było. Kobieta usiadła za kierownicą, a Andrij stanął przed maską samochodu i zaczął pchać — mięśnie jego ramion wybrzuszyły się jak... cóż jak coś bardzo nabrzmiałego. I powoli, powoli samochód znalazł się znów na drodze. Mmm. Nie wyobrażam sobie, żeby Mr Brown był zdolny do czegoś takiego.

Młoda kobieta zaproponowała, że nas podwiezie. Powiedziała, że jedzie do Peterborough i choć był to inny kierunek, zgodziłam się, bo nie chciałam iść aż do autostrady. Oznajmiła, że może nas wysadzić przy A1, która jest główną drogą prowadzącą na północ, i mnie to w zupełności wystarczyło. Andrij i pies znów usiedli z tyłu, a ja z przodu obok niej. Miała słodki zadarty nosek i włosy na całej głowie zaplecione w warkoczyki, które wyglądały jak grządki jarzyn w ogrodzie. Miałam ochotę ich dotknąć, ale nie chciałam jej urazić. Powiedziała, że ma na imię Yateka i jest pielęgniarką na stażu w domu starców.

Kiedy Andrij to usłyszał, bardzo się podniecił.

— Czy masz brata o imieniu Emanuel?

Wyjaśniliśmy jej, że nasz przyjaciel z Malawi ma siostrę, która jest pielęgniarką, ale stracił z nią kontakt.

— W Anglii pełno jest pielęgniarek z Afryki — zaśmiała się. — Więcej jest nas w Anglii niż w Afryce. A ja jestem z Zambii, a nie z Malawi, które zresztą leży w sąsiedztwie. — Potem widząc rozczarowaną minę Andrija, dodała: — Ale tam, gdzie pracuję, jest jedna pielęgniarka z Malawi. Może ona będzie coś wiedzieć, bo przybysze z Malawi trzymają się zazwyczaj razem.

Ustaliliśmy więc, że pojedziemy z nią do Peterborough i spotkamy się z tą pielęgniarką z Malawi. Przez cały czas jechaliśmy bardzo, bardzo wolno — moim zdaniem kobiety są dużo lepszymi kierowcami niż mężczyźni — i mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowy, co było bardzo miłe, bo Yateka była niezwykle rozmowna. Okazało się, że tak naprawdę wcale nie jest stażystką, bo w Zambii prowadziła już przez sześć lat ośrodek zdrowia, ale, by móc pracować w Anglii, musi przejść specjalny staż adaptacyjny. Wy tłumaczyła nam, że nowe przepisy nie pozwalają państwowej służbie zdrowia

zatrudniać pielęgniarek z Afryki, więc Yateka musi odbyć staż adaptacyjny w prywatnym domu opieki.

— Te przepisy są dobre dla Afryki, ale niedobre dla nas, pielęgniarek — powiedziała — bo za pracę w ramach stażu adaptacyjnego dostajemy minimalne wynagrodzenie zamiast pełnej pensji pielęgniarki. A do tego dochodzą jeszcze odliczenia. Podatek. Wyżywienie. Zakwaterowanie. Uniform. Opłata za szkolenie. Opłata agencyjna. Na koniec tygodnia nic mi nie zostaje.

— Wiem coś o tych odliczeniach — powiedziałam. — Jesteśmy zbieraczami truskawek. Zakwaterowanie, wyżywienie, transport, wszystko opłacane z naszych pensji. Wiesz, nie spodziewałam się takiego skąpstwa w Anglii.

— Najgorsza jest opłata agencyjna — stwierdziła Yateka. — Musiałam zapłacić dziewięćset funtów za załatwienie tego miejsca na staż.

— Dziewięćset funtów! — wykrzyknął Andrij z tylnego siedzenia. — To więcej, niż my musimy płacić za podrobione papiery. To pijawki!

— Nightingale Human Solutions. To szakale nie słowiki\*<sup>6</sup>.

— Ale czy jest to tego warte?

— Kiedy znajdę się już w państwowej służbie zdrowia, będę zarabiać w Anglii pięćdziesiąt razy więcej niż w Zambii. To duży problem dla Afryki, bo wszystkie afrykańskie pielęgniarki chcą przyjechać do Anglii i brakuje pielęgniarek do opieki nad chorymi.

— Tak samo jest u nas. Wynagrodzenie zbieracza truskawek w Anglii jest wyższe od pensji nauczyciela czy pielęgniarki na Ukrainie. — Andrij zmarszczył brwi w bardzo zamyślony i intelektualny sposób, co u mężczyzny wygląda niezwykle seksownie. — Ta globalna ekonomia to po-

---

<sup>6</sup> Nightingale Human Solutions (ang.) — Doradztwo Personalne „Słowik”. Jest to firma pana Nightingale, którego nazwisko w języku angielskim oznacza »słowika”.



ważny biznes.

Widzicie? Jest całkiem inteligentny, choć niewykształcony.

— Pochodzicie z Ukrainy?

— Tak, oczywiście. Znasz jakichś Ukraińców? — spytałam.

Yateka powiedziała nam, że jeden ze starszych panów w domu opieki jest Ukraińcem i przez swoje dziwactwa zawsze sprawia mnóstwo problemów.

— Chciałabym, żebyś z nim porozmawiała. Może posłucha, kiedy ktoś przemówi do niego po ukraińsku.

— Oczywiście — odparłam. — Chętnie z nim porozmawiamy.

Byłam ciekawa tych ukraińskich dziwactw.

\*\* \*

Znów stało się to samo. Chciał jechać do Sheffieldu, a jakimś cudem wylądował w domu opieki. Andrij jest trochę zły na Irinę, Yatekę i na samego siebie. Dlaczego nie powiedział po prostu: „nie”?

Dom opieki Cztery Szczyty to duży szary budynek na przedmieściach Peterborough, oddzielony od drogi ścianą wiecznie zielonych drzew. Yateka parkuje samochód i wprowadza ich do środka. Pierwszą rzeczą, na którą Andrij zwraca uwagę, jest zapach — słodkawy, a zarazem agresywny, drażni nozdrza jak nieświeży oddech. Pół tuzina starych kobiet w różnych stadiach zniedołężnienia siedzi w fotelach pod ścianami, drzemiąc z szeroko otwartymi ustami albo po prostu patrząc przed siebie.

— Zaczekajcie tutaj — mówi Yateka. — Poszukam Blessing.

Siadają na ławce z miękkimi siedzeniami i czekają. Powietrze jest ciężkie i stęchłe. Irina wdaje się w dziwną rozmowę z siedzącą obok starszą panią, która bierze ją za swoją bratanicę. Pies idzie śladem jakiegoś dziwnego zapachu, wychodzi na korytarz i znika. Po chwili Andrij wstaje, by go

poszukać.

— Sza! — Wychudzona ręka macha zapraszająco we wpółotwartych drzwiach. — Tutaj.

Andrij wchodzi do małego pokoju. Ten zapach — przypomina mu zapach w klatce na króliki na balkonie ich mieszkania w Doniecku. Na środku pokoju na dywaniku u stóp bardzo starej kobiety siedzi Pies. Kobieta karmi go czekoladowymi biszkoptami z puszki.

— Witaj, młody człowieku. Wejdz. Nazywam się pani Gayle. A ty?

— Andrij Palenko.

— Polak?

— Nie. Ukrainiec.

— Och, wspaniale! Mam słabość do mężczyzn z Ukrainy. Usiądź, proszę. Poczęstuj się biszkoptem.

— Dziękuję, pani Gayle. — Andrij połyka biszkopt w całości i kaszle, bo okruchy utykają mu w gardle. Jest to pierwsza rzecz, jaką ma w ustach od poprzedniej nocy, kiedy zjadł kawałek chleba.

— Zjedz jeszcze jeden.

— Dziękuję.

Andrij siada na krześle, a po chwili nagle uświadamia sobie, że naprawdę jest to pokojowy sedes z tapicerską pokrywą. Zapach króliczej klatki jest wszechobecny.

— Weź dwa.

Kobieta najwyraźniej puszcza do niego oko. A może to tik? Oczy ma małe i wilgotne, zanurzone głęboko w pomarszczonych oczodołach. Jej dłonie są szczupłe i powykęcane jak szpony. Czy ja też kiedyś będę tak wyglądać? — zastanawia się Andrij. To niewyobrażalne.

Przypomina sobie pokój babci, wypełniony od podłogi do sufitu stosami

zatechłych ubrań, w którym wolna przestrzeń, gdzie można było usiąść, coraz bardziej się kurczyła. W miarę jak coraz bardziej chorowała na pęcherz, zapach w pokoju stawał się tak nieznośny, że wejście tam stanowiło problem. Choć jego mama wciąż czyściła i szorowała pokój, rozsypując w nim proszek, zapach króliczej klatki robił się coraz mocniejszy, aż w końcu babcia zmarła i pozostał tylko ten zapach. Trochę podobny do zapachu pokoju pani Gayle. Andrij zaczyna myśleć o przenośnej toalecie, na której siedzi. Co jest pod pokrywą?

— Wiesz, moja córka mnie tu umieściła po śmierci mojego męża. Mówi, że brzydko pachnę. A w twoim kraju, młody człowieku, co się dzieje ze starszymi ludźmi?

— Widzi pani, zazwyczaj mieszkają z rodzinami, ale czasem idą do klasztoru. Żeńskie klasztory są bardzo popularne wśród kobiet prawosławnych.

— Hm! To brzmi dość miło, taki żeński klasztor. — Pani Gayle skubie biskopt tym, co zostało po jej zębach. — Towarzystwo. Dach nad głową. Żadnej dyrektorki, która by tobą dyrygowała. A jedynym mężczyzną, o którego musisz się martwić, jest Pan Jezus... — szuka czegoś w torebce i wyjmuje paczkę papierosów — ...który jest zapewne dużo mniej wymagający od nieboszczyka męża. I zapewne mniej od niego pije. — Znow sięga do torebki. — Masz ogień?

— Nie. Przykro mi. Ja nie...

— Znajdziesz pudełko zapalek w pokoju Złotej Rączki. Na końcu korytarza, schodami w dół i na lewo. Złotej Rączki teraz tam nie ma.

Pokój Złotej Rączki to nora pełna starych kawałków drewna, mebli czekających na naprawę, zapomnianych urządzeń, części bliżej nieokreślonych maszyn i tak dalej, a w szafce na jednej ze ścian wisi dość intere-

sująca kolekcja narzędzi. Andrij stoi chwilę w drzwiach. Złotej Rączki nie ma w zasięgu wzroku. Na stoliku przy drzwiach leży paczka papierosów, długa zakrzywiona fajka i pudełko zapalek. Andrij waha się. Wreszcie bierze zapalki, chowa je do kieszeni i wraca na górę.

Na drzwiach prowadzących na korytarz wisi znak zakazu palenia.

— Pani Gayle, przepraszam. Czy wie pani o zakazie palenia?

— Ha! Zupełnie jakbym słyszała moją córkę! Zawsze stara się powstrzymać mnie przed paleniem. Muszę tu palić... nie mogę znieść tego smrodu. Masz zapalki?

Andrij waha się. Pani Gayle celuje w niego swoją laską.

— No dalej, młody człowieku. Pozwól starej kobiecie zaznać trochę przyjemności.

Podaje jej zapalki. Pani Gayle zapala papierosa i natychmiast zaczyna kaszleć.

— Moja córka umieściła mnie tutaj, bo jestem komunistką, wiesz. — Kaszel. Kaszel. — Tak, wsadzono mnie do więzienia za poglądy polityczne.

— Nie! — Czy to możliwe? Czy w Anglii mogą dziać się takie rzeczy?

— Tak. Mąż córki jest maklerem giełdowym. Skromnym potomkiem jakiejś tam arystokracji. Nikczemny człowiek. Teraz jestem tutaj, a oni mieszkają w moim domu. — Jej lewa powieka drga.

— Jak to możliwe?

— Tak, chciałam przekazać go Międzynarodówce, ale zabrali mi dom. Dali mi do podpisania jakiś papier. Powiedzieli pracownikom opieki społecznej, że jestem szalona. — Pani Gayle jest tak poruszona, że wyciąga drugiego papierosa z paczki, zapala go i zaczyna kopcić, choć pierwszy papieros wciąż tli się w popielniczce. — Czyja wyglądam na szaloną?

— Nie. Bardzo nieszalona, pani Gayle.

— Ale nie wiedzą o jednym: że wracam do domu. Ponownie wychodzę za mąż i wracam do domu. — Krztusi się. — Jesteś żonaty, młody człowieku? — Znów puszcza oko. A może to tik? Andrij czuje przyływ paniki. Kręci głową. Pani Gayle zaciąga się kilka razy papierosem, kaszle raz czy dwa i mówi dalej: — Tak, pan Mayewski z pokoju numer dziewięć. Ukraiński dżentelmen. Poznałeś go już?

Mały pokoik jest już teraz całkiem zadymiony. Z korytarza na pewno da się to wyczuć. Jeżeli ktoś ich przyłapie, mogą mieć kłopoty. Andrij wyciąga rękę, by zgasić papierosa w popielniczce, ale pani Gayle łapie go pierwsza i wtyka sobie do ust razem z drugim papierosem.

— Nie, nie wolno, młody człowieku — pani Gayle zniża głos do poufalego szeptu, kopiąc równocześnie oba papierosy. — Ma niebywałe libido jak na dziewięćdziesięciodwuletniego mężczyznę, wiesz. Tak, oni jeszcze o tym nie wiedzą, ale pobieramy się i zamierzamy zamieszkać w moim domu.

— To będzie miła niespodzianka dla pani córki.

— To będzie niespodzianka. Ale nie wiem, czy miła.

\*\* \*

Kiedy czekałam na Yatekę i Andrija, usłyszałam czyjeś wołanie o pomoc. Potrzebował jej stary mężczyzna z pokoju numer dziewięć. Aparat słuchowy wypadł mu na podłogę, więc pomogłam mu go znaleźć. Okazało się, że to on jest tym ukraińskim pensjonariuszem, o którym mówiła Yateka. Włożył aparat słuchowy i wdaliśmy się w długą rozmowę o Ukrainie, o tym, jak tam było za jego czasów i jak jest teraz. Potem odchrząknął i wygłosił długi wykład na temat źle funkcjonujących podnośników hydraulicznych i innych problemów inżynierskich, a na koniec złapał mnie za rękę, powiedział, że mam śliczną figurę i spytał, czy wyjdę za niego za mąż.

Odparłam żartobliwie, że nie mogę wyjść za niego za męża, bo zgadzam się z Tołstojem, że żona powinna podzielać zainteresowania męża, a mnie nigdy nie będzie pasjonowała hydraulika.

— Oj, oj! — wykrzyknął, waląc się w czoło. — Mam też inne zainteresowania. Interesuje cię sztuka albo filozofia, albo poezja, albo traktory?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, zaczął recytować zagadkowy poemat Majakowskiego o miłości i przeznaczeniu, ale po kilku wersach utknął i bardzo wzburzony zaczął szukać czegoś wśród swoich książek. Wyszłam więc poszukać Yateki.

Yateka uspokoiła pana Mayewskiego i przyniosła mu filiżankę herbaty. Potem zrobiła herbatę dla nas. Wypiliśmy ją, siedząc w ogrodzie. To dziwne, bo w Kijowie nie znałam żadnych Afrykanów, a Yateka jest po Emanuelu drugą osobą z tego kontynentu, z którą się zaprzyjaźniłam w Anglii. Kiedy powiedziałam jej o matrymonialnej propozycji pana Mayewskiego, złapała mnie za rękę i zaczęła się głośno śmiać.

— Teraz już rozumiesz, co miałam na myśli, mówiąc o dziwactwach — powiedziała. — Ten biedny starzec. Odkąd zabrali mu skrzynię biegów, zrobił się jeszcze bardziej nie zrównoważony psychicznie.

— Skrzynię biegów?

— Miał jakąś skrzynię biegów w pokoju. Nie powiedział ci o tym? Mówił, że to szczątek jego ukochanego motocykla.

— Dlaczego mu ją zabrali?

— Dyrektorka powiedziała, że to niehigieniczne trzymać skrzynię biegów w pokoju.

— A co jest niehigienicznego w skrzyni biegów?

— Nie wiem — odparła Yateka. — Ale z dyrektorką nie sposób dyskutować. Nie wiesz, jaka ona jest.

— Nie widzę nic złego w skrzyni biegów. Pozwoliłabym mu ją zatrzymać.

Yateka zachichotała.

— Byłabyś dla niego idealną żoną. Może powinnaś przyjąć jego propozycję. Bardzo by go to uszczęśliwiło. A za kilka lat miałabyś brytyjski paszport i spadek.

— Wiesz, Yateko, nie wszystkie Ukrainki usiłują wyjść za mąż dla pieniędzy. — Pomyślałam, że te stereotypy na temat kobiet z Ukrainy są bardzo niemile. Skąd to się bierze?

— A co w tym złego? W moim kraju jeśli młoda dziewczyna może wyjść za mąż za zamożnego mężczyznę, jest to dobre dla całej rodziny. Wszyscy są szczęśliwi.

W dzisiejszych czasach może się zdarzyć, że dziewczyna zarazi się AIDS, co w moim kraju jest okropną tragedią. Ale z panem Mayewskim to nie grozi — dodała szybko. — Jedyńm problemem są jego dwie córki. To nie są miłe osoby. Już trzy razy interweniowały, by powstrzymać go przed małżeństwem.

— Naprawdę? Miał już trzy narzeczone?

— Może martwią się z powodu spadku?

— To on pozostawi jakiś spadek?

— Mówił, że jest milionerem. — Zamrugła ciemnymi oczami. — I napisał słynną książkę. Historię traktorów.

Mogłam uwierzyć w to, że napisał historię traktorów. Ale muszę powiedzieć, że nie za bardzo wyglądał na milionera. Ani nie pachniał jak milioner.

— Ale może ty już masz ukochanego — Yateka puściła oko.

— Może — odparłam, nonszalancko wzruszając ramionami.

— Wiesz, możesz tu zostać, ile tylko chcesz. Na strychu jest wolny pokój,



w którym z powodów bezpieczeństwa nie można ulokować żadnego pensjonariusza. Od lat stoi pusty.

Znów spojrzała na mnie z błyskiem w oku. Czułam, że się rumienię. Pokoje na strychu są niesamowicie romantyczne.

W końcu okazało się, że pielęgniarka z Malawi nie jest siostrą Emanuela, choć trochę go przypomina, myśli Andrij: niska, o drobnej budowie ciała, z okrągłą, lśniąca buzią. Ma na imię Blessing.

— Przykro mi, że sprawiam ci zawód. — Jej olśniewający uśmiech również przypomina mu Emanuela.

Siedzą w pokoju pielęgniarek. Yateka i Blessing mają właśnie przerwę na herbatę.

— Ale może znasz jakieś inne pielęgniarki z Malawi? — mówi Yateka.

— Wiesz, moja kuzynka była w domu opieki w Londynie, który został zamknięty z powodu skandalu. Właściciel kradł pieniądze pensjonariuszy. Było tam kilka pielęgniarek z Malawi. Wszystkie straciły pracę. Agencja znalazła im nową pracę, ale oczywiście musiały uiścić opłatę agencyjną. Nightingale Human Solutions.

Yateka marszczy nos. Ma mały okrągły nosek, który lśni niczym kawałek wypolerowanego drewna. W zasadzie to całkiem ładny nos.

— Chcesz, żebym zapytała kuzynkę? — pyta Blessing.

— Tak, bardzo proszę. Dam ci numer telefonu, pod którym zatrzymał się Emanuel. Może z twoją pomocą brat i siostra się połączą. — Andrij zapisuje adres i numer telefonu domu w Richmond na kawałku papieru i podaje go Blessing.

Kolejna przyjemna myśl zaczęła plątać mu się po głowie. Słyszał, że podobno czarne kobiety mają niesamowity temperament, ale nigdy dotąd

nie miał okazji, by się o tym samemu przekonać. Może teraz się nadarzy? Ta drobna pielęgniarka z Malawi, przypominająca model coupe, ma całkiem urzekający uśmiech. A ta druga — Yateka — wystarczy popatrzeć, jak się porusza, ponętne krągłości jej zgrabnych nóg, podkreślone tymi topornymi sznurowanymi pantoflami, które noszą pielęgniarki, to jej kołysanie biodrami w nieco za ciasnym uniformie. Musisz przyznać, że kobiety w uniformach są niezwykle seksowne.

Przestań! Przestań, Andriju Palenko! Daj spokój z tymi głupotami. Masz tu u boku uroczą pierwszorzędną ukraińską dziewczynę, a pozwalasz, by myśli odpływały ci gdzieś w pogoni za innymi kobietami. Kiedy drogi się rozwidlają, to bez względu na to, którą wybrałeś, możesz jechać tylko jedną z nich. Do widzenia afrykańska Yateko. Do widzenia Vagvago Riskegipd. Do widzenia i Bóg z tobą? Czy do widzenia i do zobaczenia? Andriju Palenko, co się z tobą dzieje? Do widzenia to do widzenia. *End of story*. A jednak... A jednak tak naprawdę to nie pożądanie sprawia, że powiedzenie tego ostatniego „do widzenia” jest tak trudne, ale ciekawość. Nigdy się nie dowiesz, dokąd zaprowadziłaby cię ta druga droga. Nigdy się nie dowiesz, co skrywa ten obcisły, świeżo wyprasowany uniform, nigdy się nie dowiesz, czy ten dawny pocałunek zachował się w jej pamięci tak samo jak w twojej. Nigdy się nie dowiesz, co by się stało, gdybyście znów się spotkali.

Głos Iriny wyrywa go nagle z zadumy. Mówi o czymś niezwykle interesującym.

— Uważam, że zostało nam tylko jedno wyjście — mówi Irina. — Musimy oddać panu Mayewskiemu tę skrzynię biegów.

—Skrzynię biegów?

— Yateka powiedziała mi, że trzymał ją w pokoju. Ukochany relikwiarz starego motocykla. Ale dyrektorka znalazła ją i zabrała. Odtąd stał się nie-

zrównoważony.

— Coś takiego wystarczy, by każdy mężczyzna zwariował.

— Myślę, że gdyby dostał z powrotem tę skrzynię biegów, zachowywałby się normalnie.

— Masz rację, Irino.

Czasami trzeba pozwolić kobiecie, by myślała, że marację.

**\*\* \***

**JESTEM PSEM JESTEM SMUTNYM PSEM MÓJ PAN JEST ZAKOCHANY W TEJ GŁUPSZEJ OD OWCY KOBIECIE JEGO GŁOS JEST ZACHRYPLY I MIĘKKI JEGO SIKI SĄ MĘTNE PACHNIE HORMONAMI MIŁOŚCI ONA TEŻ PACHNIE HORMONAMI MIŁOŚCI WKRÓTCE SKOJARZĄ SIĘ W PARĘ ON NIE BĘDZIE JUŻ MIEĆ MIŁOŚCI DLA PSA JESTEM SMUTNYM PSEM JESTEM PSEM**

**\*\*\***

— Bill, nasza Złota Rączka, będzie pewnie wiedzieć, gdzie jest skrzynia biegów — mówi Yateka. — Dyrektorka prosiła, żeby ją zabrał.

Bill wrócił już do pokoju w suterenie i przegląda gazetę. Jest niskim przysadzistym mężczyzną o łysej głowie i krótko przyciętych wąsach. Kiedy Andrij wchodzi, podnosi głowę znad gazety.

— Znów mi gwizdnęły zapalki. Te stare babska. Nie można mieć do nich zaufania. Banda cholernych piromanek. Kim ty w ogóle jesteś?

— Szukam skrzyni biegów pana Mayewskiego. Prosił o nią.

Bill traktuje to jako wyrzut.

— To nie był mój pomysł, żeby mu ją zabrać. Robię to, co każe dyrektorka.

Ma zirytowaną minę, ale jego wzrok pada wtedy na psa.

— To twój pies?

— Tak, to mój pies. Pies.

— Miałem kiedyś takiego. Mieszaniec. Nazywał się Spango. Świetny szczurołap.

Bill rozsiada się wygodnie na krześle i podaje Andrijowi gazetę, którą przed chwilą czytał.

— Co o nich sądzisz?

Młoda kobieta z obnażonymi piersiami i jasnymi włosami uśmiecha się do kamery. Andrij przygląda się zdjęciu. Światło w piwnicy jest przyćmione. Właściwie ta kobieta bardzo przypomina jego ostatnią dziewczynę, Lidię Zakanowkę. Czy to może być ona? Andrij przygląda się uważniej. Czyżby Lidia przyjechała do Anglii? Czy na lewym ramieniu miała taki pieprzyk?

— Ładne, nie? Lepsze od mojej starej. Powinieneś zobaczyć te z zeszłego czwartku. Wspaniałe. — Bill mruczy przyjacielsko. — Możesz je zatrzymać. Skończyłem z tym. Kiedy tylko chcesz, możesz tu przyprowadzić swojego psa.

— Dziękuję. — Andrij wkłada gazetę pod pachę. Będzie musiał przyrzec się zdjęciu w świetle dnia.

— Czy twój pies pije herbatę? Spango był wielkim miłośnikiem herbaty. Masz tu, chłopcze...

Bill sięga po kubek, na którego dnie zostało trochę zimnej brązowej herbaty, i wylewa jego zawartość do miski. Pies macha ogonem i zaczyna pić, głośno przelykając. Andrij przygląda się zafascynowany. Po raz pierwszy uświadamia sobie, jak niewiele wie o Psie. Wcześniej wykonał siad, prosząc o czekoladowe biszkopty. A teraz pije zimną herbatę, siorbiąc

i wylizując miskę w ekstazie. Skąd się wzięło to stworzenie? Jak to możliwe, że zjawił się tak tajemniczo w środku nocy? Od czego uciekał? Dlaczego wybrał akurat ich?

Tymczasem Bill szpera w kącie pokoju i po chwili wraca z czymś małym i ciężkim, owiniętym w nasączone oliwą szmatki i schowanym w plastikowej torebce.

— To musi być ta skrzynia biegów. Powiedziała, żebym ją wyrzucił. Ale jak można coś takiego zrobić, no nie? Nie mów jej, skąd to masz.

— Dziękuję. Psu smakuje twoja herbata.

Andrij wraca na górę ze skrzynią biegów. W pokoju pielęgniarek nikogo nie ma, więc odsuwa krzesło i siada, czekając. Teraz niepokoi go coś innego. Ten pieprzyk — czy Lidia Zakanowka miała w tym miejscu pieprzyk? Rozkłada gazetę, żeby lepiej się przyjrzeć. Hm. Ewidentnie dziewczyna wygląda jak Lidia. Rany boskie! Co ona robi w Anglii? W jasnym świetle pokoju pielęgniarek Andrij widzi wyraźnie. Nie, ta dziewczyna jest chyba bardziej pulchna.

Lidia przypominała raczej kabriolet. I pomyśleć tylko, że stracił na nią cztery lata życia! Co za głupiec z niego. Całe szczęście, że nie zaszła w ciążę. Ta dziewczyna na zdjęciu to dopiero coś. Ładne kształty. Nie za szczupła. Ale czy to Lidia?

— Co oglądasz?

Andrij podskakuje na krześle. Yateka stoi tuż za nim. Musiała wejść tu na palcach w tych swoich bardzo, bardzo miękkich pantoflach. Marszczy czoło. Andrij zrywa się na równe nogi i szybko zamyka gazetę. Czy widziała? Oczywiście, że tak. Co za pech.

— Mam skrzynię biegów, Yateko — Andrij uśmiecha się żałośnie.

— Tak szybko? — Yateka ma surowy wyraz twarzy. Jej uniform jest tak

odprasowany, że wydaje się, iż w każdej chwili może pęknąć. Andrij czuje, że zalewa się rumieńcem.

— Mam ją zanieść panu Mayewskiemu?

— Lepiej poczekajmy z tym do jutra. Zbliża się już jego pora snu. Jak się za bardzo podekscytuje przed snem, może zrobić się uciążliwy.

— Co to znaczy uciążliwy?

Jej twarz się rozluźnia. Uśmiecha się do niego.

— No wiesz, ten Ukrainiec stale szuka żony. Pani Gayle, panna Tollington, pani Jarvis. Wszystkie mówiły mi, że prosił je o rękę. I wszystkie trzy się zgodziły. A teraz... — Yateka odwraca się na pięcie i zanosi się śmiechem. Śmieje się tak bardzo, że musi uchwycić framugę drzwi, by utrzymać równowagę. — A teraz jeszcze Irina.

— Irina?

— Tak, poprosił Irinę o rękę. Myślę, że się zgodzi.

— Irina?

— Małżeństwo z nim byłoby dla niej bardzo korzystne; Brytyjski paszport. No i dostanie po nim spadek.

— To niemożliwe.

Yateka uśmiecha się.

— W miłości wszystko jest możliwe.

W tym momencie dzwoni dzwonek. Yateka łapie swoją torbę i cicho odchodzi w miękkich pantoflach.

\*\* \*

Żwirowana alejka prowadziła pomiędzy grządkami róż na niżej położony trawnik do sekretnego, ukrytego za kręgiem wawrzynów miejsca z zegarem słonecznym i dwiema ławkami.

— Możecie tu posiedzieć — powiedziała Yateka. — Kończę o siódmej.

Wtedy zaprowadzę was do pokoju na poddaszu.

Wciąż było ciepło, ale na niebie gromadziły się ciężkie chmury, a w ogrodzie poza nimi nikogo nie było. Czuło się nadciągającą burzę, liście wawrzynu zwijały się od gorąca. Niewiadomo skąd zjawił się pies i zaczął iść za nami, puszczać obrzydliwe bąki. Co on takiego zeżarł? Dlaczego nie może zostawić nas w spokoju?

Andrij usiadł na jednej z ławek, a ja obok niego. Miałam wrażenie, że jest nie w humorze. Zastanawiałam się, czy zrobiłam coś, co go mogło zdenerwować. Mężczyzna w złym nastroju nie jest zbyt atrakcyjny.

— Chcę omówić z tobą pewien problem — oznajmił. — Problem miłosny. Chodzi o relacje męsko-damskie.

Och, nareszcie, pomyślałam, a moje serce zaczęło bić coraz szybciej. I wtedy Andrij powiedział:

— Pan Mayewski, ten stary drań, zaproponował małżeństwo trzem starszym paniom i wszystkie się zgodziły. — Andrij ma zwięzione oczy i spogląda na mnie nieprzyjemnym wzrokiem. — A teraz dowiaduję się, że właściwie oświadczył się czterem. I że ty również, Irino, znalazłaś się pod jego urokiem. Czy to prawda?

Co ta okropna Yateka mu naopowiadała? Wzruszyłam nonszalancko ramionami.

— Irino, nie możesz uśmiechać się słodko do każdego napotkanego mężczyzny.

To naprawdę mnie rozzłościło. Dlaczego uważa, że ma prawo mnie pouczać?

— Mogę się uśmiechać, do kogo tylko zechcę.

Wtedy powiedział zdecydowanie prostackim tonem:

—Jeśli będziesz tak robić, to skończysz, wykonując za dwadzieścia



funtów masaż całego ciała jednemu z tych mobilfonowych klientów Witalija.

Byłam zszokowana. Dlaczego mówi mi takie straszne rzeczy? Myślałam, że tylko droczy się ze mną, a teraz okazuje się, że on mówi całkiem poważnie.

— Witalij nie żyje — powiedziałam.

—Nie, świat jest pełen Witalijów. Ty ich po prostu nie widzisz, Irino.

— O czym ty mówisz, Andriju?

—Mężczyźni, do których się uśmiechasz, Irino... niektórzy z nich nie są przyzwoitymi ludźmi.

Och, więc wciąż jest zły za ten dwudziestofuntowy banknot, pomyślałam.

— Pan Mayewski nie jest złym człowiekiem.

—To zwykły kawał drania — Andrij zmarszczył czoło. — Zamierzasz wyjść za niego za mąż?

—To moja sprawa. Sama mogę decydować o własnym życiu. Nie potrzebuję, by mnie ktoś pouczał.

—Jesteś ślepa, Irino. Nie widzisz, co się dzieje na tym świecie.

— Na przykład? Czego takiego nie widzę?

—Ten cały świat *mobilfonów*. Biznesmeni kupujący i sprzedający ludzkie dusze. Nawet twoją, Irino. Nawet ciebie kupują i sprzedają.

—Nikt mnie nie kupuje ani nie sprzedaje. Sama zdecydowałam, że pojedę na Zachód.

Pomyślałam, że jeśli będzie tak dalej mówić, to może najbliższa noc nie będzie jednak *tą nocą*.

— Zachód niczym się nie różni. Ta pomarańczowa rewolucja, którą tak bardzo lubisz, nie była niczym innym jak kolejną biznesową promocją w stylu Witalija. Jak myślisz, kto zapłacił za te wszystkie pomarańczowe

flagi, transparenty, namioty i muzykę na placu?

Co go, u diabła, napadło? Myślałam, że pospacerujemy po ogrodzie albo może porozmawiamy o czymś romantycznym, to byłoby miłe, a tymczasem on zaczyna głądzić o polityce. Może tak to się zaczęło między Tatą a Swietłaną Soroką. Nie, z nimi pewnie było na odwrót — najpierw polityka, potem romans. Cóż, jeśli on może rozprawiać o polityce, to ja również.

— Skoro mamy o tym rozmawiać, Andriju, bądźmy uczciwi wobec samych siebie. Nikt nie zapłacił moim rodzicom za to, że tam byli. Poszli, bo chcieli, by Ukraina uwolniła się od Rosji. Żebyśmy mieli naszą własną demokrację, a nie taką, jaka narzuca Kreml.

— Zamienić Kreml na Stany Zjednoczone.

— To rosyjska propaganda, Andriju. Dlaczego tak bardzo boisz się prawdy? Nawet jeśli rząd się nie zmieni, najważniejsze jest to, abyśmy my się zmienili. Nikt już nie będzie uważał, że wszystko nam się należy. Nareszcie naród zyskał historyczną szansę podjęcia walki o wolność, a my możemy w tym uczestniczyć albo stanąć z boku. — Czy to fragment przemówienia Taty, czy Swietłany Soroki?

— Jaki pożytek z wolności, gdy nie ma ropy ani gazu? — spytał Andrij z szyderczym uśmiechem.

— Jako wolny naród być może będziemy mogli przystąpić do Unii Europejskiej.

— Oni nie są nami zainteresowani, Irino. Dla nich ważne są tylko nowe perspektywy biznesowe.

Poucza mnie z tym swoim śmiesznym donbaskim akcentem, jakbym była półgłówkiem.

— A jak myślisz, kto zapłacił za autokary, które przywiozły was z Donbasu, co?

— To wszystko propaganda zachodnich mediów. Jesteś naiwna, Irino,

wierzysz we wszystko, co powie jakiś facet z *mobilfonem*. Myśleliście, że jesteście reżyserami, a tymczasem byliście tylko statystami.

– Ale nie szliście na piechotę, prawda? Wy, górnicy z Donbasu?

– Ha! Teraz słyszymy typowy głos burżujskiej uczennicy!

Jego ton zrobił się ostry i sarkastyczny.

– Nie jestem uczennicą!

Nie wiem, co mnie wtedy napadło. Miałam po prostu ochotę go uderzyć. Chciałam zdzielić go pięścią w tę zadowoloną z siebie głupią gębę. Ten idiotyczny uśmieszek świadczący o poczuciu wyższości — z czego on się tak cieszy? Chciałam po prostu pozbawić go tego uśmiechu. Nie mogłam się powstrzymać — zamachnęłam się ręką. Ale on złapał mnie za nadgarstek i przytrzymał moją dłoń. Nie chciał puścić. A potem przyciągnął mnie do siebie, objął ramionami i sekundę później już mnie całował w usta, wargami i językiem.

I obejmował mnie coraz mocniej tak bardzo, że traciłam oddech, a serce waliło mi w piersiach jak skrzydła ptaka, który walczy, by lecieć dalej mimo burzy. Niebo i chmury kręciły się i wirowały nad moją głową, aż w końcu nie wiedziałam już zupełnie, gdzie jestem. Ale moje serce wiedziało, że jestem tam, gdzie chciałam się znaleźć.

\*\* \*

Zapadła noc. Chmury się rozwiały i przez okna na poddaszu, pod którym stoi żeliwne łóżko, Andrij widzi łowcę Oriona, jaśniejącego na południowej części nieba, jego wysadzany klejnotami pas, jego sztylet, a obok lśniącego Syriusza. Na podłodze przy łóżku leży jego wiemy pies, niemal równie lśniący, i posapuje przez sen.

Irina jest w łazience na końcu korytarza i bierze prysznic. Jest tam już od pół godziny. Co ona może tam robić tyle czasu?

Jak dotąd wszystko jest tak, jak być powinno. Wszystko idzie prawidłowo. Zmieniłeś płynnie bieg z drugiego na trzeci, a teraz musisz tylko nabrać trochę prędkości i delikatnie wrzucić czwórkę, nie przeskakując przy tym zniemacka na wsteczny. Nie, Andriju Palenko, to jest więcej niż prawidłowe, to jest wprost fantastyczne. Ta dziewczyna, ta Irina, nie jest żadnym zazem — tak słodka, tak delikatna, w jednej chwili roztapia się w twoich ramionach jak płatek śniegu, a potem rozpala cię jak ogień, aż sam już nie wiesz, czy zamarzasz, czy płoniesz, wiesz tylko, że chcesz więcej. I choć ona nie wie jeszcze, co się dalej wydarzy, jej ciało w jakiś sposób jest tego świadome. Czujesz to, więc ona też to czuje. Jak spragniony deszczu ogród.

I choć wiesz, że między wami dojdzie jeszcze do wielu nieporozumień, które trzeba będzie załagodzić — ponieważ ta dziewczyna, ta Irinoczka, jest jeszcze młodziutka i myśli, że wszystko wie; żyła jak pod kloszem w bardzo mieszczańskiej rodzinie, jej doświadczenia są bardzo ograniczone, wiele jeszcze musi się nauczyć i — spójrzmy prawdzie w oczy — wygaduje głupstwa, to przecież nie ma pośpiechu, masz całą wieczność, by poddać Irinę reedukacji. I choć potrafi być równie uparta jak sprytna, nie jest głupia. Całkiem przeciwnie. Już zaczęła interesować się ferrari i proszę, jak ładnie rozwiązała problem tej skrzyni biegów. Tak, zdecydowanie zrobiłeś dobry wybór.

Andrij patrzy przez okno na gwiazdy. Czemu to trwa tak długo? Jego myśli odpływają ku wydarzeniom minionego dnia i bez żadnego szczególnego powodu zaczyna myśleć: pokój dwadzieścia sześć, pokój pani Gayle, znajduje się bezpośrednio pod tym — dwa piętra niżej. Czy ona wciąż tam pali? Andrij ma wrażenie, że z dołu dochodzi słaby zapach dymu. Zapalki — co to było za słowo, którego użył Złota Rączka? — nie powinien

zostawiać jej zapalek. Czy na strychu jest wyjście przeciwpożarowe? Gdyby tamten pokój zajął się ogniem, ile osób śpiących w tym domu dożyłoby następnego ranka?

W tym momencie otwierają się drzwi. Irina wchodzi do pokoju, stąpa lekko bosymi stopami. Jest naga, nie licząc ręcznika, który owinęła wokół głowy niczym turban, i drugiego małego ręcznika, który owinęła wokół ciała. Bardzo, bardzo małego ręcznika. Podchodzi do Andrija. Jej nogi i ramiona zaróżowiły się pod wpływem gorącej wody, a jej policzki płoną. Pachnie cudownie. Andrij szeptem wymawia jej imię.

— Irinoczka!

Ona uśmiecha się nieśmiało. On również się uśmiecha. Wyciąga rękę, by jej dotknąć. Całe jego ciało zalewa blask. Chwileczkę — jednej części ciała nie zalewa blask — tej najbardziej męskiej. Stamtąd blask jakby całkiem odpłynął. Dlaczego? Co się z tobą stało, Palenko?

W tej samej chwili budzi się Pies i zaczyna wciągać nozdrzami jakiś zapach unoszący się w powietrzu. Wydaje z siebie groźny pomruk, długi i niski. Znów węszy, a potem zaczyna szczekać jak oszalały.

\*\*\*

**JESTEM PSEM JESTEM PSEM WĘSZĘ WYCZUWAM DYM  
CZŁOWIECZY DYM OGIEŃ DYM WYCZUWAM OGIEŃ PAPIER  
OGIEŃ DREWNO GUMA UBRANIA ŁÓŻKO ZŁY OGIEŃ DYM  
OGIEŃ ODGŁOS TRZASK TRZASK SZCZEKAM HAU HAU  
SZCZEKAM DO MOJEGO PANA HAU HAU HAU MÓJ PAN  
BIEGNIE POMOCY POMOCY OGIEŃ KRZYCZY DOBRY PIES  
MÓWI ŻE JESTEM DOBRYM PSEM SZCZEKAM A ON KRZY-  
CZY DZWONKI ZACZYNAJĄ DZWONIĆ WSZYSCY BIEGAJĄ  
DRZWI SĄ OTWARTE WSZYSCY STARUSZKOWIE ZACZY-**

**NAJĄ BIEC KTOŚ ZACZYNA SIKĄĆ WSZĘDZIE CZUĆ STARUSZKÓW SIKI OGIEŃ I SIKI STARUSZKÓW WSZYSCY STARUSZKOWIE STOJĄ W OGRODZIE MÓWIĄ MÓWIĄ MÓWIĄ NADJEŹDŹA WIELKI CZERWONY WÓZEK NA KÓŁKACH UOOO UAAA UOOO UAAA WÓZEK JEST PEŁEN WODY WÓZEK SIKI NA OGIEŃ SSSSSSS OGIEŃ ZNIKA STARUSZKOWIE SIĘ ŚMIEJĄ MÓJ PAN SIĘ ŚMIEJE DOBRY PIES MÓWI JESTEM DOBRYM PSEM JESTEM PSEM**

**\*\* \***

Panią Gayle wyrzucono z domu. Drzwi do jej pokoju stoją otworem. Andrij zagląda do środka. Cały pokój jest czarny od dymu. Mały dywanik, na którym wczoraj siedział Pies, zajadając się czekoladowymi biszkoptami, jest cały zwęglony, nawet brzegi kołdry noszą ślady ognia. Naprawdę pani Gayle miała dużo szczęścia, że udało jej się uciec. Dobry Pies.

Pokój pana Mayewskiego znajduje się dalej w głębi tego samego korytarza. To małe zabałaganione pomieszczenie, porozrzucane książki i papiery zajmują niemal całą przestrzeń, a w powietrzu unosi się wszechobecny zapach króliczej klatki i odświeżacza powietrza. Momentami zapach króliczej klatki wydaje się bardziej intensywny, potem przez chwilę dominuje odświeżacz. Teraz doszła do tego lekka nuta złowieszczonego dymu.

— Och, kochanie! — woła pan Mayewski.

W pierwszej chwili Andrij jest przekonany, że pan Mayewski zwraca się do niego, ale staruszek nie odrywa oczu od skrzyni biegów, którą Andrij trzyma w rękach.

— To skrzynia od Francisa Bameta rocznik tysiąc dziewięćset trzydzieści siedem. Moja pierwsza miłość.

— Ale nie ostatnia, panie Mayewski — Andrij stara się przybrać surowy ton. — Słyszałem, że podbił pan wiele serc w Czterech Szczytach.

— Tak, to nieuniknione — staruszek uśmiecha się promiennie.

Jest całkiem łysy, w ogóle nie ma zębów, jego pomarszczona skóra obwisa luźnymi fałdami zmarszczek. Siedzi na wózku inwalidzkim, a mocz ścieka plastikową rurką wzdłuż jego nogi do woreczka. Zatem to jest jego rywal. A jednak emanuje z niego tak nieokiełznana energia, że Andrij czuje jej magnetyzm.

— Jaka to przyjemność porozmawiać po ukraińsku. — Podekscytowany pan Mayewski wychyla się ze swego wózka. — Ach! Taki piękny język, którym równie gładko można mówić o poezji, jak i o nauce. Zgaduję po akcencie, młodzieńcze, że pochodzisz z Donbasu? I przejechałeś taki szmat drogi, by oddać mi skrzynię biegów? Zastanawiam się, jak ona tam trafiła. Ci afrykańscy oszuści musieli ją ukraść

i wymienić na wódkę. — Ciągnie dalej swoje wywody, nie dając Andrijowi dojść do słowa. — A ta nowa młodziutka Irina też jest z Ukrainy. To moja ostatnia miłość. Co za uroda! Jaka figura! Nawiasem mówiąc, to bardzo kulturalna Ukrainka. Poznałeś ją?

— Tak, poznałem. W istocie jest bardzo kulturalna. Ale...

— Stop! — Staruszek unosi sękatą dłoń. — Wiem, co powiesz. Jest dla mnie za młoda. Ale ja widzę to inaczej. Znalezienie zarówno mądrości, jak i urody w jednej osobie rzadko się zdarza. Jednakże w małżeństwie jest to możliwe.

— Myśli pan o małżeństwie?

— Oczywiście. Uważam, że to nieuniknione.

Nieuniknione? Co też ta Irina mu naopowiadała? Może

wcale nie jest taka niewinna, jak się wydaje. Ten uśmiech — kogo



jeszcze nim obdarzyła? Co za głupiec z ciebie, Andriju Palenko, że myślałeś, iż ten uśmiech jest zarezerwowany specjalnie dla ciebie.

— Ale wcześniej proponował pan małżeństwo pani Gayle i dwóm innym paniom. I wszystkie się zgodziły.

— Ach — macha ręką, a na jego twarzy pojawia się bezzębny uśmiech. — To były tylko przelotne miłości.

— Panie Mayewski, to nieelegancko proponować małżeństwo naraz tak wielu paniom.

Staruszek wzrusza ramionami z takim uśmieszkiem samozadowolenia, że Andrij ma ochotę rąbnąć starego capa w nos. Panuj nad sobą, Palenko. Bądź mężczyzną.

— Kobiety to słabe istoty i łatwo je skusić, panie Mayewski. Wykorzystywanie ich słabości jest nieeleganckie.

— Widzisz, nie ma tu innych mężczyzn, którzy mogliby je kochać. — Staruszek wciąż ma ten uśmieszek na twarzy. — Poza tobą oczywiście. Nawiasem mówiąc, o tobie też słyszałem pewne plotki.

— Plotki o mnie? — Andrij czuje w piersiach przyływ paniki.

— Pewna pani twierdzi, że odwiedził ją jakiś tajemniczy Ukrainiec i zaproponował jej małżeństwo. Zresztą mowa o tej samej pani Gayle. Mojej poprzedniej narzeczonej. Ostatniej nocy uczciła to butelką whisky. Powiadomiła już swoją rodzinę.

Panika nasila się. Andrij ma wrażenie, że zapach króliczej klatki osacza go coraz bardziej.

— To absolutnie nieprawda.

— Takie małżeństwo byłoby dla ciebie bardzo korzystne. Paszport. Zezwolenie na pracę. Spadek. Duży dom — staruszek ciągnie entuzjastycznie. — Tylko jej rodzina może sprawiać problemy. Jest taka sama jak moja. Dzieci wtykają nos w sprawy miłosne rodziców.

Kruca fuks! To dopiero byłoby oryginalne zakończenie jego przygód: on ożeni się z panią Gyale, pan Mayewski ożeni się z Iriną i wszyscy będą żyli razem szczęśliwie w Peterborough, *end of story*.

Panie Mayewski, jeśli moje intencje zostały opacznie zrozumiane, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by to wyjaśnić. A pan powinien postąpić podobnie. Musi pan powiedzieć tym wszystkim paniom, że nie ma pan zamiaru się z nimi żenić. Jeśli pan odmówi, zabiorę z powrotem skrzynię biegów.

— Mój kochany Francis Bamet. Mamy tyle cudownych wspomnień. — Jego dolna warga drży, jakby miał się rozpłakać. — Czy tęsknota za miłością jest aż taka zła?

— Panie Mayewski, jest pan dojrzałym człowiekiem. Będzie dla pana lepiej, jeśli skupi się pan na miłości do skrzyni biegów i zostawi w spokoju te panie.

Staruszek wpatruje się w skrzynię biegów.

— Może moje uczucia nie były dostatecznie skoncentrowane.

Andrij wyjmuje kilka chusteczek z pudełka przy łóżku i wyciera nimi resztki oleju ze skrzyni biegów.

— Proszę mi teraz obiecać, że powie pan tym paniom, że złożył pan śluby czystości i nie będzie pan już więcej mówić im o małżeństwie. Mamy teraz kolejny problem: musimy schować gdzieś tę skrzynię biegów, żeby dyrektorka jej nie znalazła i znów nie zarekwirowała.

Pan Mayewski pociera nos.

— Ta dyrektorka jest bardzo wścibska. Jeśli tylko zauważy skrzynię biegów, na pewno mi ją odbierze. Niech pomyślę. W dolnej szufladzie — zniża głos, wskazując na sfatygowany mebel z płyty wiórowej — trzymam

swoją specjalnie przerobioną bieliznę. Ale ponieważ nie wolno mi jej wkładać, nikt tam nie zagląda. Jeżeli schowasz skrzynię biegów pod bielizną, będę mógł od czasu do czasu ją wyjąć.

Andrij wysuwa szufladę. Leży w niej gmatwanina jakiejś zszarzałej bawełny, która kiedyś zapewne była biała, i mnóstwo elastycznego materiału zszytego czarną nicią, kilka kawałków różowej gumowej pianki i zwój przezroczystej rurki przyczepiony do pustego pojemnika po jogurcie. Interesujące. Andrij ponownie owija skrzynię biegów w nasączone oliwą szmatki i układa ją w szufladzie.

Zamykając szufladę, słyszy pisk opon na żwirowanym i podjeździe pod oknem. Podnosi żaluzje. Przed domem zaparkował właśnie wielki czarny samochód. Od strony pasażera wysiada elegancka kobieta z rozjaśnionymi pasemkami włosów. Od strony kierowcy wysiada wysoki ciemnowłosy mężczyzna, który wygląda jak — Andrij nie potrafi znaleźć lepszych słów, by go opisać — jak skromny potomek jakiejś tam arystokracji.

— Do widzenia, panie Mayewski, życzę długiego życia i oby skrzynia biegów dała panu wiele szczęścia. Czas już na mnie. Muszę teraz szybko wracać do Donbasu.

\*\* \*

Chciałabym, żeby spadł deszcz. Wszyscy pocą się i zrzędzą. Czuć, że powietrze naładowane jest elektrycznością. Ja czuję, ją w całym ciele. Po porządnej burzy spadłaby temperatura i ogólne napięcie. Yateka gdzieś przepadła. Andrij poszedł oddać panu Mayewskiemu skrzynię biegów. Siedzę w jadalni i czekam na niego. Chciałabym otworzyć drzwi prowadzące do różanego ogrodu, ale są zamknięte, na wypadek gdyby ktoś chciał

stąd uciec. Za klombami róż biegnie wąska zwirowana alejka do naszego tajemniczego ogrodu.

Wczoraj pocałował mnie tam dwa razy. Pierwszy pocałunek był piękny jak niebo, aż musiałam samą siebie przekonywać, że dzieje się to naprawdę. Drugi pocałunek był solidny jak ziemia i wszystkie moje obawy przysły. Tak, definitywnie on jest tym *jedynym*. Wciąż czuję dotyk jego dłoni, gorący i silny, jakbym już teraz należała do niego. I to uczucie, że cała się roztopiam. Ostatniej nocy myślałam, że to będzie *ta noc*. Przeszkodził nam jednak ten irytujący pies. Cóż, zapewne dobrze się stało, że uratował nas wszystkich od pożaru. Ale ile jeszcze mam czekać? Chciałabym, żeby to już się stało.

Kto by pomyślał, że przejadę taki szmat drogi tylko po to, by stracić dziewictwo nie z jakimś romantycznym Anglikiem w meloniku, lecz z górnikiem z Donbasu? Tam skąd przybywam, jest ich mnóstwo, ale najdziwniejsze wydaje się to, że na Ukrainie zapewne nigdy byśmy się nie poznali. Należymy do innych światów, ja z postępowego prozachodniego świata pomarańczowych, a on z prymitywnego przemysłowego białoniebieskiego wschodu. Z tego starego zrujnowanego świata sowieckiego, który staramy się zostawić za sobą. A nawet gdybyśmy się spotkali, to co mielibyśmy sobie do powiedzenia — córka profesora i syn górnika? Przez to, że jesteśmy w Anglii, stajemy się bardziej sobie równi. To tak, jakby połączyło nas przeznaczenie. Natasza i Pierre — znali się latami, a jednak potrzeba było całej *Wojny i pokoju*, by spojrzeli na siebie inaczej i zrozumieli, że są dla siebie stworzeni.

Przyznaję, że pewne rzeczy mnie przerażają. Czy to będzie boleć? Czy będę wiedziała, co mam robić? Czy potem on nadal będzie mnie kochać? Czy zajdę w ciążę? Nie mogę pozwolić, by takie obawy mnie powstrzy-

mały. I coś jeszcze mnie martwi, coś tak ulotnego, że niełatwo wyrazić to słowami, a jednak właśnie to jest najbardziej przerażające: czy potem nadal będę tą samą osobą, którą jestem teraz?

— O czym tak rozmyślasz?

To była Yateka. Zakradła się od tyłu i zakryła mi oczy dłońmi. Poznałam ją po głosie, ale powiedziałam:

— Andrij?

— Aha! — Roześmiała się i odsłoniła mi oczy. — Myślisz o tym niesfornym mężczyźnie.

— On nie jest niesforny, Yateko. To najlepszy mężczyzna pod słońcem.

Spojrzała na mnie rozbawiona.

— Tak myślisz?

— Tak, uważam, że jest wspaniały. Elegancki, troskliwy i dzielny. Jak on wszystkich uratował z pożaru... wiesz, to dla niego całkiem typowe. Jedy-  
nym problemem jest ten jego pies, ale może w końcu komuś go odda. Wiesz, Yateko, co najbardziej w nim lubię? Sposób, w jaki mówi: Masz rację, Irino. Niewielu mężczyzn potrafi to powiedzieć.

— Irino, myślę, że ukraiński milioner byłby dla ciebie lepszy. Jest coś w związku z Andrijem...

— Co?

Znów spojrzała na mnie z rozbawieniem.

— Co takiego, Yateko?

Roześmiała się.

— Coś mi się zdaje, że Ukraińcy są tacy sami jak mężczyźni w Zambii.

O co jej chodzi?

— Czy w Zambii czeka na ciebie chłopak? — spytałam. — Co będziesz robić po stażu?

—Wiesz, Irino, zostały mi już tylko trzy tygodnie tej niewolniczej pracy. Potem, jeśli dyrektorka da mi dobre referencje, będę mogła pracować w NHS i zarabiać porządne pieniądze. I będę mogła naprawdę pracować jako pielęgniarka, a nie jak tu, czyścić toalety za minimalne wynagrodzenie. Najbardziej chciałabym przejść szkolenie i zostać pielęgniarką na sali operacyjnej albo na oddziale intensywnej opieki. I będę wolna. Wolna od Czterech Szczytów, od dyrektorki, od Nightin- gale Humań Solutions. — Uścisnęła moje dłonie. — Więc nie martw się o mnie, Irino. I powodzenia z tym twoim milionerem!

Nim zdążyłam zaprotestować, naszą uwagę odwrócił czyjś krzyk na zewnątrz, a kilka chwil później do jadalni wpadł Andrij. Miał dziki wyraz oczu, a z nosa leciała mu krew.

—Andriju, co się stało? — Zarzuciłam mu ręce na szyję. — Mój zraniony wojownik.

—Irino, muszę natychmiast opuścić to miejsce. Pojedziesz ze mną?

— Oczywiście, Andriju. Ale dlaczego?

—Zaszło straszne nieporozumienie. Idź po swoje rzeczy. Wszystko ci później wytłumaczę.

Objęłam Yatekę.

— Do widzenia. Dziękuję za wszystko.

—Jestem pewna, że jeszcze się tu spotkamy — powiedziała.

I oto znów znaleźliśmy się na Great North Road, Andrij, ja i pies. Jak zwykle mijał nas strumień samochodów, ale żaden się nie zatrzymywał. Na szczęście deszcz jeszcze nie zaczął padać. Andrij był bardzo wzburzony, więc ścisnęłam jego dłoń uspokajająco, by dodać mu otuchy.

— Co się stało? Dlaczego musieliśmy tak nagle wyjechać?

— To było straszne nieporozumienie.

— Jakie nieporozumienie?

— Nieważne. Już po wszystkim.

— Powiedziałeś, że mi wytłumaczysz. Andriju, przecież obiecałeś.

— Ta starsza pani, pani Gayle. Powiedziała, że zaproponowałem jej małżeństwo. I oznajmiła to swojej córce i zięciowi, i powiedziała im, że mają wyprowadzić się z domu, bo ona do niego wraca. A potem uczciła to whisky.

— Widzisz, Andriju, pouczałeś mnie, że jestem zbyt miła dla starszych mężczyzn, a teraz ty robisz dokładnie to samo!

— To coś zupełnie innego.

— A niby dlaczego?

— To było nieporozumienie.

— Ja nie widzę żadnej różnicy. Musiałeś jakoś ją zachęcić.

— Irino, w tym nie ma nic śmiesznego. Ci ludzie są straszni, co za barbarzyńcy. Nie wyobrażasz sobie, co mi powiedzieli.

Jego twarz była jak burza z piorunami.

Na szczęście w tej akurat chwili zatrzymał się jakiś samochód — właściwie to nie był samochód, tylko furgonetka. Albo autobus. Właściwie był to autobus przerobiony na przyczepę kempingową.

— Cześć. Gdzie jedziecie?

— Jedziemy do Sheffieldu. I nigdzie indziej — powiedział Andrij z naciskiem.

— Świetnie. Wsiadajcie. Jadę w tamtą stronę.

Kierowca był młodym człowiekiem w wieku Andrija. Miał małe okrągłe okulary, kilka rudych kępek kręconych włosów na policzkach, które wyglądały tak, jakby za wszelką cenę usiłowały stać się brodą, i rude włosy związane w kucyk — gruby kręcony kucyk, nie taki jak... Uważam, że



mężczyźni nie powinni nosić długich włosów. Włosy Andrija nie są zbyt długie. I nie są też za krótkie.

– Mam na imię Rock.

Rock. Skała, kamień, gład. Naprawdę trudno wyobrazić sobie kogoś, kto wyglądałby mniej skaliście. Przypominał nieśmiałego ślimaka podróżującego w swym domku-skorupce. Przedstawiliśmy się i wkrótce rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele, bo busik poruszał się równie wolno jak ślimak i widać było, że podróż będzie długa.

TLR

## Dziewięć dam

Jeśli kiedykolwiek dojedziemy do Sheffieldu, to będzie cud, myśli Andrij. Ten stary autobus ma chyba co najmniej pięćdziesiąt lat i prehistoryczną skrzynię biegów — tylko cztery plus wsteczny na długiej zakrzywionej dźwigni zmiany biegów, jak w starych wołgach. Silnik bzyczy jak rój pszczół, a kiedy nabiera prędkości — maksimum to czterdzieści kilometrów na godzinę — cała karoseria trzęsie się i wibruje. Nawet na Ukrainie przed wyruszeniem w długą podróż takim pojazdem wzywa się duchownego i prosi o błogosławieństwo.

Jest coś jeszcze, na co Andrij zwraca uwagę — zapach dochodzący z silnika. Właściwie jest całkiem przyjemny. Przypomina mu — to dość dziwne — małą restaurację na rogu ulicy Rebetow. Smażone ziemniaki. Irina prostuje się i wacha powietrze.

— Ryba z frytkami? — mówi.

— Blisko — odpowiada Rock. — W zasadzie zasuwa na starym oleju z frytek. Sam go przerobiłem. Spala nadmiar produktów ubocznych konsumpcjonizmu. Nie jest to zupełnie legalne, bo nie płaci się od tego podatku. Ale, jak powiedział Jimmy Śmieciarz, frytki gniewu są mądrzejsze niż ketchup pouczeń\*<sup>7</sup>.

Irina siedzi obok niego z przodu i kurczowo trzyma się krawędzi podwójnego fotela.

— Czy wszyscy *angliscy* kierowcy są szaleni? — szepcze po ukraińsku.

— Na to wygląda — odpowiada szeptem Andrij. — Ale przynajmniej ten nie ma obsesji prędkości.

— To skąd jesteście? — Rock w pełni zrelaksowany jedzie spokojnie

---

<sup>7</sup> Ta maksyma jest swobodną, ryzykowną parafrazą W. Blake'a: „Tygrysy gniewu są mądrzejsze niż konie pouczeń”, William Blake, *The Marriage of Heaven and Hell*.

trzydzieści na godzinę. Kładzie ręce na kierownicy i prowadząc, zwija sobie skręta.

— Z Ukrainy. A ty?

— No tak. — Milknie, żeby polizać papierek. — Było u nas w Bamsley paru Ukraińców. Górników.

— Mój ojciec był górnikiem — mówi Andrij.

— Ale heca — mówi Rock. — Mój też. Nim umarł.

— Zginął w wypadku?

— Niee. Pylica. Choroba czarnych płuc.

— Mój zginął w wypadku. Zawalił się strop.

— Pieprzony strop. To tragiczne. Przykro mi, chłopie.

— A ty też jesteś górnikiem? — pyta Andrij.

— Niee. Pozamykali u nas już wszystkie kopalnie. *W każdym bądź razie* mój tato mówił, że jestem na to za miękki. Mówił, że powinienem się kształcić. A ja na to, po co komu w Bamsley wykształcenie. *W każdym bądź razie* poszedłem do college'u i studiowałem mechanikę inżynierską. Ale, powiedziałem sobie, czyż inżynieria nie jest częścią naszych problemów? No i postanowiłem zająć się tym, co teraz robię.

Z rękoma wciąż opartymi na kierownicy wyciąga zapalną i zapala sobie skręta. Obłoczki słodkawego dymu rozchodzą się po wnętrzu busu.

— A ty jesteś górnikiem?

— Byłem. Przed wypadkiem ojca. Teraz nie mógłbym już wrócić pod ziemię. Nie mogę pracować pod ziemią. Więc nie mam pracy. Przyjechałem do Anglii zbierać truskawki.

— Ma się rozumieć, to wszystko jedno gówno. Jak powiedział Jimmy Śmieciarz, kiedy kibel kapitalizmu jest przepelniony, całe to gówno wylewa się na tych, którzy są na dole. — Znów zaciąga się głęboko i wstrzymuje oddech. Potem podaje papierosa Andrijowi. Andrij przecząco kręci głową.

– Mój ojciec powiedział, że jak górnik idzie pod ziemię, śmierć może przyjść w odwiedziny. Kiedy górnik pali, sam zaprasza śmierć.

– Jezu! To musiało cię zniechęcić! *W każdym bądź razie* sądziłem, że na Ukrainie zamknięto wszystkie kopalnie.

– Zamknięto wiele z nich. Ale potem je otworzyliśmy.

– Otworzyliście kopalnie?

– Górnicy sami je otworzyli. Własnymi rękoma.

– Czy to nie było trochę niebezpieczne?

– Oczywiście. I nielegalne. Praca w chodniku o wysokości jednego metra. Trzydzieści siedem stopni gorąca. Sto procent wilgotności. Bez *wentylacji*. Bez bezpiecznego *wychoda*. Żadnych narzędzi z napędem elektrycznym. Z kilofami w dłoniach zeszliśmy pod ziemię, by rąbać węgiel. A potem sprzedawaliśmy go. Wiesz, wtedy nie było innej pracy. Musieliśmy za coś żyć.

– Ja pierdolę.

Rój pszczoł wciąż brzęczy uspokajająco i wytrwale. Na przednią szybę spada kilka kropel deszczu. Irina wzdycha i porusza się lekko, jej ciężka głowa wciąż spoczywa na lewym ramieniu Andrija. Śpi. Niczego nie słyszała. Kiedyś opowie jej o wszystkim: słoneczny wiosenny poranek, dziura, otwarta niczym rana, tamtędy zeszli pod ziemię. Duszna ciemność, która ich pochłonęła. Tamte pierwsze wstrząsy. A potem przeciągły ryk eksplozji. Trzęsienie. Głazy spadające ze sklepienia. Krzyki i wrzaski. A potem cisza. Czarny pył. Andrij przesuwając rękę i obejmuje Irinę. Kładzie jej głowę na swoich piersiach. Jej włosy spływają po nim niczym wstęgi ciemnego jedwabiu.

Za przednimi fotelami w poprzek busu wisi zasłona ze starego prześcieradła. Jest tylko częściowo zaciągnięta, więc Andrij może zajrzeć do

tyłu. Usunięto stamtąd wszystkie fotele poza czterema, które ustawiono przy niewielkim stoliku. W kącie stoi szafka kuchenna z jednym palnikiem i kilka kartonów, w których kłębią się ubrania, jedzenie i rondle. Resztę podłogi zajmuje podwójny materac z rozmamłaną szarobrunatną pościelą.

— Sam przerobiłeś ten autobus?

— Ma się rozumieć. To nie było trudne.

— Też chciałbym coś takiego zrobić. Kupić stary autobus. Przerobić go. Pojechać dookoła świata.

Ciekawe, czy Irina pojechałaby z nim w taką podróż? A Pies? Na materacu z tyłu Pies jak zwykle bardzo energicznie chrapie i puszcza bąki, a pies Rocka, zwinięty obok w kłębek, wzdycha i pochrapuje bardziej delikatnie.

— Nie jestem pewien, czy Alicja objechałaby cały świat.

— Alicja to twoja dziewczyna?

— Nie, Alicja to mój bus. Moja dziewczyna ma na imię Thunder.

Hm. Grom. Ciekawe imię dla kobiety. Całkiem seksowne.

— Czy ona też jest górnikiem?

— Nieee. My tu nie mamy kobiet górników. Ale, bez obrazy, gdybyśmy mieli, to ona byłaby asem.

— Rock, skoro nie jesteś górnikiem ani inżynierem, to co ty robisz?

— Ja? — Rock znów zaciąga się głęboko i poprawia małe okrągłe okulary, które przekrzywiły mu się na nosie. — Można chyba powiedzieć, że jestem tak jakby wojownikiem.

— Tak jakby wojownikiem? To jest twoja praca?

— Nieee, to nie praca. Raczej powołanie. Tak, jestem wojownikiem Ziemi. Bronię Ziemi przed drapieżnymi szponami chciwych korporacji.

— Hm. To oryginalne zajęcie.

— Ma się rozumieć. Widzisz, w Peaks jest taki pradawny kamienny krąg.

Ma trzy tysiące lat. A jakieś chciwe skurwysyny chcą tuż za nim otworzyć kamieniołom. No więc my, wojownicy, założyliśmy tam na drzewach obóz. Nie mogą uruchomić kamieniołomu, nie ścinając wcześniej drzew. A nie mogą ściąć drzew przez nas — Rock znów chichocze — bo bronimy prawdziwego brytyjskiego dziedzictwa przed mackami globalizacji, mówiąc nieśmiertelnymi słowami Jimmy'ego.

Ten Jimmy to interesujący gość.

— Ale dlaczego robią kamieniołom w tak historycznym miejscu?

— Chciwość, człowieku. Czysta chciwość. Wszystko na eksport. Boom budowlany w Ameryce. Zamieniają gówno na forszę. Jimmy nazywa ich wrogiem wewnętrznym.

Rock jest teraz bardzo pobudzony, rozgląda się wokół niespokojnym wzrokiem.

— Na Ukrainie było tak samo — mówi Andrij uspokajająco. — Wszystko zostało sprzedane. Teraz nic już nie zostało.

— To na Ukrainie były te wszystkie protesty? Coś tam z wyborami? Pomarańczowe transparenty i tym podobnie. — Jego głos znów jest spokojny, niemal senny.

— To też przez chciwość. Kilku biznesmenów zagarnęło cały majątek państwowy. A teraz sprzedadzą go Zachodowi.

— Andriju, wygadujesz kompletne głupoty.

Irina siada prosto, jakby kij połknęła, przecierając oczy.

— Myślałem, że śpisz.

— Jak mogę spać, kiedy wygadujesz takie głupstwa?

— To nie są głupstwa, Irino. Nic nie wiesz o naszym życiu na Wschodzie.

Przeszli na ukraiński i rozmawiają podniesionymi głosami. Rock patrzy na nich z łagodnym uśmiechem na twarzy, pochyla się nisko nad kierow-

nicą. Bus jedzie teraz niewiarygodnie wolno, ledwo dziesięć kilometrów na godzinę.

— Wiem, co jest dobre dla Ukrainy, Andriju — Irina celuje w niego palcem — i na pewno nie jest to rosyjska dominacja.

Co w nią wstąpiło? OK, a więc nadszedł czas, by na początek poddać ją reedukacji.

— To nie jest dominacja, Irino, tylko integracja ekonomiczna. Zintegrowana produkcja, zintegrowany rynek. — Andrij mówi wolno i wyraźnie. Czy taka młoda dziewczyna, z głową pełną kobiecych spraw, jest w stanie zrozumieć takie idee? — Gospodarka ukraińska i rosyjska stanowiły jedność. Bez Rosji ukraiński przemysł się załamał.

— Andriju, Rosja okradała Ukrainę za czasów carskich, za komuny i teraz w czasach integracji ekonomicznej. To tylko inna nazwa na tę samą rzecz. Z Juszczenką możemy przynajmniej budować naszą własną niezależną gospodarkę.

Irina zaczęła mówić irytująco moralizatorskim tonem, który zdecydowanie nie dodaje kobietom atrakcyjności. Powinna trzymać się swoich tematów, a nie wtykać śliczny nosek w politykę.

— Irino, Ukrainę okradali przede wszystkim nasi bracia, Ukraińcy. Krawczuk, Kuczma, twoja Tymoszenko... wszyscy są milionerami. Wiesz, że kiedy zamykano kopalnie węgla w Donbasie, były europejskie pieniądze na pomoc dla górników, na nowy przemysł, który miał zastąpić stary. I co się stało? Wszystkie pieniądze trafiły do kieszeni urzędników. Nowych ukraińskich urzędników, nie Rosjan. Ludzi z *mobil-fonami*. Kopalnie zostały sprzedane, ograbione z maszyn, pozamykane. W ich miejsce nie pojawił się żaden nowy przemysł. W desperacji górnicy sami zeszli pod ziemię, by kopać węgiel. Możesz sobie wyobrazić, w jakich warunkach? Czy choć przez chwilę możesz to sobie wyobrazić, Irino?



— Nie musisz krzyczeć.

— Przepraszam. — Irina ma rację. Krzyk nie przywróci mu ojca. — W jednej z tych kopalń zginął mój ojciec.

— Och, Andriju! — Zakrywa dłonią usta. — Och, dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? Bardzo mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

W jej oczach pojawiają się łzy i ma tak zboląły wyraz twarzy, że Andrij znów musi wziąć Irinę w ramiona, by ją pocieszyć. Następnym razem powinien przeprowadzać tę reedukację nieco łagodniej.

— To nie twoja wina, Irino. Proszę, nie płacz. Nie zabiłaś go własnymi rękami.

Irina wzdycha. Przyciska głowę do jego piersi. Andrij gładzi ciemne, ptasie skrzydła jej włosów, spoczywające na jego piersi.

Chwileczkę — co się dzieje? Bus zwolnił tak bardzo, że niemal się zatrzymał, a teraz przesuwa się łagodnie w poprzek drogi. Rock całkiem opadł na kierownicę. Cichutko wzdycha i wciąż lekko chichocze. Andrij przechyla się, łapie za kierownicę i usiłuje sprowadzić wóz na właściwy pas, równocześnie szturchając Rocka łokciem. Rock potrząsa głową, mruga, uśmiecha się, poprawia okulary, które niemal całkiem spadły mu z nosa, a potem znów przejmuje kierownicę.

— Spoko, kochani. Czas pójść w kimono.

Przy najbliższej stacji benzynowej Rock zjeżdża z drogi, parkuje, rozwała się wygodnie przy kierownicy i natychmiast zapada w twardy sen. Irina idzie poszukać łazienki. Andrij siedzi w busie, słuchając chrapania Rocka i psów. Czuje, że narasta w nim zniecierpliwienie jak para w cylindrach. Czy kiedykolwiek dojadą do Sheffieldu?

— Co z nim jest? — pyta szeptem Irina, siadając z powrotem obok Andrija. Wygląda na świeżą i wypoczętą.

— Zmęczył się prowadzeniem. Wiesz, taki stary bus. Nie ma wspomagania.

Andrij ma pewną hipotezę w związku ze skretem, ale nie chce niepokoić Iriny.

Jakieś pół godziny później Rock się budzi, drapie się po głowie, otrząsa jak pies i natychmiast rusza poszukać czegoś do jedzenia. Kiedy wysiada z busu, Andrij po raz pierwszy zauważa, jaki jest mały — ze swoimi kręconymi włosami i w workowatym ubraniu koloru ziemi wygląda niczym jakiś elf. Po kilku minutach wraca z butelką wody, pomarańczą, bochenkiem krojonego chleba i czterema tabliczkami czekolady. Andrij sięga do kieszeni po pieniądze, ale Rock kręci głową.

— Spoko. Wszystko gwizdnąłem.

Metodycznie obiera pomarańczę, rozdzielając jej cząstki na całą trójkę. Potem łamie tabliczki czekolady i je również rozdziela. Następnie starannie odlicza kromki chleba. Wygląda na to, że nigdzie mu się nie spieszy. Jego oczy, skryte za małymi okrągłymi okularami, zrobiły się całkiem czerwone.

— Jeśli chcesz, mogę prowadzić — proponuje Andrij.

— Spoko — odpowiada Rock.

Pół godziny później, kiedy skończyli już jeść, Rock napełnia zbiornik z beczki, którą trzyma w bagażniku, podaje Andrijowi kluczyki do busu i gramoli się na tył wozu.

— Przesuń się, Maryj ane — mówi i rozciąga się na materacu pomiędzy dwoma psami. Wkrótce cała trójka chrapie chórem w rytm brzęczenia silnika. Wygląda na to, że siedząca z przodu Irina również zapadła w sen.

Za kierownicą Andrij stara się skoncentrować na drodze. Cóż, miał rację z tym wspomaganie — ten stary bus jest jeszcze gorszy niż land-rover. A zmiana biegów również jest piekielnie trudna. Na szczęście, kiedy już

znalazł się na głównej drodze, wspomaganie nie jest mu za bardzo potrzebne i nie musi często zmieniać biegów. W zasadzie wystarczy, że siedzi i obserwuje z wolna przesuujące się kilometry.

Obiecany deszcz jakoś się nie zmaterializował, wciąż jest gorąco, a na niebie wiszą ciężkie chmury. Jest wczesny wieczór i na drodze panuje nieco większy ruch. Nie żeby robiło mu to jakąś różnicę — ich pojazd jest jak na razie najwolniejszy ze wszystkich. To niesamowite, myśli Andrij, że Sheffield wcale nie wydaje się bliżej. Na pewno zobaczyłby już jakiś znak. Po lewej jest drogowskaz do Leeds. Czy to nie jest gdzieś na północy? A potem drogowskaz do Yorku. Cóż, przynajmniej są we właściwym hrabstwie. Ale czy Sheffield nie powinno raczej znajdować się w południowym Yorkshire?

Irina budzi się i dotyka jego dłoni.

— Czy już dojeżdżamy?

— Tak myślę.

— Powiedz mi coś jeszcze o tym Sheffieldzie.

— Cóż, no wiesz, Sheffield jest pierwszym miastem w Anglii, które ogłoszono republiką socjalistyczną, a jego władca, ten Wlunket, jest znany na całym świecie z postępowych zasad.

— A jakie są te postępowe zasady? — pyta Irina z podejrzliwością w głosie. — Czy będą mi się podobać?

— Na pewno spodobają ci się bugenwille.

Andrij nachyla się, by ją pocałować, trzymając kierownicę pewnie prawą ręką.

\*\* \*

Choć Andrij jest bardzo przystojny i męski, czasem chciałabym, żeby nie był taki prosty. Jak mogłam zakochać się w mężczyźnie, który jest przesiąknięty ideami rodem z sowieckich czasów? Mam nadzieję, że tutaj,

na Zachodzie, pozbędzie się niektórych przestarzałych błędnych przekonań, ale zastanawia mnie to miasto Sheffield. Czy okaże się, że to jakiś robotniczy raj w komunistycznym stylu jak Jałta albo Soczi, z sanatoriami i komunalnymi kąpielami błotnymi? Zobaczymy.

Rock spał kilka godzin. Kiedy się obudził, zdziwił się, że tak daleko zajechaliśmy.

— Trzeba było skręcić na A pięćdziesiąt siedem. Pojechaliśmy za daleko na północ. Będziemy musieli zawrócić.

— Nic o tym nie mówiłeś — odparł Andrij dość gburowato. Zauważyłam, że to jedna z jego gorszych cech. Ma skłonność do bycia gburowatym. Zdaje się, że rozpaczliwie chce się dostać do tego Sheffieldu.

Rock spojrzał na niego mętym i przepaszającym wzrokiem.

— To przez tego skuna — wymamrotał, wpatrując się w tył busu, choć naprawdę nie rozumiem, jak można winić psa za coś takiego.

W każdym razie bus zawrócił i pojechaliśmy w przeciwnym kierunku, Rock znów usiadł za kierownicą. Niebo stawało się coraz ciemniejsze. Od czasu do czasu jakieś auto osobowe albo ciężarówka przemknęły prowadzącą na południe autostradą, a wówczas światła reflektorów przecinały mrok. Jechaliśmy już chyba z godzinę albo więcej, kierując się na południe, Rock z obiema dłońmi na kierownicy, wpatrujący się w drogę przed nami, milczący. Ruch wyraźnie się zmniejszył. Raz czy dwa wyprzedził nas jakiś pojazd, tylne światła kurczyły się w ciemnościach, stawały się małymi czerwonymi punkcikami i wreszcie znikwały.

A potem nagle Rock zjechał z drogi do zatoczki i oznajmił:

— Kochani, dziś już chyba nie damy rady. Zatrzymajmy się i uderzmy w kimono, a rano pojedziemy dalej.

Andrij nic nie odpowiedział, ale wiedziałam, co o tym myśli. Zauważyłam jego pochmurną minę.

— Możecie zająć łóżko, ja będę spał tu na siedzeniach. Maryjane! Tutaj!

Maryjane jednym susem znalazła się z przodu, a pies skoczył za nią. Rock złączył dwa siedzenia. Zdjął koszulkę i dżinsy, rzucił je do kartonu z naczyniami stołowymi i wsunął swe blade drobne ciało do śpiwora w kolorze khaki, zupełnie jak larwa, która wpełza do kokona.

Andrij wyskoczył z busu i pomógł mi wysiąść. Znajdowaliśmy się w zatoczce, którą od szosy oddzielał żywopłot. Stała tam jeszcze jakaś przyczepa, zamknięta na cztery spusty, z szyldem HERBATA. PRZEKĄSKI. Noc była ciepła i wilgotna, niebo pochmurne, bezgwiazdne. Wciągnęłam powietrze głęboko w płuca i zaczęłam się przeciągać. Siedzieliśmy przecież tyle godzin. Poszłam za krzaki, żeby zrobić siusiu, i słyszałam, że Andrij też odchodzi na stronę, potykając się w ciemnościach, a potem usłyszałam cichy szmer strumienia moczu padającego na trawę.

Kiedy wrócił, wziął mnie w ramiona i przyparł do ściany busu. Czułam go, był taki twardy, a jego oddech na mojej szyi gorący i niecierpliw. Nie wiem, dlaczego zaczęłam drzeć na całym ciele. Przytulił mnie mocniej i wtedy się uspokoiłam.

— Irino, jesteśmy dwiema połówkami jednego kraju. — Jego głos był niski i namiętny. — Musimy nauczyć się wzajemnie kochać.

Nikt wcześniej nie powiedział mi nic tak cudownego.

Całował moje włosy, a potem pocałował w usta. Poczułam płomień ognia przepływające przez moje ciało i to uczucie roztapiania się, kiedy niemal nie jesteś już w stanie powiedzieć „nie”. Ale jakoś jednak powiedziałam: „nie”. Bo jeśli już *ta noc* ma nastąpić, to musi być perfekcyjna, nie na tym obrzydliwym materacu, na którym leżeli pies i Maryjane, liżąc się-

bie nawzajem. Nie mogłam tego zrobić, stojąc przy drodze, jak jakaś kobieta lekkich obyczajów. Trudno wyobrazić sobie Nataszę i Pierre'a, jak oparci o bus spełniają swoje pożądanie, prawda?

— Nie teraz, Andriju — wyszeptałam. — Nie tutaj. Nie w taki sposób.

Wtedy Andrij zirytował się i powiedział coś niemiłym tonem, ale zaraz potem przeprosił za to, że się zirytował, więc ja przeprosiłam za to, co powiedziałam, a on odparł, że pójdzie się przejść, a ja powiedziałam, że pójdę z nim, ale on powiedział, że nie, że chce być sam. Stałam przy busie, czekając, aż wróci, i zastanawiałam się, co powinnam powiedzieć, żeby przestał się złościć. Czy powinnam mu powiedzieć, że go kocham?

Kiedy wreszcie wczółgaliśmy się na materac, okazało się, że pościel jest brudna, zatłuszczona i przesiąknięta wonią brudnej psiej sierści. Nie mogłam się rozebrać. Andrij sądził, że to przez skromność — on jest takim dżentelmenem — ale w rzeczywistości nie chciałam, by ta wygnieciona oślizgła pościel dotykała mojej nagiej skóry. Przez całą noc trzymał mnie w ramionach, moja głowa spoczywała między jego policzkiem a ramieniem. Nie zwrócił nawet uwagi na pościel.

Rankiem odkryłam, że moje dłonie i stopy pokrywa coś, jakby czerwona wysypka. Andrij również to miał. Rock już wstał, siedział w kucki nad palnikiem, na którym gotowała się woda, całkiem nagi, nie licząc gaci, zszarzałych i luźnych niczym przepaska na biodrach jakiegoś starotestamentowego proroka.

— Gotowi na kubek herbatki?

Rock palił cienkiego skręta, który zwisał mu z ust, gdy mówił i zaciągał się równocześnie. Miał żylaste, bardzo blade ciało, niemal pozbawione męskiego umięśnienia, pokryte za to ryzymi piegami i śladami po ukąsze-

niach pcheł. Naprawdę wolałabym, żeby się ubrał.

Na śniadanie jedliśmy resztki wczorajszego chleba i kilka pomarszczonych jabłek, które Rock ukrywał w jednym z kartonów. Nalał nam gorącej, cienkiej herbaty, którą posłodził miodem ze słoika. Andrij pochylił się i szepnął mi do ucha:

— Jesteś słodka jak miód.

Kiedy to mówił, brązowy kosmyk włosów opadł mu na czoło i z jakiegoś powodu, którego nie potrafię wytłumaczyć, poczułam, jak pęcznieje we mnie lśniący bąbelek miłości nie tylko do Andrija a, ale również do Rocka, Psa i Maryjane, do śmierdzącego starego busu, nawet do śladów po ukąszeniach pcheł i przepaskogaci, wreszcie do całego świeżego cudownego poranka.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Na zewnątrz krajobraz rozmywał się we mgle, która spowijała płaskie puste pola, przywierając do konturów drzew i krzaków. Ptaki zaczęły się już budzić i swiergotały na wszystkie strony bardzo czymś zajęte. Pies i Maryjane biegali na zewnątrz, gonili się, przewracali i bawili. Rock zagwizdał i oba psy wróciły biegiem, z błyszczącymi oczami i wywieszonymi językami. Usiadły na łóżku, a my usiedliśmy z przodu. Następnie Rock przekręcił kluczyk w stacyjce, dźwięk silnika rozdarł spowitą mgłą ciszę i odjechaliśmy.

\*\* \*

Zeszłej nocy musieli w którymś momencie zjechać z Great North Road na zachód. Droga, którą teraz jadą, jest węższa, wiję się przez rolniczy, pozbawiony wyrazu krajobraz rozległych pól z nieznanymi im uprawami i małe osady z nieotynkowanymi domkami z czerwonej cegły. Ale tym, co zadziwia Andrija, jest spore natężenie ruchu o tak wczesnej porze.auta, furgonetki, ciężarówki, wszyscy spieszą do pracy. Mija ich duży czarny



wóz terenowy. Wygląda jak... Nie, na drogach na pewno są całe tuziny takich aut. Andrij rzuca okiem na Irinę. Znow siedzi pośrodku, jej lewa dłoń, tak ciepła, spoczywa pod jego prawą dłonią. Ma zamknięte oczy. Niczego nie zauważyła.

Na długim prostym odcinku drogi wyprzedza ich minibus. Andrij dolicza się w nim około dwunastu mężczyzn, którzy siedzą stłoczeni na ławkach: smagli ciemnowłosi mężczyźni o ponurych, zaspanych twarzach, niektórzy palą papierosy, mijają ich i znikają we mgle.

— Kim oni są? — pyta Rocka.

Rock wzrusza ramionami.

— Imigrancka siła robocza. Elementy zglobalizowanej pracy, jak nazwał ich Jimmy Śmieciarz.

— Kim jest...?

— Teraz cały kraj jedzie na imigrantach. Wykonują wszystkie gówniane roboty.

— Jak my.

— Ma się rozumieć, jak wy — potwierdza Rock. — Słyszałeś o wypadku w hrabstwie Kent? Minivan pełen zbieraczy truskawek. Sześcioro zabitych.

— W Kent? — Irina zrywa się gwałtownie z szeroko otwartymi oczami.

— Biedni eksploatowani idioci. Sługusy anonimowych globalnych korporacji. Ja do nich nie należę. Miałem tego dość. Teraz jestem wojownikiem. — Rock poprawia okulary, które zsunęły mu się z nosa. — Gdyby tylko mój tata mógł mnie teraz zobaczyć. Mówił, że jestem za miękki na kopalnię.

— Ale bronisz kamieni, a nie ludzi — zauważa Andrij. — Dlaczego?

— Węgiel, kamień, ziemia... to wszystko jest naszym dziedzictwem, prawda?

— Co to znaczy *dedictwo*?

— To jest to, co dostajesz po mamie i tacie. Podarki przekazywane z pokolenia na pokolenie.

— Tak jak gacie — szepcze Irina po ukraińsku.

Gdybym był wojownikiem, myśli Andrij, nie broniłbym jakichś idiotycznych starych kamieni, ale ciała i krwi żywych ludzi. Również w Donbasie wszystko przejęli ci z *mobilfonami* i rozporządzali ludźmi, jak chcieli, traktując ich tak, jakby byli do jednorazowego użytku. Ich cenne życie było niszczone w wypadkach i chorobach, którym można zapobiec, ich nieszczęścia były przytępione wódką. Taką przyszłość zgotował mu jego kraj — zostać zużyty. Nie, on się na to nie zgodzi.

— O czym myślisz? — pyta łagodnie Irina.

— Myślę o tym, jak cennym jesteś skarbem, ukraińska dziewczyno.

Dziwnie się czuje, wypowiadając te słowa. Wydają mu się takie zbite jak kostki cukru, który jeszcze się nie rozpuścił w ustach. Nie przywykł do tego, by mówić kobietom takie rzeczy.

Wciąż jadą na zachód. Przejeżdżają przez brzydkie, zakorkowane miasto, wyjeżdżają na autostradę, a potem jadą wąską drogą prowadzącą przez zielone pofałdowane pola, którym brak jednak świetlistej urody krajobrazu Kentu.

— Wszędzie tu kiedyś były kopalnie — mówi Rock. — W czasie strajku zablokowali wszystkie drogi, żeby pikiety z Yorkshire nie doszły do Notts. Nazywali ich Parszywcami z Notts. To było prawdziwe pole bitwy. Mój tato został aresztowany w Hucknall. Teraz to już historia. — Rock wzdycha. — Nie ma już worków na śmieci w pojemnikach na odpady historii, jak mawiał Jimmy.

— Kim jest...?

— Przed nami autostrada — oznajmia Rock. — Jak już na nią wjedziemy, zaraz będziemy w domu.

Za polami, kilka kilometrów przed nimi, widać kawałek szerokiej drogi przecinającej krajobraz, większej nawet od Great North Road, sznury samochodów osobowych i ciężarówek przesuwają się nią powoli, tak ściśnione jak kolorowe paciorki na żyłce.

Z autostrady zjeżdżają na dużo węższą drogę, która wkrótce zaczyna się piąć. Stojące przy niej domy nie są zbudowane z cegły, ale z szarych bloków kamiennych, wioski są mniejsze i rzadziej rozrzucone. Jadą pod górę, podziwiając pejzaż zupełnie inny od tego, co dotąd widzieli, dziki, z wrzosowiskami, ciemnymi graniami, zagajnikami srebrzystych brzoź i drzew iglastych, i szerokimi, wygładzonymi wiatrem wzgórzami. Niebo jest ciężkie, na horyzoncie wiszą burzowe chmury. Rock jedzie niemal przez cały czas na pierwszym biegu, pochylając się nad kierownicą, bo droga jest tak wąska, że gdyby z przeciwnej strony jechał inny samochód, któryś z pojazdów musiałby się cofnąć, by zrobić miejsce.

— Podoba mi się ten krajobraz — mówi Irina. — Tak wyobrażałam sobie Anglię. Jak z *Wichrowych wzgórz*.

— Peak District — rzuca Rock. — Już prawie jesteśmy na miejscu.

Na stromej wąskiej drodze biegnącej przez las Rock skręca w lewo w poślubiony koleinami ubity trakt, który prowadzi do zagajnika srebrzystych brzoź. W dole, między drzewami, stoi zaparkowany jakiś inny bus. Kiedy podjeżdżają bliżej, z lasu wybiegają dwa psy i gnają w ich stronę, szczekając. Maryjane postawiła uszy i też zaczyna szczekać, dołącza do niej Pies. A w ślad za psami wyłania się trójka ludzi. Andrij przygląda im się z zaciekawieniem — to mężczyźni czy kobiety?

Andrij był raczej zirytowany, kiedy zrozumiał, że dotarliśmy do celu podróży. Zdaje się, że myślał, iż niedługo znajdziemy się w Sheffieldzie. Rock mętnie obiecał, że następnego dnia nas tam podrzuci. Albo za dwa dni. Szczerze mówiąc, mnie się tam wcale nie spieszyło, a ten obóz mnie zaciekał. Może znajdzie się w nim jakiś namiot albo mała romantyczna przyczepa ustawiona na zboczu wzgórza, w której będziemy mogli spędzić noc.

Ale na skraju lasu stały tylko jakieś stare pojazdy, niektóre ustawione na ceglach, a jedyne namioty składały się z płacht brezentu rozciągniętego między pochylonymi młodymi drzewkami. A potem spojrzałam w górę i zamrugałam z niedowierzaniem, bo wśród listowia rozciągała się cała pajęczyna niebieskich lin, porozwieszanych między drzewami niczym podniebne pasaże, i widać było płachty grubego płótna, naciągnięte między gałęziami.

Rock wyskoczył z busu i podbiegł do trójki ludzi — to musieli być jego koledzy, wojownicy, którzy wyszli nas przywitać. Objął każdego z nich, po czym nas przedstawił. Wszyscy mieli na sobie takie same workowate ubrania w kolorze ziemi. Moim zdaniem wcale nie wyglądali na typowych wojowników. Najmniejszy z nich, o imieniu Windhover, czyli Pustułka, miał całkiem wygoloną głowę. Dwaj wyżsi mieli włosy splecione w takie same sznurki warkoczyki jak Toby McKenzie, choć jeden z nich zebrał je w kucyk. Nosili imiona Heather i Birch, czyli Brzoza. Wyglądało na to, że wszyscy tu mają takie idiotyczne imiona. Uważam, że ludzie powinni być nazywani imionami ludzi, a nie rzeczy. W przeciwnym razie skąd byłoby wiadomo, kto jest kobietą, a kto mężczyzną?

Heather to nazwa małej, kwitnącej purpurowo rośliny, bardzo popular-

nej w Szkocji, a także imię żeńskie, ale jeśli można sądzić po zaroście, ten wojownik Heather jest chyba mężczyzną. Mimo kobiecego imienia jest mocno zbudowany, umięśniony i ma gęstą brązową brodę, która wygląda tak, jakby pociachał ją nożyczkami — może to taka wojownicza moda. Co do pozostałej dwójki, miałam wątpliwości. Wojownik Birch jest dość wysoki, ale wydaje się jakiś taki wiotki, ma miękki głos i zachowuje się tak, jakby stale za coś przeproszał. Wojownik Windhover jest niższy, ale robi wrażenie bardziej ostrego, choć nie ma żadnych włosów poza ciemnymi brwiami, których wyrazista linia podkreśla świetliste niebieskozielone oczy osadzone w bladej wygolonej czaszce. Kiedy szliśmy za nimi do obozu, zauważyłam, że Windhover i Birch trzymają się za ręce, więc jedno z nich musiało być mężczyzną, a drugie kobietą — ale które było kim?

Ku mojemu zdziwieniu dostrzegłam sznur od bielizny rozwieszony między przyczepą a drzewem, zupełnie jak na naszym truskawkowym polu, a na nim suszące się trzy pary wojowniczych gaci, wszystkie zszarzałe, bezkształtne i przemoczone.

I to mnie rozbawiło, bo szczerze mówiąc, nie wyglądali na takich wojowników, którzy zawracają sobie głowę praniem.

W prześwicie między drzewami tliło się ognisko, nad którym wisiał osmalony czajnik, a wokół ogniska leżały kłody do siedzenia. Zaprosili nas, byśmy usiedli, i Heather nalał nam szarawej, cienkiej herbaty o smaku dymu; kubki również były szarawe, wyszczerbione i smakowały dymem. Następnie Birch włożył chochelkę do drugiego naczynia i nałożył nam jakieś jedzenie, które także było szarawe i smakowało dymem. Przypominało wojownicze gacie. Gdyby je rozgotować i trochę ugnieść, wyglądałyby i smakowały dokładnie tak samo.

Rozmawiali między sobą. Rock opowiadał im o wizycie w Cambridge, a

oni zadawali różne pytania na temat badań laboratoryjnych, ale nie słuchałam zbyt uważnie, bo zauważyłam coś między drzewami. Wysoko wśród listowia wisiała przyczepa — mała owalna, pomalowana na zielono przyczepa tkwnęła w rozwidleniu gałęzi potężnego buku, zabezpieczona niebieską liną. Prowadziła do niej wisząca sznurowa drabinka.

— Andriju, spójrz — powiedziałam.

— Ma się rozumieć, to nasza gościnna przyczepa. Możecie tam spać, jeśli chcecie — wyjaśnił Rock.

Andrij spojrział na mnie takim wzrokiem, że całe moje ciało przeszłyła fala gorąca, a serce zaczęło mi skakać jak oszalałe, bo wiedziałam, że tej nocy na pewno to się stanie.

\*\* \*

Ta łysa kobieta, Windhover, ma niesamowicie urzekające brwi — sposób, w jaki unoszą się pytająco, wymownie krzywią, ściągają się i marszczą albo wyginają się w łuk na znak zaskoczenia lub satysfakcji. Kobiece brwi mogą być niezwykle uwodzicielskie, myśli Andrij. Windhover rozmawia teraz z Birth — jej brwi rytmicznie unoszą się i opadają. Andrij wcześniej widział, że kobiety trzymały się za ręce, a kiedy razem pochyliły głowy, przyłapał je na małym ukradkowym całusie. Obserwowanie dwu całujących się kobiet jest dla mężczyzny niezwykle podniecające. Czy robią to celowo? Nigdy wcześniej nie spotkał lesbijek, ale słyszał, że są niesamowicie seksowne. Nigdy dotąd nie miał okazji się o tym przekonać.

Słyszał, że ich namiętna natura, zablokowana brakiem właściwego mężczyzny, kieruje ich zainteresowania ku osobom tej samej płci. Ale mówi się, że gdyby pojawił się w ich życiu ten właściwy mężczyzna, to rozgorzałyby w nich taka żądza, że nie sposób tego opowiedzieć. Jak te lesbijki już raz zaczną, nie można ich zatrzymać. Mężczyzna musi zachować zimną krew

albo zginie w nawałnicy ich namiętności. Co więcej, mówi się, że lesbijki będą niesamowicie wdzięczne mężczyźnie, który uwolni je od ich sterylnej fiksacji, skierowanej ku innym kobietom, i okażą tę wdzięczność, przejawiając niesłychany głód seksualny i tak dalej, co Andrij ledwo może sobie wyobrazić.

Ta biedna łysa kobieta z pięknymi oczami i uwodzicielskimi brwiami, spragniona miłości właściwego faceta — sama myśl o jej tajemniczym bladym ciele skrytym pod warstwami burych tkanin napełnia Andrija... współczuciem. I oczywiście, choć jest całkowicie oddany Irinie i ich wspólnej przyszłości, to zastanawia się, czy Irina miałaby coś przeciw temu, by w akcie wielkoduszności uwolnił tę smutną ograniczoną istotę z niewoli zablokowanej namiętności.

Och, nie bądź takim idiotą, Andriju Palenko.

\*\* \*

Po jedzeniu Rock powiedział: Chodźcie. Czas poznać damy.

Poprowadził mnie i Andrija oraz kilka psów z powrotem traktem, wąską drogą, a potem stromą ścieżką wiodącą przez las po drugiej stronie. Kiedy się wdrapywaliśmy, zatrzymałam się na chwilę, by popatrzeć na obóz, ale był ledwo widoczny; pomalowana na zielono przyczepa i wypłowiałe zielonkawe płachty brezentu kryły się wśród listowia. Widać było tylko smużkę dymu unoszącą się wśród drzew. Towarzyszący nam wojownik Heather wskazał na warstwę różowego kamienia.

— To ten piaskowiec chcieli wydobywać — powiedział. — Piękny kolor, prawda? Mieli na to koncesję do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. A teraz znów chcą to wszystko uruchomić. Ale my ich powstrzymaliśmy.

— Powstrzymaliście ich? Waszym obozem? — spytał Andrij.



— O tak. Musieli wnieść sprawę do sądu. Sąd odrzucił ich skargę. Powinniśmy to uczcić, ale w zasadzie jest to dość smutne, bo oznacza koniec obozu. Niektórzy z nas mieszkają tu od pięciu lat. Nieprawdaż, Rocky? — Jego głos i sposób mówienia świadczą o dużym wyrobieniu w przeciwieństwie do regionalnego robotniczego akcentu Rocky’ego.

— Ma się rozumieć — powiedział Rocky, który był już daleko przed nami, a teraz zatrzymał się, byśmy mogli go dogonić. — Diabło smutne. Spędziłem tu trzy lata. A teraz znów stanę się niewolnikiem na pensji. Zarabianie. Wydawanie. Kupowanie gówna. Dam się złapać w haniebne szpony materializmu. — Zapala papierosa, który mu zgasł i zwisał w ustach. — Niektórzy pojechali już do Sheffieldu i Leeds. Thunder. Torrent, Sparrowhawk, Midge\*<sup>8</sup>. Pracują w *call centres*. Zakłady wyzyskujące siłę roboczą ery informacji, jak nazywał je Jimmy.

— Nie martw się — stwierdził Heather. — Nikt nie pozwoli ci zbliżyć się do *call centre*.

Kiedy wreszcie doszliśmy na samą górę, znaleźliśmy się na rozległym skalistym, porośniętym wrzosami płaskowyżu.

Heather powiedział:

— *Calluna vulgaris*. Rodzina wrzosowatych. Moja ulubiona roślina. Tylko powąchaj.

Zatrzymałam się, by zerwać gałązkę, ale on mnie powstrzymał.

— Jest pod ochroną. Musisz ją powąchać tu na miejscu.

Pochyliłam się i wciągnęłam głęboko powietrze. Pachniała słońcem i miodem. Teraz zrozumiałam, dlaczego wybrał nazwę tej rośliny na swoje imię wojownika. Purpurowe kwiatki były tak małe, że z daleka wyglądały po prostu jak fioletowo- różowa mgła unosząca się nad wzgórzami.

---

<sup>8</sup> Thunder, Torrent, Sparrowhawk, Midge (ang.) — Grom, Grad, Krogulec, Muszka.

Piaszczysta ścieżka zaprowadziła nas przez mały zagajnik, w którym rosły jesiony, buki i srebrzyste brzozy, na płaską, porośniętą trawą polaną, szeroką na jakieś piętnaście metrów. Na trawie leżało w kręgu dziewięć kamieni.

Moim zdaniem kamienie były dość rozczarowujące. Spodziewałam się czegoś większego, o bardziej wyrazistej strukturze, jak Stonehenge. Te kamienie stały krzywo i były różnej wielkości, jak brzydkie zęby. Wcale nie wyglądały jak damy. Ktoś, kto widział sobór Świętej Zofii albo Ławrę Pieczerską o zachodzie słońca albo choćby pewne angielskie zabytki, nie uznałby tych kamieni za interesujące. Ale wtedy Heather powiedział:

— Epoka żelaza. Mają trzy i pół tysiąca lat. To przodkowie naszych wspaniałych katedr.

To chyba jednak jest dość interesujące.

— Możesz tu posłuchać, o czym mówią duchy — stwierdził Rock. Położył się na plecach w samym środku kręgu, z rozrzuconymi ramionami i nogami. — Czasem, kiedy leżę nieruchomo, mam wrażenie, że słyszę głos Jimmy'ego Śmieciarza. Chodźcie tu, połóżcie się i posłuchajcie.

A więc położyliśmy się we czwórkę, tworząc krzyż, głowami do środka, a nasze wyciągnięte dłonie i stopy lekko się dotykały. Spodziewałam się, że któreś z nich zacznie zaraz śpiewać jakieś dziwne pieśni, ale tak się nie stało. Leżeliśmy, wpatrując się w niebo i wsłuchując w szmer traw poruszanych lekkim wiatrem. Na niebie wisiały ciężkie chmury nabrzmiałe deszczem, przez które od czasu do czasu niespodziewanie przedzierały się snopy światła, tryskające złotem i srebrem niczym przynoszące wieści anioły. Czułam bliskość pozostałych, *jego* po mojej lewej stronie, a Heathera po prawej, i ciszę kamieni. Potem w tej ciszy zaczęłam odczuwać bliskość tych wszystkich ludzi, którzy stali bądź leżeli w tym miejscu — w

ciągu tysięcy lat — wpatrując się w te same skały i w to samo niebo. Wyobraziłam sobie, że słyszę odgłos ich kroków i ich głosy w mojej głowie, nie gorączkowe ani rozkrzyczane, tylko takie zwykłe paplanie-szemranie o zwyczajnych sprawach ludzkiego życia, rozgrywających się na ziemi, od-  
kąd zaczęto liczyć upływ czasu.

Przypomniało mi się dzieciństwo; moje łóżko stało w salonie naszego małego dwupokojowego mieszkanca i każdej nocy zasypiałam przy akompaniamencie ściszonych głosów i szmerze ostrożnych ruchów moich rodziców, bo poruszali się na palcach, by mnie nie zbudzić — takie właśnie paplanie- -szemranie.

\*\* \*

Cisza wewnątrz kamiennego kręgu jest niesamowita. Wisi w powietrzu jak wielka cisza w soborze po zakończeniu modłów. Kiedy leżysz nieruchomo, możesz usłyszeć westchnienia wiatru w trawie niczym szeptanie do ucha. Andrij nasłuchuje. Naprawdę odgłos jest zadziwiająco podobny do szeptu czyichś słów. W jakim języku mówią? Szelest spółgłosek syczących sprawia, iż Andrij początkowo sądzi, że to język polski — tak, to Jola i Tomasz, i Marta rozmawiają cicho. Są z powrotem w Zdroju. Marta szykuje ucztę. To czyjeś urodziny — dziecka. Piją wino. Tomasz napędza kieliszki i wznosi toast — Andrij wyteża słuch — toast za niego i za Irinę, i za ich szczęśliwą przyszłość. Łzy napływają mu do oczu. A w tle ktoś chichocze i szepcze — nie po polsku, lecz... czyżby to był chiński? Nagle chichot zamiera i zamienia się w łkanie. Potem szloch staje się głębszy i teraz Andrij widzi górników usiłujących wydostać się spod masy zwalonych skał, wyciągających do niego ręce, szarpiących go, błagających. Jest wśród nich jego ojciec, spowity całunem tego okropnego pyłu, pozbawiony własnej postaci niczym duch. Andrij wie, że musi uciekać, wydostać się stamtąd, ale

jest przygwożdżony do ziemi. Nie może się poruszyć. Jego członki są jak z ołowiu, lecz serce bije szybciej i szybciej. Kiedy już zaczyna go ogarniać całkowita panika, szloch zamienia się w muzykę, a głos — męski głos — głęboki i słodki śpiewa o miłości i pocieszeniu, łagodząc ból i gniew w jego duszy obietnicą wieczności. To Emanuel śpiewa dla niego.

Andrij budzi się gwałtownie, a potem przenika go myśl: Czy Blessing pamiętała o telefonie?

\*\* \*

Być może śniłam, bo po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że to paplanie to stukot kropel deszczu, a szemranie to głos Andrija: Obudź się, Irino. Wracajmy. Zaczęło padać.

Pozostali rozwiesili już duże płachty grubego płótna niczym dach pomiędzy drzewami, a pod nimi rozpalili ognisko. Heather obierał ziemniaki, a Rock mieszał coś w rondlu.

— Czy mogę w czymś pomóc? — spytałam.

Rock podał mi łyżkę i znikł.

—Przyniosę trochę więcej suchego drewna — powiedział Andrij i również znikł.

—Gdzie są pozostali mieszkańcy obozu? — zwróciłam się do Heather.

Wyjaśnił mi, że niektórzy pojechali na południe na festiwal muzyczny, a inni, jak dziewczyna Rocka, znaleźli tymczasową pracę w pobliskich miastach, by zarobić trochę pieniędzy. Niestety, od czasu zakończonej sukcesem rozprawy sądowej wsparcie ze strony mieszkańców okolicznych miasteczek zmniejszyło się i wkrótce trzeba będzie zamknąć obóz na dobre.

— Dokąd wtedy pojedziesz? — spytałam.

Wzruszył ramionami.

—Zawsze coś się znajdzie. Drogi. Lotniska. Stacje benzynowe. Ziemia

nieustannie jest obiektem agresji.

Pomyślałam sobie, jakby to było cudownie mieć nowe drogi i lotniska, i stacje benzynowe na Ukrainie, ale nie powiedziałam tego na głos. Słuchaliśmy bębnienia deszczu o płótno i trzasku drew w ognisku. Gdzieś ktoś grał na gitarze.

—Lubisz gotować? — Heather wrzucił garść pokrojonych marchewek do rondla. Jego paznokcie były długie jak szpony — i bardzo brudne.

— Nie za bardzo — odparłam.

— Ja też nie — odpowiedział. — Ale lubię jeść. Kiedy mieszkaliśmy w Renfrewshire, rodzice mieli kucharkę o imieniu Agatha. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i klęła jak szewc, ale piekła wspaniałe ciasta. Kiedyś, gdy piekła kilka ciast naraz, piekarnik eksplodował. Zabrano ją natychmiast do szpitala, gdzie tydzień później zmarła z powodu oparzeń trzeciego stopnia. To wystarczy, żeby każdego zniechęcić do gotowania, nie sądzisz?

— Pewnie — roześmiałam się mimo powagi tej opowieści, zastanawiając się, czy była prawdziwa. Zastanawiałam się też, jak to możliwe, że ktoś, kto mówi językiem wyższych sfer i pochodzi z domu, w którym była kucharka, jest w stanie znieść takie warunki, jeść takie jedzenie i mieć aż tak brudne paznokcie. I zastanawiałam się, czy miał jakąś dziewczynę i czy mieszkała tu w obozie i co myślała o tych paznokciach. Zastanawiałam się, czy Heather uważa mnie za atrakcyjną, bo podobnie jak Rock nigdy się na mnie nie gapił ani nie flirtował ze mną, ani nie robił komentarzy jak inni mężczyźni, więc czułam się w jego towarzystwie bardzo swobodnie. Może podobają im się wyłącznie kobiety ich własnego gatunku.

\*\* \*

Nie ulega wątpliwości, że kobieta o pięknych brwiach ma na ciebie oko, Palenko — ale czy to znaczy, że masz w tej sprawie coś zrobić? Rozma-

wialiście o pogodzie. Rozmawialiście o kamieniach. Czy nadszedł teraz czas, by wrzucić pierwszy bieg i spróbować ruszyć naprzód? Czy też czas powiedzieć sobie: OK, spotkałem kobietę, którą kocham. To wystarczy. *Bye-bye, end of story.*

Andrij opycha się papką, chrupiąc niemal surowe kawałki marchewki i od czasu do czasu podnosi wzrok, by sprawdzić, jak się mają brwi. Deszcz nieustannie bije w napięty brezent, pod którym snują się kręgi dymu. Windhover siedzi obok Birch po drugiej stronie ogniska. Teraz brwi Windhover są ściągnięte zamyśleniem. Takie piękne brwi. Z wyraźną przyjemnością zajada się papką.

W zasadzie, nie licząc brwi, wcale nie jest tak atrakcyjna, myśli Andrij. Jej ciało wydaje się bezkształtne i guzłowate pod grubą warstwą ciuchów w mulistym kolorze — właściwie w ogóle nie ma kobiecej figury. A może...? Nie, na pewno Andrij aż tak by się nie pomylił. Windhover nie odwzajemnia jego spojrzenia.

— To bardzo smaczne, Heather — mówi, całkowicie ignorując Andrija. — Co to jest?

— Gulasz z soczewicy i marchewki — Heather ma zadowoloną minę. — Przydałoby się trochę papryki.

\* \* \*

Na kolację jedliśmy taką samą mdłą papkę w kolorze gaci, ale tym razem znajdowały się w niej kawałki marchewki. Kolejnym niemiłym aspektem takiego odżywiania jest puszczanie po posiłku gazów, co było zauważalne, choć siedzieliśmy na zewnątrz, zwłaszcza w przypadku psów. Odmówiłam, kiedy Heather zaproponował mi dokładkę, ale starałam się okazać entuzjazm wobec tej potrawy, by go nie urazić, bo choć nie jest Mr

Brownem, jest bardzo uprzejmy.

Kiedy skończyliśmy jeść, Rock zebrał nasze miski i wrzucił do nich resztki gulaszu — nazywają to gulaszem! Najwyraźniej nigdy nie jedli prawdziwego gulaszu! — i postawił je psom, które wylizały je do czysta. Moim zdaniem sprawy higieny nie są w tym obozie rozwiązane właściwie i dziwię się, dlaczego władze go nie zamknęły. Umyć można się jedynie w strumyczku, latryna jest zdecydowanie za płytka, osłonięta kilkoma gałęziami i kawałkiem drewna przykrywającym obrzydliwe *nuzhnik* po poprzednich obiadach wojowników. Ktoś nagryzmolił przy latrynie napis: *Uwaga! Chłapie.*

Stopniowo zapadał zmrok, a powietrze było zimne i wilgotne. Wzięłam miski i poszłam do strumienia, by zmyć psią ślinę (pozostali wyglądali na zaskoczonych — zapewne ich zdaniem były idealnie czyste), a potem sama się umyłam pachnącym mydełkiem pani McKenzie, bo wiedziałam, że dziś nastąpi *ta noc*. Następnie wspierałam się po sznurowej drabince do nadrzewnej przyczepy.

Drzwi nie były zamknięte. Przyczepa była jeszcze mniejsza niż damska przyczepa na polu truskawkowym i miała owalny kształt jak jajko. W środku mieściło się jedynie składane podwójne łóżko. Nie byłam w stanie sprawdzić, czy pościel jest czysta, i pomyślałam, że lepiej jej nie oglądać. Sądzę, że jedną z zalet mieszkania na drzewie jest to, że psy nie mogą się tu dostać. Na niskiej szafce przy łóżku w słoiku po dżemie stał bukiet suchych kwiatów, który rozsiewał przyjemny pudrowy zapach. W pustych butelkach stało kilka ogarków świec. Znalazłam nawet paczkę zapalek. Zapaliłam świecę i mała dziupla natychmiast wypełniła się łagodnym migoczącym światłem. Poza kręgiem światła za oknami liście szeleściły i drżały w



mroku. Burzowe chmury spiętrzyły się nad wzgórzami. Z dołu dochodziły głosy rozmawiających ze sobą wojowników i dźwięki gitary. Wyciągnęłam się na łóżku i czekałam,

Z jakiegoś powodu zaczęłam myśleć o rodzicach. Czy moja Mama leżała tak i czekała na ojca w noc poślubną? Czy było romantycznie? Czy za pierwszym razem ją bolało? Czy zaszła w ciążę? Tak, zaszła. Z nasion, które zasiano w niej tamtej nocy, miałam wyrosnąć ja. Rosłam pod ochroną bliźniaczych gałęzi ich miłości, żywiona nią, aż ziarenko wypuściło pędy i wyrosło z niego drzewo — Irinoczka — które mogło ustać o własnej sile. Czy on potem kochał żonę? Tak, ale tylko przez chwilę. Chwilowo. Tymczasowo. Dopóki nie zjawiała się Świetlana Soroka. Po raz pierwszy poczułam, że jestem zła na rodziców. Nie mogli po prostu zostać razem jeszcze trochę, tak by ich miłość wciąż mnie oplatała i chroniła do czasu, aż przeżyję moją własną pierwszą lekcję miłości?

Zaczełam snuć w głowie nową opowieść. To będzie opowieść pełna namiętności, historia o wiecznej miłości dwojga ludzi, którzy pochodzą z innych światów, ale po licznych przygodach odkrywają, że los ich połączył. Bohaterka będzie dziewczicą. Bohater będzie mieć opalone muskularne ramiona.

Głosy na dole ożywiły się, a gitara umilkła. Rozprawiali

o czymś, co chwila wybuchając śmiechem. Nagle poczułam, że przyczepa chwieje się i kołysze w przerażający sposób. Usiadłam, drżąc ze strachu. Typowe, pomyślałam, dziś w nocy — akurat tej nocy — przyczepa spadnie z drzewa. Potem dotarło do mnie, że kołysanie spowodowane jest tym, że ktoś wchodzi po drabince. Serce zaczęło mi walić w piersiach. Chwilę później Andrij otworzył drzwi. Miał na twarzy nerwowy uśmiech i

bukiet wrzosów w rękę.

— Zerwałem je dla ciebie, Irino. — Usiadł na brzegu łóżka i podał mi wrzosy, patrząc na mnie uporczywym, intensywnym wzrokiem. — Jesteś piękna jak zielone drzewo w maju.

Zanurzyłam twarz we wrzosach, które wciąż pachniały miodem i latem, bo nie chciałam, by zobaczył, jaką mam minę. Na dziesięciostopniowej skali romantyzmu wypadło to na trójkę.

Potem położył się koło mnie na łóżku i zaczął delikatnie gładzić po policzku. Kiedy wziął mnie w ramiona i pocałował w usta z językiem, pieszcząc wszędzie i wciąż szepcząc moje imię, czułam, że całe moje ciało roztopia się pod wpływem jego dotyku. Mmm. Może jednak siedem na dziesięć. Światło świecy rzucało wspólny cień naszych złączonych ciał — rozmazany, majaczący, falujący na zaokrąglonym suficie. Kiedy dotknął mnie tam niżej, niespodziewana intensywność uczuć sprawiła, że krzyknęłam. OK, na tym etapie przestałam liczyć jego punkty. Nie pamiętam nawet, kiedy mnie rozebrał, ale jakimś cudem ubrania ześlizgnęły się z nas i byliśmy oboje nadzy, ciało przy ciele, na łóżku. Świeca wypaliła się, a wokół nas zamknął się baldachim liści.

Nagle gałęziami poruszył silny powiew wiatru i rozpętała się burza poprzedzona dudnieniem deszczu o dach, potem rozległ się ryk grzmotu i rozpoczęło się widowisko błyskawic przecinających niebo wokół nas niczym karnawał na niebie. Nasza mała przyczepa brykała, wierzgała i kołysała się na wzburzonym morzu liści. Deszcz walił w cienką aluminiową skorupę, a od czasu do czasu ciemności przebijało ostre światło. Naprawdę bałam się, że w nasze drzewo trafi piorun i wszystko stanie w płomieniach.

— Nie bój się, Irinoczko — powiedział Andrij, przyciskając mnie mocniej do siebie.

I tak tej nocy, w burzy, oddaliśmy się sobie.

Tak, to było bardzo romantyczne. Tak, trochę bolało, ale moje uczucia były tak intensywne, że dopiero kiedy było już po wszystkim, poczułam, jak jestem obolała. Tak, martwiłam się, czy nie zajdę w ciążę, ale Andrij wyciągnął z kieszeni coś, co było z gumy, miało różowy kolor i pachniało truskawkami. Nie, to akurat nie było romantyczne, przyznaję, ale świadczyło o jego trosce i było również wyrazem miłości. Tak, on mnie kocha, bo rano zszedł po sznurowej drabince, przyniósł chleb i herbatę i spędziliśmy pół ranka, leżąc razem w łóżku i rozmawiając o przyszłości i o miejscach, do których pojedziemy po odwiedzeniu Sheffieldu, i o wszystkich rzeczach, które będziemy razem robić. A potem znów się kochaliśmy.

Nie, nie jestem tą samą osobą, którą byłam wczoraj.

\*\* \*

**JESTEM PSEM BIEGNĘ BIEGNĘ Z MARYJANE JESTEM  
ZAKOCHANY ONA JEST BRAZOWĄ SUKĄ SZYBKĄ I SZCZU-  
PŁĄ MA DOBRY ZAPACH MIŁOSNYCH HORMONÓW WĄ-  
CHAM ONA TEŻ WĄCHA WSZYSTKIE PSY GONIA ZA NIĄ ALE  
ONA BIEGNIE ZE MNĄ BIEGNIEMY W BURZY I DESZCZU  
BIEGNIEMY W ŚWIETLE KSIĘŻYCA BIEGNIEMY WŚRÓD  
CIENI DAM JEJ SZCZENIĘTA JESTEM ZAKOCHANY BIEGNĘ  
BIEGNĘ JESTEM PSEM**

\*\* \*

Następnego ranka przed odjazdem Andrij i Rock wspinają się na buk, by

poprawić zamocowanie przyczepy. Jedna z linek namiotowych pękła nocą i przyczepa wisi teraz przekrzywiona między dwiema gałęziami.

— Mielicie trochę szczęścia — mówi Rock — albo nieszczęścia, zależy, jak na to patrzeć.

— To było szczęście — odpowiada Andrij.

Kiedy wyjeżdżają na drogę, jest wczesne popołudnie. Irina znów siedzi między nimi. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy i zaspane oczy. Bus mozolnie pokonuje kręte, wąskie drogi i wioski z szarego kamienia. Andrij otacza Irinę ramieniem, a ona wtula się w niego. Ma rozpuszczone nieuczesane włosy. Andrij odgarnia kosmyki opadające jej na twarz i obserwuje jej uśmiech. Ta dziewczyna naprawdę jest niezwykła. Tak, Andriju Palenko, górnika z Donbasu, jesteś prawdziwym szczęściarzem.

— A więc co cię sprowadza do Sheffieldu? — pyta Rock.

Słońce stoi wysoko na niebie, nad wzgórzami unosi się po deszczu rzadka mgła.

—Do Sheffieldu? To bliźniacze miasto Doniecka. Mojego miasta. Jest bardzo piękne, prawda?

—Sheffield? Taa, można tak powiedzieć. Jak kto lubi stalownie. Można też powiedzieć, że wcale nie jest piękne.

— A węgiel w dalszym ciągu się tam wydobywa?

—Nie, wszystko się pozmieniało. Kiedyś pełno tam było hałd żużlu. A teraz pełno jest żuli. — Rock poprawia okulary na nosie. — Barnsley też się zbratało z takim jednym ukraińskim miastem, które nazywa się Gorłówka.

—Byłem tam. Leży w regionie Donbasu. Za piękne to ono nie jest.

— Cóż, Barnsley też nie słynie z urody.

—Byłem już kiedyś w Sheffieldzie. I poznałem Wlunketa, słynącego z

mądrości i dobrego serca. Kiedy znajdziemy się w Sheffieldzie, poprosimy go o pomoc.

– Wlunketa?

– Rządzi tam. Jest niewidomy, ale wszystko widzi.

–Aa! Chodzi ci o Blunketta! — Rock podskakuje z wrażenia. Okulary zsuwają mu się z nosa i lądują na desce rozdzielczej. Kiedy Rock nachyliła się, by je złapać, niechcący szarpie kierownicą i bus gwałtownie skręca, wpada w poślizg i odbija się od przydrożnego głazu.

–Pieprzony Blunkett! — Rock dociska motylki w oprawkach okularów, żeby lepiej trzymały się na nosie.

– Dlaczego pieprzony?

– Zdrajca klasowy. Sprzedał nasze przyrodzone prawa za odpicowaną lalę, mówiąc nieśmiertelnymi słowami Jimmy’ego.

Co takiego sprzedał? Kim jest ten Jimmy? Ale nim Andrij zdołał zadać pytanie, Rock wykrzyknął:

– O, tam!

Od kilku kilometrów jechali ostro pod górę drogą wijącą się wśród paproci, torfowisk i skał. Pejzaż był dużo bardziej ponury niż piaszczysty, porośnięty wrzosem płaskowyż Dziewięciu Dam. Po osiągnięciu szczytu wzniesienia droga przez pewien czas biegła po płaskim terenie, ale kiedy zaczęła prowadzić w dół, zobaczyli leżące w dolinie miasto: w samym środku zbite skupisko połyskujących w promieniach słońca budynków, a dookoła bezładnie rozrzucone skupiska brzydkich nowych zabudowań, które wpełzały na otaczające wzgórza.

– To jest Sheffield? — pyta Irina lodowatym głosem.

Andrij czuje ogromne rozczarowanie, które ściska mu serce.

Najwyraźniej to miasto nie leży na wzgórzu.

Nie ma w nim też ani jednej bugenwilli. Zielone przedmieścia wkrótce, w miarę jak zbliżają się do centrum, ustępują miejsca szeregom domów z ceglanymi elewacjami. Rock skręca w boczną ulicę, przy której stoi wiele opuszczonych budynków. Zasłony w oknach są zaciągnięte, ogródki od frontów pełne śmieci, chwastów i napisów: „Na sprzedaż”. Jak Wlunket mógł pozwolić, by miasto popadło w takie zaniedbanie? W powietrzu unosi się wyraźny zapach zanieczyszczeń, typowy dla stalowni.

– Dalej nie będzie gdzie zaparkować. Pójdziemy stąd piechotą. Mam spotkać się z Thunder w Ha Ha.

Idę za Rockiem przejściem podziemnym cuchnącym moczem, prowadzącym do centrum miasta. Burza przegoniła chmury i znów jest słonecznie i gorąco. Okolica jest tu bardziej schludna, a ruch skierowany na trasy omijające centrum, dzięki czemu dzielnica jest znacznie przyjemniejsza. Zabiegany tłum wypełnia ulice, są też sklepy, stragany, a nawet kilka nowych eleganckich budynków. Miasto wciąż nie wygląda tak, jak zapamiętał je Andrij, ale to, co widzę, jest lepsze od pierwszego wrażenia. To Andrija podnosi na duchu. Fontanny — tak, są fontanny! I skwer z eleganckim ogrodem pełnym wodospadów, nad którym wznosi się wielki gotycki gmach wyglądający jakby znajomo oraz nowoczesna cytadela ze szkła i stali, która powinna być pałacem, a tymczasem okazuje się po prostu hotelem. Andrij bierze Irinę za rękę, splata swoje palce z jej palcami. Irina uśmiecha się i krzyczy: Spójrz!

W fontannie zgraja rozwrzeszczanych dzieciaków, rozebranych dosadnych majtek, skacze i ochlapuje się wodą. Zupełnie jak w Doniecku.

\*\* \*

**JESTEM PSEM JESTEM MOKRYM PSEM BIEGNĘ BAWIĘ**

SIĘ W WODZIE HAU STRUMIEŃ WODY TRYSKA JEST JAK SEN  
O MOICH MINIONYCH SZCZENIĘCYCH LATACH TU SĄ  
DZIECI MOKRE DZIECI BAWIĄ SIĘ ZE MNĄ HAU STRUMIEŃ  
TRYSKA JESTEM SZCZĘŚLIWY DOTYKA JĄ MNIE MAŁYMI  
MOKRYMI RĄCZKAMI DOBRY PIES MÓWIĄ JESTEM DO-  
BRYM PSEM MÓJ PAN NA MNIE PATRZY BIEGNĘ DO NIEGO  
OTRZĄSAM SIĘ Z WODY OTRZĄSAM OTRZĄSAM OTRZĄSAM  
ODEJDŹ MOKRY PSIE MÓWI MÓJ PAN BIEGNIJ I BAW SIĘ  
JESTEM SZCZĘŚLIWY BIEGNĘ BAWIĘ SIĘ JESTEM MOKRYM  
PSEM JESTEM PSEM

\*\* \*

Przy placu jest kawiarnia ze stolikami wystawionymi na słońce. Bardzo wysoka dziewczyna o krótko przyciętych jasnych włosach biegnie w ich stronę i obejmuje Rocka. Jego nos sięga akurat jej piersi, małych, jędrnych i ledwo zakrytych spraną pomarańczową koszulką na ramiączkach. Ona również ma psa na smyczy.

— Mam kilka spraw do załatwienia — mówi Rock. — Muszę poddać się nikczemnym szponom mojej ukochanej. Spotkamy się w tym samym miejscu o szóstej.

Irina oświadcza, że ona również ma coś do załatwienia w sklepach. Andrij patrzy, jak znika w tłumie z Psem, krocącym u jej boku, wciąż jeszcze mokrym po zabawie w fontannie. Potem sięga po portfel i wyjmuje z niego kawałek papieru. Musi znaleźć budkę telefoniczną.

\*\* \*

Myślałam o Nataszy z *Wojny i pokoju*, o tej chwili, kiedy połączyła się z



Pierre'em w miłości i cała jej uroda i namiętność spływały na niego, a cały jego intelekt i siła spływały na nią i wspólnie stawili czoło światu w chwalebnej wieży miłości. Gdy przeczytacie te stronicę, łzy staną wam w oczach, przysięgam, chyba że macie serce z kamienia. A potem, kiedy już znalazła tego jedyne, namiętność powoli roztopiała się w łagodną codzienną miłość, a ona sama stała się troskliwą żoną, oddaną dzieciom, zajęta zarówno domem, jak i sprawami rodzinnymi. Ciekawa jestem, czy tak samo będzie z Andrijem i ze mną. Już teraz dostrzegam pierwsze objawy. Na przykład dziś zauważyłam, że Andrijowi potrzebne są nowe majtki. Te, które teraz nosi, wkrótce będą przypominać gacie wojowników. Nie czyni to mężczyzny atrakcyjnym.

To właśnie miałam w głowie, gdy ruszyłam na poszukiwanie ulicy ze sklepami i kramami, którą wcześniej szliśmy, bo widziałam, że sprzedawali tam takie artykuły — seksowne modele w ciekawych kolorach, a nie takie zwykłe ciemnoszare i workowate jak na Ukrainie. A także maleńkie damskie figi z koronki. Pomyślałam, że gdybym trafiła z powrotem na tę ulicę, mogłabym rzucić na nie okiem. Ale musiałam gdzieś źle skręcić, bo znalazłam się w nieznannej okolicy, która wyglądała na dzielnicę przemysłową z budynkami biurowymi o elewacjach z czerwonej cegły, nielicznymi kawiarniami i sklepami, z których żaden nie oferował ubrań, tylko środki czystości, materiały biurowe i inne bezużyteczne artykuły. Szłam już niemal pół godziny i byłam coraz bardziej zagubiona. Mokry pies kroczył obok mnie, czasem wybiegał naprzód, czasem zostawał w tyle albo zniknął w jakiejś uliczce i przez cały czas obwąchiwał w ten swój obrzydliwy sposób zasikane latarnie.

Słońce wciąż mocno grzało, ale cienie na chodnikach stawały się coraz dłuższe. Na ulicach wokół nie było nikogo, a z powodu jednokierunkowego

ruchu samochodu, które czasem nimi przejeżdżały, jechały bardzo szybko. Pies gdzieś przepadł i zostałam sama. Próbowałam właśnie przypomnieć sobie, w którym momencie skręciłam w niewłaściwą ulicę, i miałam nadzieję, że znajdę kogoś, kto wskaże mi drogę, gdy zauważyłam, że tuż przy mnie sunie wielki szary samochód, kierowca nie odrywa ode mnie oczu i coś mamrocze. Zignorowałam go i odjechał. Na rogu ulicy stała jakaś blondynka i paliła papierosa. Miała na sobie idiotyczne satynowe szorty i botki na wysokich obcasach. Ruszyłam szybkim krokiem w jej stronę, by spytać o drogę, ale w tej samej chwili zatrzymało się obok niej auto. Kierowca opuścił szybę, zamienili kilka słów i kobieta wsiadła do środka. Hm... Zdecydowanie nie zamierzałam zostać w tej okolicy. A więc zawróciłam i ruszyłam szybkim krokiem tą samą drogą, którą przyszłam. Z naprzeciwka w moją stronę szła wolnym krokiem jakaś inna kobieta w wysokich szpilkach. Wyglądała znajomo. Przyjrzałam się jej. Zauważyła mnie w tej samej chwili.

— Cześć, Lena — powiedziałam po ukraińsku, podając jej rękę. — Co ty tu robisz?

— A jak myślisz? — odparła.

— Słyszałam o wypadku. Minibusu. Bardzo się tym zmartwiłam. Czy to byli ludzie z naszej farmy?

— Nie wiem, o czym mówisz — odpowiedziała.

Z bliska sprawiała wrażenie jeszcze młodszej. Zapuściła nieco dłuższe włosy, jej upudrowana na biało twarz wyglądała jak maska, bardzo jaszkrawa czerwona szminka podkreślała nadąsane usta. Szminka była rozmazana, tak jakby przed chwilą się całowała. Czarne pończochy i szpilki wyglądały absurdalnie na jej chudych nogach. Przypominała dziecko, które przebrało się w rzeczy mamy i bawiło się jej kosmetykami. Tylko w jej oczach nie było nic dziecinnego.

— A co z resztą? Z Tasią? Oksaną?

— Nie wiem.

Zatrzymała się i patrzyła prosto przed siebie, w jakiś punkt za moimi plecami. Odwróciłam się i spojrzałam w tę samą stronę. Patrzyła na podjazd przed biurowcem, na którym stały zaparkowane auta. Z tyłu, na wpół ukryty za białą furgonetką, stał wielki czarny, lśniący samochód terenowy. Musiałam wcześniej obok niego przejść.

Poczułam gwałtowny przypływ mdłości. Serce zaczęło mi walić. Bum. Bum. Biegnij, biegnij, krzyczało moje walące serce, ale nogi jakby wrosły mi w ziemię. Spojrzałam na Lenę — jej oczy były zupełnie martwe.

\*\* \*

Przy placu obok kawiarni jest budka telefoniczna. Andrij szuka w kieszeni drobnych, wrzuca kilka monet do otworu i wybiera zapisany na kartce numer. Słysząc parę kliknięć, a potem długi sygnał. Co to znaczy? Znów wybiera numer. Ten sam pusty sygnał. Andrij czeka chwilę, ale nic się nie dzieje. Pustka. W jakimś sensie tego właśnie się spodziewał. Wzdycha. No to tyle. Jego podróż jest zakończona. Vagvaga Riskegipd. Pustka. A co tam.

Przy małym okrągłym stoliku na chodniku przed kawiarnią siedzi kobieta w średnim wieku. Andrij pokazuje jej kartkę.

— Och, to stary numer — mówi kobieta. — Zamiast zero, jeden, czternaście powinno być zero, siedem, czterdzieści dwa. Ale nie musisz wybierać tych cyfr, bo jesteś w Sheffield. Przed tym numerem wystarczy wybrać dwójkę.

Andrij wyciąga z kieszeni ołówek i kobieta zapisuje mu ten nowy nu-

mer.

Próbuje ponownie. Tym razem słyszy normalny sygnał. Po kilku dzwonekch jakaś kobieta odbiera telefon.

—*Alloa?* — Mówi tym samym co Rock regionalnym dialektem z silnym walijskim akcentem.

—*Vagvaga?* — Andrij z trudem panuje nad emocjami. — *Vagvaga Riskegipd? Vagvaga?*

Zapada cisza. A potem w słuchawce rozlega się: *Spadaj*. Słysząc kliknięcie i znów sygnał. Andrij jest głęboko sfrustrowany. Tak blisko, a tak daleko. Czy to był jej głos? Nie pamięta, by w ogóle odzywała się do niego tamtego wieczoru. Ile miałyby teraz lat? Głos w słuchawce brzmiał chropawo i tak, jakby tej osobie brakowało tchu, zupełnie jak głos starszej pani. Postanawia odczekać chwilę i podjąć jeszcze jedną próbę.

Kobieta w średnim wieku wciąż siedzi przy stoliku na ulicy, popijając kawę. Dołączyła do niej znajoma, wokół nich na chodniku leży mnóstwo toreb z zakupami. Pod wpływem impulsu Andrij raz jeszcze podchodzi do niej z kartką.

— Nie udało się? — pyta kobieta z uśmiechem.

— Co to za imię? — pyta Andrij.

Kobieta spogląda na niego dziwnym wzrokiem.

— Barbara Pickering. A co ty myślałeś?

Andrij wpatruje się w kawałek papieru. Och! Jego dwudziestopięcioletnie oczy dopiero teraz widzą to, czego jego siedmioletnie oczy nie dostrzegły: alfabet łaciński.

— Co znaczy *spadaj*?

Kobieta znów spogląda na niego dziwnym wzrokiem.

— Dość tego. *Spadaj*, dobrze? — Po czym odwraca się do niego ple-

cami i podejmuje przerwana rozmowę z przyjaciółką.

Chciał poprosić ją jeszcze o drobne, ale teraz już nie może. Wraca do budki telefonicznej i wrzuca do otworu jednofuntową monetę.

— *Alloa?* — odzywa się ten sam kobiecy głos.

— Barbara? — Barr-baa-rra. Barbarzyńska kobieta. Dzika. Nieposkromiona. Niesamowicie seksowne imię.

— Nie ma jej. — W głosie słychać wahanie. — Czy to ty dzwoniłeś przed chwilą?

— Nazywam się Andrij Palenko. Przyjechałem z Ukrainy. Z Doniecka. To bliźniacze miasto Sheffieldu.

— Och — mówi kobieta — myślałam, że to jakiś świr. Barbara nie mieszka tu już od dobrych paru lat. Jest teraz w Gleadless. Jestem jej mamą.

— Spotkałem ją dość dawno temu. Pierwszy raz przyjechałem do Sheffieldu razem z ojcem z delegacją ukraińskich górników.

— Na tę wielką fetę w ratuszu z Ukraińcami? Też tam byłam. To dopiero była noc! — Na linii słycać jakiś trzask. — Cała ta wódka stawiana przez władze miejskie!

— Czy ona jeszcze mieszka w Sheffieldzie? — pyta Andrij. Po czym wyrzuca z siebie to pytanie, które dręczyło go, odkąd przyjechał do Anglii, odkąd zrozumiał, że trzeba będzie je zadać. — Czy ona poszła za męża?

— Och, oczywiście. Ma dwu kochanych chłopaków. Jasona i Jimmy'ego. Sześć i cztery lata. Chcesz jej nowy numer?

— Tak. Oczywiście.

Andrij sięga po swój ogryzek ołówka. Kobieta powoli podaje mu nowy numer, po każdej cyfrze robiąc przerwę. Andrij słucha, ale niczego nie zapisuje.

Odwróciłam się i chciałam rzucić się do ucieczki, ale Lena zagroziła mi

drogę. Na jej twarzy rozlewał się okropny uśmiech.

— Uważaj — powiedziała. — On ma broń.

Jak coś takiego może się dzieć na normalnej ulicy w Anglii w pełnym świetle dnia?! Ledwo spojrzałam w tamtą stronę, drzwi terenowego samochodu otworzyły się i ze środka wyłonił się Wulk, szczerząc do mnie poźółkłe zęby. Rozłożył szeroko ręce w powitalnym geście. Nie widziałam broni. Jeśli ją miał, to schowaną w kieszeni. Czy powinnam zaryzykować ucieczkę? W ukośnie padających promieniach słonecznych jego ciemna podświetlona sylwetka przypominała zjawę—zwalisty, szczerzący zęby koszmar. Znow poczułam znajomy przypływ paniki. Zaczął iść pod górę w moją stronę, dość powoli. Jego ostry krępy cień padał na chodnik tuż przed nim. Słyszałam, jak za moimi plecami Lena mamrocze coś pod nosem. Czy próbowałyby mnie powstrzymać, gdybym zaczęła biec?

Zbliżał się coraz bardziej. *Mój ty kochany mały kwietek*. Zdjął kurtkę i na koszuli pod pachami widziałam wielkie ciemne plamy potu. Myślałam, że z trudem łapie oddech, ale zaraz dotarło do mnie, że Wulk szepcze: Milost. Milost. Milost. Cofnęłam się, odpychając Lenę, i wtedy Wulk sięgnął po broń. Zatrzymałam się sparaliżowana. Pistolet był szary i tak mały, że trudno było uwierzyć, by mógł zrobić komuś jakąś krzywdę. Wulk nie celował we mnie. Trzymał go po prostu w dłoni i bawił się, kręcąc nim na palcu, nie spuszczając ze mnie oczu.

Zauważyłam wtedy jakieś zamieszanie w dole ulicy, za plecami Wulka —jacyś ludzie, ruch. Nagle pojawił się pies. Gnał w naszą stronę wielkimi susami, a kilka metrów za nim biegł Andrij, zdyszany, z poczerwieniałą twarzą.

Pies szczeka jak oszalały. Andrij krzyczy, żeby się zamknął, ale zwie-

rzak podskakuje, drapie Andrija po nogach pazurami, skomle i podrzuca łbem jak wariat. Andrij bierze torby i rusza za nim.

Jest wpół do piątej. Ulice są pełne ludzi, którzy chcą zdążyć z zakupami przed zamknięciem sklepów. Pies wyprzedza Andrija w tłumie, lawirując między nogami przechodniów, a potem czeka, aż Andrij go dogoni, poszczekując wymownie, by się pospieszył. Teraz serce Andrija zaczyna walić z całej siły, bo uświadamia sobie, że Pies koniecznie chce go dokądś zaprowadzić, a Iriny nie ma już od ponad godziny. Pies przecina ruchliwą drogę i skręca w boczną uliczkę między wysokie budynki o elewacjach z cegły. Tłum znikł. Znajdują się w spokojnej dzielnicy biurowej, na południowy zachód od centrum miasta.

Kolejny skręt w prawo prowadzi ich na długą biegnącą pod górę ulicę, przy której mieszczą się anonimowe warsztaty — biura. Jedna strona ulicy — ta, na której są teraz — jest w pełnym słońcu. Druga strona skryta jest w cieniu. Jakieś sto metrów dalej widać trzy postaci. Andrij rusza w ich kierunku, ale nie traci z oczu całej sytuacji. Najbliższa, odwrócona tyłem postać to Wulk. Idzie powoli pod górę, drepcząc jak kaczka na szeroko rozstawionych nogach, w sposób typowy dla ludzi dźwigających przed sobą zbyt duży ciężar. Rozdęta sylwetka Wulka wypełnia cały chodnik. Zdjął kurtkę. Jego ciemnoniebieska koszula jest wciśnięta w spodnie. Kucyk dynda mu na plecach. W prawej dłoni ma pistolet, którym obraca na wskazującym palcu. Kilka metrów przed nim stoi Irina w bezruchu, z ustami otwartymi w niemym krzyku. Za nią, również przodem do nich, stoi Lena w czarnych pończochach i idiotycznych szpilkach. Jej usta wyglądają jak szkarłatna rana. Jej twarz jest bez wyrazu, całkowicie pusta.

— Zatrzymaj się! — krzyczy Andrij. — Zatrzymaj się! — Sięga do plecaka po pistolet. Gdzie on się podział?



Wulk odwraca się. Widzi psa i Andrija biegnących w jego stronę. Są tylko jakieś pięć metrów od niego.

— Za późno, chłopcze — uśmiecha się szyderczo. — Mam ją. Wracaj. —  
Podnosi pistolet.

Andrij zatrzymuje się. Ta chwila wahania wystarczy, by Pies zawarczał, obnażył zęby i rzucił się naprzód. Biegając, nabrał ogromnej szybkości, a teraz dodatkowo zebrał wszystkie siły do ostatecznego skoku i w efekcie nie skacze, a startuje do lotu. W locie jego masywne, umięśnione ciało gna w stronę Wulka jak pocisk — wprost na pistolet. Wulk pociąga za spust. Pies wydaje z siebie długi przenikliwy skowyt bólu. Drży w powietrzu, gdy krew tryska z jego piersi szkarłatnym strumieniem, a potem spada, ale z takim impetem, że miażdży swym ciężarem Wulka, który runął do tyłu. Jego głowa z trzaskiem uderza o krawężnik. Wielki krwawiący pies leży na nim, skowyt cichnie. Pistolet wypada Wulkowi z dłoni i toczy się po kamiennych płytach chodnika.

Irina odwróciła się i wbiegła w przejście między dwoma biurami. Andrij rzuca się po broń, ale Lena jest szybsza. Stawia stopę na pistolecie, podnosi go, celuje w Andrija i mówi:

— Idź sobie.

Andrij nie wdaje się w dyskusję. Biegnie. Kiedy skręca w wąskie zacienione przejście, słyszy kolejny strzał.

\*\* \*

Na zawsze zapamiętam ten ostatni obraz Psa, kiedy leciał w powietrzu niczym anioł zemsty, srogi i czarny, z lśniącymi jak miecze kłami. Nim zginął, spojrzałam mu w oczy. Były głębokie, aksamitnobrazowe i nie-

zgnębione. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, że miał tak piękne oczy, bo nawet anioł zemsty ma w oczach litość. Po tym wszystkim zapomniałam o jego okropnych zwyczajach związanych z sikaniem, obwąchiwaniem i jedzeniem i pamiętam jedynie, jak na mnie spojrzał, gdy skoczył przed siebie. Często zastanawiam się, co wtedy myślał? Czy wiedział, że zginie?

Andrij był tak przygnębiony, chciał po niego wrócić, ale nie pozwoliłam mu na to. Powiedziałam, że Pies zginął i nic już nie możemy zrobić, by przywrócić go do życia. Chciałam po prostu jak najszybciej opuścić to miejsce.

Kilka minut później usłyszeliśmy wycie syren i zauważyliśmy na końcu ulicy migające niebieskie światła. Za jakimiś pojemnikami na śmieci znaleźliśmy przejście na parking i ruszyliśmy w drugą stronę, nie biegiem, tylko zwykłym krokiem, bo staraliśmy się wyglądać jak zwykła para, która wyszła się przejść. Andrij otoczył mnie ramieniem, a ja przytuliłam się do niego. Oboje się trzęśliśmy. Zrozumiałam, że Andrij też musiał być przerażony. To było dziwne, bo zawsze myślimy, że mężczyźni niczego się nie boją — ale dlaczego właściwie mieliby się nie bać?

Krażyliśmy tak ponad godzinę. To Sheffield wcale nie wyglądało tak, jak mówił Andrij — pałace, bugenwille i tak dalej. Nie było też żadnych sanatoriów dla robotników ani komunalnych kąpielni błotnych. Miasto wydawało się całkiem przeciętne. Sklepy już pozamykano i ludzie wracali do domów. Ulice były zakorkowane. A tam gdzieś w bocznej uliczce leżało martwe ciało. To mogłam być ja.

— Dokąd jedziemy? — spytałam Andrij a.

— Nie wiem. Dokąd chcesz jechać?

— Nie wiem.

Wciąż myślałam o tym ostatnim wystrzale. Nie mogłam o tym zapo-

mnieć.

Przez dłuższy czas trzymaliśmy się z dala od głównych ulic. Szliśmy bocznymi uliczkami, pustymi i wciąż jeszcze nagrzanymi słońcem. Czuło się ciepło bijące od cegieł jak z nagrzanego piekarnika, stojące powietrze ciężkie od kurzu i spalin. Szliśmy, nie wiem jak długo, aż stanęliśmy, trzęsąc się. Bolały nas nogi i zgłodnieliśmy. Wreszcie znaleźliśmy drogę do kawiarni. Oczywiście Rocka w niej nie było. Byliśmy spóźnieni ponad dwie godziny.

Ci, którzy robili tu po południu zakupy, zniknęli i plac wypełnił się młodymi ludźmi, którzy jedli, pili, rozmawiali. Szczęk sztućców i przenikliwe śmiechy odbijały się echem od twardych powierzchni tak głośno, że zaczęło mi dzwonić w uszach i kręcić się w głowie. Wtedy dotarło do mnie, jak bardzo jestem głodna. Kupiliśmy coś dojedzenia, nie pamiętam co, wiem tylko, że było to najtańsze danie w karcie. Wyglądaliśmy tak nędznie i nie na miejscu, ja w dżinsach poplamionych truskawkami, a Andrij w swoich ukraińskich spodniach. Dziewczyna, która nas obsługiwała, była Białorusinką.

— Szukacie pracy? — spytała. — Zawsze mają tu wolne miejsca. Jest tu cała Europa Wschodnia.

— Nie wiem — odparłam.

— Nie — powiedział Andrij.

— Jeszcze nie zdecydowaliśmy — dodałam.

Przyniosła nam dwie porcje lodów, mówiąc, że to gratis.

— Czy jest tu gdzieś telefon? — spytałam Andrija. — Chcę zadzwonić do Mamy.

Gdy tylko powiedziała: „Halo? Irinoczka?”, wybuchłam łzami i musia-

łam udawać, że kicham, bo nie chciałam, żeby spytała, dlaczego płaczę. To by ją tylko niepotrzebnie zmartwiło. Chciałam po prostu usłyszeć jej głos, tak jak wtedy, gdy byłam mała i przyśnił mi się zły sen, a ona przychodziła i powtarzała, że wszystko będzie dobrze. Czasem jedyne, czego ci potrzeba, to usłyszeć coś uspokajającego. Więc wciąż pociągając nosem, powiedziałam jej, że wszystko jest w porządku poza tym, że złapałam przeziębienie, a pies miał wypadek. Zapytała wtedy, dlaczego nie ubieram się ciepło i o jakim psie mówię i co to był za wypadek i dlaczego opuściłam tę miłą rodzinę, toteż musiałam wymyślić mnóstwo kłamstw, żeby ją uszczęśliwić.

– Irinoczka, chcę cię teraz o coś zapytać.

Myślałam, że spyta, z kim jestem albo kiedy zamierzam wrócić do domu, i przygotowałam się na zmyślenie kolejnej historii, ale ona powiedziała:

– Czy byłoby ci przykro, gdybym znalazła sobie kogoś?

– Nie, oczywiście, że nie, Mamusiu. Powinnaś robić to, co daje ci szczęście.

Mamusiu! Moje serce skakało z radości jak wielka mokra ryba.

Oczywiście było mi przykro. Było mi przykro i byłam wściekła. Na chwilę spuszczaś rodziców z oka, a oni od razu zaczynają psocić.

– To wspaniale, Mamusiu. Kim on jest?

– Wiesz, mówiłam ci o tym miłym starszym małżeństwie, które wprowadziło się piętro niżej. No więc, oni mają syna...

– Ale myślałam, że...

– Tak, jesteśmy w sobie zakochani.

Najpierw ojciec, a teraz matka!

Kiedy odłożyłam słuchawkę, trzęsły mi się ręce. Ryba w moich pier-

siach rzucała się jak szalona. Jak rodzice mogli mi to zrobić, swojej małej Irinoczce? Nad placem zapadł zmrok, ale wciąż było ciepło. Andrij stał na zewnątrz i czekał na mnie, oparty łokciami o balustradę patrzył na fontanny. Miał gibką i umięśnioną sylwetkę, mimo tych jego strasznych spodni, a na czoło opadał mu jeden brązowy kosmyk niczym znak zapytania. Uśmiechnął się. Wystarczyło na niego spojrzeć, a już rozpierała mnie radość.

Czy Andrij i ja będziemy się kochać wiecznie? Wygląda na to, że miłość to dość śliska, nieprzewidywalna rzecz — a nie skała, na której możesz budować całe życie. Chciałam, by była idealna, jak miłość Nataszy i Pierre'a, ale może tak jest tylko w powieściach. Jak miłość może być idealna, skoro ludzie nie są idealni? Spójrzcie na moich rodziców — ich miłość nie trwała wiecznie, ale na jakiś czas była dobra, dobra dla Irinoczki, tej małej dziewczynki, którą niegdyś byłam. Oczywiście, kiedy jest się dzieckiem, chce się wierzyć w to, że rodzice są idealni — ale dlaczego mieliby tacy być?

— Jak się czuje twoja mama? — spytał Andrij.

— W porządku. — Uśmiechnęłam się. Tak, Andrij nie był ideałem: mówił z tym śmiesznym donbaskim akcentem, był humorzasty i myślał, że wszystko wie, chociaż był przesiąknięty tymi przestarzałymi ideami. Ale miał również dobre serce, był troskliwy, uprzejmy i odważny, a dla mnie to wystarczająco dużo. — Wiesz, Andriju, właśnie coś odkryłam. Rodzice już mnie nie potrzebują.

Staliśmy obok siebie, oparci o balustradę i patrzyliśmy na fontanny, a ja zaczęłam myśleć o historii, którą napiszę po powrocie do Kijowa. To będzie opowieść o miłości, o niezwykłym romansie, a nie coś głupiego i

frywolnego. W tle będzie zgiełk pomarańczowej rewolucji. Bohaterką będzie dzielna aktywistka kochająca wolność, a bohater będzie po drugiej stronie, po stronie sowieckiego Wschodu. Ale dzięki jego miłości do pięknej bohaterki otworzą mu się oczy i zrozumie, co jest prawdziwym przeznaczeniem jego kraju. Będzie bardzo namiętny i przystojny, z opalonymi muskularnymi ramionami; w zasadzie będzie wyglądać dokładnie tak jak Andrij. Ale zdecydowanie nie będzie górnikiem. Może nawet będzie miał psa.

W kawiarni strzelił korek od szampana i nad spokojnym placem zawirowały dochodzące stamtąd hałasy i śmiech.

— Andriju — powiedziałam. Spojrzał na mnie. Miał smutne oczy. Na jego twarzy kładł się cień. — Myślisz o Psie?

Pokiwał głową.

— Nie bądź smutny. Masz teraz mnie.

Wyciągnęłam rękę, owinęłam sobie jego opadający kosmyk włosów wokół palca, zanurzyłam dłoń w jego gęstej czuprynie i przyciągnęłam go do siebie, by go pocałować. Tak, definitywnie ta historia musi mieć szczęśliwe zakończenie.

\*\* \*

Przeżyłeś wiele przygód i wreszcie osiągnąłeś cel podróży. Kilka razy uniknąłeś śmierci i zdobyłeś miłość pięknej Ukrainki pierwsza klasa. Więc dlaczego, Andriju Palenko, twoje serce wydaje dziwne pomruki jak jakiś stary zaz? Co się z tobą dzieje?

Przysłuchuje się młodym ludziom popijającym kawę kilka metrów dalej — żyją w innym świecie. Może mógłby zostać z Iriną w Sheffieldzie,

znaleźć pracę, a może nawet pójść do jakiejś szkoły i zostać inżynierem. Kupiłby *mobifon*, nie po to, by robić interesy, ale by rozmawiać z przyjaciółmi, a w weekendy chodziliby do takich barów jak ten, pili i śmiali się. Ale nigdy nie stanie się taki sam jak oni. Musiałby zapomnieć o zbyt wielu rzeczach.

Ona myśli, że jest mu smutno z powodu Psa, więc wyciąga dłoń, głaszcze go po włosach i szepcze mu do ucha kilka słodkich słów. Cóż, tak, będziesz tęsknić za Psem; takiego wspaniałego psa nigdy już nie będzie. Ale nie chodzi tylko o Psa. Na końcu podróży odczuwa się pewien specyficzny smutek. Bo dopiero wtedy, gdy cel zostaje osiągnięty, odkrywa się, że droga wcale się na tym nie kończy.

— Andriju, daj spokój! Nie bądź smutny!

Irina zachęca go, by poszedł za nią. Zeskakuje po schodkach na dół, tam gdzie woda spływa wykutymi w kamieniu kanałami, a tuzin fontann tryska w górę niczym gejzery. Wokół nie ma nikogo poza parą całującą się na ławce. Irina ujmuje dłoń Andrija, kładzie ją na swoim ramieniu i przytula się do niego.

— Andriju, on był zupełnie wyjątkowy, ale mimo wszystko to był tylko pies.

Andrij trzyma ją mocno w ramionach. Jest gibka i taka ciepła.

— Rock wraz z wojownikami poświęcili życie dla kilku kamieni, Irino. Można powiedzieć, że to tylko kamienie, a jednak właśnie w ich imieniu występują. Jak powiedziałaby Jimmy, to ofiary globalnego kapitalizmu.

— Czy pies jest ofiarą globalnego kapitalizmu?

— Nie bądź niemądra. Wiesz, co mam na myśli. — Jej brak powagi bywa irytujący. — Mój ojciec zginął...

— Ale ty żyjesz, Andriju. Od czasu do czasu mógłbyś o tym pomyśleć.



—Oczywiście, myślę o tym. A potem zastanawiam się, dlaczego to ja przeżyłem, a nie on.

—Ale ty go nie zabiłeś, Andriju. Myślisz, że on chciałby, żebyś był stale nieszczęśliwy i rozpamiętywał przeszłość?

Andrij kręci głową.

— Andriju...

— Co?

—...twoje majtki wyglądają tak jak gacie wojowników. — Irina chce.

—I co z tego? Zawsze przejmujesz się takimi powierzchownymi sprawami, Irino.

—Wcale nie. — Wkłada dłonie w strumień tryskającej wody i ochlapuje Andrija, moczając jego koszulę.

— Ależ tak. — Andrij ochlapuje wodą jej włosy.

—A ty mówisz jak górnik z Donbasu. — Nabiera wody w dłonie i chłapie mu na twarz. — Kruca fuks! Do czorta!

—I co z tego, że tak mówię? Mam się tego wstydzić? — Przeciera oczy. — Teraz jesteś jak drobnomieszczańska uczennica.

— No to co, że taka jestem? — Irina popycha go i Andrij łąduje w strumieniu tryskającej wody. Oczy Iriny lśnią, woda spływa jej po policzkach. Mimo woli Andrij się uśmiecha.

—Jeżeli taka jesteś — Andrij kaszle i prychna wodą — to będę musiał poddać cię reedukacji. — Łapie ją za nadgarstek i przyciąga do siebie.

—Nigdy! — Irina znów chce go szturchnąć, ale ślizga się na mokrych kamieniach i wpada do fontanny. Łapie Andrija, który też traci równowagę i przewraca się na nią z pluskiem.

—Zacznę od razu. — Trzyma ją mocno i zasypuje pocałunkami. — Drobnomieszczańska uczennica!

—Górnik z Donbasu! — Irina uwalnia się z jego uścisku i teraz to ona trzyma go mocno między swoimi kolanami. — Przesiąknięty ideami z sowieckiej epoki!

— Marzycielka z pomarańczową wstążką!

—Myślisz, że wszystko wiesz. Ale nic nie wiesz. — Jej mokre włosy opadają mu na twarz. Przemoczone ubranie oblepia ponętne kształty jej ciała. Co za dziewczyna. Jeśli on nie zachowa zimnej krwi, doprowadzi go do zatracenia.

— Pokaż mi coś, czego nie znam.

—Bardzo proszę! — Siedząc na nim okrakiem, przygważdża go do kamiennych płyt i wsuwa język w jego usta. Andrij z trudem łapie oddech. Jest niesamowicie silna i zwinna jak rusalka. Woda jest wszędzie, w jego oczach, nosie, tryska lśniącoymi strugami z ziemi.

A kiedy tak zmagają się ze sobą w spienionej wodzie, skądś wyłania się widmowy czarny pies. Jest duży i piękny. Wskakuje do fontanny, poszczekuje i bawi się z nimi, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Nad ich głowami na atramentowej posadzce nieba tańczą gwiazdy.

Ale, och, woda jest taka zimna!

Drogi Andree

Piszę do ciebie, by przepelnić cię dzisiejszymi wiadomościami dzięki Bożej Łasce zadzwoniła dziś do mnie moja siostra która z twoją pomocą odkryła moje miejsce pobytu. I mam gorącą nadzieję drogi przyjacielu że któregoś dnia zawitasz w to miejsce zwane Richmond położone niedaleko piękności Croydon gdzie czekam ciebie z bijącym sercem a także urodziwej Iriny bowiem mam nadzieję że oboje jesteście teraz połączeni świętymi Wiazami Małżeństwa.

Moja siostra miała pełno zapytań na temat mojego życia w mieszkaniu Toby Makenzi i jego rozdrażliwych rodziców i uradowała się słysząc że wszystko skończyło się zbawiennie a my co dzień jesteśmy obdarzani manifestami Jego Dobroci. Porzuciłem też moją Grzeszną Ciekawość cielesności i zwróciłem się ku rzekom stałem się bowiem Rybakiem Ludzi.

Każdego dnia o szarej godzinie Tato i ja schodzimy nad rzekę niosąc wędkę i czerwony kubek tych z Mozambiku i spędzamy dwie godziny lub więcej kontemplując powolny ruch wód czasu. I czasem wieczorem gdy rzeka ciemnieje niosąc swe tajemnice siła Miłości jest tak wielka że jestem skłonny otworzyć me serce i śpiewać. Bowiem zachód słońca nad tymi wodami jest taki że cudownie na niego patrzeć zabarwiony purpurą i błękitem z rozkosznymi różowymi chmurzyskami (choć nie tak cudowny jak zachody słońca w Zomba) i jestem obalony podziwem dla Jego mistrzostwa. A poprzez tajemnicę naszych długich rozmów nad brzegiem rzeki Tato sam wkroczył na Drogę Pana i porzucił picie whisky oraz przeklinanie.

I czasem zdarza się że jakieś ryby łapią się na naszą wędkę. I teraz urodziwa Mama która przygotowała nam tyle uczt z ryb zaczęła porzucać swe wcześniejsze bezbożne wegetariańskie zwyczaje i jogurtowe praktyki i również wkracza do Królestwa Radości. Czasem o zmierzchu idzie z nami nad ciemniejącą rzekę by dzielić naszą kontemplację. Również ten dobry

mzungu Toby Makenzi dla którego przyjaźni przybyłem na tę ziemię stał się wielkim wyznawcą rzeki. A modłę się żarliwie by za niedługo opiaty opadły z jego serca i by on również doświadczył Miłości.

TLR

## *Podziękowania*

Chciałabym podziękować tym wszystkim, których pomoc, uwagi oraz moralne i praktyczne wsparcie przyczyniły się do powstania tej książki.

Przed wszystkim powinnam podać dwa główne źródła: *Gone West: Ukrainians at work in the UK*, Nick Clark, TUC 2004 oraz *Not on the Label: what really goes into the food on your plate*, Felicity Lawrence, Penguin 2004. Ich drobiazgowe badania stanowiły dla mnie punkt wyjścia, choć za wszelkie niedociągnięcia ponoszę całkowitą odpowiedzialność.

Wiele innych osób pomogło mi, udzielając specjalistycznych informacji, między innymi Ben Benest, Cathy Dean i Kate Fenton (psy), Charles Gaskain (truskawki), Joyce D'Silva z Compassion in World Farming, Dick Churcher (kurczaki), Dave Feickert (wydobycie węgla i związki zawodowe), Sonia Lewycka (Malawi) i Simon Pickvance z Sheffield Occupational Health Project.

Podziękowania należą się również Billowi Hamiltonowi i wszystkim z AM Heath za słowa otuchy i dobre rady, Juliet Annan i Scottowi Moyersowi za wiele cennych uwag na temat tekstu oraz zespołowi wydawnictwa Penguin za to, że są tacy wspaniali.

Dziękuję również rodzinie O'Brienów, która zabrała mnie na zbiór truskawek, Bobowi i Doris Spencerom z Gara Bridge, gdzie mieszkałam w obu przyczepach, i Josowi Kingstonowi, który przedstawił mnie Paddiemu, pierwowzorowi Psa.

Na koniec chciałabym podziękować Beatrice Monti della Corte oraz Santa Maddalena Foundation za udzielenie schronienia, w którym mogłam spokojnie pisać, oraz Judith i Pasquale Rosatom — bez ich wspaniałości i uprzejmości w trudnych chwilach ta książka nigdy by nie powstała.

TLR